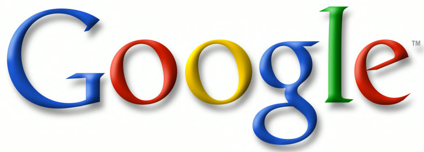
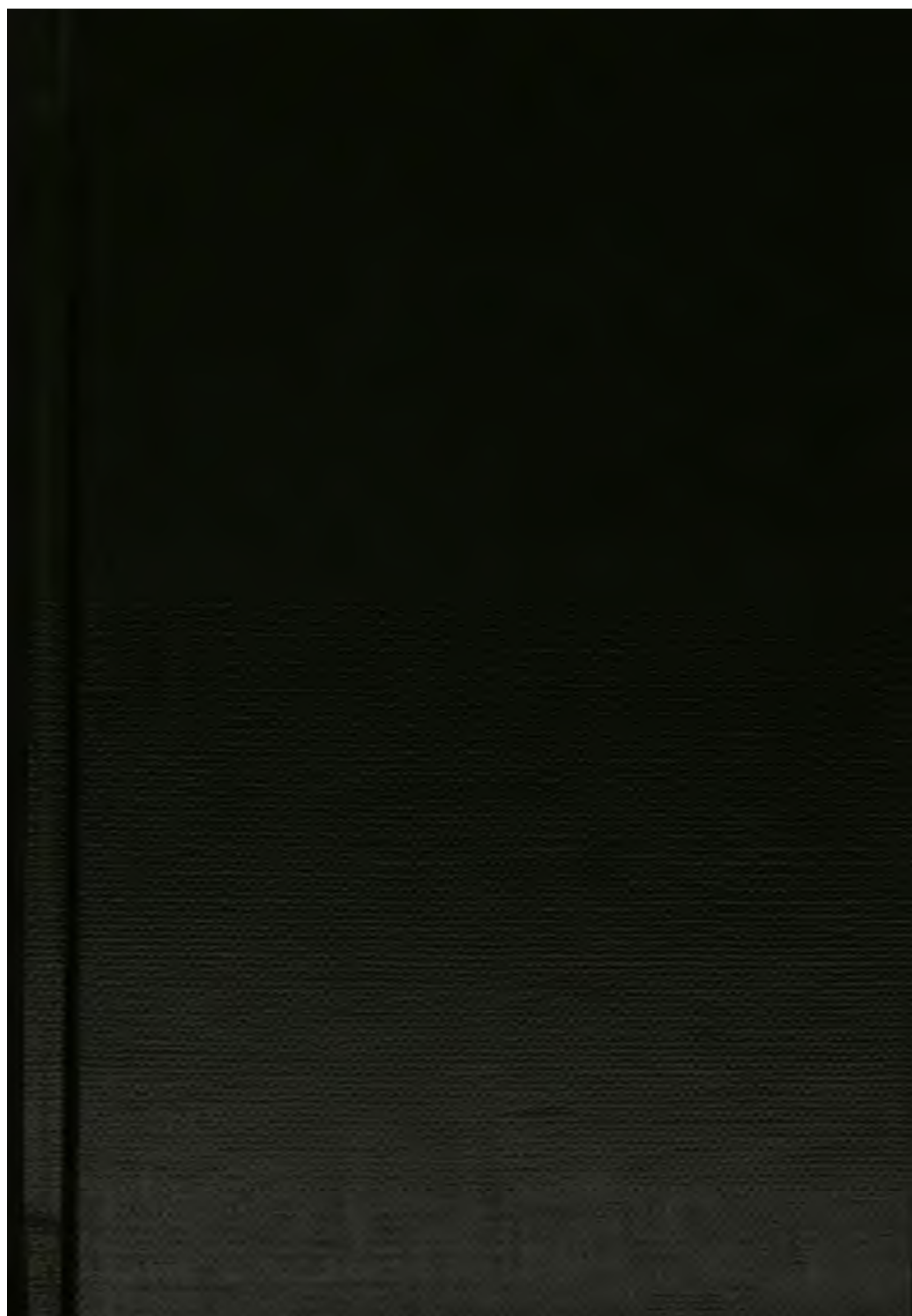





STANFORD UNIVERSITY
LIBRARIES





Młocki, Alfred

KSIĘGA WSPOMNIEŃ

ALFREDA MŁOCKIEGO

WYDANA

PRZEZ

Agatona Gillera i Piotra Zbrożka



KSIĘGA WSPOMNIEŃ

ALFREDA MŁOCKIEGO

WYDANA

PRZEZ

Agatona Gillera i Piotra Zbrożka

PARYŻ
W DRUKARNI ADOLFA REIFFA
9, place du Collège de France, 9.
1884

PRZEDMOWA

S. p. *Alfred Młocki* pozostawił po sobie rękopism zawierający:

Wspomnienia z roku 1830/1 z dokładnym opisem działań wojennych jenerała Samuela Różyckiego w Sandomierskiem i w Krakowskiem, w których brał udział;

Wspomnienia już dziś mało ogółowi znanych wydarzeń w 1836 roku w Krakowie, w których opisuje prześladowanie, jakiemu uległ ze strony Austryaków;

Sprawozdanie z krwawych wypadków w r. 1848 w Krakowie, które jako członek i sprawozdawca urzędowy Komitetu Narodowego napisał;

Rozprawę historyczną, w której porównał zasługi dwóch bohaterów naszych walk o oswobodzenie Polski: księcia Józefa Poniatowskiego i jenerała Henryka Dąbrowskiego i wreszcie:

Zbiór poetycznych utworów, napisanych po upadku powstania Listopadowego, pod bezpośrednim wrażeniem poniesionej klęski i udaremnionych przez przewódzców usiłowań narodu, które nie są także pozbawione historycznego interesu, bo znajdujemy w nich odbicie tych uczuć, jakie w tę porę przejmowały żalem, smutkiem i rozpaczą serca wszystkich szlachetnych Polaków.

Uproszony przez redaktorów, pozwolił jeszcze za życia swego drukować niektóre z wymienionych pism, wolą jednak ś. p. Alfreda Młockiego było,

ażeby dopiero po jego śmierci, wydane zostały razem w osobnej książce.

Wolę tę wypowiedział w testamencie, upraszając podpisanych, jako przyjaciół, posiadających jego zaufanie, o zajęcie się wydawnictwem, przeznaczywszy potrzebne fundusze na pokrycie nakładu.

Zaszczytne to dla nas zaufanie!

Tem chętniej zaś czynimy mu zadość, iż jesteśmy mocno przekonani o użyteczności pism naszego przyjaciela.

Ś. p. Alfred Młocki obdarzony był bystrym, krytycznym umysłem. Ludzi i działanie ich oceniał trafnie. Sąd jego może się niektórym z czytelników zdawać zbyt surowym, to jednak pewna, że jest on sprawiedliwym. Sąd zaś ten zasługuje na tem większą uwagę, iż wypowiedział go człowiek czystego a niewzruszonego, stałego charakteru, który niósł Ojczyznie życie i mienie swe w ofierze i pracując dla Polski aż do zgonu, nigdy w kompromissa z najezdcami nie wchodził i od zasad narodowych nie zbaczał. Nadaje to więc pismom ś. p. Alfreda Młockiego niepospolitą wartość, że obok dbałości o prawdę, która czyni je pożądanem źródłem dla historyka, znajdują się w nich wyrażone te same zasady, które go w życiu zrobiły wzorem polskiego obywatela.

Nadaliśmy im tytuł: « *Księga Wspomnień Alfreda Młockiego* » i zaopatrzywszy w życiorys i w portret autora, oddajemy do druku.

Niechaj ta księga utrwalając pamięć prawego męża, przyczynia się do wyrabiania jak największej liczby takich jak on Polaków.

Agaton Giller.
Piotr Zbrożek.

ALFRED MŁOCKI

Życiorys

PRZEZ

AGATONA GILLERA

Gniazdem Młockich herbu Prawdzic jest Mazowsze. Od wieków w tej prowincji osiedleni, pługiem, orężem i radą podnosili się w społecznem znaczeniu i w dobrej pomiędzy współziomkami sławie.

Kronikarze wspominają wielu Młockich jako ludzi zasłużonych w służbie Rzeczypospolitej. Tak bowiem ci, którzy pozostali na Mazowszu, jako też ich bracia, którzy się przenieśli na Litwę, zajmowali ważne posady i bywali kanonikami, biskupami, podczaszymi, stolnikami, starostami, posłami na sejm a jeden z nich *Jędrzej Młocki*, który zakosztował moskiewskiej niewoli i fundował kościół i klasztor Bernardynów w Orszy, był jednym z dzielniejszych owego czasu wojowników i odznaczył się wielkimi czynami w wojnie szwedzkiej i moskiewskiej, zwłaszcza też w zwycięzkiej bitwie pod Kircholmem (1605 r.) i przy zdobyciu Smoleńska 1611 r.).

a.

W wieku XVIII *Michał Młocki* ożeniony z Sobolewską był starostą Zakroczymskim.

Syn jego *Jakób* nie piastował wprawdzie żadnego urzędu, lecz w młodości swojej walczył w Konfederacji Barskiej i był podobno konfederackim jenerałem. Osiadłszy w majątku swoim w Kosarzewie, ożenił się z *Ludwiką Borzęcką*, córką Aleksandra Borzęckiego, starosty Przemyskiego i Podstolego Wielko Koronnego, a wdową po pułkowniku Stanisławie Dembowskim, Kasztelanie Czechowskim i Prezesie Kancelarji Królewskiej.

Z tego małżeństwa urodził się w Warszawie *Alfred Młocki* dnia 31 Grudnia 1804 roku.

Pierwsze lata życia spędził nasz Alfred w domu swoich przodków, starannie wychowywany wraz z przyrodnim bratem Antonim Dembowskim, synem matki swojej z pierwszego małżeństwa.

Nie długo jednak trwała opieka rodzicielska. W piątym roku życia Alfred stracił ojca. Jakób bowiem Młocki, umarł w czasie srożącej się w Polsce wojny z Austryakami w 1809 r.; w dwunastym zaś roku życia utracił matkę, zmarłą w 1816 r., wtedy właśnie gdy wychodził z lat dziecinnych i jako młodzieniec potrzebował ręki, któraby nim wśród rozwijających się pokus bezpiecznie kierowała.

Opiekunem Alfreda został *Onufry Wyczechowski*, Prezes Sądu Apellacyjnego a późniejszy główny dyrektor (minister) Komissji Sprawiedliwości w Królestwie Polskiem.

Był to mąż prawego charakteru i nazwisko jego zaszczytne zajmuje miejsce w dziejach sądownictwa polskiego, na stanowisku swojem atoli zbyt miał

wiele pracy, aby mógł zająć się moralnem wychowaniem Alfreda. Dbał wprawdzie wielce o zachowanie w całości pozostałego mu po rodzicach majątku, posyłał go do szkół publicznych i z daleka miał zwrócone oczy na jego moralne prowadzenie się, lecz nie mógł mu dać tej czułej z troskliwości rodzicielskiej wynikającej opieki, która miłością kierując młodzieńcem, bywa zawsze najlepszym przewodnikiem wychowania.

W domu Wyczechowskiego nie brakło Alfredowi na dobrych przykładach, przedewszystkiem zaś charakter prawy a nieugięty samego opiekuna, był dla niego dobrym wzorem, lecz pozostawiony własnym instynktom, bez nieustającego dozoru, sam sobą rządzić musiał i sam siebie wychowywać.

Tej to okoliczności, tej kontroli samego siebie przypisać potrzeba wyrobienie się w Alfredzie Młockim samodzielności charakteru, jako też wczesne dojrzenie jego umysłu oraz powagę w postępowaniu, którą się odznaczał przez całe swoje życie. Inny młodzieniec, z usposobieniem więcej płochem, byłby z szkodą dla swej przyszłości nadużył rychłego usamowolnienia, lecz dla Alfreda, który już z natury samej był dziwnie dobrym, szlachetnym i rozważnym a z domu rodzicielskiego wyniósł zasady moralne i tradycją patrjotyczną, wyszło ono na korzyść. Zmuszony sam na sobie polegać, przyuczył się także cenić wartość pracy, wytrwałości i panowania nad sobą. O nim więc słusznie powiedzieć można, że te zalety i przymioty charakteru, które go zdobiły i następnie tak wysoko w szacunku publicznym postawiły, nie przewodnictwu starszych,

łecz sam sobie był winien, to jest wychowaniu przez siebie samego kierowanemu.

W domu Wyczechowskiego spotykał ówczesnych dygnitarzy Królestwa Polskiego i przysłuchując się ich rozmowom, miał sposobność poznać usposobienie sfer rządzących. Że to poznanie przyczyniło się do wyrobienia w nim trafnego sądu politycznego, któreśmy w nim podziwiali jeszcze w starości, nie ulega wątpliwości.

Po ukończeniu szkół niższych zapisał się na Uniwersytet, uważał bowiem wyższe wykształcenie za konieczne do zawodu rolnika, który sobie obrał, zamierzając zająć się gospodarstwem na ojczystej glebie.

Uniwersytet warszawski przed 1830 r. posiadał wielu zdolnych profesorów, stosunki zaś pomiędzy studentami były serdeczne, ruchliwe, koleżeńskie, zwrócone ku idealnej stronie życia. Można się więc było wiele w Uniwersytecie nauczyć i co najważniejsza, można było rozwinąć aż do zapału uczucia patrjotyczne i przyswoić sobie pojęcia obowiązków obywatelskich.

Młocki wiele skorzystał z nauk uniwersyteckich a życie koleżeńskie przypominał sobie jeszcze w sędziwym wieku, jako najprzyjemniejszą epokę. Nieodłączał się od towarzyszy ani w zabawie, ani też w dążeniu do obalenia moskiewskiego panowania w Polsce, lecz przytem niezaniedbywał nauki.

Po wyjściu z Uniwersytetu okazał, iż czasu w nim spędzonego daremnie nie strwonił, posiadał bowiem rozległą i gruntowną wiedzę i właściwą charakterom moralnie dojrzałym pewność postępowania.

Powaga, która się w nim łączyła z umysłem żywym i z usposobieniem swobodnem, była już w tę porę bardzo cenioną w towarzystwie warszawskiem, czego najlepszym dowodem jest ta okoliczność, że nawet taki jenerał Rożniecki, czuł się zniewolonym w obec młodego jeszcze Młockiego co usprawiedliwiania zajętego przez siebie stanowiska.

Rożniecki zawdzięczał wiele rodzinie Młockiego. Alfred znał go więc oddawna i spotykał często u Wyczechowskiego, musiał zaś z nim utrzymywać stosunki znajomego, wielce dla siebie wstrętne, bo miał od niego do odebrania kapitał po matce, ulokowany na hipotece wsi Łaziska, jaką jenerał przed laty zakupił od jego rodziny w powiecie Stanisławowskim niedaleko Warszawy. Ile zaś razy przyszedł do niego upomnieć się o zwrot należności, której długo odebrać nie mógł, bo Rożniecki chętnie pożyczał, lecz nie lubił zwracać pożyczonych pieniędzy, tyle razy pan jenerał starał się go przekonać: « że nie jest tak złym Polakiem, jak głosi opinia publiczna; że podły urząd naczelnika tajnej policji przyjął jedynie z miłości dla kraju, ażeby osłaniać współobywateli patrjotycznych od dzikiego znęcania się i bezwzględnego prześladowania, które byłoby ich udziałem, gdyby Wielki Książe Konstanty powierzył Moskalowi tę posadę, jaką on obecnie zajmuje. Jeżeli więc został naczelnikiem szpiegów, to mu tego za złe Polacy brać nie powinni, bo uczynił im przysługę, niedopuszczając do tego strasznego urzędu Moskala, któryby go z wszelką pewnością wykonywał w sposób najszkodliwszy dla narodu ».

Młocki rozumie się, przekonywać się nie dawał

podobnego rodzaju argumentami. Wiedział bardzo dobrze, że w najbardziej spodlonych Polakach odzywa się częstokroć jeżeli nie sumienie, to przynajmniej poczucie własnej hańby i wstyd, który ich zmusza do usprawiedliwiania nikczemności jaką popełnili, przez zaprzedanie się najezdniczemu rządowi w służbę upadlającą godność człowieka.

Rożniecki mniemał, iż za pośrednictwem Młockiego zdoła choć w części złagodzić surowe a sprawiedliwe sądy, potępiające go za sponiewieranie munduru jenerała polskiego urzędem naczelnika politycznej u Moskali policji, wiadomem mu bowiem było, że w kołach rowieśników, pomiędzy młodzieżą pałającą miłością Ojczyzny, jego młody znajomy używał niemałego wpływu i był chętnie słuchanym. Źle jednak obrachował, gdy mając na uwadze rozwagę, spokój i umiarkowany sposób wyrażania myśli swoich przez Alfroda, przypuszczał, iż znajdzie w nim pobłażliwego sędziego. Pomylił się, łagodność i dobroć serca nie jest słabością i łatwowiernością. Młocki niedał się złudzić przebiegłemu jenerałowi. Miłościwa jego natura, grzechu w obec Ojczyzny przebaczyć nie mogła.

Pomimo swojej młodości Alfred miał, jak to już wspomnieliśmy, dokładnie w swoim duchu wyrobione zasady moralne i na nich opierał swoje poglądy polityczne i narodowe. Nikt silniej od niego nie potępiał działania niemoralnego, przeciwnego prawdzie i godności; nikt z większą stanowczością nie naganiał owej polityki, dziś zwanej utylitarną, która względami jakiejkolwiek korzyści usprawiedliwiać wszystko usiłuje, nawet odstępstwo od sprawy narodowej i zdradę Ojczyzny.

Rożniecki tłumaczący tymi względami stanowisko naczelnika tajnej policji, przekonywa w dobitny sposób, do jakich potworności doprowadza szeroko a bez żadnych ograniczeń stosowany utylitaryzm, skoro fałszuje pojęcia moralne i nie cofa się przed dopełnieniem podłości, tak dalece, że przyjęcie z rąk wrogów kraju obowiązku szpiegowskiegoı ścigającego i prześladującego własnych braci za objawy patrjotyzmu, przedstawia jako czyn wynikły z miłości Ojczyzny i poświęcenie się dla sprawy ujarzmionego narodu.

Tak jednak mało teorja wiodąca do odstępstwa zdolną jest uspokoić sumienie odstępców, iż niemal każdy z nich pędzony duszy niepokojem, wyszukuje ludzi nieskazitelnych, wyobrazicieli prawdziwego patrjotyzmu, niewchodzących w żadne porozumienia z wrogami kraju, dla uzyskania od nich jeżeli nie zupełnego przebaczenia, to przynajmniej pobłażliwego sądu.

Jest to winowajca, który w poczuciu popełnionego występku, staje przed swoim sędzią. I w tym razie, Rożniecki tłumaczący w obec Młockiego swoje odstępstwo miłością kraju, jest takim w duszy swej przekonanym już o swoim występku winowajcą, który w młodzieńcu patrjotycznym pomimowolnie uznał swojego sędziego.

Charakterystyczny to wielce i pouczający wypadek moralnej przewagi patrjotyzmu, nad którym warto było nieco się zastanowić.

W latach jakie przeszły od ukończenia Uniwersytetu aż do powstania Listopadowego w 1830 roku, Młocki mieszkał na wsi lub w Warszawie.

W roku 1826, dnia 18 Lipca, zawarł związek mał-

zeński z panną Juljanną Skowerską (1), urodzoną 1 Listopada 1800 roku w Białymstoku, córką Magdaleny z Żarowskich i Stanisława Skowerskiego, oficera wojsk polskich z czasów Kościuszki, która po śmierci ojca swojego zamieszkała z matką w Warszawie. W niej to znalazł wierną towarzyszkę życia, która aż do zgonu była świadkiem jego prac i nieustających usiłowań, podejmowanych dla dobra narodowej sprawy.

Gdy gdzie indziej, w krajach szczęśliwych, bo niepodległych, spełnianie obywatelskich obowiązków, wnosi do domu radość i pociechę, u nas ujarzmionych przez obce rządy, sprowadza ono obawy i troski domowe, ileż to bowiem razy za dokonanie zwykłej nawet powinności w obec Ojczyzny, rządy te zabierały żonie męża, rodzinę pozbawiały ojca a wszystkich skazywały na utratę mienia.

Młocki jak był wzorowym obywatelem, tak też był wzorowym małżonkiem i ojcem rodziny. Dbał więc o bezpieczeństwo domu swojego i nie narażał lekkomyślnie swojej osoby, nigdy jednak żaden wzgląd rodzinny, obawa i niepokój żony, ani też myśl o przyszłości dzieci, niezdołały go powstrzymać od wykonania obowiązku Polaka. Polska była u niego przedewszystkiem. Dla niej wszystko musiało ustąpić.

(1) W życiorysie Alfreda Młockiego, drukowanym w *Wieńcu Pamiątkowym* mylnie wydrukowano 1828 jako rok zawarcia ślubów małżeńskich i mylnie także wydrukowano *panna Sikorska* jako nazwisko domowe pani Młockiej. Błędy te powtórzono w broszurze, która wyszła we Lwowie 1882 r. pod tytułem : « *Zyciorys i Pogrzeb Alfreda Młockiego* » – a w której życiorys przezemnie jeszcze za życia ś. p. Alfreda napisany dla *Wieńca Pamiątkowego*, został przedrukowany. (Przypisek autora).

Zajęty wychowaniem dzieci i gospodarstwem, brał żywy udział w ruchu literackim, jaki się rozwinął w Warszawie w latach przed 1830 r., jako też w życiu publicznem owej epoki, pracując wraz z patrjotami nad podniesieniem ducha narodowego i ulepszeniami stosunków wewnętrznych, lecz do konspiracji należeć nie chciał, nie dla tego, ażeby ją potępiał lub za szkodliwą i złą uważał, lecz dla tego, że się nieczuł uzdolnionym do działania konspiratorskiego.

Jak każdy sposób i forma pracowania dla lepszej przyszłości narodu, wymaga odpowiedniego usposobienia, tak też i spiskowe, tajemne działanie wymaga właściwego sobie uzdolnienia. Młocki, który bez głębszej rozwagi nic nie przedsiębrał, nabył przekonania co do siebie samego, iż nie potrafiłby krajowi oddać usługi na drodze konspiratorskiej, że więc bez potrzeby naraziłby się na zgnicie w więzieniu, nie dokonawszy wprzódy nic ważnego. Wiedział on o istnieniu potrjotycznego związku, założonego przez Piotra Wysockiego, bo mu o tąkowym powiedział jego uniwersytecki towarzysz Walenty Nasierowski i gotów był chwycić za oręż, gdy powstanie wybuchnie, lecz w wywołaniu go nie miał żadnego udziału, bo do spisku przystąpić nie chc ał.

Na wybuch powstania, czyli rewolucji, jak wówczas mawiano, na wybuch przez najdzielniejszą wojskową i cywilną młodzież w tajemnicy przygotowywany a przez cały ogół ludności jawnie oczekiwany, nie długo trzeba było czekać.

Młocki wieczorem dnia 29 Listopada 1830 roku znajdował się w Hotelu Litewskim, przy ulicy No-

wosenatorskiej u swojego prz yjaciela Teodora Ślaskiego, posła Kieleckiego, gdy wpadł do mieszkania Ulman, dyrektor górnictwa, z wiadomością, że rewolucja już się rozpoczęła. Zaraz potem przyszedł malarz Molinari, kolega szkolny Młockiego z potwierdzeniem tej wiadomości. Wybiegli więc we dwóch na ulicę z zamiarem wzięcia udziału w walce. Wprzódy jednak Młocki poszedł do domu zobaczyć co się dzieje z dziećmi i żoną, wielce o męża niespokojną, Molinari zaś do arsenału, zkąd mia wkrótce powrócić i zawiadomić towarzysza o po stępie powstania.

Główne boje były już stoczone, arsenał opanowany, Wielki Książe Konstanty ocalony przez swoją żonę Joannę księżnę Łowicką, córkę Grudzińskiego burgrabiego zamku królewskiego w Warszawie, uciekł szczęśliwie z Belwederu do Mokotowa, powstanie zwycięzkie, lecz nie pewne przyszłości, opanowało główne punkta stolicy i wyczekiwało na dalsze wypadki. Tego dnia nie było już co robić, Młockiego więc minął wielki zaszczyt walczenia z Moskalami, w dniu sławnym 29 Listopada i na zawsze pamiętnym w historji polskiego narodu.

Nazajutrz widzimy go już czynnie zajętego popieraniem powstania, którego położenie i zarazem potrzeby, pomimo zapału, jaki go ogarnął wraz z całym narodem, dokładnie a może lepiej od innych rozumiał.

Błąd, jaki popełnili Piotr Wysocki, Maurycy Mochnacki i w ogóle wszyscy sprzysiężeni, którzy dali początek powstaniu, polegał na tem, że nie wybrali z pomiędzy siebie Rządu Narodowego, że rachując na patrjotyzm starszych a popularnych

ludzi w narodzie, mniemali, iż oni poprowadzą dalej powstanie, w tym kierunku, jaki mu nadali inicjatorowie.

Władzy swojej powstanie nie miało, więc wystąpiła na czoło dawna Rada Administracyjna, złożona z ludzi, którzy uważali powstanie za nieszczęście, nie mieli bowiem wiary, ażeby naród polski własnymi siłami pokonać mógł Moskali. Chociaż aż do oczywistości i to wielokrotnie okazało się w ciągu powstania, że siła, jaką rozporządzała Polska, była dostateczna do powalenia « kolosu północy », oni jednak, ci trzeźwi i rozumni a wielce rachujący politycy, którzy stanęli na czele, nie uwierzyli aż do końca w możność zwycięztwa.

Napróżno naród w zapale szlachetnym składał ofiary na ołtarzu Ojczyzny i niósł swoje życie w ofierze, napróżno armia polska w wielu bitwach pokonała wojska carskie, nic ich nie mogło skłonić do stanowczego, odpowiedniego potrzebie działania. Car Mikołaj wysłał wszystkie wojska, jakie posiadał na plac boju i po zgromieniu takowych nie mógłby tak prędko sformować nowej armii dla pokonania powstania, przewódzcy atoli jeszcze i wtedy zamiast zaufać orężowi, szukali ocalenia na drodze układów.

Ta chęć układów objawiła się już nazajutrz po wybuchu powstania, Rada bowiem Administracyjna w wydanej odezwie w imieniu Mikołaja, wypowiedziała wcale niedwuznacznie myśl takowych, nazwawszy bohaterskie czyny 29 Listopada, nieszczęśliwymi wypadkami. Gdyby nie zapał ludności, który ją porywał i unosił z sobą, byłaby w samych początkach wielkiego ruchu kres mu położyła.

Pod naciskiem opinji publicznej przybrała do grona swego Joachima Lelewela i kilku innych czcigodnych mężów, znanych chwalebnie z swojego patrjotyzmu i nienawiści despotyzmu, lecz ci nie mieli dostatecznej energji do skłonienia Rady Administracyjnej, następnie zaś wynikłego z niej Rządu tymczasowego a potem Rządu Narodowego, do rewolucyjnego to jest stanowczego działania. Duch, jakim ją natchnął książe Lubecki, ów typ polityka-legalisty polskiego pod obcymi rządami; duch zwłoki, półśrodków i dyplomatycznego postępowania, zmierzającego ku porozumieniu i układom z wrogami kraju, przetrwał aż do końca w naczelnej władzy powstania i w mężach, którym powierzano dowództwo nad armią.

Był nim przejęty przyszły dyktator powstania jenerał Chłopicki, który używał nadzwyczajnej popularności, nim także był opętany przyszły wódz naczelny jenerał Skrzynecki.

Młocki miał sposobność poznać rzeczywiste ich usposobienie i nie padzielał ogólnego wyobrażenia co do ich moralnej kwalifikacji na wodzów powstającego narodu.

O jenerale Chłopickim mówił mu jego brat przyrodni Antoni Dembowski po 29 Listopada, że nie jest wcale zadowolonym z tego co się stało. Jenerał, którego szukano, aby go postawić na czele ruchu, ukrywał się przed patrjotami prawie przez dzień cały u swoich znajomych, niechcąc się kompromitować udziałem w powstaniu. Uważał je za burdę, którą najprędzej stłumić należy. Dembowski towarzyszył jenerałowi i przejął się jego poglądami *przezornymi i trzeźwymi*, pomimo tego wcale nie-

rozumnymi. Z nich było dla Młockiego widocznem, że Chłopicki w którego wszyscy wierzyli, że skorzysta z nadarzającej się sposobuości użycia swoich talentów i umiejętności wojskowych, aby pobić Moskali i z Polski wyrzucić, nie jest wcale odpowiednim dla roli, jaką mu przeznaczano.

Oprócz Młockiego, jeszcze tylko jeden Maurycy Mochnacki oceniał Chłopickiego jak należy i miał odwagę podnieść głos przeciwko niemu. Zaślepienie atoli było co do Chłopickiego tak ogólne a popularność jego tak wielka, że Mochnacki o mało życiem nieprzypłacił swojej odwagi. Młocki zamilkł i niewypowiadał publicznie swojego zdania o Chłopickim, bo rachował jeszcze na jego uczucia patrjotyczne i sądził, że przekonawszy się, iż powstanie jest już faktem niecofnionym a poważnym, porzuci swoje doktrynerskie uprzedzenia i gdy postawiony zostanie na czele, zrobi wszystko, co mu obowiązek patrjotyczny i sumienie nakazywały, to jest, że wydobędzie wszystkie siły z narodu i poprowadzi je do zwycięztwa.

Wypadki okazały, że uprzedzenia, jakie w sobie wyrobił Chłopicki, nadały zły kierunek jego miłości Ojczyzny. Raz powziętych wyobrażeń nic nie zdołało rozproszyć; im zaś mocniej upominał się naród o stanowcze z Moskwą zerwanie, tem uporczywiej trwał Chłopicki na drodze porozumienia. Upór i namiętność zgubiły go. Przyjął bowiem stanowisko dyktatora, nie w tej myśli co Kościuszko, aby bić najezdników, lecz po to tylko, ażeby niedopuścić do wojny i na drodze układów zmusić Mikołaja do konstytucyjnego w Polsce według prawa rządzenia. Przy takiem postanowieniu, nic dziwnego, że spa-

raliżował ruch powstańczy w samym początku i pchnął go w dalszym rozwoju na nieszczęsną kolej półśrodkowego działania.

Po upadku powstania, żal do Chłopickiego był ogólny, dawną jego popularność zastąpiły słuszne wyrzekania zawiedzionych nadziei. W rozpaczy klęską wywołanej, padło nawet nie jedno słowo narodowego przekleństwa na siwą głowę wsławionego za czasów Napoleońskich swoją dzielnością wojownika.

Wyrazem tych ogólnych uczuć dla Chłopickiego są pomiędzy innymi objawami utwory poetyczne Alfreda Młockiego, a zwłaszcza też wiersz p. t. *Pożegnanie*, w którym odzywa się o Chłopickim w następujący sposób :

« W tobie miliony ziomków widziało wybawcę,
Mściciela krzywd doznanych, przyszłych swobód dawcę;
Wzgardziłeś tą ufnością, przez którą lud prawy
Wkładał ci na skroń wieniec nieśmiertelnej sławy,
Mogłeś być zbawcą swoich, lecz przez upór twardy,
Stałeś się tylko celem nienawiści, wzgardy.
A nad wdzięczność rodaków, nad pochwalne pienia,
Poniosłeś nieszczęśliwych słuszne złorzeczenia. »

Smutny ten przykład nieodstraszył jednak następców od działania niezgodnego z wolą narodu. Wszakże w nowszych dziejach naszego oswobodzenia a nawet jeszcze i w obecnych czasach nie brak jest mężów stanu, którzy podobnie jak Chłopicki uporczywie wolę swoją i swoją politykę narzucali i narzucają narodowi. Nie mając wiary w rozum narodu i lekceważąc jego siłę, występują jakby samowładzcy, z pretensją, ażeby naród stosował się bezwarunkowo do ich woli i ślepo spełniał ich roz-

kazy, niczem nieusprawiedliwiając zaufania, którego żądają dla działania przeciwnego woli narodowej. Zapominają, że zaufanie wytwarza się tylko w najściślejszem porozumieniu z narodem, że prawdziwy mąż stanu wiedząc, iż jego działanie bez poparcia ze strony ogółu, klęską tylko zakończyć się może, starają się przedewszystkiem o wzbudzenie ku sobie zaufania przez działanie zgodne z usposobieniem i dążeniem całego narodu.

W roku 1830/31, naród wołał za Bug, za Niemen, bić wroga nieociągając się i ścigać go aż za granicę kraju, a Chłopickiego gniewało to wołanie i miotał się namiętnie, gdy go zapał ludności popychał ku wojnie, którą on nierozsądnie zatrzymywał, chociaż nie było potęgi, któraby zdolną była ją zatrzymać. Podobnie inni przewódzcy 1831 r. postępowali, zawsze wbrew publicznemu głosowi, miarkowali ruch i łagodzili stanowczość ciosów, aż wreszcie sparaliżowali siłę narodu i oddali go pomimowolnie na łaskę i niełaskę nieprzyjaciela.

Prawdziwem nieszczęściem stała się u nas doktryna o silnym rządzie, fałszywie pojęta i źle stosowana. Uważając bowiem Polaków za niezdolnych do posłuszeństwa i wydania z siebie dzielnego rządu, natchnęła mężów stanu silną wolą obdarzonych, postanowieniem działania na własną rękę, bez oglądania się na opinią publiczną i zawsze jej na przekór. Chcieli naród zbawić wbrew jego woli, co jest rzeczą niepodobną. Naród czuł, że mają w swej duszy dla niego lekceważenie lub pogardę, i opuszczał pysznych a zarozumiałych, zostawiając ich własnej swej sile. Iluż to takich Chłopickich i Wielopolskich, zkądinąd niepospolitych ludzi, zarobiło

sobie przez klęskę jaką ich upór doktrynerski sprowadził na ogólne narodu złorzeczenie!

Skrzyneckiego poznał Alfred Młocki w Pułtusku i uważał go również za nieodpowiedniego na wodza powstania.

W roku 1830 pojechał w Płockie obejrzeć część dóbr rządowych wystawionych na sprzedaż pomiędzy Ostrołęką i Rożanem, należących niegdyś do biskupów Płockich a zwanych Księztwem Sieluńskiem, które kupić zamierzał. W Pułtusku odwiedził swojego przyjaciela Władysława Ślaskiego i u niego spotkał się z Skrzyneckim, podówczas pułkownikiem. Było to po lipcowej rewolucji we Francji, więc rozmowa o niej się toczyła. Skrzynecki zżymał się na wojsko, które opuściło Karola X i z wielkim ferworem prawił o karygodnych buntach ludowych.

Jakkolwiek polskie powstania nie są buntem, bo podnoszą oręż przeciwko władzy nieswojskiej, lecz obcej a więc najezdniczej i narzuconej i wstręt, jaki niektórzy mają do ludowych poruszeń, nie da się zastosować do narodowego, zawsze legalnego dobijania się o przywrócenie wydartego Polsce państwowego bytu, zawsze przecież słusznym był wniosek Młockiego, że pojęcia Skrzyneckiego czyniły go niezdolnym na wodza powstania. Nie rozróżniał on bowiem tak stanowczo jak my to czynimy buntu od uprawnionego powstania, więc też to, co wypowiadał o rewolucji lipcowej w Paryżu, mogło słuszne zrodzić obawy, co do jego zachowania się w obec powstania Listopadowego. Przeciwnik w teorji ruchu ludowego, nie mógł uczynić w praktyce zwycięzkim. Słusznie więc przewidy-

wał Młocki słabe kunktatorskie działanie Skrzyneckiego i nie rokował dobrych skutków z powołania go na główno dowodzącego armią polską.

Zanim to jednak nastąpiło, Młocki złączywszy się z narodowym ruchem, działał na bruku warszawskim wraz z tymi, którzy zmuszali powstańczą władzę do energicznego działania.

Przekonał się, obcując z ludem warszawskim o jego gorącym patrjotyzmie, szlachetnem, czystem a istotnie chrześcijańskiem usposobieniu i o gotowości poświęcenia wszystkiego dla oswobodzenia Ojczyzny. Nie umiał lud rozprawiać o polityce, ale instynktownie rozumiał, jaką ona być powinna.

Gdy na ulicy Królewskiej zażądano od Młockiego, aby przeczytał pierwszą odezwę władzy powstańczej, ledwo zaczął czytanie od słów: « Rada Administracyjna w imieniu Mikołaja I », żołnierz, który stał przy nim, wyrwał mu ją z rąk i krzyknął: « Nie czytaj, a to osły, my pobiliśmy jego generałów, wypędziliśmy jego brata, aby go wraz z Moskalami wygnać z całej Polski, a te durnie jakieś odzywają się do nas w imieniu Mikołaja I ».

Żołnierz więc prosty, lepiej od dyplomatów oceniał całą potworność polityki zainaugurowanej przez ludzi, którzy się powstaniu narzucili na przewódzców.

Działali oni przezornie, lecz ich przezorność i umiarkowanie w złej bo wojennej chwili zastosowane, dawało nieprzyjacielowi czas do przygotowania zaczepnej siły, jakiej zrazu nie wiele posiadał a z drugiej strony niedopuszczało do wydobycia z łona narodu potrzebnej do oswobodzenia Polski potęgi. Są położenia, w których taka przezorność,

która wywołuje ociąganie się i ustawiczne wahanie, sprowadza również opłakane skutki jak zdrada. Polska znajdowała się w takiem położeniu. Skoro wojna z Moskwą po wybuchu powstania 29 Listopada, stała się nieodzowną, należało całą usilność zwrócić na uzbrojenie narodu oraz utworzenie jak najliczniejszej armji i bez zwłoki, zanim się najezdnik opamięta, rozpocząć działanie zaczepne.

Lud długo wierzył, że popularni przez opozycją stawianą tyranowi W. K. Konstantemu mężowie tak postąpią; ufał w patrjotyzm stojących na czele i mniemał, że rząd narodowy skorzysta z pierwszej sposobności, ażeby cios stanowczy zadać Moskalom.

Tylko ludzie bystrzejszego poglądu jak Mochnacki, Nabielak, Goszczyński i Młocki, widzieli, że wybrańcy postawieni na czele zawiodą położone w nich zaufanie, bo zamiast o wojnie myślą o układach z Mikołajem, rozwijali więc agitacją w celu wywarcia nacisku na rząd, któryby go zmuszał do rewolucyjnego, jedynie odpowiedniego sytuacji działania.

Takim krokiem rewolucyjnym byłoby przytrzymanie W. Księcia Konstantego i zabranie oraz rozbrojenie wojska moskiewskiego, które go otaczało w Mokotowie. Patrjoci dobrze rozumieli, że po napadzie na W. Księcia, rząd musiałby chcąc niechcąc działać stanowczo i porzucić wszelką nadzieję rozwiązania sprawy niepodległości drogą układów. Wszystkie atoli sposoby demonstracyjne, jakich użyli, okazały się napróżne, rząd wypuścił W. Księcia i po odesłaniu przezeń do Warszawy tej części wojska polskiego, którą miał przy sobie w Mokoto-

wie, pozwolił mu z pułkami moskiewskiej gwardji odmaszerować na Litwę.

Młocki i w tej sprawie był czynnym. Wraz z Teodorem Ślaskim, posłem kieleckim, udał się do Joachima Lelewela, w celu przedstawienia mu konieczności ujęcia W. Księcia Konstantego i rozbrojenia Moskali pod jego dowództwem zostających. Lelewel podzielał przekonanie, wypowiedziane mu przez dwóch patrjotów, zaszczytnie już wówczas znanych z swojego trafnego na sprawy publiczne poglądu i przyrzekł na posiedzeniu rządu postawić wniosek przytrzymania W. Księcia Konstantego i rozbrojenia jego gwardji moskiewskiej. Pomimo atoli danego zapewnienia na sessji rządowej. która się niebawem zebrała, Lelewel nie wspomniał nawet o konieczności rozbrojenia gwardji. Dla czego milczał? Nie trudno się domyślić. Wiedział, że wniosek jego odrzuconym będzie, on tylko bowiem jeden był w rządzie tego zdania, że z Wielkim Księciem należy się stanowczo rozprawić, nie miał zaś w sobie ani woli, ani też potrzebnej energji do przepierania swoich wniosków lub działania na swoją rękę, wbrew opinji towarzyszy rządowych.

Chociaż naczelne władze powstrzymywały pęd narodowego ruchu, miarkowały i studziły zapał i raczej tłumiły niż rozwijały powstanie, stawało się ono przecież z każdym dniem silniejsze, rozszerzało się i wzmacniało dzięki patrjotyzmowi narodu. Przekonanie, że wkrótce przyjdzie do wojny z Moskwą było ogólne. Jakoż nawet przypuścić nie można było, ażeby car Mikołaj nie użył rychło sił swoich do stłumienia powstania. Trzeba się więc było przygotowywać do obrony podniesionego sztandaru nie-

podległości i wolności Polski i do stanowczej rozprawy z odwiecznym wrogiem polskiego narodu, tyranem i najezdzcą kraju.

W tym ruchu wojennym, śpieszeniu dobrowolnem pod chorągwie ojczyste, zaszedł fakt godny podniesienia, wykazuje bowiem czystość uczuć patrjotycznych w tych wszystkich, których nazywano agitatorami, a którzy tak przez swe wykształcenie wyższe jako też prace narodowe i zasługi, jakie położyli w wywołaniu i utwierdzeniu powstania, mogli sobie rościć pretensje do roli przywódzców i w ogóle stanowisk kierowniczych przy władzy. Tymczasem ten burzliwy element pomawiany o demagogiczne usposobienie, okazał się wolnym od wszelkiej myśli egoistycznej i ambicji. Myśląc tylko o oswobodzeniu Ojczyzny, dali z siebie przykład zupełnego poświęcenia, zapisując się w szeregi armji polskiej jako prości żołnierze. Wzgląd na własną wygodę i bezpieczeństwo osobiste był im obcy, wszyscy bowiem, z małym niezmiernie wyjątkiem poszli do wojska, ażeby krwią własną wylaną na ołtarzu Ojczyzny, dokupić się dla Ojczyzny wolnego a niepodległego bytu.

Młocki także postanowił jako prosty żołnierz wstąpić do 4-go pułku piechoty liniowej. « Wszyscy atoli, którzy go znali, wysoko ceniąc jego rozległą wiedzę, prawość i sumienność w spełnianiu obowiązku, poczęli odwodzić go od tego zamiaru, przekładając, iż skuteczniej służyć będzie krajowi jako oficer przy kadrach nowo formowanych pułków. Szczególniej Teodor Slaski i Henryk Dembiński nalegali na niego, ażeby się udał w Kieleckie i był tam pomocnym przy organizacji wojska. Henryk Dem-

biński był w tym czasie dowódzcą gwardji ruchomej w Województwie Krakowskiem, dbał zaś bardzo o to, żeby miał pod swoją komendą ludzi rzeczywistej wartości. Przyniósł więc Młockiemu nominacją od jenerała Stanisława Małachowskiego na porucznika gwardji ruchomej, zapewniając, że będzie mógł zadość uczynić postanowieniu swojemu walczenia z nieprzyjacielem, przy pierwszej bowiem sposobności wyprawi go na linję bojową z pułkiem nowo sformowanych strzelców pieszych (1) ».

Dawszy się przekonać tak słusznym argumentom, Młocki odwiózł żonę i dwoje dziatek, syna i córkę do Krakowa i spokojny już o swą rodzinę przybył na oznaczone dla siebie stanowisko w Kielcach, ażeby się całkowicie i wyłącznie oddać służbie walczącego narodu.

Jako adjutant majora Henisza dowódzcy kadrów dwóch pułków piechoty, które się formowały w Chęcinach, Młocki od dnia 17 Stycznia 1831 r., zajął się z wielką gorliwością przyjmowaniem i oglądaniem odstawionych rekrutów i odbiorem rzeczy, jakie obywatele dostarczać musieli dla każdego wziętego do wojska, następnie zaś trudnił się formowaniem musztrą nowozaciężnych.

Major Henisz, obarczony liczną rodziną, udał się na wieś do opuszczonego gospodarstwa i zdał całą czynność na Młockiego.

Nie zawiódł się w zaufaniu, jakie położył w znajomości rzeczy, w gorliwości i w sumienności swojego adjutanta, trudno bowiem wyobrazić sobie

(1) Zobacz Życiorys Młockiego w *Wieńcu Pamiątkowym* str. 229.

lepszego służbistę, któryby pilniej i dokładniej spełniał przyjęty na siebie obowiązek od Młockiego.

Nie była to zaś łatwa czynność jaką mu poruczono. Pobór rekrutów oraz wojskowych rekwizytów i formacja nowych pułków krzyżowała wiele prywatnych interesów i zależną była od władz administracyjnych Województwa Krakowskiego.

Młocki nie skarzy się w swoich z 1831 r. wspomnieniach na obywateli. Chociaż mocno była obciążona szlachta, spełniała co do niej należało bez szemrania i bez oporu ponosiła ciężary, spowodowane nowemi formacjami. Władze atoli administracyjne, począwszy od prezesa Komissj Wojewódzkiej Kaspra Wielogłowskiego, aż do najniższego cywilnego urzędnika, stawiały rozliczne przeszkody pośpiechowi i dokładności formacji. Przeszkody te wypływały po części ze zbytecznej i przesadnej formalistyki biurowej, której się władze cywilne pozbyć niechciały, nawet wśród tak nadzwyczajnych, wojennych wymagań, głównie atoli nieporadność urzędników wypływała ze złej woli.

Dotąd było rozszerzone mniemanie, iż do powodzenia powstania 1831 r., wiele się przyczyniła istniejąca przed r. 1831 organizacja administracyjna Królestwa Polskiego, spoczywająca w ręku urzędników polskich. Wpomnienia atoli Młockiego odkrywają nam fakt nieznany sprzyjania administracji temu porządkowi rzeczy, który obaliło powstanie, a więc nioprzyjaznego powstaniu działania ze strony urzędników Polaków.

Gdyby urzęda obsadzone były cudzoziemcami, to jest Moskalami lub Niemcami, powstanie pierwszego dnia zaraz zmuszonem by było wypędzić wszyst-

kich z urzędów i z Polski i utworzyć nową administracją kraju, złożoną z urzędników, duszą i ciałem oddanych sprawie walczącego o najdroższe swe prawa narodu. Ta więc okoliczność, iż Królestwo Polskie posiadało samorząd i że wszystkie władze spoczywały w ręku Polaków, okazała się sprzyjającą w czasie powstania nie interesowi narodu, lecz interesowi panowania w Polsce moskiewskiego cara.

Urzędnikom dobrze się działo i nie czuli potrzeby odmiany istniejącego stanu rzeczy. Niemieli oni jak Rada Administracyjna odwagi do jawnego wystąpienia przeciwko powstaniu, co byłoby spowodowało natychmiastowe ich oddalenie, lecz pozostawieni jako Polacy na swoich stanowiskach, nieszczerze służyli powstaniu, które się im przedstawiało jako nieszczęsna burda, naruszająca ich spokój i mogąca skompromitować ich przyszłość, gdyby gorliwie spełniali przysyłane sobie od narodowego rządu i wojskowych komend rozkazy. Mikołaj więc niewiedząc wcale o tem, miał licznych, tajemnych sprzymierzeńców w Polsce w czasie powstania, którzy mu wielkie usługi oddali jako urzędnicy samorządnego Królestwa Polskiego przez opieszałe, niechętne i różnemi przeszkodami najeżone wykonywanie obowiązków w obec narodu.

Były rozumie się pomiędzy nimi chwalebne wyjątki, lecz one nie odejmują znaczenia spostrzeżeniu jakie uczynił Młocki oraz inni, również bystrym poglądem obdarzeni statyści, że przyznanie podbitemu krajowi narodowego samorządu i obsadzenie wszystkich posad urzędowych przez krajowców, jest faktem utrudniającym walkę powstałego narodu a przez

to samo przyczyniającym się do utrwalenia panowania obcego monarchy.

Młocki bywał zmuszonym do ciągłego nalegania i występowania przeciwko rozmyślnej nieporadności cywilnych urzędów i pragnął, ażeby jak najprędzej uwolniono go od obowiązków organizatora wojskowego i pozwolono mu pójść na linią bojową. Władza atoli niechciała uwolnić go z tej posady, przekonaną bowiem była, iż drugiego podobnego organizatora nie dostanie.

Przeniesiony z Chęcin do Kielc, pełnił dalej w samej już stolicy Krakowskiego Województwa swój skromny lecz niezmiernie ważny obowiązek. Nie przynosił mu sławy wojownika, niezadawalniał mężnego serca, pragnącego bezpośredniej walki z wrogami, którzy Ojczyznę jego znieważyli niewolą, tem większą przeto w oczach potomności przynosi mu zasługę, iż spełniał go z poczucia karności, z największym dla sprawy pożytkiem. Jeżeli Województwo Krakowskie więcej wojska dostarczyło niż inne województwa, należy to przypisać nie tylko patrjotyzmowi i ofiarności jego mieszkańców, lecz także energicznej służbie i niestrudzonej pracy organizatorskiej porucznika Młockiego.

Nadeszła wreszcie tak gorąco upragniona i tęsknie przezeń wyczekiwana chwila wystąpienia na linię bojową. Rzucił się więc z zapałem rycerskim do walki.

Nie będziemy szczegółowo opisywali kampanji jenerała Samuula Różyckiego, marszów, potyczek i bitew, które polskie wojsko pod jego dowództwem stoczyło z korpusem o wiele liczniejszym jenerała Rüdigera a w której odznaczył się porucznik Młocki

walecznoscią, w kilku wypadkach dochodzącą aż do bohaterstwa, czytelnik bowiem w drukowanych w tej książce jego wspomnieniach, znajdzie bardzo dokładny jej opis. Nadmienić tylko musimy, iż Młocki odbył tę kampanią w stopniu oficerskim porucznika, jako dowódzca drugiej karabinierskiej kompanji w drugim batalionie majora Obiedzińskiego, w pułku dowodzonym przez dzielnego pułkownika Jutrzenkę.

Pierwszym batalionem tegoż pułku dowodził znajomy nam już major Henisz, w zastępstwie którego Młocki przez pół roku przeszło spełniał obowiązek organizotora wojskowego Krakowskiego Województwa. I na polu bitwy występował w charakterze zastępcy. Nominalnym bowiem dowódzcą drugiej karabinierskiej kompanji był Aleksander Różycki, krewny jenerała, który przeniosłszy się do sztabu, zostawił cały trud rzeczywistego dowództwa porucznikowi Młockiemu.

Charakter ten zastępcy, nie zmniejszył jego gorliwości służbowej. Wielce dbały o swoich żołnierzy, był dla nich najlepszym wzorem tak w życiu obozowem, jak i na polu bitwy. Pokochali go wszyscy i za jegoprzykładem, chociaż młodzi i niedawno pod bronią zostawali, występowali przeciwko nieprzyjacielowi jak starzy wojownicy.

Pierwszem polem odznaczenia się Młockiego był *Odechów* (21 Sierpnia), gdzie po ucieczce kapitana Poniatowskiego, wśród największego zamięszania uratował tabor i przyprowadził w całości do obozu powierzony sobie oddział.

Pod *Janowcem* (9 Września), stojąc z swoją kompanią pod rzęsistym ogniem baterji moskiewskich

cna otwartem miejscu, niezachwiał się ani na jedną chwilę i z zimną krwią odstrzeliwał się nieprzyjacielowi.

, W bitwie morderczej pod *Chodczą Górną* nową chwałą zajaśniało męztwo Młockiego. W strasznym przemarszu przez groblę wśród piekielnego ognia pocisków, przeprowadził swoją kompanią spokojnie. Najodważniejsi tracili przy tej przeprawie ducha, przynajmiej na chwilę, ale nie stracił go pułkownik Jutrzenka ani też jego przyjaciel Młocki. Po przejściu grobli kazał Młockiemu jenerał Różycki bronić z jednym plutonem olszyny w nizinie. Ostrzeliwając się moskiewskim tyraljerom, nie dał się wypłoszyć artylerji, która rzucała granaty w olszynę i po cofnięciu się głównej naszej siły przeciągnął w tym punkcie bitwę trzy prawie kwadranse. Porzucił dopiero olszynę za rozkazem przyniesionym przez podoficera, utraciwszy przy jej obronie czterech tylko żołnierzy zabitych granatami.

W bitwie pod miasteczkiem *Lipsko*, która niebawem nastąpiła, odwaga i męztwo Młockiego okazały się w swietle bohaterskiem. On i oficerowie jego towarzysze: Mierosławski, Dietz i Szczepanowski Franciszek, na czele swoich plutonów ruszyli niepowstrzymani gęstymi strzałami nieprzyjaciela na moskiewskie działa. Atak ten śmiałością i nieustraszoną odwagą zdumiał samych Moskali i gdyby został wsparty przez konnicę naszą byliby utracili swoją artylerją. Niestety pozostał próżnym wysiłkiem. Dzielni bowiem wiarusy, którzy już byli blizko moskiewskich armat, spostrzegłszy, że są opuszczeni przez swoich, cofnąć się musieli. Rażeni strzałami, w szybkim odwrocie zdołali złączyć się

z swoim korpusem, który nie dał im poparcia. Młocki o mało życiem nieprzypłacił swojej odwagi. Upadek na ziemię uratował go od pocisku, któryby go był rozerwał na dwoje.

Pod wsią *Lipie*, Młocki na czele 200 ludzi bronił wąwozu, który oddzielał wyżynę od drogi, po której korpus jenerała Różyckiego odwrót swój odbywał.

W krótce potem nadeszła wiadomość o kapitulacji Warszawy i pomiędzy jenerałem Różyckim a jenerałem Rüdigerem nastąpiło krótkie zawieszenie broni. Gdy korpus Ramoriny przeszedł do Galicji i Różycki, jak przystało na jenerała polskiego odrzucił propozycją złożenia broni, rozpoczęła się na nowo walka z Rüdigerem, ale już bez nadziei zwycięztwa.

Zmniejszający się co chwila oddział Różyckiego dążył wśród utarczek do granicy. Młocki uprzedzając przejście takowej wziął dymisję i wprost z Miechowa udał się do Krakowa, gdzie go oczekiwała rodzina.

Zachowanie się Młockiego w tej kampanji upoważnia nas do mniemania, że wyrobiłby się na niepospolitego jeżeli nie wodza, to przynajmniej jenerała, gdyby wojna potrwała dłużej. Jakoż oprócz odwagi i męztwa, posiadał on rzadką zdolność przenikania zamiarów nieprzyjaciela i ten bystry rzut oka, który wojskowemu pozwala objąć w jedną całość największe pole bitwy i dopomaga do szybkiego orjentowania i zapobiegania wszelkim niespodziewanym zwrotom i wypadkom. Z pism, jakie czytelnicy znajdą w tej książce, przekonać się będą mogli o trafności wojskowej krytyki Młockiego, opartej na podstawach umiejętnych, tak bowiem

przed powstaniem jak i w czasie powstania wiele pracował nad przyswojeniem sobie wojskowej wiedzy, koniecznej dla każdego Polaka. Kto tak dobrze oceniać i sądzić umiał wartość i znaczenie wszelkich wojskowych ruchów, ten w razie potrzeby potrafiłby nimi kierować, zwłaszcza, że nie zbywało mu ani na silnej woli ani też na zdolności inicjatywy tak potrzebnej dla komendanta.

W zdaniu naszem o wojskowym talencie Alfreda Młockiego utwierdza nas opinia jego bezpośredniego zwierzchnika, pułkownika Jutrzenki, jednego z najdzielniejszych pułkowników polskiej armji, której bynajmniej niezbywało na dobrych pułkowych dowódzcach. Stary ten, wypróbowany w wojnach jeszcze z czasów napoleońskich żołnierz, uważał Młockiego za znakomitego oficera i często rad jego słuchał. Nie ulega więc wątpliwości, że przy sprzyjających okolicznościach, byłby na drodze wojskowej wyrobił się na niepospolitego jenerała.

Niestety! nieszczęśliwe położenie narodu zamyka przed Polakiem sposobność rozwinięcia i wykształcenia właściwych mu zdolności. Ileż to talentów politycznych i wojskowych zmarnowało się pomiędzy nami, dla tego jedynie, że nie posiadamy własnego państwa i własnej armji.

Okazane przez Młockiego w powstaniu 1831 zdolności organizatorskie i wojskowe, zabłysły światłem chwilowem i zagasły, bo w późniejszem już życiu nieznalazł możności stosowania ich a więc i dalszego wyrabiania. Pozostał po nich ślad dobrej zasługi, lecz tylko w małym zakresie początkującego zawodu, a był w nich zadatek do zasługi wielkiej i to w rozmiarach całość Polski obejmujących!

Po roku 1831 osiadł Młocki w Krakowie, gdzie zakupił dom na własność i był zapisany w księgę ludności.

Zawiedzione nadzieje narodu i zmarnowanie tylu jego wysileń, zapału i poświęceń jedynie z winy przewódzców powstania, nieulegała bowiem najmniejszej wątpliwości możność wypędzenia Moskali i oswobodzenia Polski własnemi siłami, gdyby naczelnie dowodzący jenerałowie korzystać umieli z odniesionych przez żołnierzy zwycięztw i działając zaczepnie, przenieśli wojnę nad Dniepr i za Dźwinę, pogrążyło Młockiego w głęboki smutek, w którym się pocieszał pracami umysłowemi.

Wspomnienia swoje z czasów powstania 1830/31. spisał w Grudniu tegoż roku.

Dzieło to wyższej jest wartości, zwłaszcza, że autor wskazuje w niem istotne przyczyny niepowodzenia.

Pogląd na minione wypadki nie był jeszcze w tę porę wyrobionym. Maurycy Mochnacki później dopiero napisał swoją znakomitą *Historją Powstania Narodu*, tem bardziej więc uderza słuszność zapatrywań Młockiego na przyczyny upadku wielkiego powstania, iż był on jednym z pierwszych, który je trafnie upatrzył i piśmiennie wypowiedział. Wszyscy też historycy i publicyści, którzy w następnych latach opisywali wypadki 1831 r. nie wiele się różnią od Młockiego, chociaż z taką ścisłą dokładnością jak on nieoceniają szkodliwości przesadnych wyobrażeń o potędze Moskwy i niedostatecznej sile Polaków, jakiemi się kierowali przewódzcy a które wywołały politykę mniemanej trzeźwości i przezorności, jaka nas w końcu znowuż w jarzmo oddała.

Przy rozpamiętywaniu niezdarności, słabości i błędów tej nieszczęsnej polityki, niepodobna się odjąć przykrym uczuciom żalu, smutku a nawet rozpaczy. Wrażenie też poniesionej klęski było tak silne w pokoleniu, które przeżyło katastrofę upadku powstania Listopadowego, że byłoby ono niewątpliwie uległo srogiej boleści, gdyby wieszcze polscy nie byli uderzyli w strunę nadziei i wiary, a ludzie czynu, w takt ich grania, niezerwali się do nowego działania, dla oswobodzenia Ojczyzny. Poezja uratowała społeczeństwo.

Smutne uczucia Młockiego nastroiły się także poetycznie, gdy w mowie wiązanej wyraził tę boleść, która mu serce sciskała.

Młocki nie uważał siebie za poetę i nie jest nam wiadomo, ażeby oprócz utworów poetycznych, które pisał po upadku powstania Listopadowego, próbował w innych epokach swojego życia sił swoich w poezji.

Myśli i uczucia jakie wypowiedział w tych utworach, są obrazem ogólnego usposobienia i wskazówką kierunku, jaki się po rozbiciu wojennych usiłowań, zarysował w narodzie.

Prędko minęła rozpacz i jak przystało na naród żywy i dzielny, obudziła się w nim znowuż nadzieja. Patrjoci wzięli się do pracy, mającej na celu oswobodzenie własnemi siłami, ażeby zaś wszystkie siły z narodu wydobyć, rozpoczęli usiłowania nad zdemokratyzowaniem polskiego społeczeństwa. Propaganda zwróciła się głównie do ludu. Uwolnienie go z więzów poddaństwa, tam gdzie ono jeszcze istniało, obdarzenie swobodą i własnością ziemską jako też zrównanie go w obec prawa z innymi sta-

nami, stało się wtedy głównem zadaniem narodowej polityki, od którego spełnienia, uczyniono zależnem polityczne oswobodzenie Polski.

Inicjatywa do prac w nowym kierunku wychodziła z emigracji, w kraju zaś głównem ogniskiem tych prac przez pierwsze pięć lat po upadku powstania była Rzeczpospolita Krakowska.

Zostawała ona pod opieką trzech rozbiorczych mocarstw, to znaczyło, że policja moskiewska, pruska i austrjacka, zazdrośnie nad nią czuwały i krępowały w niej prawo i swobody mieszkańców. Pomimo atoli nieznośnego wpływu, wywieranego przez konferencję trzech konsulów, była ta mała piędź ziemi polskiej swobodniejszą od reszty Polski, zaledwo oddychać mogącej pod uciskiem władz zaborczych moskiewskich, austrjackich i pruskich. Ucisk ten zmuszał patrjotów do tajemnego działania, nigdzie bowiem na drodze legalnej nie wolno było Polakom przedsięwziąć jakiejkolwiek pracy, dobro publiczne mającej na widoku.

Gdy w roku 1833 zamierzone pod kierownictwem pułkownika Józefa Zaliwskiego powstanie ludowe, w samych początkach uśmierzone zostało, oddziały bowiem wyprawy emissarjuszów przybyłe z emigracji, w różnych punktach kraju rozbite zostały, ucisk dotychczasowy przybrał charakter prześladowania, które szczególniej było zawziętem w zaborach moskiewskim i austrjackim.

Emigrantów na których dotąd rząd austrjacki w Galicji patrzył przez szpary, zaczęto wydalać za granicę massami, wielu więc uprzedzając wydalenie, schroniło się na territorjum Krakowskie. Jednocześnie emigranci, którzy z Francji i z Szwajcarji

szli do Polski rozszerzać w narodzie idee demokratyczne, przybywali do Krakowa, ażeby ztąd ruszyć dalej. Stało się więc, że dawna stolica Królów polskich roiła się ludźmi, ściganymi przez trzy policje.

Ruch patrjotyczny był w tę porę niezmiernie żywy w Krakowie. Tu *Seweryn Goszczyński* dał początek « *Stowarzyszeniu ludu polskiego* » które w lat kilka swoją siecią objęło całą Polskę. W Krakowie także przebywał czas jakiś *Szymon Konarski*, który z Szwajcarji przybył z programem związku « *Młodej Polski* », po rozmówieniu się zaś z Sewerynem zamienił go na program « Stowarzyszenia ludu polskiego, ażeby według jego zasad rozpocząć potem działanie na Wołyniu, Podolu, Ukrainie i na Litwie.

Zjawili się także w podwawelskim grodzie wysłańcy *Towarzystwa Demokratycznego* a za nimi przybył z Francji zdrajca Pawłowski, który się nie wstydził przyjąć na siebie ohydnej roli szpiega.

Miał on polecenie wykryć emissarjusza Towarzystwa Demokratycznego pod przybranem nazwiskiem Mazurkiewicza i wydać go w ręce konsula moskiewskiego w Krakowie Unger de Sternberga. Niedokonał jednak Pawłowski zbrodniczego zamiaru, został bowiem zamordowany za rogatką Łobzowską.

Zgładzenie ze świata ajenta tak dogodnego rządom a szkodliwego sprawie uczciwej, dało hasło do prześladowania patrjotów w Krakowie.

Konferencja trzech konsulów zażądała od Krakowskiego Senatu wydalenia emigrantów. Senat nie śpieszył z wykonaniem odebranego rozkazu. Po ośmiu więc dniach oczekiwania, wojsko austrjackie przeszło 17 Lutego 1836 r. most podgórski i obsadziło miasto, w którem pomimo protestacji rządów

francuzkiego i angielskiego, podpisanych na traktacie wiedeńskim 1815 r., który ustanawiał i poręczał niepodległość Krakowa i jego okręgu, przez lat cztery w nim gospodarowało.

Chociaż władze Rzeczypospolitej nie zostały rozwiązane, rzeczywisty rząd sprawowali trzej konsulowie. Dyrekcją policji wraz z dyskrecjonalną władzą nad mieszkańcami powierzyli austrjackiemu komisarzowi *Gutowi*, człowiekowi, który odznaczał się namiętnością prześladowczą i smutnie się zapisał na kartach krakowskiej kroniki jako wróg zacięty Polaków.

Gut rezydował na Podgórzu i ztamtąd to posyłał rozkazy łapania emigrantów, których wysyłał do Tryestu a ztamtąd do Ameryki na wieczne tułactwo.

Na Alfreda Młockiego, jako zażywającego u współziomków dobrej opinji i patrjotę, zwrócił uwagę i śledzić go kazał. Jego ajenci niemogli atoli podpatrzeć stosunków z emissarjuszami. Gdy jednak Franciszek Miecznikowski, były kapitan wojska polskiego, zamieszkały w Krakowie, z charakteru ladaco, zadenuncjował Młockiego, że należał do powstania 1831 r., Gut wydał rozkaz aresztowania.

Osadzony w więzieniu na Podgórzu i badany, Młocki doznał na sobie przewrotności austrjackiego komisarza, udającego przychylność a w rzeczy samej czyhającego na jego zgubę i postępującego wbrew danym przez siebie przyrzeczeniom.

Młocki jak mu to roztropność nakazywała, zaprzeczył jakoby brał udział w powstaniu. Gdy pomimo zaprzeczenia, Gut trwał w swojem postanowieniu wysłania go do Ameryki, Młocki wtedy

oświadczył, że nie pojedzie i woli, ażeby go raczej odesłano do Królestwa Polskiego, jako tam urodzonego. Rachował na to, że potrafi wykręcić się z rąk Moskali, którzy nie bardzo chętnie przyjmowali ofiary wydane im przez Austrjaków.

Stało się jak żądał, Gut oddał go Moskalom, ale wraz z pismem oskarzającem, które uczyniło pozycję Młockiego dość trudną i niebezpieczną. Zimna atoli krew, która się podejść nie dała i niewypadła z roli przyjętej na siebie, jako też niechęć Moskali, lubiących działać na przekór Austrjakom, sprawiły, że Młocki uniknął wygnania do rot aresztanckich w Orenburskiej gubernji, do której car Mikołaj wysyłać kazał wydanych przez Austrjaków uczestników powstania 1831 r.

Moskale badali osadzonego na odwachu w Kielcach z wielką względnością, nie bardzo nalegając na wykrycie rzeczywistej jego czynności w czasie powstania. Nic by atoli nie pomogła względność badającego oficera, gdyby ktokolwiek w Kielcach był doniósł o organizowaniu w tem mieście kadrów przez Młockiego. Wszyscy go tam znali i patrzeli na jego gorliwą czynność, nikt jednak niezdradził. Urzędnicy zwłaszcza zachowali nakazane w tym razie przez uczciwość milczenie, co dowodzi, że pomimo swej dla powstania niechęci, zachowali w sercach uczucia polskie i nie byli wrogami kraju. Młocki uwolnionym został z więzienia na odwachu, lecz nie zdjęto z niego dozoru policji. Pozwolono mu zamieszkać we wsi Zgórsko, u przyjaciela Teodora Ślaskiego, na jego odpowiedzialność.

Spotkanie przypadkowe na szosie z Różnieckim, który miał już na sobie mundur jenerała moskiew-

skiego, wpłynęło pomyślnie na dalszy przebieg sprawy Młockiego. Zdaje się, że on to sprawił, że go uwolniono z pod dozoru policji i pozwolono powrócić do rodziny w Krakowie i że następnie wydano mu 24 Stycznia 1837 r. paszport emigracyjny, uwalniający z poddaństwa moskiewskiego.

Tak więc na zawstydzenie Austrjaków powrócił do Krakowa i już zabezpieczony od policyjnych szykan, zapisanym został uchwałą Senatu w księgę obywateli Rzeczypospolitej Krakowskiej.

Przygody te i przejścia nie bardzo wesołe a grożące mu wielkiem niebezpieczeństwem, opisał Młocki po powrocie do domu p. t. *Rok 1836 w Krakowie*. Opis ten podobnie jak *Wspomnienia z roku 1830/1*, zawierają ważny, bo źródłowy materjał do historji porozbiorowej.

Dalsze lata pobytu w Krakowie nie były przerwane żadnym wypadkiem ważniejszym, nie były jednak wolne od trosk domowych i kłopotów materjalnych. Było to życie twarde, wśród walk i pracy pędzone, życie oddane rodzinie i Ojczyźnie.

Działania jego zmierzające do podniesienia sprawy narodowej, pokryte być musiały tajemnicą, bo jawnemi być nie mogły w tych czasach wszechmocności policyjnej. Młocki znosił się jednak ciągle z patrjotami czynnymi i sam był czynny, popierając ówczesne usiłowania narodowe. Nie wysuwał się jednak naprzód, wolał być robotnikiem jak przewodnikiem w winnicy polskiej.

Był on zawsze tego przekonania, że wśród największego ucisku, Polak patrjota wiele zdziałać może dla dobra publicznego i sprawy oswobodzenia Ojczyzny, chociaż działanie jego nie przejdzie

zakresu rodzinnego i domowego życia. Gdy daje z siebie przykład cnoty i każdy jego czyn, każde słowo jest wyrazem miłości braterskiej, wpływ jego na otaczających w duchu odrodzenia narodowego i wzmocnienia społecznego, stanie się zbawiennym i utwierdzającym siłę Ojczyzny.

Nie raz słyszałem go powtarzającego: *że miarą wartości publicznej człowieka jest jego życie prywatne.* Ludzie bez skazy w stosunkach codziennych, mawiał, nigdy nie zawiodą zaufania narodowego. Nie wierzył też w dobre przewodnictwo sprawy publicznej przez tych, na których pozostała jakakolwiek zakała prywatnego życia. Przed ludźmi lekkimi, brudnymi, nierzetelnymi chociażby najzdolniejszymi zawsze ostrzegał a radził ufać tylko ludziom czystego i stałego charakteru. Bez charakteru, tak zdolności jak umiejętność na nic się nie zdały, owszem szkodę częstokroć przynoszą narodowi. Surowe więc stawiał wymagania naszym jenerałom, mężom stanu, posłom, urzędnikom i w ogóle starszyźnie narodu, lecz miał prawo stawiać takie żądania, bo sam dla siebie był najsurowszym.

Ta baczność na siebie samego i surowość własnej nad sobą kontroli, wyrabiały w Młockim stopniowo coraz większą siłę moralną, tak, że w końcu zabłysnął charakterem doskonałym, o ile człowiek doskonałym być może i zdaniem powszechnem nie było od niego cnotliwszego obywatela. Każdy co się do niego zbliżał, uczuwał na sobie pomimowolne działanie tej moralnej siły, jaką wyobraża cnota i tu się na nim sprawdzało to spostrzeżenie, że nawet nie wychodząc ze sfery codziennego życia, można oddawać wielkie usługi sprawie narodowej. Od niego

uczyli się ci, co z nim przestawali żyć moralnie i po chrześcijańsku, z myślą i sercem zwróconem do Boga i Ojczyzny; uczyli się tej ciągłej a nieustającej służby dla dobra narodu i ludzkości, która na polu publicznem objawia się wielkimi czynami historycznemi, w życiu zaś codziennem i w stosunkach prywatnych jest nieustającem realizowaniem w drobnych a cichych czynach tych idei i zasad chrześcijańskich, które stały się także polskiemi, bo przeniknęły w samą istotę ducha narodu polskiego.

Któż opisze te ciche czyny, które spełniane były w ten sposób, że niewiedziała lewica, co czyniła prawica? Spełniane bez myśli zarabiania sobie na wdzięczność i sławę, jako codzienny obowiązek żywota, te ciche a dobre czyny, o których nieraz najbliższi nie wiedzą, mają jednak tę właściwość, że utrzymują społeczeństwo i zjednywają pełniącemu jepowszechną miłość, zaufanie ogólne i szacuek publiczny.

Młocki w Krakowie, gdzie jeszcze nie rozporządzał środkami znacznymi, był już wielce popularnym. Nie pchał się do rady, lecz go zawsze, w każdej potrzebie publicznej o takową pytano. Mylnem jest jednak, ażeby miał wywierać wpływ na wypadki powstania demokratycznego, którego ogniskiem był w roku 1846 Kraków.

Mówca pogrzebowy p. Zygmunt Sawczyński wspomniał, że Młocki wraz z synem swoim młodziutkiem ś. p. Włodzimierzem, uczestniczył w ówczesnem powstaniu i następstwem tego było kilkuletnie tułactwo; za nim powtórzyli niektórzy biografowie tę mylną wiadomość.

Młocki nie był kilka lat na tułactwie i nie miał

bezpośredniego udziału w powstaniu 1846 r. Dla interesów familijnych i publicznych wyjechał 6 Stycznia tegoż roku do Lwowa, nie był więc obecnym w chwili wybuchu powstania w Krakowie. Gdy w Kwietniu powrócił, powstanie już było stłumionem i Kraków zajęty był przez załogę, złożoną z moskiewskiego, pruskiego i austrjackiego wojska.

Klęska, jaką się zakończyło powstanie demokratyczne 1846 r. zagaszone potokami krwi bratniej, wylanej w Galicji przez chłopów obałamuconych i podmówionych przez urzędników austrjackich do rzezi, jeszcze boleśniej oddziałała na dusze polskie niż upadek powstania listopadowego. Wśród bezradnego zwątpienia, Krakowianie wiedząc, że mają stracić samoistność swoją, wysłali deputację do Paskiewicza do Warszawy i do Berlina, z poleceniem starania się, aby Kraków z okręgiem wcielonym był do Królestwa Polskiego. Woleli dostać się pod dzikie panowanie moskiewskie, niż pod rządy Austrji, na którą spadła plama krwi nożami wytoczonej. Na życzenie ich atoli car Mikołaj nie miał żadnego względu. Umowa zawarta 6 Listopada 1846 roku samowolnie pomiędzy gabinetami petersburskim, berlińskim i wiedeńskim, z pominięciem innych mocarstw, podpisanych na traktacie wiedeńskim, zdecydowała zniesienie Rzeczypospolitej Krakowskiej i wcielenie jej pod nazwą Wielkiego Księstwa Krakowskiego do cesarstwa Austrjackiego. Na protesta mocarstw i parlamentów zachodnich głosy niezważano i już 16 Listopada tegoż roku rozpoczęły się formalne rządy austrjackie w Krakowie i jego okręgu.

Że wypadki tego nieszczęśliwego roku odezwały

się boleścią w duszy Młockiego, zbytecznem byłoby mówić. Patrzał na zgliszcza spalonych i zrabowanych dworów szlacheckich w Galicji, widział przewrotność rządów, naigrawającą się z wszelkiego prawa i moralności i poczuł niewypowiedziany wstręt i pogardę do despotów, niecofających się przed żadną zbrodnią. Wyobrażenia jego republikańskie dojrzały przy rozmyślaniu nad sposobami, jakich monarchiczne rządy używały dla stłumienia w Polsce wolnosci i utrzymania przy sobie polskich łupów i pozostał im wiernym aż do końca.

Jako dalszy owoc doświadczeń tego roku pozostało w nim spotęgowane przekonanie o potrzebie narodowej oświaty dla ludu. Ciemnota jego sprawiła, że się dał użyć za narzędzie przewrotnej polityce Metternicha i podniósł nóż przeciwko własnym braciom, którzy mu przynosili wolność i własność. Jak u nas zaborcy usiłują wesprzeć swą władzę najezdniczą na ciemnocie mass ludowych, tak i gdzie indziej niedostateczne ich oświecenie stało się podporą, podtrzymującą porządki niewoli. Każdy więc obywatel, szczerze pracujący dla sprowadzenia lepszej, godnej człowieka przyszłości, powinien najgorliwsze usiłowania łożyć dla rozszerzenia rzetelnej narodowej oświaty pomiędzy ludem. Młocki ją położył w programie swoich obywatelskich działań i stał się jednym z najczynniejszych jej orędowników.

Nieszczęścia roku 1846 nieodebrały mu wiary w możność oswobodzenia się narodu. Bolał lecz niewątpił. Rezygnacji w sprawie polskiej niepodległości i wolności niedopuszczał, co niewątpliwie było dowodem, że wśród opałów i niepowodzeń,

charakter jego doszedł do tej równowagi uczucia i rozumu, która jest warunkiem spokojnego, systematycznego, stałego i wytrwałego postępowania w rzeczy publicznej.

Zajęty był ratowaniem ofiar i zagajaniem blizn społecznych w miarę swojej możności, gdy nadeszła wiadomość o zrzuceniu z tronu Ludwika Filipa i ogłoszeniu republiki we Francji, wkrótce zaś potem o zwycięzkiej rewolucji w Wiedniu i w Berlinie.

Przez całą Europę przeszedł prąd ożywiający i ludy zrzucając wszędzie z siebie kajdany, poczęły wołać o wolność i niepodległość Polski. Polska stała się hasłem powstającej ludzkości. Wypadki rewolucyjne 1848 przyszły jakby pociecha po wielkim smutku, ożywiły znękanych nieszczęściem Polaków, zatarły straszne wrażenia roku 1846 i przekonały, że nawet wśród najbardziej rozpaczliwego położenia rozpaczać nie należy, że po największej klęsce rezygnacja w sprawie niepodległości Polski byłaby kłamstwem.

Polacy poruszyli się także. W Wielkopolsce ruch narodowy rozwijał się z zapałem i lud porwał za kosy, dźwigając w powstaniu przeciwko Prusakom sprawę Polski na swoich barkach. We Lwowie, w Galicji, we wszystkich miastach i wsiach, tam nawet, gdzie niedawno jeszcze wiódł Szela rozbestwione tłuszcze na dwory szlacheckie, poczęły się tworzyć gwardje narodowe. Kraków niedawno przyłączony do Austrji, zadrgał także życiem patrjotycznem. Wzięły w niem udział wszystkie stany różnego zatrudnienia i wyznania, niewyjmując i żydów.

Na ludowem zebraniu 28 Marca w sali gimnazjum Nowodworskiego, wybranym został *Komitet Obywatelski* dla zajmowania się i kierowania sprawą narodową. Do tego komitetu wybrano Alfreda Młockiego i dwunastu innych również popularnych i ogólnie szanowanych obywateli.

Już bez głosu Młockiego w tę porę nie obeszła się żadna narada. Jego doświadczenie, wytrawność polityczna, powaga zdania, obok nauki i zdolności pisarskiej były wielce cenione, na jego zaś niczem nieposzlakowanej prawości, sumienności i gorliwości patrjotycznej polegali współobywatele jakby na Zawiszy. Wysokie więc stanowisko jednego z naczedników i kierowników powstającego narodu w 1848 r. w Krakowie, jakie mu powierzono, powołując go na członka Komitetu Obywatelskiego, nie mogło się dostać w godniejsze ręce.

Młocki usprawiedliwił w zupełności zaufanie, jakie mu okazano. Miał bowiem lubo nie hałaśliwy, lecz stanowczy wpływ na uchwały Komitetu, wpływ zaś ten był wywierany w kierunku dobrym, bo łączącym w sobie demokratyczne zasady, w imię których cała Europa poruszyła się z tradycją polską.

Odezwa jaką wydał Komitet a w zredagowaniu której miał udział Młocki jest aktem ważnym, również jak i adress do cesarza, zawierający żądania narodu polskiego.

Obok samorządu i zapewnienia praw narodowości polskiej, Komitet żądał połączenia Krakowa i jego obwodu z Galicją, zniesienia pańszczyzny, uwłaszczenia włościan i równouprawnienia wszystkich stanów.

Deputacja wysłana z Krakowskiego Komitetu po-

łączywszy się z deputacją galicyjską ze Lwowa, przedstawiła cesarzowi adress 6 Kwietnia i uzyskała przychylną odpowiedź, chociaż jak się potem okazało, nieszczerą.

Tymczasem, zanim nadeszło potwierdzenie Komitetu z Wiednia, baron Krieg (syn) cesarski komisarz, niechciał dopuścić dalszych jego czynności i rozwiązał go lekkomyślnie. Wkrótce atoli zmuszonym był go uznać. Stało się to w ten sposób, że gdy emigranci zaczęli przybywać do Krakowa, Leon Zienkowicz zaproponował nowe zgromadzenie ludowe, które upoważniło komitet rozwiązany do rozpoczęcia przerwanej czynności i przybrania nowych członków. Zgromadzenie w liczbie dwóch tysięcy osób udało się gromadnie do mieszkania Kriega i zmusiło go nietylko do uznania Komitetu, lecz do tolerowania narodowego ruchu. Czego więc niechciał zrobić dobrowolnie, uczynił to ze strachu.

Powiększony Komitet zorganizował się jako formalny Rząd Narodowy, co rozumie się mocno w oczy kłóło austrjackiego ze szkoły Metternicha biurokratę jakim był Krieg, nienawidzącego wolności i Polaków, dla którego każde upomnienie się o poszanowanie narodowości, o wydartą nam wbrew boskiemu i pisanemu prawu Ojczyznę, było rewolucją i karygodnym buntem.

Pod ogólną nazwą *Komitetu Narodowego Krakowskiego* działały dwie władze: Komitet ogólny i jego Wydział wykonawczy. Uchwały powzięte na zebraniach ogólnego komitetu wykonywał wydział wykonawczy.

Do komitetu ogólnego należeli: *Alfred Młocki*, właściciel ziemski; *Franciszek Sznajde*, jenerał i

emigrant z 1831 r.; *Zenon Hałatkiewicz*, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego; *ks. Andrzej Korczyński*, wikary kościoła Panny Maryi; *Jan Ledóchowski*, poseł sejmu 1831 i emigrant; *Franciszek Trzciński*, poseł 1831; *Roman Lisowski*, właściciel ziemski; *Szymon Samelson* właściciel ziemski; *Juljan Sawiczewski*, doktor medycyny; *Józef Patelski* właściciel ziemski; *Józef Müller* weterynarz; *Józef Oetinger* doktor medycyny; *Adam Gołemberski* adwokat; *Fryderyk Gronemajer* majster ślusarski; *Wincenty Kołodziejski* majster ciesielski; *Leon Bochenek* bankier; *Stanisław Borowski* właściciel ziemski; *Stanisław książe Jabłonowski* właściciel ziemski i oficer z 1831 r.; *Maurycy Krzepicki* doktor medycyny; *Józef Louis* kupiec; *Mojżesz Baer Majsels* rabin; *Stefan hr. Potocki* właściciel ziemski; *ks. Antoni Rozwadowski* kanonik katedralny; *Jan Kanty Steczkowski* profesor Uniwersytetu; *Kazimierz hr. Wodzicki* właściciel ziemski; *Franciszek Bobiński* podpułkownik 1831, z emigracji; *Józef Platzer* doktor medycyny i *Franciszek Jakubowski* notarjusz.

Wydział wykonawczy składali: *Józef Krzyżanowski* prezes całego komitetu; *Teofil Januszewicz* z emigracji, był dyrektorem spraw zagranicznych; *Leon Zienkowicz* z emigracji, był dyrektorem spraw wewnętrznych i policji; *Norbert Nurkowski* dyrektorem rolnictwa i przemysłu; *Jan Bentkowski* dyrektorem oświecenia i wyznań; *Adam hr. Potocki* dyrektorem skarbu; *Józef Wysocki* emigrant, dyrektorem wojny; *Jan Nepomucen Walter* był kassyerem, *Karol* zaś *Lange* sekretarzem.

Wymieniliśmy wszystkich członków Komitetu, aby wykazać, w jak świetnem gronie Młocki zasiadał.

Były w nim reprezentowane wszystkie stany i wszystkie wyznania, dla objawienia braterskich pomiędzy nimi uczuć, które zwykle w każdym ruchu samodzielnym Polaków, niesfałszowanym przez doktrynerskie i partyjne wpływy, wyrażają się jako środek i cel narodowego dążenia.

Komitet w swej całości jako też przez członków odrębnie występujących działał w tym duchu; zgodnie z słowami swojej odezwy, w której powiedział: « Niema już stanów, niema nienawiści i różnicy wyznań, wszyscy jesteśmy braćmi, wszyscy Polakami, wszyscy obywatelami Polski w wolności, równości i braterstwie jej ludu, wszyscy więc kochać się jak bracia i wszyscy jako dzieci jednej, wspólnej Matki Ojczyzny służyć jej winniśmy ».

Dla tych mianowicie klass, które w przeszłości były upośledzone i z równości obywatelskiej wyjęte jak mieszczanie, chłopi i żydzi, starał się Komitet być władzą prawdziwie braterską.

Młocki i kilku innych członków Komitetu doradzali, ażeby nieczekać na pozwolenie uwłaszczenia z Wiednia, lecz natychmiast przeprowadzić je siłą własnego, narodowego rozporządzenia, zobowiązując szlachtę do dobrowolnego zrzeczenia się pańszczyzny i obdarzenia gruntami włościan. Myśl tę podzielało wielu członków Komitetu. Co więcej, w skutek poruszenia tej sprawy w Komitecie, zacniejsi i lepiej rozumiejący potrzeby narodowe obywatele, z własnej chęci, zupełnie dobrowolnie oznajmili włościanom, iż im oddają na własność grunta, jakie uprawiają i zrzekają się pańszczyzny.

Liczba takich dobrowolnych uwłaszczeń mnożyć się poczęła i ta okoliczność przeraziła urzędników i

rząd, który w interesie swojego panowonia chciał utrzymać wiecznie otwartą ranę społeczną.

Szlachta w adresie prosiła cesarza o pozwolenie uwłaszczenia włościan dobrowolne, z jej inicjatywy pochodzące. Minister w odpowiedzi danej deputacji w imieniu cesarza zapewnił, że nikt niema prawa obdarzać cudzą własnością chłopów tylko sami właściciele. Gdy jednak z naszego kraju nadeszły wiadomości, że szlachta przeprowadza już pomimo zakazu urzędów uwłaszczenie, rząd cesarski postanowił uprzedzić polskich właścicieli ziemskich i ziemię do nich należącą darować w imieniu cesarza chłopom.

Niecne to podejście było tem więcej oburzające, iż reskrypt znoszący w imieniu cesarza pańszczyznę podpisał tenże sam minister spraw wewnętrznych baron Pillersdorf, który kilka dni przedtem w imieniu także cesarza nazwał przez sam rząd przeprowadzone uwłaszczenie grabieżą cudzej własności i zaręczał, że rząd się jej nie dopuści.

Widocznem więc było, że rząd cesarski nie życzył sobie, ażeby w Galicji zgoda zapanowała pomiędzy poróżnionymi przez jego urzędników chłopami i panami, że postanowił i nadal prowadzić w naszych ziemiach politykę waśni społecznej i podburzania jednego stanu ludności na drugi.

Oburzenie było powszechne na austrjacką biurokracją.

Powrót na drogę reakcyjną rozpoczęła od Polaków.

Krieg w Krakowie przez rozmyślnie stawiane przeszkody działaniu Komitetu, odmawianie broni gwardji narodowej, niewpuszczanie emigrantów do

Krakowa, widocznie dążył do wywołania zaburzenia, któreby mu nastręczyło pretext do zgniecenia siłą oręża narodowego ruchu. Komitet Narodowy przeniknął jego zamiary i z wielką gorliwością zapobiegał wykonaniu uknutego na zgubę miasta planu.

Daremne były jego usiłowania. Gdy brakło pozorów, sami je stworzyli, jenerał Castiglione napadł 26 Kwietnia 1848 na Kraków i bez żadnego powodu rozpoczął mord i rabunek bezbronnych mieszkańców. Gdy ludność wzięła się do obrony zagrożonego mienia i życia, nie miał odwagi stawić jej czoła w otwartym boju. Raniony wśród zawieruchy ulicznej walki, szukał w bezładnej z miasta ucieczce bezpiecznego na Wawelu stanowiska. Tu nie mógł być dosięgniętym przez zaczepioną w tak haniebny sposób ludność, począł więc komenderujący jenerał ciskać z zamku bomby i rakiety na miasto.

To bombardowanie bezprzykładne w historji, zmusiło Komitet narodowy do przyjęcia narzuconych mu warunków. Pomiędzy nimi jako najważniejsze, było rozwiązanie Komitetu i wydalenie z miasta emigrantów.

Lud krakowski wzniosłym patrjotyzmem ożywiony, chciał raczej przedłużyć walkę z przewrotnym nieprzyjacielem, niż zgodzić się na wydalenie braci, których po wieloletniem tułactwie niedawno witał z zapałem na ziemi ojczystej. Nastało godne pochwały współubieganie się w szlachetnej z siebie ofiarności. Emigranci atoli niechcąc rodaków narażać na niepotrzebny rozlew krwi a zwłaszcza też niechcąc wystawiać miasta pełnego pamiątek historycznych i dzieł polskiego artyzmu na niewątpliwe zniszczenie, jakieby nastąpiło w razie przedłużonego

bombardowania, ustąpili z miasta, do którego niedawno pełni radości i nadziei przybyli.

Członkowie Komitetu w uznaniu szlachetnego postanowienia braci wychodzców, uchwalili jednomyślnie nierozłączać się z nimi i towarzyszyć im na tułactwie. Jakoż udali się z nimi do Wrocławia.

Alfred Młocki poszedł także na tułactwo.

W stolicy Szląska z polecenia Prezesa Narodowego Komitetu Józefa Krzyżanowskiego, napisał (2 Maja 1848) *Sprawozdanie o wypadkach zaszłych w Krakowie w dniach 25-26 Kwietnia 1848 roku.*

Urzędowy ten dokument Komitetu zawiera dokładny obraz prowokacyjnego postępowania władz austrjackich i stosunku do nich Komitetu. Kreśląc wypadki z spokojem męża, przeświadczonego o słuszności bronionej sprawy, wyciąga z nich przestrogę dla Niemców, którzy mniemali, iż przez rewolucje dokonane w Berlinie i w Wiedniu położyli na zawsze kres panowaniu przemocy i gwałtu. Zbrodnię dokonaną na Krakowie pojmował Młocki jako zapowiedź powszechnej reakcji. « Jest przeznaczeniem Polski, pisze on w końcu Sprawozdania, cierpieć dla ludzkości, dopełnia ona tego świętego powołania z męczeńską wytrwałością i z ufnością w opiekę tego Boga, który ją wybrał pomiędzy narodami, aby im była przewodniczką na drodze poświęcenia się dla dobrej sprawy. Ludu niemiecki, nie żebrze ona dla siebie twojej pomocy, ale cię z powołania swojego ostrzega o grożącem niebezpieczeństwie, od ciebie zaś zależeć będzie, czy sobie zasłużysz na wdzięczność, czy na klątwę następnych pokoleń ».

Jak się Niemcy zachowali? Wiadomo z historji, która postępowanie ich w Wielkopolsce, w obec

powstałego narodu polskiego przeciwko niemieckiemu jarzmu, zapisała jako pomoc daną reakcji. Niechcieli wydać łupu polskiego, w zbrodniczy sposób przez ich królów wydartego, nie umieli być Niemcy sprawiedliwymi w obec polskiego narodu i dla tego zdradzili powszechną sprawę wolności i niepodległości narodów europejskich.

W Wrocławiu zjechali się z kraju i z emigracji znakomici patrjoci polscy i toczyły się tam narady, w których i Młocki brał udział, nad dalszem działaniem Polaków.

W skutek tych narad wysłany był Młocki jako poseł od Komitetu Narodowego do Paryża, w celu porozumienia się z rządem tymczasowym Rzeczypospolitej francuzkiej w sprawie wspólnego działania dla oswobodzenia Polski jako też innych narodów.

Młocki bawił kilka tygodni w Paryżu. Porozumiewał się z Lamartinem oraz innymi członkami rządu i przekonał się, że próżnem byłoby rachowanie na pomoc Francji. Wprawdzie sympatja dla sprawy polskiej była w ludzie francuzkim ogromna i gdyby od niego zależało, byłby wojnę wypowiedział monarchom, utrzymującym Polskę w jarzmie, lecz ci, co losy Francji dzierzyli w swoim ręku nie myśleli o wojnie, ani też o popieraniu ludów, które na hasło dane z Francji powstały. Przed wzrokiem Młockiego nie potrafił Lamartine ukryć swojej przychylności dla monarchicznej reakcji, która stłumienie wolności i odebranie praw konstytucyjnych, jakie sobie ludy w rewolucjach wywalczyły, rozpocząć postanowiła od zgniecenia powstania w Poznańskiem i od bombardowania Krakowa.

Po spełnieniu swojej missji politycznéj w Paryżu, powrócił Młocki do Krakowa, gdzie stale zamieszkiwał wraz z rodziną.

W roku 1850 w miesiącu Wrześniu przeniósł się do Galicji i do roku 1856 mieszkał w Łopatynie, w cyrkule Złoczowskim, w majątku Adama hrabiego Zamoyskiego w celu ułatwienia interesów ciotki swojej Honoraty hrabiny Borzęckiej, która na tymże majątku miała znaczną summę.

W roku 1856 nabył w cyrkule Brzeżańskim wieś *Sarnki-górne*, gdzie czas spędzał pracując w roli lub przy książce, nie przestając jak wszędzie zajmować się sprawą publiczną i służbą obywatelską. Zajmowało go też wiele wychowanie dzieci i stosunek z włościanami, który umiał uczynić wielce przyjaznym.

Możność jego znacznie się wzmogła od czasu wzięcia sukcesji po ciotce swojej, Marjannie z hrabiów Borzęckich Mikołajowej Potockiej. W roku zaś 1858 po śmierci drugiej ciotki, Honoraty hrabiny Borzęckiej, odziedziczył jej cały znaczny majątek, który go postawił w rzędzie zamożniejszych obywateli kraju i pozwolił rozszerzyć zakres dobroczynnego działania.

Od tego roku aż do zgonu, latem przebywał zwykle w ulubionych mu Sarnkach-górnych, zimowe zaś miesiące spędzał we Lwowie, gdzie posiadał po ciotce swojej pałac obok gmachu Namiestnictwa. Po zakupieniu go przez rząd, wybudował na ulicy Pańskiej piękną kamienicę i w niej mieszkał do końca swojego życia.

Znaczna fortuna niezmieniła sposobu jego życia. Żył jak dawniej skromnie, pieniędzy na rzeczy zbyt-

kowe niewydawał, na uczty, zabawy i podróże zagraniczne nie trwonił, lecz za to wiele czynił dla ubogich, cierpiących i prześladowanych, dla sprawy zaś narodowej, instytucji dobra publicznego i usiłowań moralnego oraz materjalnego podniesienia kraju, nie było nad niego w kraju hojniejszego dawcy.

Majątek swój uważał jako skarb przez Boga mu powierzony, którego winien używać z największym pożytkiem dla Ojczyzny.

Ofiarność jego była niewyczerpaną. Patrzeliśmy na nią, więc wiemy ile dobrego czynił. Śpieszyli do niego wszyscy potrzebujący. Rzadko komu odmawiał pomocy, lecz nieprawdą jest, ażeby się każdemu pozwalał wyzyskiwać, ażeby wspierał niegodnych. Zdarzało się wprawdzie, że dał lub pożyczył na wieczne oddanie człowiekowi, który potem zawiódł jego zaufanie lub okazał się nie zasługującym na pomoc, lecz to są wypadki nieuniknione i ten tylko się nigdy w miłosiernych i w braterskich uczynkach niezawiódł, kto brudnym egoizmem kierowany nigdy nikomu nic dobrego nie uczynił. Młocki starał się zawsze zbadać, czy pomoc dana przez niego nie będzie groszem napróżno wyrzuconym, lecz wolał być zawiedzionym, niż gdyby miał odmówić istotnie potrzebującemu a szlachetnemu człowiekowi.

Dobroczynność jego była hojną lecz i rozumną zarazem, dla tego też tak błogosławione skutki pozostawiła po sobie. Ileż to bowiem rodzin uratował od nędzy, ileż to weteranów sprawy narodowej żyło jego kosztem, ile mężów talentu i pracy wsparł w ich pożytecznych dla kraju usiłowaniach, iluż wreszcie młodzieńcom dopomógł do ukończenia

nauk i wykierowania się na uczciwych pracowników Ojczyzny. Ścigani przez policję patrjoci znajdowali u niego schronienie i pieniądze na drogę; przybywający z tułactwa do kraju wygnańcy zasiłek i rekomendacją, byli i tacy, którzy i na emigracji zostając przez czas dłuższy, pobierali za jego pośrednictwem miesięczną pensją, chciał im bowiem dać możność całkowitego oddania się pracy autorskiej przez uwolnienie od troski o chleb codzienny. Był to mecenas nauk i literatury, więc dopomagał także funduszami do wydawnictwa dzieł i czasopism, do organizowania i utrzymywania towarzystw i zakładów szerzących oświatę, moralność i dobry byt.

« Ofiarnością obywateli dźwigają się instytucje, rośnie ogólna zamożność i potężnieją kraje; gdybyśmy mieli wielu takich jak Młocki rozumnych szafarzy własnego majątku, nie byłoby w Polsce nędzy a sprawa oswobodzenia nie utykała by o brak środków » (1).

Za czasów reakcji Bachowskiej działalność Młockiego jako i wszystkich patrjotów była z urzędu ograniczaną.

Od roku 1860 pęta jakie rzucono na obywateli w Galicji zaczęły się luzować, system bowiem dawnych policyjnych rządów zaczął się od czasów ministerstwa Gołuchowskiego zmieniać a przywrócenie stosunków konstytucyjnych i autonomia kraju, otworzyły szerokie pole dla usiłowań i prac, podźwignienie narodu z głębokiego upadku mających na celu.

Jednocześnie prawie rozpoczął się ruch manife-

(1) Życiorys Młockiego w *Wieńcu Pamiątkowym*.

stacyjny w Warszawie, który następnie ogarnął wszystkie ziemie polskie i podniósł serca polskie widokiem jedności wszystkich stanów, braterskiej pomiędzy nimi miłości i bezprzykładnego a wzniosłego zapału, z jakim bezbronne gromady ludności wystawiały się na pociski wrogów i śmierć samą byle zamanifestować prawo polskiego narodu do wolnego i niepodległego bytu.

Wszyscy co Polskę kochali wzięli udział w tym ruchu, wziął go i Młocki, wielce rozradowany podniesieniem się narodu z długoletniej niemocy.

Rok ten 1861 stał się także pamiętnym i w rodzinie Młockiego radością lecz niestety i żałobą. Córka jego Bronisława wyszła za mąż za Władysława Ślaskiego (1) obywatela z Królestwa Polskiego, syn zaś Włodzimierz zmarł w tymże roku pogrążając ojca w głębokim smutku.

Alfred Młocki miał czworo dzieci. Z tych dwaj młodzi synowie Bolesław i Zygmunt w niemowlęcym wieku umarli w Krakowie.

Najstarszy syn Włodzimierz urodzony w Warszawie dnia 8 Kwietnia 1827 roku, chwalebnie ukończywszy nauki w Krakowie, posiadał najpiękniejsze przymioty serca i umysłu, które zapowiadały w nim równie znakomitego jak ojciec obywatela. W roku 1859 nabył młody Włodzimierz dobra Kujawy w Lubelskiem Województwie i przebywając naprzemiany na wsi i w Warszawie, począł już czynnie występować w służbie publicznej. Choroba piersiowa zwarzyła to młode a pięknie rozwijające

(1) Władysław Ślaski ożeniony z Młocką umarł 3 Czerwca 1870 roku w Krakowie. Z tego małżeństwa urodził się syn Bronisław, jedyny wnuk Alfreda Młockiego.

się życie. Wysłany przez lekarzy warszawskich do Salzbrunu, wracał z wód, gdy przyszła ostatnia godzina. W Wrocławiu oddał Bogu ducha 21 Września 1861 roku.

Była to dusza na wskroś chrześcijańska, szlachetna i poetyczna. Majątek swój dość znaczny zapisał na stypendja dla uczniów Szkoły Głównej Warszawskiej. Następujący ustęp w testamencie, zwrócony do ojca, charakteryzuje najlepiej syna, którego utracił: « Drogi Ojcze, podobało się Bogu zabrać ci jedynego syna. Jest to boleśny cios dla Ciebie. Ale, w nieskończonej swej dobroci natchnął On go myślą przysporzenia Ci wnuków na wieki, ta myśl niech Ci będzie pociechą i powtórz razem ze mną: « Dziej się wola Twoja święta, o Panie! »

Takiego syna wychował ojciec. Bóg mu go zabrał, lecz dobrze powiedział, że za jednego syna dał mu wnuków wielu, wszyscy bowiem, którzy przy pomocy stypendji, ustanowionych przez niego, odbierają wychowanie, słusznie się mogą nazwać jego wnukami.

Takie moralne potomstwo robi nieśmiertelnem imię ojca i syna.

Wypadki krajowe kazały stłumić boleść, obowiązek bowiem powoływał na służbę.

Młocki w organizacji narodowej w czasie powstania Styczniowego spełnił najsumienniej co do niego należało.

Po powstaniu 1863/4 rąk jak inni nie założył, lecz przeciwnie, czynniej jeszcze jak dotąd pracował nad zmniejszeniem klęski poniesionej i oddziaływaniem przeciwko zgubnym reakcji antipolskiej objawom, jakie się pod wrażeniem tej klęski zrodziły.

Do najszkodliwszych tego rodzaju objawów zaliczamy utworzenie się fakcji pseudokonserwatywnej a reakcyjnej z sztandarem serwilizmu w ręku. Obrawszy za główne siedlisko Kraków, ztamtąd sa pośrednictwem dzienników, broszur, dzieł oraz instytucji, któremi owładnęła, rozszerzała na całą Polskę propagandę zasad przeciwnych polskiemu patrjotyzmowi. Szyderstwo i satyra, narzędzie zepsutych ludzi, było ich bronią. Szydzili więc z powstań, potępiali ofiary, drwili z poświęcenia i błotem obrzucali męczenników i bohaterów walk narodowych. Głównym ich celem było wywołać zwrot od historycznej państwowej polskiej polityki, dążącej do oswobodzenia Polski z pod obcego panowania, do polityki pogodzenia się z rządami najezdniczymi, polityki przedpokojowej wysługiwania się obcym i wyżebrywania od nich w drodze łaski koncessji dla narodowości oraz religji a stanowisk wysokich dla siebie. Gdyby naród na serjo przyswoił sobie politykę serwilizmu, znikczemniał by w duchu, stracił poczucie swej odrębności i skończyłby samobójstwem, to jest dobrowolnem wynarodowieniem.

Przeciwko temu prądowi, który wywoływał prostracją ducha i zepsucie, stanęli patrjoci szczerze Ojczyźnie oddani. Lwów stał się siedliskiem obrony patrjotycznych zasad oraz ideałów narodowych i w nim państwowa polska polityka utrzymaną została.

Wśród tego zastępu obrońców najświętszej sprawy, występował Młocki jako jeden z przewodników obozu patrjotycznego. Jego charakter stały i niezłomny, wierność narodowym i wolnomyślnym zasadom, zdanie zawsze trzeźwe i sąd sprawiedliwy,

dobre rady i praktyczne środki, rozległe przytem wpływy i ogólne poszanowanie, jakiego był przedmiotem, sprawiały, że powoływano go zawszo do przewodniczenia w każdem zgromadzeniu, w każdej manifestacji patrjotycznej. Żadna narada bez niego się nie odbywała. Sama jego obecność nadawała sankcję powagi i patrjotyzmu każdej czynności.

Wiedziano, że jest nieprzebłaganym wrogiem despotyzmu, fałszu i zbrodni, że od chorągwi, wolnosci, niepodległości i całości Polski nigdy nieodstępował, że z wrogami Ojczyzny niewchodził w żadne kompromissa, że chadzał zawsze polskiego prawa prostemi drogami, że się nieda niczem skłonić do wejścia na manowce modnego utylitaryzmu i dla tego słuchano Młockiego jakby był rządem.

Władza jego była moralnej natury, bo opierała się na cnocie, na czystości i nieskazitelności publicznego i prywatnego życia, była to więc władza, która działa bez przymusu, kieruje bez rozkazów, rządzi bez wojska i policji.

« Naród pod obcem, dezorganizującem go panowaniem, jeżeli posiada takie powagi, wpływem samej cnoty rządzące, niezaginie w najsroższem prześladowaniu. Sama ta okoliczność, iż się na nie ogląda a wpływom ich poddaje, ratuje w nim warunki dobrze zorganizowanego społeczeństwa. Nie można też wątpić o zdrowych, dodatnich siłach polskiej społeczności, już dla tego samego, iż ceniąc wysoko zasługę cnoty, ulega jej powadze jakby powadze własnego rządu » (1).

Ta okoliczność niewątpliwie przyczyniła się do

(1) Życiorys Młockiego w *Wieńcu Pamiątkowym*.

zneutralizowania przynajmniej w znacznej części szkodliwych skutków działania przeciwnego patrjotyzmowi i występowania reakcyjnych serwilistów i konserwatystów niewoli, że po stronie patrjotów przewodnikami byli ludzie tak cnotliwi jak Młocki, oprócz niego bowiem kilku jeszcze innych patrjotów we Lwowie, równie jak on czystego i nieskazitelnego charakteru przewodniczyło i jeszcze przewodniczy tej długoletniej z wewnętrzną reakcją walce, będącej w historji naszej porozbiorowej jednym z najważniejszych wypadków.

Udział w niej Młockiego pod tą samą chorągwią którą trzymali w swoim ręku Pułaski, Kościuszko, Henryk Dąbrowski, Piotr Wysocki, Dwernicki, Lelewel, Zawisza, Wołłowicz, Szymon Konarski, Teofil Wiśniowski, Białoskórski, Zygmunt Sierakowski, Roman Żuliński i Traugut, uważamy za jedną z największych jego zasług.

Do prac, jakie w kierunku tej walki z reakcją podejmował, zaliczamy dzieło Młockiego p. t. *Krótki Rys Walki Zasad w Europie przez Prawdzica z Kosarzewa*, wydane w Lipsku nakładem autora w 1866 roku, (wielka 8°, stronnic 528).

Jest to najobszerniejsze i zarazem najważniejsze z dzieł napisanych przez Młockiego, historja walki ludów uciemiężonych z ciemiężącymi monarchami.

Oprócz dzieła E. Chojeckiego « Rewolucjoniści i stronnictwa wsteczne » niemamy innego, któreby w tych rozmiarach i z taką dokładnością systematyczną jak w książce Młockiego, przedstawiało wielki ruch ludów europejskich ku swobodzie i samodzielności. Ścieranie się zasad wolności i równości z despotyzmem i przywilejami niewoli, jakie

nam autor przedstawia, wypełnia dzieje wszystkich cywilizowanych narodów w naszym wieku i jest głównym bodźcem i znamieniem postępu społeczno politycznego, jaki się dokonywa. Poznanie go i zbadanie przyczyn, które ten postęp wstrzymują i wpływają niekorzystnie na przebieg samej walki, jest koniecznem dla każdego światłego człowieka, pracującego dla dobra publicznego. Młocki zapatruje się z właściwego stanowiska na dzieje rewolucji, jako rzecznik ludu i obrońca praw narodowych, bezstronnie jednak wskazuje na błędy przez ludy popełnione. Najobszerniej skreślił dzieje rewolucji 1848, zakończył zaś dzieło na roku 1863.

Udowodniwszy faktami historycznymi, iż do niedoli, jakiej ród ludzki doznaje pod złymi rządami, przyczynia się najwięcej niewiadomość tegoż ludu, wskazuje na wszechstronne rozszerzenie oświaty jako najlepszy środek usunięcia porządków niewoli, podtrzymywanych przez przewrotność jednych a brak wiedzy drugich. Rzecz oczywista, iż oświata, o jakiej myślał Młocki, nie jest ta, którą rządy na zaborze i samowoli oparte rozszerzają w swoim interesie fałszując prawdę i wiedzę, lecz oswiata prawdziwa narodowa, uspasabiająca do samodzielnego roztrząsania i badania przyczyn złego. Srodkiem istotnej oświaty są takie książki jak *Krótki Rys Walki Zasad w Europie*, w której autor nie przytaja prawdy i śmiało odchyla zasłonę z interesów spiknionych przeciwko ludom despotów. Umieli oni dotąd utrzymać w różnej formie swą władzę nad łatwowiernymi i oszukanymi ludami. Pomimo jednak przegranych i perjodycznie powracającej reakcji, zasady równości, wolności i niepodległości powoli

szerzą się i zwyciężają. Z historji tej olbrzymiej walki ludów dochodzi się w końcu do przekonania, że długie utrzymanie rządów na obłudzie, fałszu i zaborze gruntujących swą władzę a gotowych do wszelkiej zbrodni jest niemożliwe.

Krótki Rys Walki Zasad w Europie napisany jest dobrą polszczyzną i jasno a w sposób nader zajmujący przedstawia przedmiot, dokładnie autorowi znany. Jest to owoc pilnych studjów, głębokiej rozwagi i dojrzałych doświadczeń i już z tego względu zasługuje na zaszczytne miejsce w naszej historyczno-politycznej literaturze.

Dopełnieniem *Rysu Walki Zasad w Europie* jest dzieło, które Młocki dawniej napisał w poczuciu obowiązku przyczynienia się do pomyślnego przebiegu wielkiego narodowego ruchu w latach 1861 i 1862 rozpoczętego. Drukował je w 1862 w Paryżu p. t. *Rzut Oka na Rozwój Narodu Polskiego, jego Upadek i Wpływ jaki ten wywiera na stan Europy przez Prawdzica z Kossarzewa.* Wydał je Młocki swoim nakładem, dochód z rozsprzedaży przeznaczając dla Szkoły Polskiej na Batiniolu w Paryżu.

Młocki nie należy do liczby tych pisarzy, którzy rozgrzeszają niejako zaborców, składając winę upadku państwa polskiego na sam wyłącznie naród, na jego słabość i rozstrój wewnętrzny, powstały w skutek braku silnego rządu.

Przeciwko temu poglądowi przemawia fakt, iż rozbiory dokonane były w czasach przeprowadzonej reformy. Wszakżeż Konstytucja trzeciego Maja kładła kres wszelkiej anarchji, naród się organizował na podstawie zasad nowoczesnych i wtedy właśnie trzej monarchowie zadali cios naszemu pań-

stwu. Ale, gdyby nawet nie przeprowadzano u nas żadnych ulepszeń, gdyby anarchia rzeczywiście miała miejsce, czyżby to dawało prawo sąsiadom do napaści na naród, nie będący z nimi w wojnie i do rozszarpania jego dzierżaw. Gdyby wewnętrzna niemoc i rozstrój usprawiedliwiały zabory, ani jedno państwo nie ostałoby się na świecie, wszystkie bowiem państwa i narody przechodziły swe perjody anarchji i niemocy. Rozbiorów więc nic usprawiedliwić niezdoła. Przyczyną upadku Polski jest przemoc sąsiadów, która dopuściła się gwałtu zbrodniczego. Z takiego gwałtu nie może być wywodzonem prawo do panowania, dla tego to Polacy nieuznają za legalne władzy trzech rządów nad sobą, uważają je za najazd i dla tego ciągle przeciwko nim podnoszą protesty i swe prawo do samodzielnego bytu.

Młocki w sposób przekonywający dowodzi szkodliwości dla wszystkich państw europejskich upadku Polski i przepowiada, że niewola rozpostrze się nad całą Europą, wolność wszędzie zniknie, knut będzie symbolem władzy nawet nad Tamizą, jeżeli państwo polskie nie zostanie odbudowanem. Tylko niepodległość Polski położy raz na zawsze kres spiskom zaborców i despotów przeciwko wolności i bezpieczeństwu ludów.

Rzut Oka posiada zalety sumiennego wykładu. Pogląd autora jest prawdziwy i powinien być przyjętym przez wszystkich naszych historyków i publicystów.

Mając zwróconą uwagę na wielką sprawę całej w ogóle Polski, której historycznego stanowiska i zasad bronił z dobrym skutkiem, nie usuwał się

Młocki od czynności drobnych, lokalnych, mających na widoku interesa miasta i prowincji.

Wybrany do Rady miejskiej we Lwowie, uczęszczał pilnie na posiedzenia i starał się o upiększenie miasta, ulepszenie miejskiego gospodarstwa, przedewszystkiem zaś o zorganizowanie szkół od miasta zależnych.

Z tytułu posiadania wsi Sarnki-górne, położonej w powiecie Rohatyńskim, miał uprawniony wpływ na sprawy tego powiatu i wiele się przyczynił do pożytecznej czynności Rady powiatowej. Wyborom w swoim powiecie on zwykle przewodniczył. Prawie też zawsze wybierano do Rady powiatowej, do Sejmu galicyjskiego i do Rady państwa w Wiedniu kandydatów, których on zalecił, wiedziano bowiem dobrze, że zalecał tylko ludzi prawych i szczerze a dobrze o Polsce myślących.

O czynności jego poselskiej, powtórzymy, cośmy napisali w Wieńcu Pamiątkowym.

« W Sejmie galicyjskim był Młocki posłem przez lat kilka i w nim był orędownikiem dobrze pojętej polityki polskiej, godności narodowej oraz interesów ludu. Przeciwko uchwale 2 Marca 1867 proponowanej przez F. Ziemiałkowskiego, przez którą Sejm zmienił poprzednie swoje postanowienie i wysłał delegacją do Rady państwa bez adresu i bez żadnych zastrzeżeń uznał centralistyczną konstytucją, głosował Młocki wraz z posłami jak on rozumiejącymi. Był on tego mniemania, iż tą uchwałą, bronioną przez sprawozdawcę argumentami, jakie sam potępiał na poprzedniem posiedzeniu, ubliżył Sejm nie tylko zasadzie narodowej, ale i godności swojej, okazał bowiem, iż nie umie z odwagą wy-

trwać na przyjętem przez siebie stanowisku, skoro z niego zstąpił bez żadnej walki, dla prostej pogróżki rozwiązania Sejmu w razie przyjęcia adresu, na który się wszyscy zgodzili. Pogrożkę tę wypowiedział namiestnik hr. Agenor Gołuchowski, na zasadzie depeszy urzędowej w nocy z Wiednia otrzymanej. Z równą chwiejnością bronili delegaci w Radzie państwa uchwalonej przez Sejm rezolucji (1868), która zawierała programat narodowych żądań w zasadach określonego przez nią samorządu. Gdy i Sejm na pogrzebanie rezolucji zezwolił a polityka utylitarna stała się polityką większości sejmowej, Młocki ustąpił z grona reprezentantów kraju i ofiarowanego sobie mandatu do następnych kadencji przyjąć niechciał. Za to tem czynniej krzątał się w zakresie prac społecznych, będąc członkiem licznych towarzystw ».

Wymienimy najważniejsze dla uzupełnienia obrazu pożytecznej jego dla Ojczyzny działalności.

Był Młocki jednym z założycieli pierwszego w Galicji *Towarzystwa Zaliczkowego* i aż do zgonu Prezesem Rady Nadzorczej tegoż Towarzystwa, działającego przeciwko lichwie tak mocno ugniatającej lud nasz i rujnującej jego dobry byt. Towarzystwo zaliczkowe świetnie rozwinęło się pod jego prezydencją i dzisiaj obraca znacznemi summami, dostarczając potrzebującym taniego kredytu. Za przykładem lwowskiego towarzystwa zaczęto organizować tego rodzaju instytucje kredytowe na prowincji i dzisiaj już stokilkadziesiąt towarzystw w Galicji ratuje lud od lichwy.

Wpływał także na pomyślny rozwój stowarzysze

nia rękodzielników lwowskich *Gwiazda*, którego był kuratorem.

Był członkiem *Komitetu* zbierającego w smutną i żałobną stuletnią rocznicę pierwszego rozbioru Polski w r. 1872, składki na budowę szkół ludowych w Galicji. Zebrano w ciągu roku blizko sto tysięcy złotych reńskich i z tej summy Wydział Krajowy udziela gminom zapomogi na wznoszenie domów szkolnych.

Należał do *Towarzystwa Opieki Narodowej* zajmującego się udzielaniem pomocy i wyszukiwaniem miejsc dla emigrantów, przybywających z Francji i z Szwajcarji na mieszkanie do Galicji. Towarzystwo to zdziałało wiele dobrego, zanim zostało rozwiązane z polecenia rządu wiedeńskiego przez hr. A. Gołuchowskiego, namiestnika.

Był członkiem komitetu urządzającego pod przewodnictwem Kornela Ujejskiego jubileusz dla uczczenia przeszło pięćdziesięcioletnich zasług Seweryna Goszczyńskiego, jako też członkiem i prezesem utworzonego przez Agatona Gillera *Komitetu emerytury narodowej* imienia Goszczyńskiego, który przez swego kassjera i sekretarza Wacława Niedzielskiego wypłacał przybyłemu do Lwowa czcigodnemu poecie-belwederczykowi tysiąc złotych reńskich rocznie pensji emerytalnej aż do jego zgonu.

Był także członkiem *Towarzystwa oświaty i pracy*.

Wielce zasłużone dla szkolnictwa krajowego *Towarzystwo Pedagogiczne* w Galicji, oceniając zasługi Młockiego dla oświaty ludowej, wybrało go na członka honorowego.

Towarzystwo Bratniej Pomocy słuchaczów Wszech-

nicy Lwowskiej uczciło go także wyborem na swego członka honorowego.

Należał do założycieli Towarzystwa gimnastycznego *Sokół* i był jego członkiem.

Jako członek *Komitetu* pod prezydencją księżnej Leonowej Sapieżyny *zbierającego składki na szpital dla dzieci Św. Zofii*, przyczynił się do jego budowy we Lwowie.

Wspólnie z ludźmi dobrej woli zwłaszcza z Piotrem Zbrożkiem, z Tadeuszem Skałkowskim, z Albinem Rayskim, z Aleksandrem Hirszbergiem i z ś. p. Władysławem Kociatkiewiczem założył Młocki *Wydawnictwo dzieł ludowych* w roku 1867 i aż do r. 1879 włącznie utrzymywał je swoim kosztem, łożąc na druk małych książeczek dla ludu, które sprzedawano egzemplarz po kilka centów. Chociaż z powodu swojej taniości, były one przystępne dla najuboższych ludzi, mnóstwo jednak egzemplarzy rozszerzono darmo pomiędzy włościanami i rzemieślnikami. Wyborne te książeczki, pisane w duchu patrjotycznym polskim i religijnym przez różnych autorów, najwięcej zaś przez Piotra Zbrożka, należą niewątpliwie do najlepszych publikacji ludowych w naszej literaturze, mają tę zaletę nad dziełkami wydawanemi obecnie przez *Macierz Polską*, że budzą w czytającym miłość do Ojczyzny i rozwijają w nim świadomość obowiązków narodowych. Wydawnictwo Młockiego dostarczyło kilkadziesiąt tomików i znalazło najlepsze przyjęcie pomiędzy ludem miejskim i wiejskim. Że nie pozostało bez dobroczynnego na niego wpływu, ten wątpić nie może, kto obserwował rosnącą w nim oświatę a z oświatą wyjaśniające

się pojęcia narodowe. Ponieważ w handlu zostały zupełnie wyczerpane, pożądaną by była druga edycja książeczek wydanych przez Młockiego.

Pomiędzy niemi jest jedna napisana przez samego Młockiego pod tytułem: *O prześladowaniu kościoła rzymsko i grecko katolickiego przez schizmę. Nakładem Alfreda Młockieyo we Lwowie, 1870 r.*

Krótki to lecz jasny i dokładny opis męczeńskich dziejów polskiego Kościoła, zwłaszcza też prześladowania Unitów. Książeczka ta dostała się pomiędzy włościan unickich w dyecezji Chełmskiej i moskiewscy autorowie z polecenia rządu polemizowali z Młockim, jak zawsze zaprzeczając najoczywistszym faktom. Nikogo jednak Moskale nieprzekonali, wkrótce zaś potem dokonany gwałt na sumieniach Unitów, których pomimo protestacji ogłoszono prawosławnymi, potwierdził w zupełności poglądy autora.

Młocki wiele zajmował się Unitami i niósł im moralną i materjalną pomoc.

Gdy w r. 1874 pozabijali Moskale bezbronnych włościan-Unitów w Pratulinie i w Drelowie i nadeszła z Podlasia od Alfreda Barwińskiego propozycja wybicia na cześć pomordowanych męczenników medalu, utworzył się we Lwowie pod prezydencją Młockiego *Komitet medalowy*. Staraniem komitetu wybity według rysunku Kornela Ujejskiego piękny medal z nazwiskami unickich męczenników, jest pierwszym polskim na cześć chłopów medalem.

W Paryżu wpływ ambasady moskiewskiej sprawił, iż tamtejsza mennica odmówiła wybicia unickiego medalu, ksiądz więc Roman Wilczyński,

któremu poruczono tę sprawę, musiał się starać o wybicie go w Bruxelli. Rząd austrjacki pozwolił na zbieranie prenumeraty na medale w Galicji, później jednak na żądanie ambasady moskiewskiej w Wiedniu, niechcąc drażnić Moskali opierających się uczczeniu pozabijanych przez nich męczenników, skonfiskował pierwszą posyłkę medali, zawierającą 200 egzemplarzy. Strata ztąd była niemała, którą Młocki pokrył z własnej kieszeni. Zakaz austrjacki zmusił do sprowadzania dalszego medali drogą tajemną. Młocki sam się zajął rozesłaniem medali do prenumeratorów i na Podlasie pomiędzy włościan, którzy je chowali jako drogocenne pamiątki.

Jednocześnie z polecenia Komitetu napisane przez Leona Rettla dzieło w języku francuzkim o prześladowaniu barbarzyńskiem Unitów p. t. *Les Missionnaires Moscovites chez les Ruthènes-Unis* wydał Młocki w r. 1876 w Paryżu przeważnie swoim kosztem z dwoma drzeworytami, z których jeden przedstawia medal unicki, drugi według pięknego obrazu Walerego Eliasza scenę mordowania bezbronnych Unitów przed cerkwią. Ażeby cały świat, zwłaszcza też katolicki wiedział o bohaterstwie ludu Unickiego, ginącego za wiarę i Ojczyznę i znoszącego prześladowanie z wytrwałością i z poświęceniem pierwszych Chrześcijan, mordowanych po cyrkach przez imperatorów rzymskich, polecił Młocki wydane przez siebie dzieło Rettla wysłać darmo do redakcji zagranicznych dzienników i do wszystkich biskupów.

Na prassę perjodyczną pilną Młocki zwracał uwagę i nie tylko sam pisywał do dzienników artykuły rozumowane, feljetonowe i korespondencje

lecz używał swojej powagi do udzielania rad redakcjom, co do prowadzenia dzienników odpowiedniego interesom polskim i zasadzie narodowej.

Niektóre pisma wspierał funduszem swoim. Czasopismo *Rękodzielnik* redagowane przez Piotra Zbrożka a mającego przeznaczenie szerzenia oświaty w klassie rzemieślników, subwencjonował w takiej wysokości, w jakiej się okazała potrzeba do pokrycia kosztów od roku 1869 do 1872 włącznie. Czasopismo *Ruch literacki* poświęcone nauce i literaturze a redagowane przez Agatona Gillera i D-ra Tadeusza Żulińskiego wsparł także dość znaczną summą.

Nadmienić jeszcze należy o Komitecie, którego Młocki był prezesem, utworzonym dla wspierania funduszami dziennika *Messager de Vienne* pod warunkiem, że będzie organem sprawy polskiej w Europie. Pismo to pod redakcją Bronisława Wołowskiego wychodziło w Wiedniu.

Kwestja Wschodnia i wybuch wojny moskiewsko-tureckiej w r. 1877 poruszył w kraju umysły. Zdaniem ogólnem było, że na wypadek przewidywanej wojny europejskiej, która zdawała się prawdopodobną, Polacy już wcześniej powinni zwrócić uwagę gabinetów i ludów na sprawę polską, upominającą się o rozwiązanie i wprowadzić ją na porządek dzienny spraw, jakiemi się opinia publiczna Europy zajmowała.

Rada państwa w Wiedniu nastręczała do tego sposobność, głos bowiem Polski z trybuny wiedeńskiej słyszanym byłby w całej Europie. Młocki nalegał na Polskich deputowanych o podniesienie sprawy polskiej i wykazanie jej związku z kwestją wschodnią, lecz nadaremnie. Zwołał więc następnie

wielu obywateli znanych z patrjotycznego usposobienia na naradę, na której uchwalono środki, mające na celu wywarcie nacisku na Koło Polskie w Radzie Państwa w kierunku polityki czynnej. Wszystkie te środki nie mogły jednak zmusić polskich deputowanych do zabrania głosu. Koło bowiem Polskie jak się zdaje, zobowiązało się do milczenia i niechciało rządowi robić kłopotów dyplomatycznych przez parlamentarne podniesienie sprawy polskiej, o której rozumie się nie było ani wzmianki w umowach trójcesarskiego związku, w skutek których Moskwa poczuła się ośmieloną i upoważnioną do zaczepienia Turcji.

Gdy ani oświadczenia wyborców, ani wystąpienie z Koła Polskiego mniejszości, ani artykuły dziennikarskie, ani wreszcie silny nacisk opinji publicznej kraju, nie mogły nakłonić większości jego reprezentantów do działania, niepozostawało nic innego do zrobienia, jak przygotowanie umysłów za pośrednictwem prassy i manifestacji świadczących, że Polacy bynajmniej nie zrezygnowali ze swoich praw do niepodległości.

Młocki napisał bardzo dobry wykład faktów, wskazujących związek kwestji wschodniej ze sprawą polską i przekonywający, że jedynym sposobem korzystnego dla narodów załatwienia tej kwestji jest odbudowanie Polski. Rozprawę swoją polityczną drukował w feljetonach *Gazety Narodowej*, po francuzku zaś wydał ją w książce drukowanej (w r. 1877) w Bruxelli p. t. *La question d'Orient comme conséquence inévitable du partage de la Pologne*. Dziełko to rozesłać polecił pomiędzy dziennikarzy i znakomitszych mężów stanu w całej Europie.

Wkrótce potem Turcja opuszczona i przez swoich przyjaciół zdradzana, została pokonaną i kongres berliński zebrał się do roztrząśnienia traktatu w San-Stefano zawartego. Na kongres berliński wysłali Polacy ze Lwowa memorjał, w sporządzeniu którego wziął także udział Młocki, zadaniem bowiem polskiej polityki, jest ciągłe przypominanie ludom i rządom sprawy polskiej. Wiedziano dobrze, że Polska nic nie wskóra na kongresie, że memorjał Polaków nie będzie nawet przedmiotem dyskussji, szło jednak o to, ażeby ci, co decydowali o losach ludów, wiedzieli, że jest wielki naród niezadowolony ze swego położenia, który pracuje nieustannie i walczy o prawa niesłusznie mu wydarte.

Taż sama myśl polska przewodniczyła w wysłaniu adressu i deputacji z powitaniem Leona XIII na Stolicy Apostolskiej w r. 1878. Prześladowanie kościoła przez Moskali i Niemców, nadało mu wielkie dla sprawy polskiej znaczenie. Akt ten więc uległości i przywiązania do głowy kościoła był zarazem czynem wysoce politycznym, nieobojętną bowiem rzeczą i nie bez korzyści było zwrócenie uwagi nowego papieża w samym początku jego panowania na naród polski i stan kościoła pod obcymi rządomi. Młocki w naradach nad adressem i nad osobami, które jechać miały do Rzymu wziął także udział.

Ostatnią publiczną czynnością jego pracowitego żywota, było przewodniczenie Komitetowi urządzającemu obchód półwiekowej rocznicy powstania Listopadowego w roku 1880.

Nie lubił się wyręczać w pracy, sam wszystko robił, rachunki utrzymywał, listy rozpisywał i jego

to gorliwości w części zawdzięczamy, że półwiekowa rocznica zamieniła się na manifestacją narodową, pełną politycznej doniosłości i pożyteczną.

Była ona ogólną protestacją narodu przeciwko rozbiorom Polski i niewoli, w jakiej kraj zostaje i zarazem aktem, wyrażającym niezmienne i wytrwałe dążenie do niepodległości i wolności całej Ojczyzny. Akt ten po długoletniej reakcji, w której nieliczna lecz zuchwała fakcja usiłowała zwrócić politykę narodu na tory serwilizmu i zrzeczenia się samoistności politycznej był wielce potrzebnym. Jakoż obchody tej półwiekowej rocznicy po miastach i miasteczkach dwóch wolniej oddychających zaborów i na emigracji, mowy, odczyty, deklamacje, pieśni i wiele poważnych dzieł i broszur, jakiemi pomnożono literaturę o powstaniu narodowem 1830 i 1831 r. cześć, jaką oddano żyjącym uczestnikom tegoż powstania, medale jakie na ich piersiach zawieszono, nabożeństwa za poległych obrońców Ojczyzny i kazania o miłości kraju, zaopatrzenie wreszcie w biedzie zostających weteranów, wszystko to wiele się przyczyniło do ożywienia ducha patrjotycznego i ukrócenia reakcji, usiłującej wywołać zgnuśnienie i obojętność, ażeby zwątpiałych Polaków łatwo mogła popchnąć do stóp potentatów i dobrówolnego uznania się za wieczystych niewolników, w nadziei, że jakaś okruszyna łaski spadnie z ich stołu dla pokornych i znikczemniałych.

Już w obchodzie 1881 roku, Młocki wziąć nie mógł udziału. Przy obchodzie zaś dziewiętnastej rocznicy powstania 1863 r., jego przyjaciel Wiktor Wiśniewski, zaniósł od złożonego chorobą starca błogosławieństwo dla zgromadzonych w imię Ojczyzny.

W ostatnich latach często Młocki zapadał na zdrowiu, ale szybko wychodził z niemocy i w ogóle trzymał się dobrze.

Postać jego wyrażała zdrowie moralne i fizyczne. Ubrany zawsze w narodową czamarę, pełen powagi i spokoju niczem niezamąconego, był typem prawdziwego Polaka. Na pięknem jego obliczu malowała się dobroć jego serca, we wzroku bystrym błyszczał promień miłości i łagodności. W ruchach jego i w mowie była ta prostota pełna dostojności, która do siebie pociąga serca.

W listach, które do mnie pisywał, wyrażał się z dziwną trafnością o ludziach i wypadkach, wiara w Boga i w przyszłość wielką a samodzielną Polski była jego przewodniczką.

Gdy rozpoczął rok 77 swojego życia, obudziło się w nim przeczucie zgonu, do którego się zbliżał z pogodą i z ufnością chrześcijanina, który dopełnił sumiennie obowiązki nakazane przez Boga i Ojczyznę.

Choroba się tymczasem wzmagała, trudna do uleczenia, bo była to choroba starości. Gdy go latem 1881 r. w Sarnkach-górnych odwiedził dawny przyjaciel, Mieczysław Darowski, znalazł go wielce zmienionym.

Po powrocie do Lwowa pogorszyło się jego zdrowie, lecz jeszcze był czynnym, jak to widzę z listów, drżącą ręką do mnie pisanych. W Grudniu odebrałem od niego ostatni list, ale już dyktowany, bo sam pisać nie mógł.

Zajęcie i rozmowy nużyły go i osłabiały. Od Stycznia więc 1882 r. niedopuszczano do chorego osób przychodzących z interesami publicznymi, po radę,

współudział lub dla złożenia uszanowania. Pielęgnowany z największą troskliwością przez żonę i córkę, odwiedzanym bywał tylko przez *D-ra Tadeusza Żulińskiego* swego lekarza i zarazem serdecznego przyjaciela oraz księdza *Florentego Lickendorfa* przeora Dominikanów, który mu udzielił ostatnie namaszczenie.

Nadzieja, że Ojczyzna rychło będzie oswobodzoną jeszcze go krzepiła, gdy już pewność śmierci go ogarnęła. Myślą powracał do Polski, do żony, córki, wnuka, przyjaciół i błogosławił wszystkich. Oddał wreszcie Bogu ducha dnia 27 Marca 1882 r. o godzinie wpół do trzeciej z rana we Lwowie, wywołując swoim zgonem żal ogólny w mieście i w kraju. Śmierć jego nazwano stratą narodową a w tej nazwie wyrażono wielkość jego zasług, któremi swą pamięć w narodzie uwiecznił.

Pogrzeb Młockiego urządzony przez *Komitet pogrzebowy*, złożony z obywateli miasta, był wyrazem czci ogólnej dla zmarłego patrjoty. Od Seweryna Goszczyńskiego pogrzebu, Lwów podobnie wspaniałego nie widział. Cała nieomal ludność miasta, chrześcijanie i żydzi, wystąpili w orszaku żałobnym. Sklepy były pozamykane, z domów powiewały chorągwie żałobne, latarnie zaś pozapalano na ulicach, któremi orszak przechodził.

Po wyniesieniu trumny na barkach włościan z Sarnek-górnych, z balkonu domu przemówił Prezes Towarzystwa Pedagogicznego p. Zygmunt Sawczyński o życiu i zasługach nieboszczyka. Przy odgłosie żałobnego hymnu włożono potem trumnę na rydwan pogrzebowy, ozdobiony mnóstwem wieńców i orszak wyruszył. Za trumną postępowała

rodzina zmarłego, córka z wnukiem i najbliżsi krewni i przyjaciele.

W broszurze opisującej pogrzeb czytamy: « Pod niebem przykrytem chmurnym całunem postępował orszak towarzyszący zmarłemu w podróży na miejsce wiecznego spoczynku. Pochód otwierały zakłady sierot, za niemi postępowali ubodzy z domu ubogich, dalej młodzież szkół średnich i ludowych we wzorowym porządku, stowarzyszenia, straż ochotnicza *Sokoła* w pełnym uniformie, Towarzystwo *Gwiazda* ze sztandarem, stowarzyszenie rękodzielników żydowskich « Jad Charuzim » ze sztandarem, następnie bractwa kościelne z chorągwiami. W dalszym porządku szła kapela Towarzystwa *Harmonji*, dalej nieprzejrzany szereg duchowieństwa zakonnego i kleru świeckiego z biskupem Morawskim. Z kolei postępowały deputacje z wieńcami. Oto choć nie wszystkie napisy wieńcowe, jakie w pośpiechu można było zebrać podczas pochodu:

Uczennice Seminarjum żeńskiego — dobrze zasłużonemu Polakowi; Swemu członkowi i założycielowi Towarzystwo gimnastyczne Sokół; Rada gminy miasta Lwowa, dobrze zasłużonemu członkowi swemu; Stowarzyszenie młodzieży handlowej Alfredowi Młockiemu; Stowarzyęzenie rękodzielników Gwiazda swemu kuratorowi; Stowarzyszenie rękodzielników izraelickich Jad Charuzim, Alfredowi Młockiemu opiekunowi towarzystw rzemieślniczych; A. Młockiemu obywatelowi niezmordowanemu w sprawach publicznych Rada powiatowa w Rudkach; Nauczycielstwo szkół ludowych lwowskich; Galicyjskie Towarzystwo kredytowe ziemskie całej Polsce dobrze zasłużonemu; Towarzystwo

oświaty i pracy swojemu członkowi A. Młockiemu; Henryk Janko i oddział Towarzystwa gospodarskiego gródecko-rudeński; Towarzystwo oświaty ludowej Alfr. Młockiemu; Galicyjska kassa oszczędności; Redakcja *Dziennika Polskiego*; *Gazeta Narodowa;* Redakcja *Szczutka*; Redakcja *Strażnicy*; Redakcja pisma izraelickiego *Ojczyzna*; Włościanie z Zubrzy; Unici swemu protektorowi; Towarzystwo zaliczkowe swemu prezesowi i wzorowi cnót obywatelskich; Koło literackie lwowskie zasłużonej w Ojczyźnie pamięci A. Młockiego; Towarzystwo politechniczne nieodżałowanemu pracownikowi; Słuchacze Politechniki cieniom ś. p. A. Młockiego; Akademicy lwowscy cieniom A. Młockiego; Bratnia Pomoc słuchaczów Wszechnicy lwowskiej swemu członkowi honorowemu A. Młockiemu i wiele innych, wszystkich czterdzieści Niesiono także kilka wieńców z wstęgami bez napisów. Za trumną postępowały olbrzymie massy publiczności. Na skręcie ulicy Piekarskiej zdjęto trumnę z rydwanu i wzięła ją na barki młodzież. Kolejno zmieniali się niosący w następującym porządku: Gwiazda, Towarzystwo zaliczkowe, następnie literaci, włościanie ze wsi nieboszczyka, wreszcie weterani z 1831 r. z członkami Komitetu pogrzebowego donieśli ją na cmentarz Łyczakowski do grobowca, położonego w ulicy po lewej stronie cmentarza, niedaleko grobowca ś. p. Seweryna Goszczyńskiego. U grobu i dalej na wzgórzach otaczających grobowiec zgromadziły się mimo wzmagającego się coraz deszczu nieprzejrzane tłumy publiczności. Po skończonym obrzędzie liturgicznym, dokonanym przez ks. biskupa Morawskiego, stanął nad trumną na grobowcu słynny

kaznodzieja ks. Florentyn Lickendorf, dominikanin i wśród głębokiej ciszy przemówił. »

W natchnionej swojej mowie o miłości Ojczyzny. przedstawił mówca Młockiego jako męża, którego cały żywot aż do końca był wyrażeniem miłości Boga i młości Ojczyzny. Słowa jego zrobiły głębokie wrażenie.

Ostatnią mowę wypowiedział poseł sejmowy i członek Wydziału Krajowego Walerjan Podlewski, żegnając zmarłego w imię towarzyszy broni z 1831 roku.

Gdy trumnę włożono do grobu i zasypywać zaczęto wieńcami i kwiatami, obecni wznieśli jednocześnie « Boże coś Polskę » i dopiero po odśpiewaniu tego hymnu opuszczać poczęli cmentarz.

Tak naród uczcił męża, który w życie swoje wcielił zasady chrześcijańskie i wiernie służył Bogu, Polsce i ludzkości!

Zamek Rapperswylski, 6 Grudnia 1883 roku.

SPIS RZECZY

WSPOMNIENIA MOJE

z czasów wszechwładzy

W. X. KONSTANTEGO

W KRÓLESTWIE POLSKIEM

I

z Powstania 1830 i 1831 r.

WSPOMNIENIA MOJE

z czasów wszechwładzy

W. X. KONSTANTEGO

w Królestwie Polskiem i z Powstania 1830 i 1831 r.

Konstytucja nadana przez Cara Alexandra I Królestwu Polskiemu, gdyby była rzeczywiście wykonaną, zabezpieczała Polakom swobodny rozwój, tak pod względem moralnym, jako też pod względem materjalnym. Artykuł XVI tejże zapewnił wolność druku; XVIII zatwierdził dawną zasadę: *Neminem captivari permitemus nisi jure victum.* W rozwinięciu jej artykuł XIX stanowił, iż nikt nie może być uwięzionym, tylko wedle przepisów określonych prawem; XX nakazywał przedłożyć osobie uwięzionej przyczynę jej przytrzymania; XXI nakazywał osobę przytrzymaną najdalej do dni trzech zbadać, i po zbadaniu, jeżeli się okazała niewinną, natychmiast uwolnić; XXIII zastrzegał, iż nikt karanym być nie może, jak tylko na zasadzie praw istniejących i za wyrokiem sądów właściwych; XXXI zapewniał krajowi reprezentacją narodową.

W dziale 4, rozdziale 6 tejże konstytucji postanowione były rady wojewódzkie, złożone z radców wybieranych przez sejmiki i zgromadzenia gminne, których atrybucją było wybieranie sędziów do dwóch pierwszych instancji,

sprawdzanie i epurowanie listy kandydatów na urzęda administracyjne, oraz czuwanie i kontrolowanie władz administracyjnych wojewódzkich.

Zapewnioną więc była obywatelom Królestwa Polskiego wolność wyrażania swych myśli ustnie i pisemnie, wolność osobista, reprezentacja narodowa, bez zezwolenia której, ani podatków nakładać, ani ustaw zmieniać, lub których stanowić rząd nie był mocen; przytem przez ustanowienie rad wojewódzkich, przyznaną mieli obywatele władzę kontrolującą nad urzędami administracyjnymi i możność ukrócenia wszelkich możliwych nadużyć z ich strony.

Ale, obłudny Car obok tej konstytucji postawił na czele wojska polskiego swojego rodzonego brata, W. X. Konstantego, typ prawdziwego Mongoła. Jako brat Cara uważał się W. Xiąże wyższym nad wszelkie prawo i konstytucją, z której drwił i którą w poufnych rozmowach nazywał konfuzją; niemogła więc zabezpieczyć od wybryków jego dzikiego despotyzmu obywateli, pozornie tylko zasłoniętych opieką prawa. Przy excentrycznej dzikości charakteru, W. Xiąże, miał wiele wiadomości i nie mało sprytu do wyzyskiwania słabości charakterów ludzkich.

Z jednej strony łamanie najsłabszego objawu samodzielności z bezwzględną srogością, z drugiej strony schlebianie i pobłażanie najbrudniejszym namiętnościom tych, którzy mu byli ślepo

ulegli, uważał on za najskuteczniejsze środki do przerażenia jednych, do ujęcia sobie drugich. Terroryzm i demoralizacja były dwa środki, którymi dążył do przeprowadzenia swej wszechwładzy w kraju, pomimo i wbrew konstytucji nadanej Królestwu przez brata swego Cara, który tym sposobem osiągał dwa cele, bo sam był liberalnym w teorji monarchą, za pośrednictwem zaś brata excentrycznego, wykonywał w praktyce despotyzm, który nie jemu, lecz owemu dzikiemu raptusowi przypisywano.

Systemowi temu terroryzowania i demoralizacji, uległo naprzód wojsko, które pod bezpośrednimi rozkazami W. Xięcia, jako naczelnego wodza zostając, zostawione było na łup jego bezwzględnej i kapryśnej samowolności. Najmniejsze przekroczenie form przepisanych, guzik do munduru źle przyszyty, kamasze źle, według opinji W. Xięcia wyczyszczone, lub lederwerki nie dość białe a w pułkach strzeleckich nie dosyć wyglancowane, przepłacali żołnierze i podoficerowie nieraz życiem, bo W. Xiąże lub sam bił, wywróciwszy przekraczającego na ziemię, łamał mu kolanami piersi i żebra, lub też zapałkować kazał. Oficerów wyższych, których podejrzywał o samodzielność charakteru, nieomieszkał przy zdarzonej sposobności publicznie na placu Saskim, na którym się dzień w dzień parady odbywały, lżyć w sposób najbrutalniejszy, a nieraz w sposób hań-

biący, własnemi rękami wyrzucając z szeregu. W początkach kilkunastu znieważonych w sposób tak barbarzyński odebrało sobie życie, inni wystąpili z wojska, reszta uległa, poddając się z pokorą tej kapryśnej na pozór lecz wyrachowanej na złamanie ducha srogości. Tę bezduszną uległość wyższych oficerów, to poniewieranie nimi kapryśne, z wyrachowaną przebiegłością umiał W. Xiąże osładzać, często dobroduszną na pozór poufałością, najbardziej zaś korzyściami materjalnemi.

Dowódzcy pułków, oprócz pensji rocznej, w ilości 12,000 zł. pol., ciągnęli ogromne zyski z administracji pułków, na których utrzymanie, umundurowanie i wszelkie przybory, a w pułkach jazdy i na żywność koni, wyrachowane według cen targowych warszawskich, pobierali kwartalnie summy. Zakupując ryczałtem skóry, sukna, płótna, żywność, owies, siano, konie, uskuteczniając wszystkie roboty przez rzemieślników żołnierzy w każdym pułku służących, bez krzywdzenia nawet żołnierzy osiągali ogromne zyski, zwłaszcza ci, którzy sami trudnili się tem gospodarstwem i prowadzili go z wszelką oszczędnością. Zyski te były wszystkim wiadome, a najbardziej W. Xięciu, który ulubieńców swych posuwając na stopień generałów, zostawiał ich jednak przy dowództwie pułku, którym poprzednio dowodzili. Generał wówczas któremu z swoich faworytów ofice-

rów wydzierżawiał dochody z pułku, ten mu zaś ryczałtem płacił umówioną sumę. Że dochody znaczne były, dowodzi to, iż niektórzy generałowie, mieli po 120,000 zł. pol. rocznej intraty od swoich pułkowych dzierżawców. Zresztą każdy pułkownik był małym W. Xięciem w swoim pułku; jak on drżał przed naczelnym wodzem, tak wszyscy jego podkomendni drżeli przed nim. Pułkownicy dowódzcy pułków, opłacać się znów musieli sztabowcom, adjutantom i faworytom W. Xięcia, od których opinji zależał najczęściej sąd o pułku W. Xięcia.

Oprócz dwóch pułków gwardji polskiej, jednego pieszego a jednego konnego, batalionu saperów i baterji gwardji lekkokonnej, inne pułki z okolicy przychodziły na pełnienie służby garnizonowej w Warszawie. Przybywający pułk na służbę garnizonową do Warszawy, lustrowany był poprzednio przez którego z generałów, lub oficerów wyższych ze sztabu W. Xięcia. Od opinji delegowanego do tego przeglądu ulubieńca W. Xięcia, zależało obejście się W. Xięcia, przed którym pułk następnie występował. Jeżeli delegowany był oficerem sztabowym polskim, to była łatwiejsza sprawa; jeżeli delegowanym był generał, lub sztabowiec moskiewski, bez okupu ze strony pułkownika nie obeszło się. Panowie ci mieli różne sposoby nastręczania się zręcznego, do dania im łapówki, a gdy się pułkownik stawający z pułkiem w Warszawie nie-

chciał domyśleć tego, ciężko wraz z pułkiem odpowiadał za to.

Zdarzyło się n. p. że dowódzca 1go pułku ułanów, Tomicki, przybywszy do Warszawy na garnizon z pułkiem, lustrowany przez generała Gendrea, moskala, zagadnięty od niego, czy nie potrzebuje konia do szeregu, oświadczył, że przydał by mu się. Generał Gendre nieomieszkał przedstawić mu konia, jakie zwykle używane były do szeregu pod lekką jazdę, wartości 25 dukatów, ale żądał za niego dukatów 300. Tomicki który był skąpy a ufny w to, że pułk jego tak co do rynsztunku, jak i co do wymustrowania nie mógł żadnemu ulegać zarzutowi, odpowiedział szorstko moskiewskiemu lustratorowi, iż gdyby tak drogo konie pod żołnierzy płacił, sam by musiał bez butów chodzić, więc konia nie kupi. Moskal pigułkę połknął. Oficerowie dowiedziawszy się od Tomickiego o targu i odpowiedzi, a przeczuwając co ich czeka, ofiarowali złożyć się i konia od Moskala kupić, ale Tomicki oparł się temu mówiąc: iż gdy pułk tak wymustrowany, w nowiutkich mundurach wystąpi przed W. Xięcia, to żeby Gendre niewiem co naszczekał, lustracja przed W. Xięciem musi wypaść dobrze. Tymczasem inaczej się stało. Pomimo, iż pułk w wzorowym porządku i w nowych mundurach wystąpił przed W. Xięcia, ten wszystko znalazł złem, a zgromiwszy pułkownika jak najsurowiej, cały pułk wraz

z Tomickim i wszystkimi oficerami skazał na 48 godzinny areszt, wypędził następnie z Warszawy do przyległych wsi na miesiąc, naznaczając tego samego moskiewskiego generała Gendrea na cały ten czas instruktorem pułku, od jego opinji czyniąc zawisłym powrót pułku do Warszawy i zaprezentowanie się go na nowo W. Xięciu. Naturalnie, że Tomicki chciał jak najprędzej skończyć rekolekcje, na które wraz z całym pułkiem skazanym został; rad nie rad musiał się prosić Gendrea, aby mu raczył swego konia za 300 dukatów sprzedać. Gendre nadokuczawszy pułkowi, dał się w końcu przebłagać i konia sprzedał. Pułk otrzymał rozkaz powrotu do Warszawy i wystąpienia przed W. Xięciem, a chociaż Tomicki stare mundury kazał przywdziać żołnierzom, W. Xiąże był zupełnie zadowolnionym.

Los wojska zależał przeto nie tylko od kaprysu W. Xięcia, ale i od woli otaczających go ulubieńców, którzy swój wpływ dobrze sobie kazali opłacać. Byle się jednak z nimi dowódcy pułków zyskiem dzielili, mogli popełniać wszelkiego rodzaju nadużycia bezkarnie. Z początku ta samowola bezwzględna W. Xięcia i jego otoczenia raziła, lecz następnie dowódzcy przywykli do ślepej uległości, która im zapewniała byt materjalny najświetniejszy.

System demoralizacji i terroryzmu, który mu posłużył do zaprowadzenia niewolniczej uległości

wojska, rozciągał stopniowo W. Xiąże i na cywilnych. Pomimo konstytucji, ktokolwiek nie zdjął kapelusza, gdy W. Xiąże przejeżdżał, ten natychmiast aresztowany, stosownie do kaprysu W. Xięcia, od 12 godzin do 3 dni musiał na odwachu pomiędzy włóczęgami odpokutowywać to swoje przekroczenie. Każdy kto nie miał ochoty czapkować przed znienawidzonym gwałcicielem wolności osobistej, posłyszawszy huczący turkot powozu W. Xięcia, chronił się do kamienicy lub do sklepu, nie każdemu się jednak to udawało, przenikliwy zaś despota mścił się za tę ujemną protestacją niechcących mu się kłaniać.

Terroryzując całą ludność stolicy, podgarnął W. Xiąże pod swój zarząd bezpośredni policją całego kraju, a pośrednio ulegały wpływowi jego i władze administracyjne.

Sądownictwo tylko potrafiło utrzymać swój byt niezawisły.

Wszelako, w najważniejszych kwestjach, bo w kwestjach politycznych podejrzani o nieprzechylność rządowi, ulegali zupełnej samowoli W. Xięcia. Urządziwszy oprócz zwykłej policji, policją tajną, której naczelnikiem był generał Rożniecki, niezważając na zagwarantowane bezpieczeństwo osób artykułami XVIII i XIX konstytucji, na proste przedstawienie tajnej policji, nie poparte żadnymi dowodami, każdego obywatela pozbawiał samowolnie wolności i

poddawał pod dokuczliwe śledztwo w komisji wybranej i złożonej przez W. Xięcia z jego zbirów, ci zaś wszelkiego rodzaju katuszami, starali się wymęczyć na obwinionych wyznanie, zarzuconej im przez nich zbrodni stanu. Śledztwa te ciągnęły się latami i wielu mniemanych przestępców, którzy przy jawnem postępowaniu, zaledwie parę dni byliby narażeni na prosty areszt, wyzionęło ducha w skutku nieludzkiego obchodzenia się z nimi. Oprócz postrachu, jakim przerażało ludność stolicy to postępowanie bezprawne i zawisłość od ludzi tak nikczemnych, z jakich się składała tajna policja i cała szajka szpiegów, wietrząca za coraz nową zdobyczą, która im zysk pewny przynosiła, W. Xiąże od czasu do czasu dopuszczał się jeszcze wybryku na zupełnie spokojnych obywatelach, jakby dla pokazania, że wbrew swobody zagwarantowanej konstytucją, los każdego zawisł jedynie od jego łaski i dobrej woli.

I tak doniesiono mu, iż u piwowarów na ulicy Ceglanej, przechowywać się miał dezerter; niewchodząc czy to jest rzeczywiście prawdą, kazał natychmiast sześciu obywateli, właścicieli browarów w tej stronie i siódmego starozakonnego, u którego ten mniemany dezerter miał także służyć, przyaresztować. Rano w sobotę, kazawszy mustrować się całemu pułkowi strzelców konnych na Saskim placu, po ustąpieniu pułku z placu, kazał przyprowadzić owych

7 obywateli, pomiędzy którymi był Wołowski, ojciec sławnej wówczas fortepianistki cesarskiej Szymanowskiej, i zaprzągłszy ich do taczek, zmusił do zamiatania placu Saskiego i uprzątania nieczystości, pozostawionych przez konie muśtrującego się na nim poprzednio pułku jazdy. Gwałty dokonywane samowolnie przez W. Xięcia szerzyły rozjątrzenie pomiędzy ludnością stolicy, jakkolwiek zaś wyżsi oficerowie ujęci materjalnemi korzyściami sprzyjali rządowi, niższe stopnie w wojsku podzielały oburzenie uciskanego i znieważanego bezkarnie narodu. Wprawdzie na prowincji mniej się czuć dawała dokuczliwość wszechwładzy W. Xięcia, wszelako i tam, acz rzadziej, dosięgał jednak wpływ jego nienawistny wolności i bezpieczeństwu osób.

Terroryzm skoncentrowany w Warszawie, oddziaływał odśrodkowo na cały kraj, słabnąc ku krańcom onego, mianowicie ku granicy południowej, to jest w Krakowskim województwie; gdyż tam według warunków traktatu wiedeńskiego nie konsystowało wojsko, a zatem okolica ta mniej zwracała uwagę W. Xięcia.

Jakkolwiek wojsko specjalnem było zajęciem W. Xięcia, wszelako podciągnął on pod swój bezpośredni zarząd policją stolicy i kraju, pośrednio zaś mięszał się do całego zarządu administracyjnego.

Z tego przywłaszczenia sobie zarządu policji w stolicy przez W. Xięcia, oraz municypal-

ności miasta Warszawy, spływały na jej obywateli różnego rodzaju uciski.

W. Xiąże wykonywał władzę swoją przez osoby, które powodowane chęcią zysku, zaparłszy się wszelkich obowiązków względem kraju i wszelkiego szlachetniejszego uczucia, stały się ślepymi wykonawcami woli W. Xięcia. Podniecali jego podejrzliwość, strasząc go niechęcią i żądzą spiskowania dla obalenia prawej władzy większej części mieszkańców, aby stać się mu niezbędnymi i ślepem jego w nich zaufaniu, zapewnić sobie bezkarność w zdzierstwie obywateli i w dokonywanych na nich bezprawiach i gwałtach.

Rożniecki, generał jazdy, naczelnik żandarmerji i tajnej policji; Lubowidzki, wiceprezydent miasta Warszawy, czyli dyrektor policji i Czarnecki, szef biura kwaterunkowego, byli głównymi działaczami w tym tyranizowaniu i obdzieraniu miasta.

Wojda, radzca stanu i prezydent miasta Warszawy, wraz z innymi wyższymi urzędnikami municypalności warszawskiej, był pośrednim ich wspólnikiem, bo wolał dzielić się z nimi zyskiem, jak stając w obronie interesów miasta, narazić się wszechwładnym ulubieńcom W. Xięcia i ściągnąć ich i jego gniew na siebie.

Trudno się było dziwić prezydentowi Warszawy, że lękał się obrazić W. Xięcia, kiedy rada administracyjna, kiedy ministrowie ulega-

jąc W. Xięciu, nieśmieli podnieść głosu i woleli nieobrażając wszechwładnego pana, mieć także wolną rękę i w zakresie swojego urzędowania działać nie wedle rzeczywistego interesu kraju, lecz wedle swoich widoków i bezpośrednich korzyści.

Tak n.p. prezes senatu, Ordynat Zamojski, miał do zrobienia piękny interes, który jednak bez woli i pobłażliwości W. Xięcia, naczelnego wodza, niemógł być załatwionym. Szło tu o sprzedanie twierdzy Zamościa, a raczej tytułu własności onejże, rządowi Królestwa Polskiego. Interes ten już za rządu X. Warszawskiego był traktowany, ale nie załatwiony ostatecznie i stanowczo. Twierdza ta pod względem strategicznym niemiała żadnego znaczenia, opinja o jej ważności wojennej zależała od naczelnego wodza, trzeba mu było więc schlebiać, aby przychylną opinję uzyskać. Otrzymawszy ją, zyskowne zakończenie interesu łatwą było rzeczą, bo jak wiadomo, ręka rękę myje, minister wojny i minister skarbu niemogli być zbyt skrupulatnymi względem prezesa senatu. Jakoż zachciało się W. Xięciu Zamościa, bo kupnem tem, przebiegły Moskal, zjednywał sobie prezesa Senatu. Szacunek własności tego miasta, mógł być wyprowadzonym jedynie z propinacji, z prawa bowiem propinacji pobierał właściciel dochód. Przezorny ordynat hr. Zamojski, na lat 5 przed sprzedażą wypuścił propinacją miasta Zamościa na lat 6 panu Kickiemu, za roczną sumę 360,000 zł. pol.

Gdy więc przyszło do układów stanowczych z rządem Królestwa Polskiego o nabycie Zamościa, plenipotent ordynata pan Hermann, oświadczył: iż Ordynat hr. Zamojski, chcąc ułatwić rządowi nabycie potrzebnego mu miasta, nie żąda gotówki, ale przystaje na zamianę w dobrach ziemskich, w którychby dochód wyrównywał dochodowi, jaki Ordynat pobiera z propinacji miasta Zamościa, a który wynosi 360,000 zł. pol. rocznie, jako to dowodzi kontrakt dzierżawny. Rząd przyjął propozycje Ordynata Zamojskiego, przedstawione mu przez jego pełnomocnika Hermana i w zamian za kupione miasto Zamość, kazał wydzielić z dóbr narodowych Ordynatowi Zamojskiemu taką ilość folwarków z lasami, aby dochód z nich wyrównał dochodowi propinacyjnemu z miasta Zamościa, to jest aby czynił rocznie 360,000, a ponieważ dochody z dóbr rządowych na bardzo niską skalę rachowane były, przeto w skutku tej sprzedaży, Ordynat Zamojski otrzymał w zamian za Zamość, ogromne dobra w różnych stronach kraju. Rząd tak był przytem zadowolniony z uskutecznionej zamiany, iż pełnomocnika Ordynata Zamojskiego, p. Hermana, nie tylko obdarzył orderem Św. Stanisława 2 klasy, ale przeniósł go do służby publicznej, mianując referendarzem stanu.

Wynagrodzenie pełnomocnika Ordynata Zamojskiego, daniem mu orderu i wzięciem do

służby publicznej, mogło by wzbudzać podejrzenie, iż on w tej zamianie z uszczerbkiem pana swojego, na korzyść skarbu publicznego działał. Lecz rzecz się miała przeciwnie, pełnomocnik Ordynata został właśnie wynagrodzony za to, że bez względu na sumienie, dbał o jak największą korzyść swojego pana i zręcznie wyprowadził w pole skarb rządowy, którego zresztą zwierzchnicy, gwoli Ordynata Zamojskiego, w interesie z nim robionym, przez zakopcone okulary patrzeli.

Podstawą albowiem oszacowania miasta Zamościa był zawarty na lat 6 z Panem Kickim, kontrakt dzierzawny o propinacją i właśnie tak się jakoś wydarzyło, że po zamianie dokonanej z rządem, tylko jeden rok dzierzawca propinacji miał dotrzymać kontraktu; zapłacił więc ratę rządowi, ale gdy wedle przyjętej formy w rządowych wydzierzawianiach, ogłoszono, o na nowo rozpocząć się mającą dzierzawę propinacji miasta Zamościa licytacją publiczną, dawny dzierzawca nie zgłosił się, cena zaś propinacji tego miasta, przeszedłszy na własność rządu, tak się zniżyła, iż z 360,000 zł. pol. rocznego dochodu, który według kontraktu Ordynat pobierał, zeszła na 24,000 zł. pol. rocznie, bo nikt z spekulantów nie chciał dać więcej.

Rządy więc W. Xięcia miały wprawdzie wielkie niedogodności dla ogółu, ale pod pewnym względem i dla pewnych osób, miały też

i znakomite korzyści. Bo choć się coś czasem i niekoniecznie zgodnie z sumieniem działało, ale gdy do tego wpływał W. Xiąże, trwoga przed nim zamykała wszystkim gębę i jakoś każdy, choćby najnieczystszy interes, utarł się.

Pomruczano półgębkiem w tajemnicy, ale nikt jawnie nieśmiał wystąpić, bo odezwawszy się niewcześnie, mógł świata już więcej nie ujrzeć i pomimo artykułu konstytucji *neminem captivari permittemus*, zgnić na dobre w lochach u Karmelitów lub w koszarach gwardji Wołyńców.

W. Xiąże też pewny, że naczelnicy administracji oporu mu stawiać nie będą, bo uległość ich dla jego wybryków zapewniała im także samowolność i znaczne korzyści, nie rządząc w urzędowym tego słowa znaczeniu, wywierał jednak wpływ przeważny na sprawy zarządu krajowego, mianowicie zaś na obsadzenie posad bądź w administracji krajowej, bądź w zarządzie lasów i bez względu na kwalifikacje prawem wymagane, polecał na wakujące posady exwojskowych lub cywilnych, którzy potrafili znaleść drogę do przeważnej protekcji W. Xięcia. Chociaż tedy było przepisanem, iż posady administracyjne mają być obsadzane przez ludzi, którzy złożywszy examina z nauk administracyjnych, wykładanych w Uniwersytecie, odbędą praktykę w urzędach, urzęda zaś leśne mają być udziałem ludzi, specjalnie w szkole leśnictwa,

wzorowo urządzonej, wykształconych, wszelako przepisy te były zwykle lekceważone przez W. Xięcia, a władze, od których nominacja na urzęda zawisłą była, nie stały przy prawie, ale z pominięciem go, ulegały skinieniom W. Xięcia. Ztąd posady administracyjne, komisarzy obwodowych, burmistrzów, naczelników komor i nadleśnych, obsadzane bywały przez osoby protegowane przez W. Xięcia cywilne, lub exwojskowe, bez względu na to, czy miały jakąkolwiek do tego kwalifikację lub nie. Zdarzało się czasem, że przy odbywaniu *pro forma* examinie, składający go, okazał się tak niezdolnym, iż komisja examinacyjna pomimo całej uległości dla W. Xięcia, nie posuwała jednak cynizmu do wydania opinji wbrew namacalnej oczywistości i uznania, n. p. za zdolnego na nadleśnego, mającego administrować według prawideł umiejętnego gospodarstwa lasowego rządowemi lasami, człowieka, który najmniejszego pojęcia o tem nie miał. Wówczas odsuniętego wzywał W. Xiąże do siebie na examin i zapytawszy go, czy brzoza ma korę białą a dąb liście zielone, po otrzymaniu twierdzącej odpowiedzi, odsyłał z nakazem dania mu posady, bo zdał dobrze examin, władza zaś polegając na świadectwie W. Xięcia o uzdolnieniu kandydata, mianowała go na urząd, z pominięciem rzeczywiście uzdolnionych kandydatów.

A jak W. Xiąże pozwalał sobie wbrew słu-

szności urzędami publicznymi szafować i rozdawać je exwojskowym, lub przedstawianym mu osobom przez ulubieńców swoich, tak też i naczelnicy administracji najczęściej idąc za przykładem W. Xięcia, nie rzeczywiście zasłużonym, lecz faworytom swoim lub protegowanym przez znakomitsze osoby rozdawali urzędy.

Obsadzanie jednak urzędów w sądownictwie nie ulegało samowolności W. Xięcia.

W początkach albowiem organizacji Królestwa, władze sądownicze potrafiły z godnością utrzymać niezawisłość swoją, chociaż W. Xiąże próbował i tam wpływ swój rozciągnąć, ale zawsze natrafił na nieugiętość w trzymaniu się zasady prawa.

Że zaś Cesarz Alexander, w początkach utworzenia Królestwa dbał o utrzymanie w obec Europy, dobrego mniemania o jego liberalizmie i poszanowaniu sprawiedliwości, nie chciał więc aby niezawisłość sądownictwa jawnie i otwarcie gwałconą była; zwłaszcza, że złamanie opozycji władz sądowych, opierających się na prawie, zbyt byłoby rozgłośnem i skandalicznem; pobłażając więc w innym względzie dzikim wybrykom brata swego, przynajmniej w kwestji sądownictwa, chciał rzeczy pozostawić na właściwym torze.

W pierwszych już starciach się swoich z sądownictwem a raczej wmięszaniu się i wpływaniu na bieg sprawiedliwości, natrafiając na opór,

W. Xiąże odniosłszy się do Cara, nie znalazł ślepego zastosowania do swego przedstawienia, ale bezstronne rozważenie rzeczy i sprawiedliwy sąd o niej.

Zdarzyło się albowiem, iż generał Rautenstrauch, szef kwatermistrzostwa, miał proces w r. 1819 z panami Chevalier, o sumę przeszło miliona zł. pol., która się tym panom z tytułu spółki jaką prowadzili w zawodzie garbarskim z ojcem generała należała, a którą tenże generał, jako spadkobierca majątku pozostałego po ojcu, winien był im zapłacić.

Generał przegrawszy proces w pierwszej instancji, udał się pod protekcję W. Xięcia, u którego był w łaskach i któremu z łatwością wytłumaczył, iż wbrew wszelkiej słuszności, trybunał pierwszej instancji, powodowany duchem opozycji, przychylnie wyrokował na stronę Francuzów, na jego zaś szkodę, właśnie dla tego, że jest generałem zaszczyconym względami W. Xięcia, Naczelnego Wodza. W. Xiąże wziął sprawę do serca i postanowił, bądź co bądź, niedopuscić pokrzywdzenia generała i sprawić to, aby sąd apelacyjny wyrok trybunału pierwszej instancji Województwa Mazowieckiego skasował, generała Rautenstraucha od nakazu zapłacenia należytości Francuzom uwolnił i tychże na zapłacenie kosztów procesu skazał. W dopięciu tego celu, użył całej potęgi swojego wpływu; zalecił ówczesnemu Namiestnikowi i Mini-

strowi sprawiedliwości, iż sprawę tę uważa za własną i wymaga po nich, aby czuwali nad tem, żeby Sąd Appelacyjny wyrok niegodziwy Trybunału I Instancji skasował. Oprócz tego, wysłał ramienia swego generała moskiewskiego Kriwcowa ze sztabu swego, do Prezesa Sądu Appelacyjnego, Onufrego Wyczechowskiego z wyraźnem oświadczeniem, iż W. Xiąże żąda, aby niegodny wyrok Trybunału został uchylonym, aby sprawiedliwości za dosyć się stało, bo w przeciwnym razie, będzie to uważał za osobistą obrazę i odwoła się po wymiar sprawiedliwości, do najdostojniejszego brata swego Cesarza Wszech Rossyi, a skutki, jakie ztąd wypadną, sądy same sobie przypiszą. Prezes Sądu Appelacyjnego odpowiedział posłańcowi W. Xięcia, iż może zapewnić Jego Cesarzowiczowską Mość, że sprawa ta będzie zbadaną z największą skrupulatnością, za sumienność zaś i ścisłe zastosowanie się do przepisów prawa w wydaniu wyroku przez sędziów, on jako mający zaszczyt przewodniczenia Sądowi Appelacyjnemu, zaręczyć może.

Namiestnik z swej a Minister Sprawiedliwości z swej strony, parci przez W. Xięcia, nieomieszkali wpływać na Prezesa Sądu Appelacyjnego, aby o ile się da, starał się uwzględnić życzenia W. Xięcia, i nie narażał na jego gniew i prześladowanie sądownictwa, zwłaszcza iż wie jak jest pobłażającym dla niego Cesarz. Pona-

wiał w czasie trwania procesu i generał Krywców z rozkazu W. Xięcia swoje odwiedziny u Prezesa Sądu Appelacyjnego, starając się przymileniem i obietnicami łask, w części zaś groźbą nagiąć go do widoków W. Xięcia. Ale Prezes był jako sędzia charakteru niezłomnego, prawnik przytem znakomity, umiejący wpływem swoim utrzymać na stanowisku zupełnej niezawisłości kolegów swoich.

Przez to wmięszanie się W. Xięcia i parcie jego na sądy, sprawa ta nabyła rozgłosu i zainteresowała publiczność. Przepełnioną więc była Izba Sądu Appelacyjnego mnóstwem osób, przysłuchujących się z zajęciem umiejętnym i wymownym obronom adwokatów, wygłaszanym przed kratkami sądowemi przez dni kilka. Z nierównie większą ciekawością wyczekiwała publiczność orzeczenia sądowego, które pomimo zawiłości sprawy, w wewnętrznem przekonaniu swojem, rozstrzygała na korzyść Francuzów. Radość też była wielka, gdy podwoje Sądu zamknięte w czasie długich deliberacji, rozwarły się i wyrok Sądu Appelacyjnego potwierdzający w zupełności wyrok Trybunału I Instancji, ogłoszonym został. Ale, o ile publiczność zadowolnioną została tą niezawisłością i bezstronnym wymiarem sprawiedliwości Sądu Appelacyjnego, o tyle W. Xiąże był oburzonym, tym buntowniczym oparciem się jego woli. Niedopuścił się jednak bezpośredniego gwałtu, ale

czemprędzej wysłał do Petersburga kurjera, donosząc Carowi, iż sądy tutejsze nienawistne prawej władzy, dla dokuczenia jemu, wydały najniesprawiedliwszy wyrok w sprawie generała Rautenstraucha, którego on protegował i dla przypodobania się motłochowi, wyrządziły Rautenstrauchowi największą i najdotkliwszą krzywdę, bo go skazały na zapłacenie miliona zł., awanturnikom Francuzom. A że sprawa generała Rautenstraucha, stała się sprawą jego, krzywda więc temu wyrządzona, jest krzywdą jego, spodziewa się więc, iż Cesarz nieda mu krzywdy żrobić, prośby jego wysłucha i skarci surowo sądy, które w ten sposób poważyły się go obrazić.

W skutku tego raportu W. Xięcia, przyszedł niebawem rozkaz z Petersburga do Ministra sprawiedliwości, ąby wstrzymać wykonanie wyroku w sprawie generała Rautenstraucha z panami Chevalier i wszystkie akta tyczące się tej sprawy, wraz z wyrokiem Sądu Appelacyjnego i motywami onego, przesłać wprost na ręce Cesarza.

Zakomunikowanie tego rozkazu cesarskiego, dało powód do różnych domysłów. W. Xiąże tryumfował, Rautenstrauchowi dodawał otuchy, mówiąc, nauczymy rozumu tych gryzipiórków.

Prezes Sądu Appelacyjnego (który był moim opiekunem i w którego domu chowałem się), przyszedłszy do domu po otrzymaniu tej wia-

domości, oświadczył żonie swej w obecności mojej, iż sprawę Rautenstraucha kazał Cesarz ze wszystkimi dokumentami przesłać sobie. Niewiem jaki jest zamiar Cesarza, ale, bądź co bądź, spokojne mam sumienie a przytem zadowolnienie, że sądy zachowały się tak, jak przystoi stróżom sprawiedliwości. Dadzą dymisją, to będziemy skrobać kartofle na wsi, ale przy czystem sumieniu, śmiało każdemu spojrzymy w oczy. »

Blisko rok trwała niepewność. Cesarz albowiem kazał te wszystkie akta przełożyć na język niemiecki, francuzki i angielski i przesłać do fakultetów prawniczych, przy jednym z uniwersytetów w Niemczech, we Francji i w Anglii, aby tamtejsi doktorowie i profesorowie prawa orzekli, czy odpowiednio do tych przedłożonych aktów, wyrok Sądu Appelacyjnego wydany na podstawie kodeksu cywilnego francuzkiego, jest zgodnym z tem prawem i odpowiada wymaganiom sprawiedliwości.

Komisje te prawnicze, na żądanie Cesarza obradujące nad krytycznem rozbiorem wyroku Sądu Appelacyjnego, takowy w zupełności potwierdziły.

Po otrzymaniu opinji rzeczoznawców, Cesarz dał radę W. Xięciu, aby się do sądownictwa niemięszał i spraw cywilnych w swoją opiekę nie brał, bo na sądy Królestwa zupełnie się co do wymiaru sprawiedliwości spuścić można.

Do mojego zaś opiekuna przy przesłaniu mu

orderu Sw. Stanisława I klasy, dołączył Cesarz list własnoręczny, w którym wyraził jak najzupełniejsze zadowolnienie z czynności jego jako przewodniczącego sądownictwu oraz zupełne uznanie dla całego sądownictwa pod jego sterem zostającego.

List ten cesarski w swoim czasie ogłoszony w pismach publicznych, zrobił dobre wrażenie i był niejako balsamem łagodzącym rozjątrzenie umysłów, wywoływane licznemi nadużyciami, których się W. Xiąże wraz ze swymi poplecznikami, tak w zarządzie administracyjnym, jak i w stosunkach politycznych z krzywdą dotkliwą ogółu bezkarnie dopuszczał.

Car przebiegły wiedział z resztą, iż tym powstrzymaniem samowoli W. Xięcia wmięszanie się w spory czysto cywilne, zjedna sobie przychylność i utwierdzi błędne mniemanie, rozszerzane przez zwolenników swoich, iż deptanie swobód zaręczonych konstytucją i gwałty dokonywane na osobach przez W. Xięcia dzieją się wbrew jego woli.

Car sprawiedliwy i wspaniałomyślny boleje nad gwałtownością brata swojego, ale znów ścisły związek krwi i przywiązanie bez granic W. Xięcia, którego tyle mu dał dowodów, nie dozwalają mu zrywać z nim, i zmuszają do pobłażliwego postępowania.

Obydwa więc rozdzieliwszy pomiędzy siebie role, odgrywali je ze szkodą narodu.

2

Car rzadkim gościem będąc w Warszawie, bawił się za przybyciem w liberalnego i uprzejmego pana, zostający zaś ciągle w kraju brat jego, rządził z najbezwzględniejszym despotyzmem i tamując wszelki rozwój wolności, dążył do zatarcia śladów konstytucji i zmuszenia narodu do ślepej uległości.

Pod wpływem też zgubnym W. Xięcia szerzyła się demoralizacja w sferach urzędniczych, za przykładem wszechwładnego pana, coraz więcej smakujących w deptaniu form konstytucyjnych.

Stosowanie się albowiem ślepe do woli W. Xięcia, z pominięciem i pogwałceniem konstytucji, zapewniało ministrom zupełną bezkarność w samowolnem ich postępowaniu. Wprawiał ich do tego i przykładem swoim ośmielał skrupulatniejszych do przezwyciężenia wstrętu do nadużyć, Xawery Xiąże Lubecki, mianowany przez Cara Ministrem Skarbu Królestwa Polskiego. W służbie moskiewskiej wykształcony, przejęty zasadą, iż byle pana zadowalniać, motłoch, to jest naród można wyzyskiwać wedle własnego widzi mi się, nie oglądając się, czy to się zgadza z prawem i z sumieniem, zasadę tę wprowadził z zupełną bezwzględnością w tok służby publicznej, zarządowi jego powierzonej. Stanowisko zresztą swoje w Kongresówce uważał jako środek do zyskania łaski Cara, stania mu się niezbędnym i zostania później

z ministra finansów drobnego Królestwa, ministrem finansów olbrzymiego Carstwa moskiewskiego. Nie szło mu więc o rzeczywiste dobro kraju, ale o napełnienie jakimkolwiek bądź sposobem pustej kasy rządowej, dla utrzymania i opłacenia wymaganej przez W. Xięcia liczby wojska, zwłaszcza, że poprzednik jego dla ulżenia ciężarów krajowi, niemogącemu się jeszcze podźwignąć z klęsk doznanych z powodu zupełnego spustoszenia kraju w czasie wojen napoleońskich, proponował dla zrównania wydatków z dochodami, zredukowanie wojska do dwóch trzecich części. Minister trzymający się ściśle drogi konstytucyjnej, w zaprowadzeniu wszelkiej możliwej oszczędności upatrujący jedyny środek wyjścia z kłopotów finansowych, w które zbieg poprzednich nadzwyczajnych wypadków kraj pogrążył, musiał ustąpić miejsca temu, który nie oglądając się na konstytucją i na prawa osób trzecich, podjął się pomimo ubóstwa kraju wojsko w całości utrzymać i kasę rządową zaopatrzyć w zasoby, odpowiadające wszelkim wymaganiom tak Cara jak i W. Xięcia. Aby temu zadaniu podołać, X. Lubecki z samowolą czynownika moskiewskiego zagarnął fundusze miast, summy instytutowe, zaprowadził monopol tabaki i z łatwością napełnił próżną dotąd kasę rządową. Administracja jego samowolna obudzała nieukontentowanie w kraju, ale Xiąże minister nie wiele zważał na to,

bo W. Xiąże był zadowolnionym, mając dostarczane przez ministra potrzebne fundusze na utrzymanie wojska.

Zaprowadzenie Towarzystwa Kredytowego uratowało szlachtę od bankructwa, otworzenie Banku ożywiło ruch przemysłowy i złagodziło przykre wrażenie, jakie samowolne postępowanie X. Lubeckiego obudziło w pierwszych chwilach.

Xiąże minister dla zjednania sobie zwolenników, otworzył obszerne pole dla wszelkiego rodzaju spekulantów, którzy w rozmaitych przedsiębierstwach poparci wszechwładną opieką swojego mecenasa, ogromne osiągnęli zyski. Szał robienia łatwego majątku kosztem ogółu, ogarnął wielu i zmienił ich w gorliwych popleczniḱów Xięcia ministra, który jakby różczką czarodziejską, ów przed chwilą ubogi kraj przemienił w Eldorado, dla ludzi chciwych zysków a niezbyt skrupulatnego sumienia. Ministerjum skarbu stało się tym przybytkiem szczęśliwym, do którego gdy się kto dostał, lub wszedł z niem w stosunki, już miał los zapewniony i przy jakiej takiej zręczności mógł się obłowić. Zaraza ta przeszła powoli i do innych ministerjów, tam także, kto potrafił zjednać sobie względy przełożonych, swobodną mógł mieć exystencją i nie brak mu było obrywek, bo główny szafarz dochodów Xiąże minister skarbu, im więcej miał wspólników swojego gospodarstwa, tem się

czuł silniejszym, nie skąpił więc i dla drugich kolegów okruchów, gdy sam mógł nieograniczenie zasobami kraju szafować.

System zarządzania sprawami publicznemi, tak W. Xięcia—Naczelnego Wodza, jak i Xięcia Ministra skarbu, opierając się na samowoli i demoralizacji społeczeństwa, upatrywał najpewniejszą rękojmię swojego istnienia. Ztąd zapewnienie dobrego bytu swoim zwolennikom, patrzenie przez szpary na wybryki swych wiernych, było ponętną skazówką dla tych wszystkich, którzy własny materjalny interes mając jedynie na celu, byli pewni dopięcia go, poświęcając skrupuły sumienia bezwzględnemu zastosowaniu się do woli wszechwładnych panów, którzy i powodzenie i bezkarność wiernym swym sługom zapewnić mogli.

W skutku tej tendencji rządu, a właściwie dwóch głównych kierowników zarządu krajowego, to jest W. Xięcia i X. Ministra, gdyż Namiestnik i Rada Administracyjna, pomimo całego ich uszanowania dla konstytucji, woleli zawsze narazić się temu prawu pisanemu, jak W. Xięciu, który z tem prawem pisanem nigdy zgodzić się nie mógł, szerzyła się po kraju demoralizacja, podniecana pewnością materjalnych zysków i zjednywała w hierarchji urzędniczej bezwzględnych popleczników i wykonawców samowoli rządowej. Na prowincji bezprawność postępowania nie tak się czuć dawała, jakkol-

wiek prezesowie komisji wojewódzkich w stolicach wojewódzkich, komisarze obwodowi w swych obwodach, byli to mali baszowie, wszelako stosunkami rodzinnymi połączeni z obywatelstwem, starali się tak rzeczy prowadzić, aby jak to mówią, i wilk był syty i owca cała. Mieli powagę, nie zbywało im na niczem, bo szlachta hojne grzeczności robiła, a ztąd się wywiązywał pewien stosunek przyjacielski, który łagodził wszystko i byle dokuczenia komu z góry od W. Xięcia wyraźny rozkaz nie przyszedł, któremu nikt nie śmiał się opierać, to życie było na prowincji w ogóle swobodne. Bo interesa wzajemne kombinowały się, jedni drugim robili ustępstwa.

Wszystkie dobra narodowe bywały wypuszczane w dzierzawę, którą zwykle brała szlachta, lub wysłużeni wojskowi. Ceny dzierzawne zwykle bywały bardzo niskie, ztąd i dzierzawcom i urzędnikom szacującym działo się dobrze. Lasami rząd sam administrował przez urzędników, którzy powinni byli pokończyć szkoły leśnictwa, ale że W. Xiąże system protekcji sam zaprowadził, przeto zwykle posady nadleśnych i podleśnych dostawały się wysłużonym wojskowym, protegowanym przez W. Xięcia, lub osobom cywilnym, protegowanym przez dygnitarzy. Urzęda to były synekurami, płaca była licha, bo nadleśny miał 2000 zł. a podleśny 300 zł. rocznie, ale gospodarstwo leśne tak szło dobrze,

że ów podleśny 300 zł. rocznie pobierający, miał 4 konie do wyjazdu, trzymał kucharza i żył jak obywatel, mający przynajmniej trzy folwarki dobre. Wesołe więc było życie. Pan prezes komisji wojewódzkiej jeżeli był myśliwym, komisarze obwodowi i szlachta okoliczna, polowali po lasach rządowych, razem z nadleśnymi i podleśnymi i zapominano o ucisku i despotyzmie W. Xięcia, który się zresztą nie mógł nawet tak dotkliwie dać uczuć w odleglejszych od stolicy punktach. Robiło się też dobre interesa na zakupnie drzewa, nie brakło zysków przy rozmaitych przedsiębierstwach, które z powodu zakładania fabryk i dźwigania górnictwa przez rząd, nastręczyły każdemu, który jakikolwiek stosunek miał z władzami rządowemi, pewne zyski. Ucisk więc w właściwym tego słowa znaczeniu koncentrował się w stolicy, siedlisku W. Xięcia i władz głównych krajowych, które wybrykom jego dzikiej fantazji nie umiały stawić oporu, ale przeciwnie, uległością bezwzględną starały się zażegnać gniew jego i zjednać sobie przychylną opinię w obec Cara. W. Xiąże ślepe posłuszeństwo, do którego bezwzględnym terroryzmem wzwyczaił wojsko, starał się rozciągnąć na cywilnych. Pod jego wpływem wszelkie gwarancje zapewnione konstytucją wolności osobistej obywateli, stopniowo usuwane zostały.

Nikt z Warszawy wyjechać, ani przybyć do niej nie mógł, bez zameldowania się na rogatce,

po co i na jak długi czas przyjeżdża, lub gdzie wyjeżdża. Niektórym osobom wstęp do stolicy był całkiem wzbronionym. Meldowania te tem uciążliwszemi były, iż w skutku wypuszczenia w dzierżawę dochodów niestałych i monopolu tytoniu i tabaki przez Xięcia Ministra, podróżni narażeni bywali na ścisłą rewizją, którą zwykle urzędnicy wypełniali z wszelką dokuczliwością, jeżeli podróżny nie był tyle domyślnym, aby się im opłacić.

Samowładztwo W. Xięcia i rządu, który się do jego fantazji starał stosować, nie mogło się pogodzić z wolnością mówienia i pisania, to też pomimo zagwarantowania tejże przez konstytucją, zaprowadzono ostrą cenzurę, której naczelnikiem został Józef Kalasanty Szaniawski. Człowiek ten znakomicie wykształcony, w młodości swej przebywając w Paryżu, w czasie wielkiej rewolucji francuzkiej był najzapaleńszym jakobinem i miał czynny udział w ówczesnych klubach, w których nieraz równie jak przed kratą konwencji, namiętną odznaczał się wymową. Wszelako pomimo tej exeltacji, kierownikiem działania tego człowieka był jedynie interes osobisty, chęć zysku i wyniesienia się. To też z odmianą wypadków zmieniały się jego przekonania polityczne, które układał zawsze odpowiednio do woli tych, którzy dzierzą władzę w ręku. Z republikanina zmienił się w monarchistę, ale wolnomyślnego, bo była chwila,

gdy to popłacało; lecz gdy Car przerażony duchem opozycji, objawiającym się w Europie, chwycił się środków represyjnych, gdy wszelkie towarzystwa surowo zabronione a loże wolno mularskie rozwiązane zostały, Szaniawski wietrząc te zmiany w usposobieniu Cara, starał się zastosować do nich zawczasu. Z ateusza prawie stał się nadzwyczaj nabożnym, co tydzień chodził do spowiedzi i komunikował, w czasie uroczystości krzyżem na środku kościoła leżał, w domu grał na fortepianie tylko pieśni nabożne, w piątki suszył, aby służący widzieli tę jego pobożność, ale w restauracji u Marego miał pokoik w którym zamknięty obiad mięsny spożywał. Zgoła, stopniowo ów jakobin, ów rewolucjonista, zmienił się w człowieka arcypobożnego, arcykonserwatywnego i wyznającego cześć bezwzględną i wiarę niezachwianą dla tronów i pomazańców bożych.

Postawiwszy na straży dziennikarstwa i wszelkiego wydawnictwa dzieł w kraju wychodzących człowieka zdolnego, jakim był Szaniawski, ale mającego na głównym względzie utrzymanie się na posadzie dobrze płatnej, rząd był pewnym, iż żadna myśl wolniejsza, żaden objaw narodowego uczucia, nie potrafi się wydobyć na jaw z pod bacznego dozoru renegata wytrawnego, który jak wszyscy podobni jemu ludzie, przesadną gorliwością starał się zatrzeć w oczach rządu, który mu dobrze płacił, wszyst-

kie ślady nawet swoich dawniejszych przekonań. Szaniawski też, w całem tego słowa znaczeniu, był nieubłaganym cenzorem, każda myśl swobodniejsza, każdy objaw narodowego uczucia, każda alluzja mogąca przypomnieć wspomnienie dawnej świetności i niepodległości Polski, była w dziełach i pismach mających się drukować pilnie przez niego strzeżoną i nie wypuszczaną na świat. Przesada w tej cenzuralnej skrupulatności Szaniawskiego, nie pozostawiała żadnej nadziei piszącym, aby go módz przebłagać, lub podejść. Humnicki, nauczyciel języka i literatury polskiej w Liceum Warszawskiem, napisawszy tragedją « Żółkiewski pod Cecorą », gdy mu cenzura nie pozwoliła drukować a tem mniej przedstawić w teatrze tej sztuki, chcąc koniecznie popisać się z nią przed publicznością, przyszedł na pomysł zuchwały a niebezpieczny odwołania się w tym względzie do W. Xięcia. Pomysł mu się jednak udał, bo odwołanie się do sądu W. Xięcia pochlebiało jego próżności i namiętnej żądzy mięszania się do wszystkiego. W. Xiąże rad był z tego pomysłu Humnickiego, bo życzył sobie, aby za jego przykładem i w innych sprawach odwoływano się do niego, a tem samem, aby go uznano za najwyższą pod każdym względem władzę kraju. Nad przedłożonym sobie rękopismem przez Humnickiego, nie miał ochoty mozolić się osobiście, ale zawoławszy Kurutę, generała piechoty i szefa sztabu

głównego, polecił mu przejrzeć rękopism i przekonać się, czy w nim niema co niedozwolonego i czy można tę sztukę przedstawić w teatrze. Kuruta z rodu grek, ale długoletnią służbą w wojsku moskiewskiem, mianowicie przy W. *X*ięciu, którego był domownikiem i ulubieńcem, przedzierżgnięty w ślepo uległego dzieńszczyka moskiewskiego, chociaż po polsku mało co rozumiał, ale skoro pan kazał, wolę jego spełnić widział się obowiązanym. Mozolić się jednak nad pismem, którego mało co mógł rozumieć, nie widział potrzeby, ale sobie wyrozumował, iż skoro Humnicki przedłożył to swoje pismo W. Xięciu, toć nic w niem nie musi być złego, bo by się młody nauczyciel nieodważył narazić na gniew tak potężnego a gniewliwego pana. Potrzymawszy więc rękopism jakiś czas u siebie, zdał sprawę W. Xięciu, iż można pozwolić wydrukować i grać tę sztukę. Z wielkiem więc zadowolnieniem Humnickiego, nakazano z rozkazu W. Xięcia wbrew cenzurze grać tę sztukę i W. Xiąże zapowiedział na niej swą bytność. Sztuka ta 'pod względem dramatyczności nie wiele warta, naszpikowaną była zdaniami najliberalniejszemi, opozycją najgwałtowniejszą przeciwko samowoli monarszej, przytem i wspomnieniami przywodzącemi na pamięć przewagę Rzeczypospolitej Polskiej nad Moskwą. Przepełnionym też był teatr w czasie jej przedstawienia. Ustępy jak n. p. gdy Koniec-

polski rzuca nadeszły rozkaz Zygmunta III i mówi z oburzeniem:

Polak gardzi groźbami, nie ulega dumie,
Na wolnej zrodzon ziemi, wolność cenić umie,
Wielbi ojców ojczyzny — nienawidzi panów,
A krwią ryte rozkazy — krwią maże tyranów.

Lub gdy Żółkiewski w sporze z Kalinowskim zapytuje go:

Gdzieżeś był, jakim żeś się wówczas wsławił czynem,
Kiedym pamiętną bitwę wygrał pod Kluszynem,
Kiedym świetną stolicę potężnego państwa,
Przymusił do wyznania królowi poddaństwa,
Kiedym jej dumne cary na domiar mej sławy,
W tryumfie przyprowadził z Moskwy do Warszawy.

Wywołały zapał i uniesienie publiczności; grzmiące i bezustannie ponawiające się oklaski przeciągały się nad miarę, pomimo obecności W. Xięcia, który do najwyższego stopnia rozjątrzony, sztukę raz na zawsze zakazał, exemplarze onej kazał zabrać, autora na kilka dni do kozy wsadził, swego zaś szefa sztabu wypoliczkował i skopał nogami. Ostatni przyzwyczajony do podobnego traktowania, przyjął go z stoiczną rezygnacją, zwłaszcza, że zwykle po takiej burzy, horyzont dobroci pańskiej pogodniejszym świecił blaskiem dla uległego sługi. To też w początkach jeszcze organizacji wojska polskiego, gdy generałowie nasi nie przywykli do wybryków W. Xięcia, udali się do tego samego generała

Kuruty, przedstawiając mu, iż oni podobnego postępowania znieść nie mogą i wzywając go, aby jako posiadający zaufanie Jego Cesarzowiczowskiej Mości, przedstawił mu niestosowność podobnego zachowania się względem nich, a zarazem i oświadczenie, iż oni wolą usunąć się ze służby, jak narażać się na ubliżenie swej ludzkiej godności. Kuruta im z cynizmem niewolniczym odpowiedział: « Moi panowie, ja jestem generałem broni, szefem sztabu głównego, ozdobiony najpierwszymi orderami rossyjskimi i innych państw, pomimo tego W. Xiąże mnie czasem uderzy, nieraz nazwie krową lub świnią, ja zaś to wszystko znoszę bez szemrania, bo on jest Cesarzewicz, mój pan; a przytem jak go gniew ominie pan dobry, radzę więc i panom zastosować się w tym względzie do mego zachowania się, a będzie wam dobrze. »

Skrępowawszy wolność druku przez zaprowadzenie ostrej i podejrzliwej cenzury, wzięto się do przytłumienia oświaty, która pod przewodnictwem mężów znakomitych wiedzą i odznaczających gorącym patrjotyzmem, zbyt rażące dla Cara roztaczała światło. Potocki Stanisław, minister oświecenia, Niemcewicz, Staszyc, członkowie Komisji edukacyjnej, zostali usunięci z posad, zaszczytnie i z pożytkiem dla kraju dotąd przez nich zajmowanych. Miejsce Potockiego Stanisława zajął Stanisław Grabowski, syn naturalny króla Poniatowskiego.

Człowiek encyklopedyczne mający wiadomości, ale przytem charakteru słabego, przy miernym majątku, wyniesienie swoje na stopień ministra, z płacą 40,000 zł. pol. rocznie, uważał za tak wielkie wyświadczone mu przez rząd dobrodziejstwo, iż czuł się obowiązanym do wdzięczności względem rządu, nakazującej mu bezwzględną dla niego uległość. Obawa narażenia się rządowi i utracenia materjalnych korzyści, zawisłych od jego łaski, zniewalały nowego ministra do ślepego wykonywania rozkazów, dążących do przytłumienia oświaty i zatarcia w umysłach młodego pokolenia uczuć narodowych.

Z oddaniem zarządu oświecenia publicznego Stanisławowi Grabowskiemu, nastąpiło utworzenie kuratorji pod prezydencją kasztelana Oebschelwitza. Instytucja ta była po prostu urządzeniem policji oddzielnej dla szkół. Zacząwszy od Uniwersytetu, wszystkie gimnazja były oddane pod bezpośredni nadzór policyjny kuratorji. Oebschelwic Dawid jako naczelnik tej policji, miał główny nadzór nad wszystkimi zakładami naukowymi w całym kraju. W Uniwersytecie, który był pod jego bezpośrednim nadzorem, każdy wydział czyli fakultet miał dodanego inspektora, którego obowiązkiem było znajdować się na prelekcjach, lecz nie tylko w salach uniwersyteckich, ale po za ich obrębem śledzić postępowanie młodzieży i o ich zachowaniu się

władzy donosić. Podobnie jak uniwersytet, tak każde gimnazjum, miało swego kuratora a każda klasa swego inspektora.

Pod ministerstwem Stanisława Potockiego, starano się wpływać na podniesienie i rozwinięcie szlachetnych uczuć w młodzieży. Profesorowie w szkołach gimnazjalnych a nawet i wydziałowych mieli jak najmocniej zaleconem, aby w stosunkach swoich z uczniami zachowywali największą uprzejmość, aby w karaniu ich nawet, nigdy nie używali wyrazów ubliżających godności człowieka. Wymyślanie i kary cielesne były całkiem usunięte ze szkół, areszt był najostrzejszą karą, jaka mogła spotkać winnego, a i ta kara nie przez pojedyńczego nauczyciela, ale przez gremium nauczycieli pod przewodnictwem rektora zasądzoną być mogła. Uczeń każdy przekonany, iż ani od kaprysu, ani od samowoli niczyjej nie zależy, był zupełnie swobodnym, czuł i pojmował, iż od wypełnienia obowiązków swoich, zawisłą jest zupełnie ta jego swoboda. Z małymi też wyjątkami wzorowe było postępowanie uczniów szkół ówczesnych. W powszechności przemagało w nich uczucie szlachetnej ambicji, zasadzającej się na tem, aby nie tylko nie zasłużyć na karę, ale nie narazić się na naganę, która w takim razie zmniejszała szacunek, współczucie i wziętość u kolegów, będących najbezstronniejszymi sędziami postępowania każdego ucznia. Ten kie-

runek wychowania publicznego, rozwijający w młodem pokoleniu uczucia najszlachetniejsze, zamiłowanie prawdy, przywiązanie do Ojczyzny, uwielbienie dla wszystkiego co wzniosłe i szlachetne, obrzydzenie zaś i wzgardę dla wszelkiej nieprawości, nie na rękę było rządowi i polityce carskiej, zmierzającej ostatecznie do pochłonięcia tego kawałka Polski, któremu wbrew tradycyjnej polityce dworu Petersburskiego, znaglony zbiegiem niezawisłych od niego wypadków, Car nadał niezawisłość i swobody, w sprzeczności rażącej zostające z całym ustrojem jego olbrzymiego państwa.

Na Litwie wziął się rząd moskiewski za pośrednictwem Nowosilcowa z całą gwałtownością do przytłumienia uczuć patrjotycznych i przekształcenia zupełnego szkół, odpowiednio do celów samowładnego i nienawistnego żywiołowi polskiemu rządu. W Polsce kongresowej acz te same mając dążności, rząd carski działać zmuszony był z pewną oględnością. Nie popełniano więc tych gwałtów co na Litwie i w tak zwanych zabranych prowincjach, to jest na Wołyniu, Ukrainie i Podolu, lecz skrzętnie zajęto się przygnębianiem ducha młodzieży i wdrażaniem go do bezwzględnej uległości. Za pośrednictwem kuratorji rozciągniono nadzór nad młodzieżą, pozbawiając ją wszelkiej swobody. Zaprowadzenie w szkołach surowej karności, zaostrzonej karą cielesną, demoralizujący wpływ inspek-

torów, usiłujących rozpowszechnić między młodzieżą szpiegostwo, przez protegowanie wszechwładnym wpływem swoim uczniów mniej pilnych, lecz uległych tej policyjnej władzy, dążyło do zdemoralizowania młodzieży. I jak wprzódy cała dążność wychowania publicznego skierowaną była do wykształcenia prawych i miłujących kraj obywateli, tak obecnie dążono usilnie do przytłumienia wszelkich uczuć szlachetnych w młodzieży, aby przyszłych obywateli wykształcić na ślepe narzędzia władzy. Tymczasem kuratorja narzucona władzom szkolnym, niechętnie była od nich widzianą. Niezgoda między władzami, bezpośredni wpływ wywierającemi na młodzież, musiała szkodliwie oddziaływać na młode umysły i rozbudzać w nich nieufność, niechęć i lekceważenie tychże władz. Ucisk który poprzednio dotykał tylko starszych, rozciągnął się i do dzieci. W. Xiąże nie poprzestając na drażnieniu starszych, rozpoczął wojnę ze studentami i podniósł wybryki szkolne do znaczenia przestępstw politycznych. Rząd pod jego nieograniczonym a szkodliwym wpływem, zdawał się usilnie pracować nad zniechęceniem wszystkich. To też zniechęcenie to rosło rzeczywiście, w miarę zaś jego objawów, wzmagał się ucisk i prześladowanie ze strony rządu, a właściwie ze strony W. Xięcia, w którego ręku koncentrowała się istotna władza, jaka nie w usunięciu nadużyć, ale w złamaniu siłą bru-

talną przemocy, wszelkiej choćby najlegalniejszej opozycji, zasadzała całą sztukę rządzenia. W. Xiąże oprócz gwałtowności niezwykłej charakteru, miał jeszcze szczególne upodobanie w sprzeciwianiu się ludziom i robieniu im wszystkiego na przekór.

Pod tym względem zarówno traktował Moskali jak i Polaków. Ponieważ wiedział, że Polacy nie lubią Moskali, przeto chociaż był naczelnym wodzem wojska polskiego, zawsze w Polsce nosił mundur moskiewski, w razach tylko bytności Cara w Warszawie, z rozkazu jego przywdziewał polski. Na wszystkich mustrach, przeglądach, uroczystościach, wojskowym moskiewskim konstytującym w Warszawie, zawsze dawał pierwszy krok, czyli miejsce honorowe przed wojskowymi polskimi, zwykle w celu robienia tym na złość. W przejazdkach swoich do Petersburga, jak tylko przekroczył granicę Kongresowego Królestwa, przywdziewał mundur generała polskiego i na złość Moskalom był zawziętym reprezentantem wojska polskiego w Petersburgu.

Każdy wojskowy polski, znajdujący się przypadkowo wraz z W. Xięciem w Petersburgu, był przedmiotem jego szczególnej uprzejmości i wyszczególnienia, z ujmą nawet dla dygnitarzy wojskowych moskiewskich. Zdarzyło się, że dowódzca 1 pułku liniowej piechoty wojska polskiego, pułkownik Bolesta, którego W. Xiąże

nie lubił i który w skutku tej niechęci W. Xięcia zmuszonym był następnie ustąpić z wojska, znajdował się na urlopie z powodu swoich prywatnych interesów w Petersburgu, gdy tam przybył także W. Xiąże. Ten zawezwał Bolestę, aby się znajdował na pokojach cesarskich. Posłuszny rozkazowi, przybył do sali audjencjonalnej, ktora zapełnioną była generałami i najwyższymi dostojnikami wojska moskiewskiego. Bolesta jako pułkownik, zatem o wiele niższej rangi od generałów korpusnych, admirałów, umieszczonym był na szarym końcu, za pułkownikami gwardji moskiewskiej, oczekując wraz z drugimi przybycia Cara. Ale przybycie Cara uprzedził W. Xiąże w mundurze generała polskiego. » Spojrzawszy po tłumie dostojników wojskowych moskiewskich, zawołał : « a gdzie Bolesta ? » Gdy służbowi adjutanci wskazali, że jest w właściwem swojem miejscu, W. Xiąże krzyknął : « Bolesta naprzód do mnie, nam jako reprezentantom wojska polskiego, należy się tu pierwsze miejsce. » Bolesta nie mógł się połapać zkąd taka łaska, lecz to odszczególnienie nie pochodziło z przychylności do Bolesty, bo go W. Xiąże nie lubił, ani do wojska polskiego, ale z chęci dogryzania moskiewskim dostojnikom wojskowym, którzy dotkliwie czuli się obrażeni tem odszczególnieniem i przyznaniem niejako wyższego znaczenia oficerowi polskiemu, tak niskiej rangi w porównaniu z ich rangą w hie-

rarchji wojskowej. To też z powodu tej nie przepartej chęci W. Xięcia robienia na złość ludziom i drażnienia ich, pułkownik sztabu moskiewskiego Zas, który miał tajne polecenie, śledzenia w Warszawie czynności W. Xięcia i zdawania o nich sprawy Carowi, w jednym z raportów przesłanych wprost Carowi Mikołajowi, którego kopią znaleziono w papierach tegoż Zasa, po zabiciu go w nocy 29 Listopada 1830 r. oświadczył, iż rewolucja musi nastąpić w Polsce, bo postępowanie W. Xięcia drażniące i dokuczliwe, nie tylko u Polaków, ale nawet u Wiedeńczyków wywołałoby niechybnie rewolucję. Ludzie przejęci miłością Ojczyzny i głębiej zastanawiający się nad jej położeniem, od chwili ogłoszenia Królestwa Polskiego i zespolenia go z państwem moskiewskiem, nie dali się złudzić i uśpić liberalnym na pozór oświadczeniom i przyrzeczeniom Cara, który z natury stanowiska swego będąc samowładcą despotycznym, naglony zbiegiem okoliczności chwilowych, zmuszał się do odgrywania w małym Królestwie Polskiem roli monarchy konstytucyjnego, wprost przeciwnej jego przekonaniom i zasadom, na których się opierała jego nieograniczona władza w olbrzymiem państwie moskiewskiem. Patrjoci ci jasno widzieli, iż prędzej czy później, liberalna komedja odgrywana w małem Kongresowem Królestwie, jako wprost przeciwna zasadom rządu moskiewskiego, skoń-

czyć się musi i że Car kierując się rzeczywistym interesem swoim, dla utrzymania swej nieograniczonej władzy, będzie dążył nie tylko do stopniowego ukrócenia swobód nadanych Królestwu Polskiemu, ale i do zatarcia śladów jego niezawisłości. Czyli innemi słowy, czy prędzej czy później, pod rządem moskiewskim Polsce grozi zagłada, to jest wcielenie jej do carstwa moskiewskiego. Zaczęto więc myśleć o środkach za pomocą których Polska mogła by się uchronić od grożącej jej ostatecznej zguby. Wiekopomny twórca legionów, sedziwy generał Henryk Dąbrowski, styrawszy cały żywot na usługach Ojczyzny, wstępując do grobu, niepokojony był tą smutną przyszłością Polski, której odbudowanie było zadaniem całego jego życia.

Na krótki czas przed śmiercią swoją, która w roku 1818 nastąpiła, wyjawił przyjaciołom zaufanym ten niepokój duszy o przyszłość Ojczyzny. « Nic nam nie gwarantuje, rzekł, zabezpieczenia istnienia naszego i formy konstytucyjnej rządu obecnego. Każdy dzień wzbudza obawę, jaki los spotkać nas może jutro. Żaden węzeł, który by stanowił rzeczywistą potęgę Polski, nie jednoczy jej synów. Bez związku, rozdwojeni, są na łasce wypadków, które ich zaskoczyć nieprzewidzianie mogą. Słabość nasza jest nieuniknionem następstwem jedynie naszego rozdwojenia i czyni nas igrzyskiem pierwszego lepszego zdobywcy. »

została na 7 części, to jest 1. Królestwo Kongresowe, 2. W. X. Poznańskie z województwem Kaliskiem, 3. Galicję, 4. Litwę, 5. Wołyń, Podolę i Ukrainę, 6. Rzeczpospolitę Krakowską, 7. Wojsko.

Zastrzeżono prawo każdej z tych 7 części, przysłania jednego delegata do Warszawy, z których to delegatów miał się składać ów komitet kierujący centralny. Lecz że na razie przybycie tych siedmiu delegatów było niemożliwem, dla zyskania więc czasu do działania, ustanowiono tymczasowy komitet centralny, do którego wybrani zostali: Łukasiński, Kozakowski, Prądzyński, Wierzbołowicz, Kiciński, Morawski i Sobański. Postanowiono zarazem, iż całe to stowarzyszenie podzielone zostanie na gminy, nie liczące więcej jak członków dziesięciu, kilka gmin takowych będą tworzyć obwód, kilka lub kilkanaście obwodów obejmą prowincją, gdyż stowarzyszenie to powinno sięgać, jak daleko sięga język polski i ogarnąć całą dawną Polskę.

Działanie stowarzyszenia jakkolwiek skryte, nie mogło ujść baczności władz moskiewskich, liczna policja tajna wpadła niebawem na jego trop i w skutku jej odkryć, nastąpiło uwięzienie w 1822 r. (*) majora Łukasińskiego, który wy-

(*) Wraz z Łukasińskim uwięziono Dobrogojskiego, byłego podpułkownika, Dobrzyckiego kontrolera kasy Województwa Kaliskiego, Koszuckiego assesora Trybunału Kaliskiego, Machnickiego zefa sztabu, Szredera adwokata. Łukasiński, Dobrogojski i Dobrzycki zostali skazani na kary hańbiące, Szreder, Koszucki, Machnicki i wielu innych uwolnieni dla braku dowodów i oddani pod nadzór policji.

cierpiawszy dwuletnie męki w więzieniu śledczem, skazanym został wyrokiem sądu wojennego, na utratę stopnia i 7 lat ciężkiego więzienia w fortecy Zamościu z przykuciem do taczek, który to wyrok spełniony został na nim w obec wojska polskiego i moskiewskiego, stojącego w Warszawie 1 Października 1824 r. Spełnienie srogiego i hańbiącego wyroku na mężu, który tak między kolegami broni jak i między współziomkami, zasłużył sobie na szacunek i współczucie, zamiast przerażenia ogółu na jakie rachował rząd moskiewski, wzbudziło w nim przeciwnie oburzenie i tym większą potrzebę przygotowania środków do pozbycia się srogiego rządu. Stowarzyszenia więc tajne polityczne szerzyły się we wszystkich prawie warstwach społeczeństwa, chociaż zaś liczna i nader czynna policja co chwila nowemi ofiarami zapełniała więzienia śledcze, nie położyło to jednak tamy spiskowaniu, rozgałęzionemu w Polsce, na Litwie i na Wołyniu, Podolu i Ukrainie. Dzięki szlachetnej wytrwałości tych skazanych i wielu uwięzionych członków Towarzystwa patrjotycznego, nie dało się komisji śledczej ani wykryć rzeczywistych onego celów, ani jego właściwej organizacji.

Działanie więc tego Towarzystwa nie zostało powstrzymanem, lecz przeciwnie, komitet onego centralny, do którego składu weszli Krzyżanowski podpułkownik wojsk polskich, Xiąże

Antoni Jabłonowski, Plichta sekretarz Rady Sta u, Grzymała referendarz Rady Stanu i Stanisław Sołtyk senator i kasztelan, gorliwie zajął się rozszerzeniem działalności Towarzystwa na całym obszarze Polski i zawiązał stosunki z sprzysiężeniem, które w armji moskiewskiej, stojącej w zabranych prowincjach polskich, utworzyło się w celu obalenia rządu despotycznego w Moskwie. Stosunki te nie nadwyrężały w niczem odrębności działania Towarzystwa patrjotycznego polskiego, którego głównym celem było odbudowanie Polski. Sprzysiężenie moskiewskie dzieliło się na trzy odrębne prawie towarzystwa, to jest północne, południowe i Słowian połączonych. Członkowie Towarzystwa południowego moskiewskiego, lękając się, aby w razie ich powstania, Polacy nie wsparli W. Xięcia Konstantego, chcieli się w tym względzie porozumieć i w naradach ztąd wynikłych, Polacy przyrzekli niedozwolić W. Xięciu działać przeciw powstaniu moskiewskiemu; członkowie zaś Towarzystwa południowego moskiewskiego, zobowiązali się nie kłaść tamy zamierzonemu odbudowaniu Polski w dawnych jej granicach. Niespodziewana śmierć Cara Alexandra, zaszła w Taganrogu, nad morzem Azowskiem, przy końcu roku 1825, przyspieszyła wybuch powstania moskiewskiego, które dopiero na wiosnę r. 1826 w obozie mającym się zebrać w okolicy Białocerkwi na Ukrainie, nastąpić miało. Lecz

to powstanie wojskowe w Petersburgu wybuchłe w dniu 26 Grudnia 1825 r., nie opierając się jak tylko na cząstce garnizonu, ani też poparte współdziałaniem martwej i zbydlęconej długą niewolą ludności, z łatwością w kilku godzinach przez nowego Cara Mikołaja zgniećonem zostało.

Komisja śledcza ustanowiona w Petersburgu 29 Grudnia, do wykrycia doniosłości stłumionego sprzysiężenia i zbadania uwięzionych Moskali, dowiedziała się i o istnieniu tajnego Towarzystwa politycznego w Polsce. Z polecenia więc Cara, utworzono w pierwszych dniach Lutego 1826 r. w Warszawie komisję śledczą mięszaną, złożoną z Polaków i z Moskali, do badania już uwięzionych w Polsce członków Towarzystwa patrjotycznego. Do składu rzeczonej komisji śledczej należeli: Stanisław hr. Zamojski prezes senatu, Stanisław hr. Grabowski senator wojewoda, Franciszek Grabowski senator wojewoda, Hauke generał artylerji oraz minister wojny, Rautenstrauch generał dywizji wojska polskiego, Nowosilców tajny radca, komisarz carski dozorujący rząd polski, Mohrenheim rzeczywisty radca stanu, dyrygujący kancelarją W. Xięcia, Kriwców generał brygady, Kołrakow kapitan komandor z marynarki moskiewskiej.

W obec konstytucji utworzenie podobnej komisji śledczej, było wybrykiem samowoli car-

skiej. Za złe więc wzięto Stanisławowi Zamojskiemu, który jako prezes senatu, z obowiązku urzędu swojego, powinien był stać na straży ustaw krajowych, że nie tylko nie zaprotestował przeciwko temu pogwałceniu konstytucji, ale przyjmując urząd prezesa w nielegalnie utworzonej komisji śledczej, przyjęciem tem uprawniał ją i czynił jawne wyznanie, że według jego przekonania, wola carska wyższą jest nad konstytucją.

Z zeznań uwięzionych Moskali w Petersburgu, jakkolwiek komisja śledcza trafiła na ślad spisku w Polsce istniejącego, nie wiele by jej to było pomogło do wykrycia onego celów i doniosłości, ale zadanie to ułatwił jej Xiąże Antoni Jabłonowski, który przerażony uwięzieniem Moskali, zapomniawszy o obowiązkach swoich względem współspiskowych, a myśląc jedynie o ocaleniu swojem i uwolnieniu się od kary, jaka mu zagrażała, pospieszył do Petersburga i padłszy do nóg Mikołajowi, wyznał wszystko, oskarzeniem innych okupując dla siebie bezkarność.

Tchórzliwy i nikczemny czyn X. Jabłonowskiego Antoniego, sprawił powszechne oburzenie. Nastąpiły liczne uwięzienia na całym obszarze Polski. Zwożono zewsząd obwinionych lub podejrzanych, zapełniając więzienie dla przestępców politycznych urządzone w klasztorze XX. Karmelitów na Lesznie, oraz w koszarach Gwardji wołyńskiej. Ponieważ samo usta-

nowienie komisji śledczej, wskazywało samowolne postępowanie rządu względem przestępców politycznych, ogarnęła wszystkich obawa, że i sąd względem nich równie samowolnie postanowiony, wymierzy karę jak najsurowszą. Ale na szczęście uwięzionych, dwaj najwięcej wpływu mający czynownicy carscy, X. Lubecki i Nowosilców, zawziętą ku sobie pałali nienawiścią. Ponieważ Nowosilców był za sądem wojennym i ukaraniem winnych, według całej surowości kodeksu wojennego, tem samem na przekór Nowosilcowi, X. Lubecki był za zachowaniem form konstytucyjnych i poddaniem winnych pod sąd sejmowy, złożony z członków senatu polskiego.

Że zaś zdanie Nowosilcowa usilnie popierał W. Xiąże, a Mikołaj chętnie sprzeciwiał się W. Xięciu, przeto odrzucił radę Nowosilcowa i aby dokuczyć bratu, postanowieniem z dnia 19 Kwietnia 1827, według opinji X. Lubeckiego, nakazał senatowi pod prezydencją wojewody Piotra Bielińskiego, (bo Zamojski, jako członek komisji śledczej został wykluczonym z sądu) sądzić obwinionych. Wyrok sądu sejmowego nie zawiódł otuchy, jaką przejęta była opinia publiczna, iż senatorowie polscy niemogą potępić tych, których całą zbrodnią była miłość ojczyzny i chęć zjednoczenia jej rozdartych części.

Oprócz jednego Krzyżanowskiego, którego

skazano na 6 lat więzienia, resztę obwinionych skazano na dwa i trzyletnie aresztu, wszystkim jednak wliczając w czas kary uwięzienie w śledztwie, które już blisko dwa lat trwało.

Car i W. Xiąże rozgniewany obrotem, jaki ta sprawa wzięła, nie mogąc pod sąd oddać senatorów, przynajmniej ukarał ich politycznym aresztem, bo przez rok cały nie pozwolił żadnemu wyjechać z Warszawy. Jeden tylko wojewoda generał Wincenty hr. Krasiński, który w senacie wbrew opinji wszystkich swych kolegów wotował za karą śmierci, zjednał sobie łaskę Cara, ale zyskał za to pogardę wszystkich współziomków. Car niezważając na wyrok sądu sejmowego, według którego wszyscy obwinieni powinni byli być uwolnieni, kazał ich przewieść do Petersburga i tam w kazamatach warowni Petropawłowskiej osadzić, jako zbrodniarzy.

Cały ten przebieg sprawy członków Towarzystwa patrjotycznego przyczynił się do rozbudzenia i spotęgowania ducha narodowego, podniecało go jeszcze tem bardziej samowolne znęcanie się nad więźniami, bezprawnie zatrzymanymi, oraz szaleństwa W. Xięcia, który i wyrokiem sądu sejmowego oburzony i draźniony przez Cara, wpadał w wściekłość i wywierał ją z całą bezwzględnością na wojsku polskiem i mieszkańcach Królestwa Polskiego, zostawionych mu na pastwę. Wrzało więc w Polsce, między zaś młodzieżą wojskową zawiązano w 1828

roku sprzysiężenie, mające na celu wyswobodzenie Polski z pod jarzma moskiewskiego przez zbrojne powstanie.

Tymczasem Mikołaj korzystając z spalenia floty tureckiej pod Nawarynem w 1827 r., z wyrznięcia janczarów przez sułtana Mahmuda, wypowiedział wojnę Turcji, pozbawionej floty i wojska. Lecz owa osławiona potęga moskiewska, w kampanji 1828 r. nie tylko nad ową bezsilną Turcją nie odniosła żadnych korzyści, ale przeciwnie, poniosłszy dotkliwe straty w ludziach, bo pułki chorobami i orężem Turków zdziesiątkowane zostały, straciła całą artylerją oblężniczą pod Sylistryą, której w nagłym odwrocie uprowadzić nie zdołała. Niefortunna kampanja turecka, wpłynęła na zmianę postępowania Cara względem nas. Rozpoczynając z wiosną 1829 r. nową przeciw Turcji kampanją, Car objawił chęć koronowania się na Króla Polskiego i rzeczywiście w Maju przybył do Warszawy z żoną i z synem Alexandrem, uwolniwszy z Petropawłowska politycznych więźniów polskich, trzymanych bezprawnie w warowni Petropawłowskiej. W ciągu całego pobytu swego, starał się popularnością ująć ludność i zatrzeć przykre wrażenia, obudzone w niej dotychczasowem postępowaniem rządu i szalonymi wybrykami brata swego W. Xięcia. W drodze do Warszawy, syn jego Alexander, bratał się niemal z studentami, którzy go w miastach,

w jakich były szkoły gimnazjalne witali. Wszędzie rozmawiał po polsku a nawet ojciec przedstawiając go posłom zebranym na audjencji, oświadczył, iż stara się dać mu takie wychowanie, aby jako przyszły Król Polski, odpowiedział oczekiwaniom Polaków. To nagłe przymilanie się Cara Polakom; uroczyste obrzędy przedkoronacyjne, w skutku których heroldowie w strojach rycerskich, jeżdżąc na koniach okrytych wspaniałemi dekami, w orły srebrne polskie haftowanemi, ogłaszali po placach w Warszawie: iż Mikołaj pierwszy, koronować się będzie na Króla Polskiego i podając to do wiadomości publicznej wzywali, aby ci, którzy mają coś przeciwko temu, wystąpili do rozprawy z nimi; nadewszystko zaś sam akt koronacji, w którym Car schyzmatyk, samowładca Moskwy, korzył się przed prymasem Królestwa Polskiego, czcigodnym Woroniczem, wykonywał przysięgę na konstytucją i słuchał jego nauki, nim na swe skronie włożył polską koronę, to wszystko było zagadką dla wielu niewytłumaczoną.

Do niemogących sobie tej nagłej przemiany wytłumaczyć, należałem i ja także. Wytłumaczył mi ją generał jazdy Rózniecki, naczelnik żandarmerji i tajnej policji. Człowiek znakomitych zdolności, rozległej wiedzy, ale na nieszczęście swoje i kraju, podłego charakteru. Miotany niepohamowaną żądzą robienia ma-

jątku, przytem marnotrawnik, w zaprzedaniu się rządowi moskiewskiemu widział jedyny środek zadowolnienia tych żądz swoich. Przy swoich zdolnościach i podłości, łatwo sobie zjednał zupełne zaufanie W. Xięcia i względy Cara. Jako służalec moskiewski, powiernik i ślepy wykonawca woli W. Xięcia, był przedmiotem nienawiści i pogardy własnych współziomków.

U tego człowieka miałem dług z powodu kupna dóbr przez niego, na których wierzytelność moja była hipotekowaną. Ztąd też i moja z nim znajomość. Do wszystkich wad łączył i tę, iż był najnierzetelniejszym dłużnikiem i trudno było od niego coś wykołatać, wszelako o tyle był lepszym od generała Wincentego Krasińskiego, iż ten nie tylko nie płacił, ale bił swoich wierzycieli. Różniecki przynajmniej był dla swoich grzecznym. Ja zaś szczególnych od niego doznawałem względów, które mi sam tem tłumaczył, iż obowiązanym jest do wdzięczności dla mojej rodziny, bo wuj mój, Piotr Borzęcki, będąc z nim razem w korpusie kadetów, wiele mu świadczył, pierwszy zaś mąż mojej matki, pułkownik Dembowski, wyjednał mu stopień porucznika w kawalerji narodowej. Wiedząc jak jest zohydzonym w opinji publicznej, może chciał się choć w oczach moich rehabilitować i przy nader uprzejmem obejściu się ze mną, nieraz prowadził rozmowę w ten sposób, ażeby

mnie przekonać, iż on jest w duszy dobrym Polakiem i że jedynie dla tego się podjął naczelnictwa tajnej policji, aby ta się nie dostała w ręce jakiego Moskala, który by z całą bezwzględnością prześladował obywateli, on zaś stara się ich ile możności osłaniać i trzymać w karbach podrzędnych agentów. Tak w rozmowach sam na sam ze mną, jako też gdy mu się jaka nadarzyła sposobność, starał się okazać, iż on nie jest tak złym, jak się zdaje, i że w duszy brzydzi się agentami policji. Raz gdym był u niego, zameldowano Dulfasa pułkownika żandarmerji, Rożyńskiego kapitana żandarmów i Stankiewicza referendarza stanu; chciałem odejść, zatrzymał mnie, a gdy ci weszli, ja zaś w przeciwległej stronie dużego salonu stałem obok Różnieckiego, ten mi szepnął, « patrz łotry weszły, tylko księdza i kata brak, bywaj zdrow, nie masz tu między nimi co robić ». Otóż korzystając z tej dobrej komitywy z Różnieckim, poszedłem do niego i zapytałem się go: « z kąd tak nagła łaska dla nas Cesarza i ta uroczysta koronacja? » — « Z kampanji tureckiej, odpowiedział mi. Moskale nie mają dowódców, sam Cesarz nie posiada także żadnych talentów wojennych a zachciało mu się dowodzić w pierwszej kampanji, rezultat był taki, że wojsko i artylerją stracili. Ale to wszystko nie byłoby Cesarza zrobiło dla nas łaskawszym, gdyby nie Metternich. » — « A czyż Metternich wstawiał się za nami? » — « Ani mu to w myśli było,

ale mu szło o własny interes. Trzeba ci wiedzieć, mówił dalej Różniecki, że Cesarz Alexander od r. 1813 a właściwie od bitwy pod Bautzen, po której Austrjacy złączyli się z Moskalami i Prusakami przeciw Napoleonowi, płacił rocznie Metternichowi 60,000. dukatów złotem. Pensją tę pobierał regularnie ze skarbu rossyjskiego, aż do śmierci Cesarza Alexandra. Ale od roku 1825, Cesarzowi Mikołajowi nie zdawało się potrzebbnem opłacać dalej Metternicha. Ten nie odbierając pensji czas dłuższy, w liście wprost zaadresowanym do Cesarza przypomniał się o nią. Cesarz Mikołaj zwrócił mu list przez swego ambasadora w Wiedniu, z oświadczeniem, iż prośby od osób prywatnych powinny mu być przesyłane za pośrednictwem ambasadora, ale nie wprost. Metternich połknął pigułkę, ale czekał okazji, w której by się mógł za nią odpłacić.

Nieszczęśliwa kampania przeciw Turcji nastręczyła mu do tego sposobność. Postawił więc korpus obserwacyjny znaczny na granicy tureckiej i zawiadomił Karola X., iż teraz nadeszła najstosowniejsza chwila ukrócenia przewagi rossyjskiej a nawet odbudowania Polski. Że rząd austrjacki chce korzystać z tej sposobności i wesprze swoją potęgą Turcję przeciw Rosji, byleby rząd francuzki zachował się neutralnie. Ale Karol X, który był wielbicielem Mikołaja, oświadczył, iż nie tylko nie zostanie neutralnym

ale w razie działania zaczepnego Austrji przeciw Rosji, on wkroczy do Włoch. Metternich z obawy zajęcia Włoch przez Francuzów, musiał zaniechać swego zamiaru. Cesarz Mikołaj zawiadomiony przez Karola X, o propozycji Metternicha, jakkolwiek kazał mu wypłacić zaległą pensją wraz z bieżącą, bo się domyślił, że o to szło Ministrowi głównie, wszelako, chcąc się na wszelki zabezpieczyć przypadek, uznał za potrzebne ująć sobie nas i dla tego koronuje się jako Król Polski. »

Koronacja Mikołaja i przymilanie się jego w czasie pobytu w Warszawio, nie wzbudziły ufności, ani przytłumiły niechęci, rozbudzonych samowolnem postępowaniem rządu i gwałtami W. Xięcia. Dokuczliwość tej dyktatury brata carskiego nigdzie się tak dotkliwie czuć nie dawała jak w Warszawie, gdzie ludność stolicy narażoną ciągle była na wyskoki dzikiej fantazji Carewicza i nadużycia policji i municypalności, którym protekcja W. Xięcia zupełną zapewniała bezkarność.

Przy rozbudzonym uczuciu godności narodowej, ucisk dotąd znoszony cierpliwie, coraz nieznośniejszym się stawał; każde nadużycie W. Xięcia i władz, które osłonione jego wszechwładną protekcją, z coraz bezwzględniejszą postępowały samowolą, rozdmuchiwały ukryty żar, który przy nadarzonej sposobności mógł się zamienić w niczem niewstrzymaną pożogę. A

nie zbywało na tych nadużyciach mianowicie w samej Warszawie.

Municypalność warszawska, której wiceprezydent Lubowidzki był naczelnikiem policji, zmieniła się pod kierunkiem tego ulubieńca W. Xięcia, w dyktaturę, rozrządzającą dowolnie wolnością i majątkiem obywateli stolicy.

Zdzierstwa przybrane w różne pozory i kradzież grosza publicznego, były tam na porządku dziennym. Nikt nie śmiał protestować bo wiceprezydent, jako naczelnik policji, wnet uprzątnął zuchwalca, jako politycznego przestępcę. Ale ta nieograniczona potulność obywateli względem władzy, od czasu sądu sejmowego zaczęła ustępować oburzeniu na tyloletni ucisk, który tem był dotkliwszym, iż był wykonywanym wbrew prawom obowiązującym.

Obłuda ze strony władzy podwaja dokuczliwość jej nadużyć. Obok konstytucji, wyuzdana samowola nie tylko carewicza ale i wyrzutków społeczeństwa, których on swojem zaufaniem obdarzał, oburzała każdego uczciwego człowieka. Władza zaś tyloletnią rozzuchwalona bezkarnością, coraz zuchwalszą i bezwzględniejszą stawała się w swych nadużyciach.

Na prowincji prezesowie komisji wojewódzkich i komisarze obwodowi, w bliższych zostając stosunkach, mniej też samowolnie zachowywali się względem właścicieli ziemskich, poprzestając na bezwzględnem postępowaniu z miastami,

w których posady burmistrzów były zwykle synekurami dla ex-wojskowych, wyzyskujących dowolnie potulnych mieszczan i dzielących się zyskiem z obwodowymi adjunktami, pod których bezpośrednim nadzorem zostawali burmistrze.

W municypalności warszawskiej policja zamiast zajmować się jedynie bezpieczeństwem osób i majątków i stanowić część służby miejskiej, czuwającej nad dobrem mieszkańców i porządkiem w mieście, zmieniła się w władzę śledczą i prześladowczą, nie odpowiadającą na swe czynności nikomu, bo zostając pod bezpośrednimi rozkazami carewicza i jemu za narzędzie prześladowania służąc, zapewnioną miała sobie bezkarność.

Ten stosunek potwornej władzy policyjnej, nadał jej zupełną przewagę w municypalności warszawskiej. Prezydent i naczelnicy innych oddziałów służby municypalnej, zamiast stawić opór nadużyciom policji i narazić się carewiczowi, woleli iść ręka w rękę z wiceprezydentem, to jest z wszechwładnym naczelnikiem policji i z generałem Różnieckim, naczelnikiem tajnej policji i żandarmerji, bo to wspólnictwo zaręczało im bezkarność za wszystkie nadużycia, a mianowicie za wszystkie zyski nieprawne, którymi ze szkodą miasta swobodnie zbogacać się mogli. Różniecki był najzręczniejszym w wynajdowaniu środków, którymi pod pozorem

porządku, mógł swoją i swoich wspólników napełnić kieszeń. Doszedłszy, że w Warszawie znajduje się 20,000 służących, urządził w magistracie biuro służących, którego zadaniem było, utrzymywać kontrolę służących, mieć nadzór nad nimi. Kto potrzebował służącego, mógł go jedynie za pośrednictwem biura służących otrzymać, które zarazem sądziło i rozstrzygało stanowczo wszelkie mogące wyniknąć spory, między służącymi a ich służbodawcami. W skutku utworzenia biura, nakazano wszystkim służącym kupić sobie książeczki, bez której żaden służby otrzymać nie mógł ; za książeczkę tę służący każdy musiał 2 złote, a pan ze swojej strony także 2 złote zapłacić; opłata ta za każdą zmianą służby ponawiała się; miała ona być hamulcem dla służących, aby niezbyt często i lekkomyślnie zmieniali miejsca. Rzeczywiście porządek między służącymi został zaprowadzonym, ale i to niemniej było rzeczywistem, że pieniądze, które przy zaprowadzeniu biura służących, panowie i służący zapłacili, a które wynosiły okrągłą summę 80,000 złotych, przeszły do kieszeni Różnieckiego, Lubowickiego wiceprezydenta, Wojdy prezydenta, i innych dygnitarzy municypalności. Nierównie większe zyski z pokrzywdzeniem obywateli miasta przynosiło kwaterunkowe.

Pomimo licznych wspaniałych koszar, w których cały garnizon, tak polski jak moskiewski,

wygodne znajdował pomieszczenie, miasto opłacało nader wysoką kontrybucję kwaterunkową. Opłacali ją nie tylko właściciele domów, ale wszyscy przemysłowcy i nie było przekupki, którаby przynajmniej 10 zł. rocznie nie płaciła.

Naczelnikiem biura kwaterunkowego był niejaki Czarnecki. Człowiek ten przebiegły, służąc za chłopca u jednego z znaczniejszych obywateli warszawskich, wyuczywszy się czytać i pisać, jeszcze za czasów X. Warszawskiego, przez wpływy swego chlebodawcy wśrubował się do magistratu.

Gdy w owych czasach wszystka prawie młodzież garnęła się do służby wojskowej i brak był ludzi młodych, chcących służyć w zawodzie cywilnym, każdy, który wstępował do służby cywilnej, był bardzo pożądanym i przy jakiej takiej pilności i zdolności, z łatwością mógł się dosłużyć wyższego stopnia. Czarnecki sprytny z natury, potrafił sobie zjednać przychylność swych przełożonych, a mając na celu zbogacenie się, wyjednał sobie kierownictwo i zarząd biura kwaterunkowego, które mu nastręczało obszerne pole do nieprawych zysków, a zarazem zapewniało bezkarność przez przypuszczenie do spółki w obdzieraniu obywateli dygnitarzy w bezpośrednich stosunkach zostających z carewiczem. A było się czem dzielić, bo kwaterunkowe wynosiło przeszło dwa miliony rocznie. Czarnecki dzieląc się z prezydentem, z wicepre-

zydentem, z Rożnieckim, generałem Gendrem totumfackim W. Xięcia, z Nowosilcowem i innymi tego kalibru ludźmi, stał się im potrzebnym i wsparty ich protekcją, mięszał się do wszystkich czynności miejskich, przy których zarobić coś można było. A w miarę jak mu się kradzieże udawały, rosła jego zarozumiałość i bezczelność w tym względzie, ponieważ zaś był najzręczniejszym w napędzaniu grosza do kieszeni swych dostojnych protektorów, przeto stał się potęgą w Ratuszu, bez którego opinji nic nie załatwiono.

Gdy Car Mikołaj miał przybyć na koronacją, polecono municypalności warszawskiej postawić drugi pływający most na Wiśle, naprzeciw koszar Alexandrowskich, aby Car przybywający szosą od Jabłonny, nie potrzebował jechać przez Pragę, do mostu będącego na prost Bednarskiej ulicy, ale żeby wprost od rogatki mógł wjazd odprawić do stolicy i większą liczbą ulic dążyć do zamku królewskiogo.

Zrobienie kosztorysu mostu, mającego być postawionym, polecił Magistrat budowniczemu Szycowi. Szyc człowiek sumienny, obywatel warszawski, zrobił wyrachowanie rzetelne kosztów budowy mostu wraz z planem, które gdy przedstawił na sesją, na której zasiadał także Czarnecki, został przez tego zgromionym, iż nie umie kosztorysów robić.

« Cóż Wać Pan nam za głupi plan i kosztorys

przedłożyłeś, musisz przecie wiedzieć, że przy takiej budowie powinno każdemu z nas przynajmniej po 20,000 się okroić, a jeszcze i dla Wać Pana pozostać choć z 5,000, a według wyrachowania Wać Pana, zaledwie na wystawienie mostu wystarczy, o dochodzie dla nas ani mowy być nie może, plan ten więc trzeba przerobić, stosownie do moich uwag ». Szyc, który wiedząc, co się za łotrostwa w zarządzie funduszami miasta dzieją, oburzony niemi, jak wszyscy uczciwi ludzie, nie mógł powciągnąć gniewu swojego na tę bezczelną apostrofę Czarneckiego i wspólnictwo w niej obecnych prezydenta i innych członków Magistratu, którzy milczeniem swojem zatwierdzali jawne Czarneckiego łotrostwo, odrzekł więc, « iż jest budowniczym przysięgłym miasta, ale nie złodziejem i planu swojego nie przerobi dla dogodzenia złodziejom ». Czarnecki, zamiast starać się nadać inny obrót swym nikczemnym wyznaniom i ułagodzić poczciwego Szyca, rozzuchwalony dotychczasowem powodzeniem swojem i protekcją faworytów carewicza, znieważył najzelżywszemi słowy prawego urzędnika i kazał go natychmiast uwięzić.

Gwałt dokonany na obywatelu, urzędniku znanym z prawości charakteru i szanowanym powszechnie, zatrząsł Warszawą. W jednej prawie chwili, sto najznakomitszych obywateli miasta udało się w deputacji do carewicza, do

Belwederu z zażaleniem i z żądaniem najprzykładniejszego ukarania Czarneckiego, który czynem tym przebrał miarę niegodziwości swojej i cierpliwości obywateli.

Carewicz, który nienawidził wszelkiego samodzielnego objawu ze strony obywateli, tym razem jednak pomiarkował, iż trudno lekceważyć opinją, która po tylu latach uległego milczenia, objawia się w sposób tak stanowczy, przeto wysłuchawszy cierpliwie zażalenia, oświadczył, iż rzecz każe sprawdzić i surowo winnego ukarze.

Śledztwo rozpoczęte, zgubnem być mogło i dla dostojników, z którymi się Czarnecki zyskiem dzielił, ale wyzwoliło ich od trwogi samobójstwo głównego przestępcy. Nie czekając albowiem aresztowania go, Czarnecki wystrzałem z pistoletu uwolnił się od indygacji. Różnie o tem samobójstwie mówiono, pozwoliło ono jednak całą winę niegodziwej administracji miejskiej, zwalić na nieboszczyka. Majątek jego wynoszący około 3 milionów, w sumach lokowanych powiększej części na bankach zagranicznych, jako pochodzący z kradzieży grosza publicznego, zabrano na skarb.

Po latach kilkunastu pierwsze energiczne wystąpienie obywateli przeciwko nadużyciom władzy, nie oglądając się na gniew W. Xięcia, było niezaprzeczonym dowodem, iż cierpliwość obywateli w obec nadużyć dotąd z uległością znoszonych, wyczerpniętą została.

Rzeczywiście też duch samodzielności, coraz wyraźniej we wszystkich warstwach społeczeństwa zaczął się objawiać. Spotęgowała go jeszcze wiadomość nadeszła o rewolucji Lipcowej w Paryżu i wypędzeniu Burbonów.

Władza zaczęła tracić urok nietykalności, który ją dotąd otaczał. Skutków tego usposobienia doznał najpierwszy radca stanu, prezydent miasta Wojda. Był on, jak wszyscy dygnitarze, przyzwyczajony z góry traktować strony, a tem bardziej, gdy te o łaskę jaką prosiły.

Zdarzyło się właśnie, że niejaki Janikowski, konkurując o wakującą posadę w municypalności, nie tylko żadnej odpowiedzi na prośbę swoją nie otrzymał, ale, gdy przyszedł do biura prezydenta, przypomnieć swój interes, zgromiony przez tegoż, za drzwi wyproszonym został. Oburzony tem niewłaściwem postępopowaniem, spotkawszy prezydenta na ulicy Długiej, zaczął go okładać kijem.

Takie jednak było zniechęcenie publiczności w ogóle do wszystkich wyższych urzędników, a szczególniej do zwierzchników municypalności warszawskiej, iż nikt nie stanął w obronie okładanego kijem prezydenta, i dopiero nadeszły pułkownik artylerji polskiej Chorzewski, uwolnił go od napastnika, którego aresztować, nadbiegłym na jego rozkaz z odwachu żołnierzom nakazał. Strach padł na wszystkich dygnitarzy,

każdy prawie mniej więcej poczuwał się do tego, iż nie jednego mógł sobie narazić, przestali więc używać przechadzki, stali się zaś nader dla stron uprzejmymi.

Jakiś żartobliwy akademik, spotkawszy po wypadku z Wojdą chłopa sprzedającego laski, wybrawszy sobie z nich jedną, gdy się zapytał o jej cenę, a chłop zażądał 20 groszy za nią, powiedział chłopu : « sam nie wiesz co masz, takie laski nazywają się wojdówki i każda warta 5 zł., niechcąc cię oszukać, daję ci 5 zł., to jest tyle, co warta, ty zaś tylko chodź po mieście i wołaj wojdówki na sprzedaż, sztuka 5 zł., obaczysz, że zaraz je rozkupią. » Chłop korzystając z objaśnienia, rzeczywiście sprzedał pare wiązek lasek po 5 złotych sztuka, ale gdy z trzecią wiązką zaszedł przed ratusz i tam zaczął wykrzykiwać wojdówki na sprzedaż, wzięto go do kozy. Jednak po zbadaniu i wyświeceniu, iż chłop bezwiednie powtarzał, za co mu tak hojnie płacono, wypuszczono go z aresztu.

Po piętnastu latach ciszy zupełnej i potulności stolicy i kraju całego, życie jakie zaczęła objawiać opinja publiczna, zaniepokoiło W. Xięcia i władze, nawykłe do istniejącego porządku. Policja podwoiła swoją czynność, pogadanki o wybuchu rewolucji coraz się rozpowszechniały, ale kiedy ona nastąpi i kto do niej da hasło, ogół ani wiedział, ani się nawet domyślał. O spisku zawiązanym w Szkole podchorążych i

pomiędzy niższej rangi oficerami, wiedziała tylko garstka wtajemniczonych do tego. Powszechność ani przypuszczała, żeby wyżsi oficerowie i dowódzcy, którzy do wybryków W. Xięcia przyzwyczaili się, do stopni zaś swoich, które im ogromne zapewniały korzyści przylgnęli duszą i ciałem, chcieli powstawać. Niższe zaś stopnie i żołnierze tak byli wdrożeni straszliwą subordynacją do ślepego posłuszeństwa, iż nikt nie przypuszczał, aby byli w stanie nie tylko sami powstać, ale w razie powstania cywilnych w mieście, nie uderzyć na nich, gdy im rozkaz z góry będzie dany. Mówiono więc o rewolucji, bo każdy żywił największą niechęć przeciwko Moskalom i gdyby wybuchła, każdy byłby się z nią chętnie złączył, ale zkąd jej początkowanie wyjdzie i czy przy czujności W. Xięcia i ślepem posłuszeństwie wojska, możliwą będzie, dla powszechności było nader wątpliwem. Przy nadzwyczajnem rozgałęzieniu policji tajnej zdawało się nawet, że wszelkie sprzysiężenie zanim dojść będzie mogło do siły, niezbędnie do działania potrzebnej, zostanie wyśledzonem i w zarodzie swoim zgnieconem.

Jeden z cywilnych, należących do spisku podchorążych, Nasiorowski, były mój kolega uniwersytecki, zwierzywszy mi się, zachęcał i mnie do sprzysiężenia, alem mu odpowiedział, « że zginąć za kraj mój w boju otwartym w każdej chwili jestem gotów, ale zgnić w więzieniu nic

nie zrobiwszy, nie mam ochoty. » Z temwszystkiem wieści o mającej nastąpic rewolucji co raz powszechniejszemi się stawały. W. Xiąże wydał nawet rozkazy do dowódzców oddziałów wojskowych, które punkta w mieście zająć mają na przypadek rozruchu. Oddziały te robiły w tym względzie próby nawet, aby w razie danym z wszelką precyzją rozkaz wypełnić. Sam W. Xiąże niespokojny jeździł po nocach, aby się przekonać, czy policja i patrole pełnią swoją powinność.

Ponieważ więc wszyscy się rewolucji spodziewali, a rewolucja nie zjawiała się, wiara w jej wybuch zaczęła słabnąć powoli. Ten co się miał największą przyczynę jej obawiać, to jest W. Xiąże, znudzony długiem jej oczekiwaniem i donosami o niej policji, nie opartymi na żadnych dowodach, pierwszy zwątpił o jej możliwości, gniewał się na policją i szydził z jej głupoty i urojonych strachów.

Tymczasem policja nie przestawała myszkować. Przybył jej w pomoc Petrykowski, major z 8 pułku piechoty, który wziąwszy dymisją, polecony wice prezydentowi Lubowickiemu przez Skrzyneckiego, dowódzcę pułku 8, znanego z swej ślepej i bezwzględnej przychylności dla rządu, osiadł w Warszawie i udając rolę prześladowanego patrjoty, zawiązał stosunki z młodzieżą. W skutku jego denuncjacji zaczęły się aresztowania. Powięziono wiele młodzieży,

na ognisko sprzysiężenia nie trafiono jeszcze, ale mianowanie komisji śledczej pod przewodnictwem Stasia Potockiego, generała piechoty, przekonywało, iż rząd wpadł na trop i że lada chwila może o wszystkiem się dowiedzieć.

Wiadomości najsprzeczniejsze krążyły po mieście i w gorączkowej niepewności utrzymywały jej ludność.

Powiadano o rozkazie zabrania wszystkich pieniędzy z kassy głównej Królestwa i Banku narodowego, dla przewiezienia onych do Petersburga; o zamierzonym wymarszu całego wojska polskiego, według jednych do Pruss, według drugich w głąb Rossji; o obsadzeniu Królestwa przez korpus wojska moskiewskiego pod wodzą generała Osten-Sackena.

Wśród tych niepokojących wieści W Xiąże zmienił dowódzcę Szkoły podchorążych pieszej, oddaił łagodnego pułkownika Olędzkiego, oddał zaś szkołę pod roskazy generała Trębickiego, surowego nader człowieka, a przytem ślepo oddanego W. Xięciu, który całą Szkołę prawie aresztował, zabroniwszy jej wszelkiej styczności z miastem.

Sprzysiężeni wojskowi byli zagrożeni niewątpliwem wykryciem przez rząd ich działań, bo już jednego z głównych działaczy, Urbańskiego, porucznika z gwardji grenadjerów aresztowano, z drugim zaś Wysockim, porucznikiem przydzielonym do Szkoły podchorążych, Trębicki generał

rozpoczął indagacje. Jakkolwiek więc sprzysiężenie bardzo nieznaczną liczbę towarzyszy miało, bo cała jego siła ograniczała się na dwustu podchorążych prostych i drugie tyle oficerów niższych stopni w wojsku, zjednanych dla powstania, wszelako rozpaczliwe położenie, w którem się znajdowali spiskowi, a przytem obawa, aby rząd przez zabranie pieniędzy, wyprowadzenie wojska z kraju i obsadzenie go wojskiem moskiewskiem, nie odebrał na długie lata narodowi możności wydobycia się z jarzma, spowodowało ich do zrobienia rozpaczliwego kroku i przyspieszenia rewolucji, która rzeczywiście w dniu 29 Listopada 1830 r. wybuchła. Rozpoczęła ją wieczorem dnia tego Szkoła podchorążych, napadem na stojące w pobliżu jej koszar—koszary trzech pułków jazdy moskiewskiej, to jest: ułanów zwanych konnopolcami, huzarów grodzieńskich i kirasjerów podolskich. W tej samej chwili kilkunastu cywilnej młodzieży, pod kierunkiem dwóch podchorążych, wpadło do Belwederu, mieszkania W. Xięcia, tam zabili generała Gendrea, zausznika W. Xięcia, poranili i za zabitego zostawili Lubowickiego, wice prezydenta Warszawy i naczelnika policji, który właśnie z raportami był u W. Xięcia, a nie znalazłszy W. Xięcia, wynieśli się z Belwederu, aby się połączyć z kolegami, którzy przepłoszywszy konnicę moskiewskiej gwardji, podążali do miasta, aby tam ruch wywołać i znaleść siły

potrzebne do dokonania rozpoczętego dzieła.

Pałac Belwederski, w którym mieszkał W. Xiąże i w pobliżu którego była Szkoła podchorążych i koszary trzech pułków konnych gwardji moskiewskiej, znajdował się na wschodnim, ostatecznym krańcu stolicy, przy okopach otaczających miasto; na przeciwległym zaś zachodnim krańcu miasta, były koszary, w których się mieściły dwa pułki piesze gwardji moskiewskiej i pułk gwardji pieszej polskiej, tak, że prawie milową odległością oddzielony był W. Xiąże od tych najwierniejszych sił swoich. Na całej tej przestrzeni rozciąga się miasto Warszawa. Podchorążowie spieszyli do miasta, aby go do powstania pobudzić, a tem samem połączeniu się sił moskiewskich nieprzepartą tamę postawić.

Byłem właśnie tego wieczora w hotetu Litewskim, przy ulicy Nowosenatorskiej, u przyjaciela mego Teodora Slaskiego, posła Kieleckiego i właśnie rozmawialiśmy o drażliwem położeniu publicznem, gdy przybiegł około 9ej Ulmann, dyrektor główny górnictwa i wchodząc rzekł: « panowie siedzicie spokojnie, a tam rewolucja. » Ponieważ właściwie rewolucji spodziewano się dopiero w Marcu, nie chcieliśmy uwierzyc Ulmanowi. Lecz nie długo wpadł mój były kolega szkolny Molinari, malarz i zawoławszy na mnie: « Nasi się biją, pójdź ze mną » przekonał nas, iż tu niema żartu.

Gdym z hotelu wychodził, szwajcar mnie w pół złapał nie chcąc puścić, abym nie zginął, wydarłem mu się, a gdy stanąłem na ulicy, zatrzasnął za mną bramę i posłyszałem trzask zamykających się wszędzie bram i w różne kierunki zmykającą ludność.

Ponieważ od kilku lat byłem żonaty i miałem dwoje malutkich dzieci, Molinari mnie zaklął, abym poszedł do żony uspokoić ją, gdyż rzeczy są bardzo wątpliwe, jeżeli wojsko nie złączy się, to powstanie upaść musi, czy zaś jedna ofiara mniej, czy więcej padnie, to sprawie nie pomoże, przeto ruszaj do domu.

Tak rozmawiając, gdyśmy podeszli na plac ku ratuszowi, on ścisnąwszy mnie za rękę, zaklął jeszcze raz, abym szedł do domu i pożegnał się, mówiąc, że Danielowiczowską ulicą pobiegnie ku Arsenałowi, bo tam się rozstrzygnie, czy rewolucja górą. Natenczas z karabinem wziętym z arsenału przybiegnie do nas.

Idąc za jego radą, udałem się ku domowi. Róg Bielańskiej ulicy zastałem obsadzony przez oddział piechoty naszej. Ulica ta, z którą się łączy Wierzbowa, przytykająca do Saskiego placu, leżała na najprostszej linji komunikacyjnej z Belwederu do Arsenału i koszar wołyńskiej gwardji i pieszej moskiewskiej, a tem samem była traktem wszystkich posyłek od W. Xięcia do komend pułków, które całą miasta przestrzenią oddzielone były od Belwederu, mie-

szkania W. Xięcia. Właśnie gdym dochodził do posterunku, pędził oficer służbowy i dwóch kozaków za nim. Oddział piechoty naszej, po przed frontem którego przebiegał ten oficer z kozakami, dał ognia do nich, to mnie przekonało, że oddziały wojska polskiego, które według danych od dawna rozkazów przez W. Xięcia zajmowały posterunki, spełniały tylko w części dane rozkazy, ale zamiast strzelać do powstańców, strzelały wraz z nimi do wspólnych wrogów. Spostrzeżenie to serdecznie mnie ucieszyło, bo dawało rękojmię udania się nieco na chybił trafił rozpoczętej rewolucji. Ogół i ta garść młodzieży, która zuchwale powstała przeciw obcej, poniżającej i nieznośnej przemocy, tak była przejęta świętością sprawy, w której imieniu powstała, iż oceniając miarą uczucia swojego wszystkich bez wyjątku Polaków, nie pomyślała nawet o kierownikach, o rządzie, lecz pewną była, że gdy rozpocznie walkę z ciemiężącą nas Moskwą, każdy generał polski stanie chętnie na jej czele. Tymczasem praktyka nocy tej pokazała wprost przeciwny wypadek. Zbyt dobrze się działo tym panom, aby się chciało któremu z nich narażać swoje tak dogodne stanowisko dla przedsięwzięcia według nich niemożliwego.

To też niektórzy z generałów jak Różniecki, Wincenty i Izydor Krasińscy, Komorowski, na wieść o rozruchu, wynieśli się zaraz z miasta

pod opiekę W. Xięcia. Drudzy czy mniej przezorni, czy więcej odwagi mający, chcieli osobistym swym wpływem stłumić w pierwszej chwili tę, według nich, burdę niesfornej młodzieży.

Jak młodzież według miary swych uczuć patrjotycznych oceniając uczucia generałów polskich, nader przerachowała się, tak równie generałowie, miarą swych przekonań oceniając działanie młodzieży, fałszywy na zgubę swoją zrobili rachunek.

Hauke, generał artylerji; Meciszewski, pułkownik; Trębicki, generał dowódzca Szkoły podchorążych pieszych; Siemiątkowski, generał szef sztabu głównego; Staś Potocki, generał piechoty; Blumer generał brygady, każdy z osobna w różnych punktach miasta usiłując stłumić powstanie i z pogardą odrzucając wszelkie przedstawienia, prośby i błagania powstańców, ażeby objęli nad nimi dowództwo, zostali w końcu jako zdrajcy i odstępcy sprawy narodowej zabici.

Jeden tylko generał brygady Nowicki, Bogu duszę winien, zginął wbrew nawet woli tych, co go zabili. Jadąc karetą trafił na oddział, który zapytał, kto jedzie, odpowiedziano niezrozumiale z karety; że zaś był nienawidzony od wszystkich moskiewski generał Lewicki, komendant miasta, sądzono, że to Lewicki jedzie, zawołano wysiadaj, a gdy Nowicki siedzący w karecie, czy nie usłyszał, czy nie usłuchał

wezwania, utwierdziło to powstańców w mniemaniu, iż Moskal siedzi w karecie, dali więc ognia i zamiast Lewickiego, z wielkiem swojem zdziwieniem i żalem zabili Nowickiego.

Oprócz młodzieży i czeladzi rzemieślniczej i najbiedniejszych z Nadwiśla mieszkańców, nikt się tej pierwszej nocy nie wychylił na ulicę.

Lud prosty tylko, nieobliczający możliwych strat, lecz kierujący się popędem uczucia, przystał czynnie do rewolucji i do tej garści podchorążych, która tem samem co lud uczuciem kierując się, pewna była, iż dawszy hasło do powstania, całe miasto usłucha go i stanie jak jeden mąż.

Wszystko jednak możniejsze siedziało w domach, zatarasowanych tej nocy pamiętnej, oczekując z bolesną niespokojnością dalszych następstw rozpoczętej rewolucji. Oprócz tych kilku generałów, którzy padli trupem, nikt jej szerzeniu się nie przeszkadzał.

Lud z pomocą wojska zajął Arsenał i rozebrał znajdującą się w nim broń.

Powstanie wzrastało w siłę, ale ta siła nie miała żadnej spójni, żadnego wytkniętego kierunku, wałęsało się po nocy wojsko i lud uzbrojony, ale bez pewnego celu, skupiając się to tu, to ówdzie, w miarę tego, jak zasłyszeli, że z tąd, lub z owąd Moskale idą. Tymczasem Moskale z miejsc gdzie stali, ani się ruszyli, tylko patrole pułku polskiego gwardji strzelców konnych

uganiały po ulicach i biły się z własnymi braćmi, dla ocalenia honoru wojskowego, który według ich wyobrażenia więcej ważył, jak obowiązki względem Ojczyzny. Pułk ten złożony z doborowych ludzi, mianowicie oficerowie onego używali przed nocą 29 Listopada opinji najlepszej. Zdawało się powszechnie, że w razie danym najniezawodniej powstanie liczyć może na nich, tymczasem, gdy nadeszła chwila stanowcza, pułk ten zawiódł najhaniebniej te oczekiwania i z najzajadliwszą zaciętością walczył w pierwszych chwilach z powstaniem, a w następnej wojnie z Moskwą najmniej okazał dzielności.

Podobnego zawodu doznała opinja i od pojedyńczych ludzi, których uważała przed powstaniem za najszlachetniejszych patrjotów, gotowych służyć z całem poświęceniem sprawie ojczystej, przy pierwszej nadarzającej się sposobności. Fałszywe to wyobrażenie pochodziło naprzód ztąd, iż ci ludzie w młodości swojej rzeczywiście gorliwie służyli sprawie ojczystej, pod despotycznym zaś rządem W. Xięcia, zachowali niezawisłość swoją. Ktokolwiek więc z zajmujących wyższe stanowisko w narodzie nie spodlił się całkiem, nie dał się zdeptać i nie chciał służyć za narzędzie ucisku i dzikiej fantazji W. Xięcia, ten już zyskiwał opinją wielkiego patrjoty i przypisywano mu przekonania, o których mu się nawet nie śniło.

W. Xiąże na paradach, odbywanych na Sa-

skim placu, kazał generałom dywizji maszerować na skrzydle plutonu i wyciągać raźno nogi z żołnierzami i wraz z nimi na rozkaz W. Xięcia, w jednej chwili z marszu paradowego, biedz biegiem, znów na jego komendę z biegu,—w jednej chwili powrócić do kroku paradowego, bez skrzywienia na włos frontu plutonu. Hecy tej poddawali się nie tylko generałowie dywizji, ale nawet i generałowie korpuśni i nieraz widziano starego i brzuchatego generała artylerji Sierakowskiego, jak zasapany uganiał po Saskim placu z żołnierzami, którym nie mógł nastarczyć, z czego W. Xiąże niezmiernie się cieszył.

Temu więc ubliżającemu ćwiczeniu, nie chcąc się poddać generał Chłopicki, przemówił się z W. Xięciem i podał się do dymisji. Car Alexander dymisji nie przyjął, Chłopicki więc w czynnej służbie pozostał, wszelako służby nie pełnił. Patrzano na to przez szpary, bo rząd carski nie chciał zniechęcać sobie generała, o którego zdolnościach wojskowych miał wysokie wyobrażenie i pozwalał mu bezkarnie dąsać się niby.

Chłopicki przychodząc czasem na plac Saski w czasie parady, w długim szarym surducie cywilnym, zyskiwał sobie niesłychaną popularność, nie domyślając się nawet tego. Ogół z pozoru sądząc i w bujny ustrój swojej wyobraźni przybierając ulubieńca swego, wyobrażał sobie w Chłopickim męża pałającego nienawiścią ku

Moskwie, przemyśliwającego tylko jak by jej jarzmo złamać i całą Polskę z pod niego wyswobodzić. Tymczasem ów przyszły zbawca Ojczyzny, był sobie dobrym żołnierzem, ale zresztą najpospolitszym człowiekiem. Ani mu to w głowie powstało, aby on miał się zrywać przeciwko carowi, który był królem polskim, któremu on przysięgę na wierność wykonał, i o którego potędze zresztą tak miał przesadne wyobrażenie, że uważał za czystą warjację, marzyć o jej złamaniu. Nie dał on sobie po nosie jeździć W. Xięciu, bo to obrażało dumę napoleońskiego żołnierza, który nie na Saskim placu stopnie swoje zdobył, jak sam mawiał; ale właśnie, że był napoleońskim żołnierzem, ślepe posłuszeństwo i bezwzględna cześć dla głowy koronowanej stała się u niego drugą naturą. Oprócz nabytej praktyką wiedzy wojskowej i wrodzonych zdolności, Chłopicki nigdy nic nie czytał, był gwałtownym, gburowatym, dnie całe trawił na graniu w karty i rozmowie z próżniakami i utracyuszami, dla których był wyrocznią. Publiczność nie wiedząc jednak o tych ujemnych stronach Chłopickiego, uważała go jako jedynego przyszłego zbawcę Polski.

Podobnie przesadnej stosunkowo opinji używało wielu ludzi, ze wszech miar zacnych, którzy rzeczywiście w młodym wieku byli gorącymi patrjotami i znakomite oddali Ojczyźnie usługi, lecz przy schyłku wieku spoczywając

wygodnie na poprzednio zdobytych laurach, ograniczali się na krytykowaniu rządu, wyśmiewaniu cichaczem dziwactw W. Xięcia, ale myśleć o zwaleniu istniejącej władzy, było w ich przekonaniu szaleństwem, nie mającem najmniejszego prawdopodobieństwa udania się, a z pewnością pogrążającego kraj w odmęt nieszczęść, których zgubnych następstw obliczyć nawet trudno było. Zresztą pogodzili się z losem Polski i przyzwyczaili się do tego stanu rzeczy, który rzeczywiscie nader był dla nich wygodnym. Rząd nieurażał się ich nieszkodliwą i zupełnie niewinną względem niego opozycją. Przez nią utrzymywali w całej świeżości urok swych dawnych zasług, byli niejako bożyszczami opinji publicznej, uważającej ich za przewodników i zbawców niezawodnych narodu, gdy przyjdzie chwila wydobycia się z pod przemocy moskiewskiej.

W części więc z przekonania, że walka nasza z Moskwą, z powodu zbyt wielkiej nierówności sił, jest niemożliwą, w części z obawy narażenia na niepewność, zbyt dogodnego i poważanego stanowiska, które zajmowali w istniejącym rzeczy porządku, przeciwnymi byli wszelkiej gwałtownej onego zmianie. Z tego też powodu ruch rozpoczęty przez podchorążych a poparty przez najniższe warstwy tak wojska jak i mieszkańców stolicy, uważali za największe dla kraju nieszczęście, które przypłacą głowami za-

paleńcy, a kraj utratą swobód, dotąd mu przyznawanych. Żaden więc z owych mężów, uważanych przez opinją publiczną za przyszłych przewodników narodu w walce z Moskwą, w chwili gdy ta walka właśnie się rozpoczęła, nie wychylił się na ulicę i nie mięszał się do rzeczy, którą za niedorzeczną uważał. Powstanie więc bez głowy, bez kierunku żadnego, pozostawione było na los szczęścia i na łaskę W. Xięcia, przez tych wszystkich, na których patrjotyzm i gotowość do działania liczyło. We wszystkich naszych zapasach z wrogiem, zwykle ludzie tak zwani przezorni, twierdząc, iż nie damy rady wrogowi, bośmy za słabi, nie tylko sami nie wspierają powstania, ale działają o ile w ich mocy, aby i te, według ich przekonania, zbyt wątłe siły czemprędzej zniweczyć. Występne też to zaślepienie ułatwia zawsze wrogowi przewagę nad nami.

Po upadku powstania, przezorni jeszcze z tryumfująca mówią miną: « a nie przepowiadaliśmy tego ». Nie baczą na to, że właśnie ich krótkowidząca przezorność, paraliżując siły powstania, była główną jedynie przyczyną jego upadku. Boć jeżeli dwóch walczy, a trzeci który winien był słabszemu w tej walce pomagać, podrywa mu jeszcze nogi, mówiąc, nie dasz mu rady, zapewne, że słabszy uledz musi. Ale, gdyby był ten trzeci zamiast słabszemu nogi podrywać, odważył się poderwać je mocniejszemu, nieza-

wodnie mocniejszy runąć by musiał. Na nieszczęście, przezorni wolą zawsze słabszemu nogi podrywać, aby walka, która ich niepokoi, jak najprędzej się skończyła i aby mocniejszy poczytał im za zasługę, że o ile mogli, starali się przyczynić do jej skrócenia.

W nocy z 29 na 30 Listopada, przezorni usuwając się od czynnego uczestnictwa w rozpoczętym ruchu i zostawiając go bez przewodnictwa w obec zorganizowanego wroga, tem samem w walce, którą powstanie rozpoczęło, podrywali mu nogi i ułatwiali pośrednio W. Xięciu pokonanie onego. Lecz na szczęście powstania, W. Xiąże, jak się to często tyranom wydarza, nie miał odwagi, w niebezpieczeństwie więc stracił przytomność, będąc zaś otoczony podobnymi mniej więcej sobie ludźmi, myśląc tylko o osobistem ocaleniu, nie chciał się narażać na wypadek niepewnej walki z powstaniem warszawskiem, którego potęga w wyobraźni jego ogarniętej trwogą, do olbrzymich wzrosła rozmiarów. Pomimo więc, iż ludzie energiczniejsi z jego otoczenia radzili mu i przedstawiali możność stłumienia ruchu, w którym nikt z poważniejszych osób nie brał udziału, W. Xiąże nie dał się nakłonić do walki z powstaniem. Rzeczą jest jednak nieulegającą wątpliwości, iż przy energicznem działaniu ze strony W. Xięcia, powstanie w zarodzie swoim mogło być stłumionem, bo mu zbywało na najważniej-

szym warunku, to jest na władzy, któraby siły powstania zespolić i w pewnym obmyślanym kierunku działanie onych skierować mogła.

Paręset podchorążych z piechoty i kilkunastu młodzieży cywilnej, dało hasło do powstania, które załoga i ludność stolicy miały wesprzeć, a znakomici wojskowi i cywilni patrjoci kierować niem. Oprócz gwardjów, załoga składała się z 24 kompanji wyborczych piechoty polskiej, z pułku 4 liniowej piechoty, batalionu saperów i batalionu weteranów czynnych. Gwardja składająca się z dwóch pułków pieszych moskiewskich, jednego pułku polskiego grenadjerów, oraz z 3 pułków gwardji moskiewskich ułanów, huzarów i kirasjerów i jednego pułku polskiego strzelców konnych gwardji, w pierwszej chwili wybuchu powstania stanęła pod rozkazami W. Xięcia, gotowa do walki z powstaniem. Z dwudziestu czterech kompanji wyborczych piechoty polskiej, sześć mimowolnie zaprowadzone zostały pod rozkazy W. Xięcia, to samo stało się ze Szkołą podchorążych konnicy, tudzież z czterema działami polskiemi.

Wprawdzie pozostałe w mieście osiemnaście kompanji wyborczych piechoty polskiej, pułk czwarty liniowy i batalion saperów sprzyjały powstaniu, a po wzięciu około północy arsenału, mogły być poparte przez lud uzbrojony i stanowić dosyć poważną do odporu siłę, gdyby tą siłą ktoś kierował. Ale na nieszczęście nikt nie

objął dowództwa, bo sprzysiężeni, tak rachowali na patrjotyzm generałów i wyższych oficerów polskich, iż o najważniejszych czynnikach powstania, to jest o wodzu onego i rządzie, nie pomyśleli. Siła więc powstania z braku właśnie dowództwa i rządu w pierwszej nocy, składała się z oddziałów luźnych, tchnących wprawdzie najlepszym duchem, ale nie mających żadnego co do działania związku między sobą i kierujących się rzec można instynktem, bez żadnego planu. W. Xiąże mający pod rozkazami swoimi trzy pułki piechoty, sześć kompanji wyborczych i cztery pułki jazdy, a prócz tego mając po sobie rząd krajowy i wszystkich wyższych oficerów wojska polskiego, miał tem samem ogromną nad powstaniem przewagę, bo jednolitość dowództwa i możność skupienia sił swoich, ułatwiała mu nader zaczepne działanie przeciwko pojedyńczym i rozstrzelonym oddziałom powstańców. Wszelako strach, a w skutku niego rodzaj jakiegoś obłędu, nie dozwolił W. Xięciu korzystać w pierwszych chwilach powstania, z rzeczywistej swojej nad niem przewagi.

Noc więc, w której obydwie strony przypisywały sobie mylne zamiary, noc pełna obaw, przeszła nareszcie; powstańcy kontenci, że się utrzymali na bruku warszawskim, że ich W. Xiąże przewagą swej siły nie zgniótł; W. Xiąże ucieszony, że go powstanie korzystając z nocy, nie napadło i nie zabrało w niewolę.

Dzień pokazał, iż Moskalom ani się śniło atakować powstanie w Warszawie i że tylko pułk polski gwardji strzelców konnych, przez zbytnią gorliwość i przywiązanie do Cara i swego wodza naczelnego, chciał gwałtem pokonać powstanie, nie wspierany przez resztę sił zostających pod dowództwem W. Xięcia. Posunął się wprawdzie prawie aż do kolumny Zygmunta na Krakowskiem Przedmieściu, strzelając, rąbiąc i płazując pojedyńcze osoby, ale jak się rozwidniło, parę kompanji piechoty wiernej sprawie ojczystej, z pomocą uzbrojonej gawiedzi ulicznej, wypędziło z miasta i zagnało do Alejów ten pułk, który zapoznawszy obowiązki swoje względem Ojczyzny, nie naglony do walki nawet przez obcą władzę, której służył, ale z własnego jakiegoś bezmyślnego i służalczego popędu przelewając bezowocnie krew swoich, okrył się piętnem nie zatartej hańby.

Po wypędzeniu z miasta strzelców konnych gwardji, ulice Warszawy oczyszczone zostały około 11 godziny przed południem 30 Listopada z wrogów. Pomimo tego trwała niepewność, bo nikt nie wiedział, co dalej będzie, gdyż żadna władza nowa, której objawu i od której kierunku wyglądali wszyscy, nie dała znaku życia. Wreszcie pojawiła się odezwa, ale Rady administracyjnej, która w imieniu Cara Mikołaja ubolewała nad wypadkami smutnymi, jakie zaszły minionej nocy i wzywała ludność do po-

rządku, zaręczając, że będzie się starała o utrzymanie swobód konstytucyjnych. Odezwę tę poprzylepiano na rogach ulic i rozrzucano po mieście. Kupa ludzi znajdujących się na Królewskiej ulicy, zażądała, abym przeczytał tę odezwę. Gdym zaczął od słów : « Rada Administracyjna w Imieniu Mikołaja I. » żołnierz stojący przy mnie krzyknął na całe gardło « nie czytaj, a to osły, my pobili jego generałów, wypędziliśmy jego brata, powstaliśmy, aby go wraz z Moskalami z całej Polski wygnać, a te durnie jakieś odzywają się do nas w imieniu Mikołaja I! » Wyrzekłszy to, szarpnął mi z rąk odezwę i krzyknął . « bracia zamiast głupstw słuchać, idźmy lepiej pod złote krzyże, bo tam wszyscy nasi idą dla rozbrojenia tych szelmów Moskali i wyswobodzenia naszych żołnierzy, których Burłak (miano dawane W. Xięciu) więzi. » Wszystko ruszyło za żołnierzem, który prostym rozumem lepiej odgadywał, co należało w tej chwili robić, jak Czartoryski, Niemcewicz, Pac i Radziwiłł.

Odezwa Rady administracyjnej, dająca znak, iż pomimo powstania, władza dawna utrzymała się, nie wpłynęła jednak na uspokojenie większej części mieszkańców, którzy wiedząc, iż W. Xiąże stoi na czele znacznych sił, a powstanie w mieście pozostaje bez żadnego dowództwa, lękali się napadu na miasto, walki w niem i następstw jej, zawsze okropnych dla mieszkańców. Miasto więc pomimo odezwy Rady admi-

nistracyjnej, czuło się bez opieki, pozamykane sklepy dobitnie wskazywały trapiącą mieszkańców niepewność. Kupy uzbrojonych ludzi snujących się po mieście; oddziały wojska, które na znak przystąpienia do powstania, pozrzucały pióropusze, kity olbrzymie z włosów końskich, lub wyrabiane z włóczki, które zdobiły ich kaszkiety, lub kąpelusze stosowane, wszystko to nadawało postać wojenną miastu, ale nie zmniejszało niepokoju, wynikającego z niepewności, w jakiej wszyscy pozostawali, nie wiedząc, ani co W. Xiąże zamyśla, ani co Rada administracyjna zrobić zamierza. Bo chociaż faktycznie zrobiono powstanie, ale o władzy powstańczej, któraby otwarcie swój cel wypowiedziała i do ostatecznego pokonania grożącego miastu wroga, poczyniła kroki, nikt w mieście nie wiedział. Nie było nadużyć, zwykle wywiązujących się przy podobnych wstrząśnieniach, bo poczciwy lud warszawski uzbroił się rzeczywiście w celu walki z wrogami, ale nie w zamiarze popełniania gwałtów Wszelako obawa, aby wśród tylu ludzi uzbrojonych, nie znaleźli się i tacy, którzy korzystając z powszechnego zamięszania, będą się chcieli obłowić, spowodowała Radę administracyjną do mianowania prezydentem Warszawy Węgrzeckiego, staruszka popularnego, a wiceprezydentem Bolestę, byłego pułkownika 1go pułku piechoty liniowej, oraz do utworzenia gwardji bezpieczeństwa, do

której wezwno wszystkich nieco możniejszych obywateli i młodzież.

Oprócz tego młodzież akademicka zawiązała się w legion, pod dowództwem profesora swego Lacha Szyrmy. Rada administracyjna wzmocniona przez przybranie członków popularnych, jak Niemcewicza, Paca, Radziwiłła, X. Czartoryskiego, Kochanowskiego kasztelana, usunięcie znienawidzonych, jak Grabowskiego, Kosteckiego, Rautenstraucha, przeniosła siedzibę swoją za poradą X. Lubeckiego do Banku. Noc powstania i dzień po niej przeszedł, a nikt nie miał jeszcze jasnego przekonania, co dalej z tego wyniknie.

Powszechność była zdecydowaną na walkę z Moskwą, dla wydobycia się z jej jarzma, ale od tych, których uważano za przewodników narodu, oprócz lichej odezwy, oburzającej wielu, nic na jaw nie wyszło. Głuche tylko rozchodziły się wieści, iż rokują z W. Xięciem, obozującym za rogatką Mokotowską: ale czy go wzywają do poddania się, czy też błagają o przebaczenie, wiadomem nikomu nie było. Niepokoiło i to wszystkich, że bohatera, na którego wszyscy rachowali, który jak wielu zaręczało już w nocy 29 dowodził, co było nieprawdą, jak się potem wykazało, nikt nie widział i że go nawet przez cały dzień wtorkowy odszukać nie udało się.

Jak wszystko w Warszawie było niespokojnem o generała Chłopickiego, tak ja oprócz tego

byłem niespokojnym o brata mego przyrodniego Antoniego Dembowskiego, o któregom się także dopytać nie mógł. Był on odemnie starszym o lat 9, a chociaż w wielu zdaniach różniliśmy się z sobą, wszelako, oprócz bliskiego pokrewieństwa, zostawaliśmy w stosunkach ścisłej przyjaźni.

Wiedziałem, iż Antoś lubiący wygodne życie, stosunki z panami i hulanki z nimi, nie jest pochopnym do walki z rządem, który bawić się, polować nikomu nie przeszkadzał i owszem, osoby, które innego nie miały celu, jak te niewinne rozrywki, były najlepiej widziane i pewne jego opieki.

Ale, wśród nocy powstania mógł i najobojętniejszy przypadkiem zginąć, w dzień zaś gdy lud ucieszony zdobytą wolnością, dla okazania ochoty, strzelał sobie po ulicach na wiwat ostremi nabojami, można było oberwać najniewinniejszym sposobem, a nawet przenieść się do wieczności. Ja tego o włos sam nie doświadczyłem, bo na Żabiej ulicy wśród strzałów wiwatowych, kula przeszła na cal od głowy mojej i wybiła szybę w oknie, przed którem stałem, a w tej chwili druga utknęła w biurze rozmawiającego ze mną urzędnika z Kommisji skarbu, Chylińskiego.

Raniutko 30 Listopada, pobiegłszy do mieszkania brata i dowiedziawszy się od służącego, iż, jak wyszedł wczoraj po południu, tak jeszcze

nie wrócił, obiegłem miasto. Widziałem konie zabite i ludzi, których nie uprzątnięto jeszcze, ale na szczęście, brata mego pomiędzy nimi nie było, alem się też od nikogo nie mógł dowiedzieć, co się z nim stało. Dowiadując się kilkakrotnie bez skutku, późnym wieczorem zajrzawszy do mieszkania brata, zastałem go nareszcie. « A niech ci Bóg nie pamięta, ileś mi niepokoju narobił, gdzieżeś się przez ten cały czas obracał? » były pierwsze moje słowa, witając brata. On mi na to odpowiedział : « Byłem wczoraj z generałem (ten tytuł par excellence oznaczał Chłopickiego, z którym brat był w dobrej komitywie) w teatrze Rozmaitości i wystaw sobie, gdy się w najlepsze bawimy, wpada jakichś dwóch zapaleńców oficerów a jeden z nich z dobytym pałaszem, « wy się bawicie, gdy Moskale naszych mordują! » wrzasnął na całe gardło, możesz sobie wyobrazić jaki się popłoch zrobił i jakie wrażenie straszliwe zdziałać musiało na wszystkich tak niespodziewane oświadczenie. Nie było co robić w teatrze. Ja nie odstąpiłem generała, który mi rzekł, gdyśmy na ulicę wyszli : « Półgłówki zrobili burdę, którą wszyscy ciężko przypłacić mogą. Mięszać się do tego nie należy, ażeby więc wbrew woli nie być wciągniętym w to głupstwo, najbliżej mamy kwaterę pułkownika Sobieskiego, w Ministerjum wojny, tam pójdźmy poczekać bezpiecznie, bo to się nie długo skończy. » U Sobieskiego więc siedzieliśmy cały czas.

Generał wydziwić się nie może niedołęztwu W. Xięcia, że w pierwszym momencie nie stłumił tej burdy i dał jej się rozwinąć, bo tylko więcej ofiar namnoży. Marzyć o walce z Rossją, która trzema kroć stotysiącami wojska zalać nas może, gdy my ledwie pięćdziesiąt tysięcy miec możemy, jest pomysłem głów, którym piątej klepki brakuje. Gdy jednak powstanie, czy przez głupotę, czy przez wyrachowanie W. Xięcia, aby więcej osób skompromitować, stłumionem nie zostało i motłochowi może zgubną chwilową przewagę zapewnić, przeto wieczór, generał udał się do Rady administracyjnej, aby ją wesprzeć i jak mi mówił z burdą skończyć i porządek przywrócić. Pożegnaliśmy się więc, on do Banku, a ja przyszedłem nareszcie do domu.»

Wysłuchawszy brata, powiedziałem mu, że mam zamiar zaciągnąć się do wojska, bo rzeczy tak zaszły, że tu idzie o nasze wyswobodzenie, lub zagładę, przeto każdego obowiązkiem, brać czynny udział w walce, od której szczęśliwego rozwiązania, byt nasz zależy. Zapytałem się go, co on zamyśla zrobić? « Mój kochany, odpowiedział, wam się w głowach pali, lecicie na zgubę bezowocną, miałem czas nagadać się o tem z generałem, którego zdanie, przyznasz mi, w tym względzie więcej waży, jak wasze niedoświadczone marzenia. Generał mi wyraźnie powiedział, że chcieć z trzydziestu tysiącami wojska pokonać Rossją, która w jednej chwili

trzykroć stotysięcy rzucić na nas może, a gdybyśmy przypuściwszy zdołali się oprzeć temu, to drugie trzykroć stotysięcy niebawem przyjdzie i zgniecie nas na miazgę, w końcu, jest szaleństwem, pomysłem półgłówków, któremu każdy rozsądny człowiek wszelkiemi siłami oprzeć się powinien. Dalej mi mówił generał, że złe wielkie się stało; ale ocalić kraj od ostatecznej zguby, można jeszcze, pochwyciwszy silną ręką władzę, ukróciwszy wybryki półgłówków, przywróciwszy porządek i traktując z Cesarzem, można będzie wyjednać przebaczenie dla narodu, za ten wybryk niewczesny garstki szaleńców. »

« Radzę ci więc szczerze, mówił brat dalej, abyś głupstwa nie robił, do wojska się nie zaciągał, bo wojny nie będzie, a jeżeli warjaty górę wezmą, to będzie rzeź, która się w krótkim czasie skończy. Ty masz żonę i dzieci, o tych naprzód myśleć powinieneś. Najlepiej więc zrobisz, jak zawczasu wyniesiesz się z rodziną do Krakowa.»

« A ty co zrobisz? zapytałem go się. » Ja podążę później do Krakowa, jeżeli generał nie potrafi przywrócić porządku i przejednać Cesarza.»
« Zdaje mi się, odrzekłem mu, że niebawem do Krakowa wyjedziesz, bo Chłopicki, ani rewolucji powstrzymać, ani Cesarza przejednać nie będzie mógł i sam się przekona, że nie pozostaje nam nic, jak bić się z Moskalami.»

Rozmowa ta z bratem nader przykre na mnie

wrażenie zrobiła, przekonała mnie albowiem, iż ów generał Chłopicki, w którym wszyscy upatrywali gorącego patrjotę, przyszłego dowódzcę powstania i zbawcę Ojczyzny, w rzeczywistości nie był tym, za co go wszyscy mieli. A najważniejszą i najbardziej smutną było rzeczą, iż nie wierzył w siłę powstania. On żołnierz, machina wyrobiona w warsztacie Napoleońskim, wierzył tylko w wojsko regularne, wyrobione i dopasowane według form przyjętych, w potęgę powstańczą narodu nie wierzył.

Smutny nader objaw, w jedynym możliwym wodzu powstania, brak wszelkiej wiary w siłę powstania.

Rozczarowanie jakiegom doznał, oświecony o rzeczywistem usposobieniu Chłopickiego przez brata mego, zataiłem w sobie, bom sądził, że Chłopicki przekonawszy się, iż powstania przytłumić nie podobna i że walczyć trzeba, weźmie się do tego z całą dzielnością, jaką mu powszechnie przyznawano.

Przeto uważałem za rzecz szkodliwą, rozgadywániem o jego rzeczywistem zapatrywaniu się na tę całą sprawę, psuć zaufanie do tego przyszłego i nieodzownego wodza powstania. Niepewność, co dalej będzie, ciążyła nad miastem. Snujące się tłumy uzbrojonego ludu, strzelającego kiedy niekiedy na wiwat, nie dodawały otuchy możniejszym mieszkańcom miasta. O zamiarach W. Xięcia nikt dotąd nie wiedział,

wiedziano tylko, że ma 4 pułki jazdy, 3 pułki piechoty i do 40 dział, z jakimi mógł lada chwila atakować miasto, w którem wprawdzie była siła, ale bezwładna, bez dowództwa, któreby w pewnym wyraźnie objawionym celu działało. Wprawdzie przy nieporadności i przerażeniu, jakie ogarnęło W. Xięcia, łatwo było go pokonać, rozbroić i wyswobodzić miasto, z tej ciągle grożącej mu napaści; ale o tem nikt z ludzi, którzy posiadali zaufanie obywateli nie myślał. Powiększała niepokój z tąd wynikający niepewność, jak się zachowają pułki nasze, stojące na prowincji, czy przystąpią do sprawy powstania, czy też idąc za przykładem pułku strzelców konnych gwardji, złączą się z W. Xięciem, aby przytłumić powstanie. Niepewność ta niepokoiła umysły cokolwiek zastanawiające się i dosyć smutną nadawała postać miastu, którego wesołości nie mogły obudzić kupki młodzieży na koniach przejeżdżającej po mieście, zatrzymującej się na placach i śpiewawającej, dla podniesienia ducha, patrjotyczne pieśni.

Rada administracyjna w tym dniu postąpiła o krok na drodze rewolucyjnej, przybierając do grona swego Lelewela, Dembowskiego Leona, Władysława Ostrowskiego, Gustawa Małachowskiego. Ale w tej Radzie rej wodził Lubecki wierny carski sługa, jak się później okazało. Za jego wpływem w miejsce Bolesty, mianowano

wiceprezydentem miasta Tomasza Łubieńskiego, a dowódzcą gwardji bezpieczeństwa, brata jego, Piotra Łubieńskiego.

Dla obrony mieszkańców od rabunku możliwego, o którym się nikomu nie śniło, bo wszyscy ci, co broń chwycili, myśleli o biciu nieprzyjaciela, ale nie o napadaniu swoich, gdy Moskal stał nad karkiem, pozaprowadzano odwachy z straży bezpieczeństwa i kazano jej patrolować po mieście.

Czas był przecudny, przy pełni księżyca, oświecającego ulice miasta, widno było w nocy jak wśród dnia; przymrozki ułatwiały chodzenie i biwakowanie wojska po placach i ulicach, na których palono ognie dla ogrzania się.

Rzeczą jest nie wątpliwą, że stan powietrza wielki wpływ wywiera na usposobienie umysłów, bo też ta cudna tych dni pogoda, zdawała błogosławić rozpoczętemu powstaniu, a jasność nocy niedozwalała popełnić niecnego czynu.

Zresztą taka serdeczność ogarnęła wszystkich z powodu wypędzenia Moskali, iż choć się znalazł w mnóstwie takiem, nie jeden i zły człowiek, który by chciał niegodziwość popełnić, przemówienie pierwszego lepszego patrjoty, naprowadzającego tłum na drogę uczciwą, skutkowało natychmiast i nie jeden kusiciel do złego ciężko odpokutował za swoje złe zamiary, zbyt otwarcie objawione. Pomimo nieograniczonej wiary w dobre chęci ludzi stojących u steru

władzy, znaleźli się mężowie bystrzy i gruntowniej rzeczy zgłębiający, którzy jeżeli nie o zdradę, to przynajmniej o nadzwyczajną nieudolność zaczęli obwiniać całą Radę administracyjną, nie wyłączając i tych patrjotów, którzy dla dodania jej ducha rewolucyjnego, weszli do jej składu.

Między tymi ludźmi, którzy z stanowiska rewolucyjnego, mającego na celu wyzwolenie całej Polski dawnej z pod jarzma moskiewskiego, oceniali powstanie, Maurycy Mochnacki, młody człowiek, miał najbystrzejszy pogląd. On jasno widział, iż rokowania niedołężne z W. Xięciem Rady administracyjnej, działającej w imieniu Miłołaja, do zguby tylko mogą doprowadzić powstanie; że aby powstaniu siłę nadać, trzeba W. Xięcia pokonać, rozbroić, cały naród powołać do broni, ruszyć na Litwę i poruszeniem zabranych ziem, spotęgowawszy siłę powstania, zapewnić mu niewątpliwą nad Moskwą przewagę. Tą myślą powodowany, zachęcił do zawiązania klubu, któryby z pomocą ludu, zmusił Radę administracyjną do wstąpienia na drogę rzeczywiście rewolucyjną.

W skutku jego zabiegów, zgromadziła znaczna liczba osób we Czwartek w salach redutowych starego teatru. Prezesem tego klubu obrano Lelewela, członka Rady administracyjnej; wiceprezesem Xawerego Bronikowskiego, a sekretarzem Grzymałę, duszą jednak

tego klubu był Maurycy Mochnacki. Kiedy klub zaczął swoje narady i gorące przemowy członków jego oświecały publiczność, tłumnie zgromadzoną, co trzeba robić i jak trzeba działać, aby powstaniu, czyli Polsce zwycięztwo zapewnić, wówczas Rada administracyjna wyprawiła z grona swego deputacją do Wierzbna, wsi za rogatką Mokotowską, w której W. Xiąże obozował, złożoną z X. Lubeckiego, X. Czartoryskiego, Władysława Ostrowskiego i Lelewela. Wyjazd tych panów sprawił niemiłe w mieście wrażenie. Zaniepokojona publiczność zatrzymywała ich, badając w jakim jadą celu. Tłumaczyli się, że celem ich rokowań z W. Xięciem, będzie uchronienie miasta od napadu i zbadanie zamiarów W. Xięcia. Dla ludności, która myślała o rozbrojeniu W. Xięcia, trwożliwe i nader oględne postępowanie Rady administracyjnej nie było do smaku.

Daleko bardziej przypadały jej do przekonania śmiałe zdania, objawione w klubie, które odrzucały wszelkie z W. Xięciem rokowania, a zachęcały do stanowczej i otwartej walki z Moskwą, do której nieodzownym wstępem powinno było być rozbrojenie Moskali, stojących pod Warszawą, wzięcie w niewolę W. Xięcia, jako zakładnika i pochód na Litwę, Wołyń Podole i Ukrainę, aby wywołanem i tam powstaniem siłę onego spotęgować, moskiewską zaś tem samem sparaliżować.

Wysłańcy klubu, uwijając się pomiędzy kupami ludności niespokojnej i rozdrażnionej tą niepewnością o rzeczywistych zamiarach rządu, starali się rozbudzać w niej ducha i przekonywać, iż gdyby W. Xiąże sam się nie bał i czuł się na mocy, toby dawno miasto napadł, gdy zaś dotąd tego nie uczynił, jasno się pokazuje, iż sam jest w strachu, a napadnięty obronić by się nie zdołał.

Obeznaniem ludu i oddziałów wojska z tem, co należało robić, aby módz Moskwie sprostać, zajmował się klub przez cały dzień czwartkowy. Przekonawszy się, iż zdanie jego w tym względzie podzielał lud, pewny poparcia od niego, wyprawił wieczorem deputacją z grona swego do Rady administracyjnej, z kategorycznem żądaniem, aby nakazano generałowi Chłopickiemu natychmiast rozbroić i zabrać W. Xięcia, aby w całym kraju wezwać do powstania i uzbrojenia się, aby ministrów cara wziąć pod dozór, równie jak i żony oficerów moskiewskich, pozostałe w mieście, oraz nakazać wszystkim dowódzcom wojska połączenie się z powstaniem, pod karą ogłoszenia za zdrajców.

Deputacją w asystencji kilkunastu tysięcy ludzi, przybywającą na plac Bankowy, rząd rad nie rad musiał przyjąć. Ale łatwo pojąć, co się dziać musiało w sercach tych powag, a prawie przed chwilą tych bożyszczów narodu, gdy ujrzeli przed sobą ludzi nieznanych, którzy

bez żadnego od władzy legalnej upoważnienia, śmieli im, mężom uprzywilejowanym przez urodzenie i przez zasługi położone dla kraju, do rządzenia i czuwania nad losem tego kraju, narzucać pomysły swoje, według ich przekonania niewykonalne, a co gorsza, w wątpliwość podawać, nie tylko ich gruntowną znajomość rzeczy publicznej, ale nawet ich dobrą wiarę.

Oczekujące tłumy na placu Bankowym powrotu deputacji i rezultatu jej misji, dowiedziały się w końcu, iż rząd wziął pod rozwagę uczynione mu przedłożenia.

U ludności przez lat kilkanaście będącej pod najsurowszą karnością, uszanowanie dla władz stało się prawie drugą naturą, z przekonaniem tejże ludności zrosła się i wiara w patrjotyzm i mądrość polityczną pewnych osób, z tąd też rewolucyjna deputacja klubu, podejrzywająca patrjotyzm i rozum stanu tych mężów Ojczyzny, była rzeczą tak nadzwyczajną, iż i rząd i publiczność, odurzoną prawie została tym całkiem nieprzewidzianym przez wielu wypadkiem. Rozmaite też objawiały się zdania pomiędzy publicznością o tem wydarzeniu, które ją żywo zajęło. Ludowi w ścisłem tego słowa znaczeniu, który do czynu pochopny, nie wdaje się w rozumowania i w subtelności kwestji politycznych, żądania postawione przez klub, zdawały się rzeczą zupełnie właściwą. Bo jeżeli zrobiło się powstanie, to nie na to, aby wypędzić

Moskali z miasta, a potem ręce założyć i pozwolić im za miastem gospodarować, ale na to, aby ich z całej Polski wygnać. Należało więc naprzód tych wybić, lub zabrać, którzy z miasta wyparci zostali, następnie wyswobodzić Litwę Wołyń, Podolę i Ukrainę od Moskwy, a to stać się mogło jedynie jeżeli wojsko jakie jest i wszyscy zdolni do broni, od razu pójdą za Niemen i Bug, do zabranych krajów, dla wyswobodzenia braci z pod moskiewskiego jarzma. Wielu i z wykształceńszych klas podzielało przekonanie ludu, o potrzebie energicznego działania i nie układów, ale walki jak najprędszej z Moskwą; ale właśnie dla tem skuteczniejszego jego przeprowadzenia, uważali za niezbędny warunek zgodę i jedność zupełną w narodzie. Zdanie, iż Polska niezgodą zginęła, brzmiało złowrogo wszystkim w uszach i dla tego wszyscy lękali się jak dżumy wszelkiego rozdwojenia. W ogóle więc z obawy tej niezgody, wpadli w drugą ostateczność, ślepej wiary i bezwzględnego zaufania w patrjotyzm i mądrość prawie nieomylną pewnych osób, które słusznie czy niesłusznie, miały utrwaloną powagę w opinji publicznej.

Ta dążność do zgody nader chwalebna w pewnych granicach, jak każdy, choćby najlepszy przymiot posunięty do przesady, stawała się szkodliwą, bo wykluczała wszelką krytykę osób stojących u steru rządu i wpływ publiczny na

zmianę ich postępowania, uważanego za nieomylne. Nastręczała przytem ludziom złej woli, pod hasłem zgody i jedności, łatwą sposobność zohydzenia i zniweczenia najzbawienniejszych dla sprawy narodowej pomysłów i czynności.

Ta to obawa rozdwojenia sił narodowych, od których skupienia do jednego celu, czuł każdy, że nasze zależało zbawienie, wstrętnem czyniła dla ludzi myślących i umiarkowanych te działania rewolucyjne klubu i ruch wywołany niemi pomiędzy ludnością. Wpadnięcie obcessowe deputacji klubu do rządu, dyktowanie przez nią rządowi co ma robić, wiele osób oburzało. Jakto, mówili, jakiś tam Mochnacki, Nabielak, Goszczyński, młokosy których nikt nie zna, których całą zasługą, że do spisku należeli i w Belwederze byli, mają poniewierać i w podejrzenie podawać mężów, których całe życie stwierdza ich poświęcenie dla Ojczyzny. To niedobrze się dzieje, kto wie czyja w tem ręka, chcą nas pokłócić, żeby tem łatwiej za łeb wziąć ; przecież trudno, aby młokosy narodem rządziły, należy się to ludziom wytrawnym, doświadczonym, których zresztą cały ich żywot jest niezaprzeczoną rękojmią przywiązania ich do kraju i odpowiedniej zdolności. Rozumowania te wskazywały, iż ludzie nieznani, choćby najzdrowiej rzeczy widzący i najodpowiedniej do okoliczności mogący działać, nie zdołają sobie pozyskać zaufania, jakiego używali słusznie, czy

niesłusznie, ludzie oddawna przez opinją publiczną za przewodników narodu uznani.

Ogół tak był zresztą przejęty koniecznością walki z Moskwą, wyswobodzenie całej Polski, tak mu się naturalnym wynikiem powstania zdawało, że ani mu przez myśl przejść nie mogło, aby ktokolwiek bądź mógł myśleć o czem innem. Naturalnem więc tego następstwem było, iż wolał, aby walką tą ostatnią z Moskwą kierowali ludzie znani z zdolności i patrjotyzmu swego, jak ludzie, o których przed napadem na Belweder nikt wprzódy nie słyszał.

Z tem wszystkiem zawiązanie się klubu, traktowanie w nim jawnie i publicznie spraw bezpośrednio tyczących się powstania, budziło ogromne zajęcie i ożywiło ducha ludności, miarkującej, iż to co uzna za dobre i pożyteczne dla sprawy, będzie mogła ona sama postanowić i wykonać, niepotrzebując koniecznie czekać, aż się tam u góry zechcą namyśleć.

Pomimo tego poczucia własnej siły, lud ten uzbrojony niedopuścił się żadnego nadużycia, któreby mu zakałę przynieść mogło, własność wszelka była szanowaną święcie, nawet tych osób, które znienawidzone były całkiem dla swej nikczemności, jak Makrot, szpieg znany w całej Warszawie.

Pomimo tego usposobienia łagodnego a zarazem i uczciwego ludu warszawskiego, uzbrojenie onego niepokoiło kupców, bankierów i

możnych właścicieli, zbyt przywiązanych do pieniędzy, aby mogli przypuścić, iż ci, co ich nieposiadają, nie zapragną korzystać z sposobności i nie będą się kusić o nabycie ich przemocą.

Niemniejsza trwoga ogarniała wszystkich urzędników wyższych, nawykłych do martwego despotyzmu porządku. Zdawało im się, że świat z swych posad wysadzony runąć i w swych gruzach wszystko zagrzebać niebawem musi.

Jakże nie miało to nastąpić, kiedy ich upoważnionych i jedynie kompetentnych do rządzenia krajem, nikt się o nic nie pyta, kiedy smarkacze gwałtem się do rządów mięszają, motłoch zaś uzbrojony jest panem w mieście i choć dotąd nie robi nic jeszcze, ale szuka do tego powodu i ośmiela się kontrolować czynności najwyższych dostojników w kraju.

Zdarzyło się albowiem, iż tłum ludzi uzbrojonych zatrzymał się przed pałacem ordynata Zamojskiego, który jako prezes komisji śledczej poprzedzającej sąd sejmowy, zjednał sobie niechęć powszechną i zaczął objawiać przeciwko niemu, nieprzyjazne uczucia swoje. Ozwały się głosy, iż trzebaby zajrzeć do pałacu i dowiedzieć się, co on myśli robić, niech przynajmniej ze skarbów swoich złoży część znaczną na ołtarzu Ojczyzny, aby tą ofiarą nieco brudów moskiewskich spłukał ze siebie.

Zachęcony temi uwagami tłum, rzeczywiście

zaczął szturmować do bramy dziedzińcowej. Wkrótce też pojawił się na dziedzińcu jakiś mężczyzna, który, zawiadomiony o co rzecz idzie, oświadczył przez kratę zebranemu na ulicy ludowi, iż ordynat sam pojechał do dóbr swoich formować powstanie, a przeznaczył milion, aby synowie jego usztyftowali pułk jazdy. Lud dobroduszny, który przed chwilą srożył się na ordynata, posłyszawszy o jego patrjotycznych czynnościach, kilkakrotnie wykrzyknąwszy : niech żyją Zamojscy! pociągnął dalej, niedochodząc nawet ile w tem prawdy było, ale wierząc na słowo człowiekowi, którego nieznał. Łatwowierność ta była właśnie dowodem wielkiej poczciwości tego ludu, którego wielu o niecne posądzało zamiary.

Sam szczerze pragnący i wierzący w wyswobodzenie Ojczyzny, gotów do wszelkich dla niej ofiar, nie mógł przypuścić, aby znajdowali się ludzie, którzy by mogli w tej uroczystej chwili, mieć inne przekonania. Łatwo więc uwierzył, że ordynat pospieszył do dóbr powstanie formować, gdy tymczasem ordynat jako dyplomata, wyjechał z Warszawy, ale nie do dóbr, tylko wprost do Petersburga, pod skrzydło opiekuńcze Cara.

Zwykle panowie nasi, dbający przedewszystkiem o całość swoją wśród zaburzeń krajowych, trzymali się tej przezornej zasady, aby zawsze jeden z rodziny służył Ojczyźnie a drugi

wrogom. Bo jeżeli sprawa ojczysta górę weźmie, to patrjota, wziętością zyskaną zasługami swojemi ocali krewniaka odszczepieńca i zdrajcę; jeżeli wrogi górą, to ich służalec wytarguje przebaczenie i ocali fortunę skompromitowanego krewnego patrjoty.

Tą też polityką kierując się ordynat Zamojski, wymknął się zawczasu do carskiej stolicy, aby nie owionięty zarazą rewolucyjną, w całej czystości wiernego poddanego stanął przed Carem i jeżeli powstanie kark skręci, wytargował przebaczenie dla synów, którym jako młodym uchodziło warjować.

Napad, jak go nazywali, na pałac hr. ordynata Zamojskiego, trwożył i oburzał tych dygnitarzy, którzy nawykli do rozkazywania i wygodnego nader życia ; nie mogli przebaczyć rewolucji, że poważała się zakłócać ten błogi porządek, tak dla nich dogodny i z duszy pragnęli, aby tej krwawej farsie, jak ją nazywali, jak najprędzej położono koniec.

Z tem wszystkiem W. Xiąże nie myślał o ziszczeniu cichych, ale gorących życzeń wiernych sług rządu; rewolucja zostawiona samopas, z wielkim żalem i zgorszeniem ludzi legalnych co raz potężniała.

Ogłoszenie rokowań z W. Xięciem, dokonanych przez wysłańców Rady administracyjnej, z których się pokazało, iż ci, zamiast stanowczo zażądać od W. Xięcia złożenia broni, przeciwnie

błagali go, aby wyjednał u Cara przebaczenie, za pogwałcenie jego władzy i smutne nadużycia wynikłe w nocy 29 Listopada, obudziło powszechne nieukontentowanie, które zaczęło podkopywać wiarę w patrjotyzm i dobre chęci osób, należących do składu Rady administracyjnej.

Powaga klubu, który nastawał na rozbrojenie W. Xięcia, na jak najszybsze uzbrojenie całego narodu, a po wyswobodzeniu Litwy, Wołynia, Podola i Ukrainy, dopiero przypuszczał możliwość rokowania z Moskwą, wzrosła i utwierdzać się zaczęła w przekonaniu ludu, który instynktowo odgadywał, iż należy naprzód pobić Moskwę, aby módz następnie się z nią z korzyścią układać. Lecz klub nie był władzą, był tylko wyrazem opinji publicznej, tej przeważnej części narodu, której nie szło o zapewnienie swobód konstytucyjnych, danych przez Cara, ale o zwalenie jego jarzma i odbudowanie całej Polski. Tymczasem władza uznana faktycznie za takową, a będąca pomimo powstania dalszym ciągiem władzy legalnej, nie myślała o odbudowaniu całej Polski, bo w przekonaniu mężów ją składających było to rzeczą niemożliwą; ale miała na celu wyproszenie, a w ostatnim razie wytargowanie z bronią w ręku rękojmi, zabezpieczających Królestwu Kongresowemu konstytucją, którą mu Car Alexander nadał.

Jakkolwiek pojęcia i działania władzy faktycznej nie zgadzały się z przekonaniami ogółu,

wszelako w skutku kilkunastuletniego przygnębienia, urok władzy i osób wysoko w hierarchji społecznej położonych, miał wielkie poszanowanie w powszechności.

Wiedziano, że rzeczy nie idą tak, jak powinny, ale się znów lękano bezrządu, który mogła wywołać niezgoda domowa, w razie targnięcia się na władzę, faktycznie istniejącą, zwłaszcza, gdyby to dokonanem zostało przez ludzi całkiem nieznanych.

Ogół chciał walki z Moskwą, ale nie będąc wykształconym politycznie nie odgadywał, iż powstanie, które nie umie korzystać z czasu, i zamiast przyspieszonym biegiem posuwać się naprzód i zagarniać największą przestrzeń, zatrzymuje się w miejscu, tem samem pozbawia się sił i gotuje sobie upadek.

Że zatem i kierownicy powstania, zwłaszcza powstania, mającego niewątpliwie i jedynie na względzie wywalczenie niepodległości kraju, takiego, jakiem było powstanie nasze, jeżeli paraliżują jego ruch i rozwinięcie się, są może bezwiednie, ale są zdrajcami, których, jeżeli nie ukarać, bo są występnymi nie ze złej woli ale z głupoty, to bezwzględnie usunąć należy.

Ogół nie pojmując całej doniosłości pierwszych kroków powstania i kierunku, jakiego mu rząd jego wytknie, nie mógł być tym czasem, jak należało, drażliwym na niedołężne postępowanie rządu. Wierząc w patrjotyzm jego członków,

pewnym był, iż nie odstąpią sprawy narodu i przekonawszy się o niemożliwości układów z Moskwą, będą z nią szczerze walczyć; zapomniał tylko, iż czas zmarnowany na rokowaniach z Moskwą, był właśnie zmarnowaniem téj siły, która nas mogła od zagłady ochronić.

Klub, pomimo ukonstytuowania się, był tylko zbiorowiskiem najrozmaitszych ludzi, których większa część przez ciekawość, dla posłyszenia, co też tam gadają i czy czego nowego się nie dowie, zbierała się. Oprócz Mochnackiego, który miał zdrowe i jasne pojęcie, jak działać należy, a przytem i odwagę cywilną do przeprowadzenia tego, co uważał za zbawienne dla sprawy powstania, bez oglądania się na powagi krajowe, nikt ani w klubie, ani w całem mieście, nie umiał ocenić ważności jego zapatrywania się i przejąć się konieczną potrzebą przeprowadzenia bezwzględnego rad jego zbawiennych.

Twórcy powstania do których i Mochnacki należał, nie pomyślawszy z powodu wiary w patrjotyzm uznanych w kraju znakomitości, ani o naznaczeniu wodza, ani o utworzeniu rządu powstańczego, któryby zaraz przy wybuchu powstania objął władzę, uświęcił ją i ugruntował pobiciem załogi moskiewskiej i wzięciem w niewolę W. Xięcia, zostawili tem samem powstanie na łasce tych mężów, których powaga ugruntowaną była w narodzie, a którzy przez stanowisko swoje społeczne i wiek po-

deszły, inaczej się na całą zapatrywali sprawę. Ani Rada administracyjna nie czuła się na siłach, aby wyraźnie i stanowczo objawić kierunek, w jakim postępować zamierza, ani klub nie zyskał na tyle wziętości, aby opierając się na niej, mógł znaglić Radę administracyjną do sprężystszego i rzeczywiście powstańczego działania, a w razie oporu z jej strony usunąć ją bez wywołania niezgody domowej. Jednem słowem nie było żadnej powstańczej władzy, bo ta co faktycznie istniała, była dalszym ciągiem władzy upadłej, w klubie zaś dopiero był zarodek, z którego się mogła wytworzyć władza powstańcza, jeżeli jakie znakomitości przyłączą się do niej. Pomimo tego braku władzy powstańczej, powstanie było faktem dokonanym w przekonaniu i w duchu całej ludności warszawskiej, która niewątpiła, iż cały kraj podziela to jej przekonanie. Lud więc zbrojny i gotowy do walki z Moskalami, czekał jej hasła, i aby go posłyszeć, częścią gromadził się przed Bankiem, gdzie faktyczna urzędowała władza, częścią na placu Krasińskich, przed Teatrem, w którego salach redutowych obradował klub.

Trzeciego Grudnia rano, gdy masy zbrojne i niezbrojne zalegały plac przed Bankiem, siedliskiem rządu faktycznego, od Leszna na Rymarskiej ulicy pojawił się wóz, na którym siedział jakiś człowiek, otoczony kilkoma ludźmi na koniach, uzbrojonymi w strzelby. Gdy wóz

z konwojem przedzierał się zwolna przez tłumy na plac Bankowy, nagle rozległ się krzyk: « Petrykowskiego przywieźli. » W tej chwili ujrzałem, jak wóz porwany przez ludzi wyniesiony został w górę, razem z siedzącym na nim człowiekiem i w powietrzu przewrócony tak, że siedzący upadł na ziemię. Odezwały się głosy « na latarnię z nim ». Porwany z ziemi i podniesiony do góry, Petrykowski okropny przedstawiał widok. Przestrach przedwczesnej śmierci, piętnem okrył podłą twarz tego nikczemnika, który przekonany wewnętrznie o swojej winie wpadłszy w ręce wburzonego ludu, stracił wszelką nadzieję ratunku. Ów Petrykowski, dymisjonowany major 8 pułku piechoty liniowej, jak się to wyżej rzekło, zawiązawszy stosunki z młodzieżą, spiskował z nią i nim się na nim poznano, kilkadziesiąt osób za pośrednictwem jego uwięziono u Karmelitów, a nie wiele brakło, iż wszystkich spiskowych ten sam los nie spotkał. Gdy powstanie wybuchło i utrzymało się, Petrykowski nie czując się bezpiecznym w mieście, najętymi w Warszawie końmi, zmierzał ku Krakowowi. Gdy dojechał do Tarczyna, o 4 mile od Warszawy odległego, chłopak, który go wiózł, nie chciał dalej z nim jechać, gdyż najętym był tylko do Tarczyna i jego pan nie kazał mu dalej jechać. Petrykowski, któremu na tem zależało, aby jak najprędzej oddalił się z okolic Warszawy, gdzie mógł być łatwo po-

znanym, a nie mogąc prośbą i datkiem chłopca do dalszej jazdy nakłonić, zaczął go bić. Na krzyk chłopca zbiegli się ludzie, którzy stanęli po stronie chłopca i rzecz cała wytoczyła się do burmistrza, który poznawszy Petrykowskiego, kazał go związać i pod strażą mieszczan na powrót do Warszawy odstawić. Życie tego nikczemnika było na włosku, już miano go ciągnąć na latarnię, gdy ktoś odezwał się: « Obywatele, mamyż się kalać morderstwem tego łotra, wszak on i tak nie ujdzie zasłużonej kary, ale niech go ręka sprawiedliwości karze, my nie pełnimy obowiązku kata, do którego on już należy. » Na ten głos, Petrykowski porwany został do góry i w powietrzu na kułakach, więcej do trupa jak do żywego człowieka podobny, po nad głowami tłumu, jak piłka podrzucany, wtrącony został do bramy budynku bankowego, do dalszej dyspozycji rządu. Okropna to była scena, dowodząca wszelako wyrozumiałości i wstrętu dokonania mordu u ludu, który jednem przemówieniem skłonił się do uwolnienia od śmierci nędznika, sprzedającego życie tylu współobywateli dla marnego zysku.

Zaledwie masy ludu znajdujące się na placu przed Bankiem, ochłonęły z niemiłego wrażenia, jakie sprawiło pojawienie się i w części ukaranie Petrykowskiego, owego podłego wyrzutka społeczności, gdy z ulicy Elektoralnej pojawiło się czoło pułku 1^{go} strzelców pieszych, z brygady

generała Szembeka, który pierwszy z wojsk konsystujących na prowincji przybył do Warszawy. Zrobiła się cisza w tym tłumie dotąd gwarnym, zalegającym plac Bankowy, który widząc wkraczający pułk, nie należący do załogi warszawskiej, zawahał się, bo nie wiedział w tej chwili, czy ma w żołnierzu wchodzącym witać brata i pomocnika, czy wroga. Chwila tej niepewności trwała nader krótko, bo muzyka pułku wchodząc na plac Bankowy, urznęła z całą serdecznością « Jeszcze Polska nie zginęła » i tą melodją czarodziejską, przemieniła w jednej chwili smętną niepewność w szał radości i rozrzewnienia, który się nie da opisać. « Niech żyją bracia nasi, niech żyje Szembek! » było odpowiedzią na tę muzykę z tysiąca piersi wydobywającą się. Płakano, ściskano się wzajemnie, a przyczyną tej radości i tego rozrzewnienia, węzłem miłości braterskiej łączącego wszystkich bez różnicy stanu, było przekonanie, iż jak pułk pierwszy strzelców pieszych połączył się z narodem, tak i wszystkie pułki pójdą za jego przykładem. Rzeczywiście też pułk pierwszy strzelców pieszych i generał Szembek dowodzący nim, łącząc się z powstaniem, dopiero stanowczo rozstrzygnęli rzecz na jego korzyść i ochronili kraj od możliwej wojny domowej. O ile też z przybyciem do miasta pułku Szembeka i połączeniem się jego z narodem, przybyło ducha powstaniu, o tyle zwątpienia i zamięszania powstało w obo-

zie W. Xięcia. Niecierpliwiło to lud warszawski i wojsko z nim trzymające, iż przeciwko W. Xięciu, który zagraża Warszawie, nic dotąd nie przedsięwzięto.

Puszczona pogłoska, iż W. Xiąże gwałtem zatrzymuje przy sobie pułki polskie, które pragną połączyć się z narodem, powiększyło tem więcej rozjątrzenie. Gdy zaś sił do wykonania napadu na W. Xięcia, przysporzyło przybycie pułku 1go strzelców, lud postanowił łącznie z wojskiem odbić naszych żołnierzy i rozbroić W. Xięcia.

Zapał ogarnął całą ludność Warszawy, która wyroiwszy się z domów na ulice, sejmikowała swobodnie. Nie mogąc się posiąść z radości, że wyzwoliła się z pod tyrańskiej opieki W. Xięcia, tem prędzej chciała wyzwolić i braci żołnierzy, których on przemocą zatrzymywał. Rada administracyjna nie czuła się na siłach, aby odwrócić ten napad na W. Xięcia, do którego się ludność i wojsko w mieście będące gotowało. Uważała go jednak za gwałt, który zniweczy wszelką możliwość porozumienia się z znieważonym w osobie swego brata — Carem, a tem samem pchnie kraj na drogę bezwzględnie rewolucyjną, która jej się nader wydawała zgubną, dołożyła więc wszelkich starań, aby W. Xięcia przestrzedz o niebezpieczeństwie, jakie mu grozi i skłonić dla zaspokojenia gorączkowego usposobienia ludności, do pozwolenia pułkom polskim przy nim będącym, aby powróciły do

Warszawy. Tymczasem widząc w zburzeniu umysłów i popularność klubu zwiększoną zjawieniem się w nim generała Szembeka, Rada administracyjna dla uchronienia się od zupełnego w dniu tym upadku, powołała do grona swego członków klubu Bronikowskiego i Mochnackiego. Ostatni odgadując, iż z całej Rady administracyjnej najsprytniejszym, ale zarazem najbezwzględniej oddanym Moskwie jest X. Lubecki, zażądał na wstępie, aby ministrowie Mikołaja ustąpili z Rady, co też i pozornie nastąpiło, ale pomimo podania się X. Lubeckiego do dymisji, wpływ jego na Radę i na jenerała Chłopickiego został nieograniczonym.

Zawiadomiona Rada, iż massy ludu i wojska zebrane na Krakowskiem Przedmieściu i ulicach mu przyległych rozpoczęły pochód ku Mokotowu, uprosiła generałów Chłopickiego i Szembeka, dwie najpopularniejsze osobistości, aby wpływem swoim starali się o ile możności gwałtowność tego pochodu powstrzymać i niedopuścić do starcia, gdyż jest prawie pewną, iż po przesłaniu depeszy wyjaśniającej groźne położenie do W. Xięcia przez adjutanta jego Zamojskiego, którego W. Xiąże jako pośrednika używał, W. Xiąże pułkom polskim pozwoli natychmiast wrócić do Warszawy.

Chłopicki rzeczywiście potrafił wstrzymać tę nawałę ludu i wojska na Nowym świecie pod złotymi krzyżami, na wstępie do Alei, przez

jakiś czas, a w tem nadciągnęło wojsko polskie z obozu W. Xięcia. Radość i powitanie było serdeczne, zapomniano nawet, że szasery przelewali trzy dni temu krew bratnią. Potrafiono też korzystać z tej radości i uniesienia, czemprędzej zawrócono do miasta, prowadząc wyswobodzonych braci żołnierzy. Pochodem tem rzeczywiście tryumfalnym, udało się przeciwnikom stanowczego działania rewolucyjnego oszołomić lud i odwieść go niepostrzeżenie od rozbrojenia i wzięcia w niewolę Moskali wraz z W. Xięciem, co było rzeczywiście głównym celem zamierzonej wyprawy, której dokonanie, byłoby zupełnie inny obrót nadało całemu ruchowi i nieobliczone korzyści sprawie naszej zapewniło.

O ile wyrozumiałym i pobłażliwym był lud dla żołnierzy i niższych stopni oficerów z pułku gwardji strzelców konnych, o tyle oburzał się na dwóch głównych dowódzców: generała brygady Kurnatowskiego, dowódzcę pułku powyżej rzeczonego i Krasińskiego Wincentego, generała broni, dowodzącego pułkami gwardji polskiej i moskiewskiej.

W miarę pochodu w miasto oburzenie to się wzmagało, gdy zaś te massy ludu pomięszanego z wojskiem zatrzymały się na placu Bankowym, odezwały się złorzeczenia przeciwko tym dwom w oczach ludu zdrajcom. Porwano ich z koni i zamierzano krótko się sprawić z nimi, wpływ

tylko czarodziejski, jaki wywierał na lud Chłopicki i Szembek, uratował od nieochybnej śmierci obydwóch, już zadekretowanych na latarnię generałów. Chłopicki i Szembek zasłonili ich własnemi osobami, a gdy odtrącili grożące winowajcom bagnety i rusznice i zapewnili lud, iż potępieni przez niego generałowie są dobrymi Polakami, wówczas Krasiński Wincenty padł na kolana, przysięgał, że zawsze serce jego gorąco biło dla Polski i że teraz dla dowiedzenia o ile ojczyznę kocha, będzie walczył w jej szeregach, ale jako prosty żołnierz, aby zmazać winę, jakiej się dopuścił nie usłuchawszy w pierwszej chwili głosu powstającej Ojczyzny, błagał ludu o przebaczenie mu tej winy, ponawiając przysięgę służenia, jako prosty żołnierz w szeregach ojczystych

Kurnatowski nic nie obiecywał, żadnych przysiąg nie składał i przez cały ciąg rewolucji zamieszkiwał w Warszawie, do niczego się nie mięszając; Krasiński pomimo przysiąg w parę dni uciekł do Petersburga, służby swoje ofiarując Carowi.

Grzmiało miasto radością z powodu odbicia bratnich szeregów i niewątpliwego przekonania, iż całe wojsko podziela postanowienie narodu, wyzwolenia się stanowczo z pod moskiewskiego jarzma.

Oświadczenie W. Xięcia, iż rozpoczyna odwrót do Moskwy, a zarazem i prośba do narodu,

aby mu dozwolił ten odwrót bez przeszkody wykonać, przekonało i najtrwożliwszych, iż W. Xiąże nie tylko nie jest w stanie zaczepnie działać przeciw miastu, ale przyznaje się do niemocy, niedozwalającej mu bez zezwolenia narodu wykonać nawet i zamierzonego odwrotu.

Nastręczyło się więc pytanie, czy unieść się wspaniałomyślnością, do której się W. Xiąże odwoływał i pozwolić mu odejść spokojnie, czy też interes powstania mając na celu, zmusić go wraz z pięcioma pułkami i trzydziestu kilku działami do poddania się?

Pytanie to dla ogółu, który żadnej wiary do rokowań z Moskwą nie przywiązywał i całą nadzieję wydobycia się z pod jarzma moskiewskiego pokładał w orężu, nie miało żadnej wątpliwości.

Zabranie kilku tysięcy karabinów, parę tysięcy koni pod jazdę z rynsztunkiem i trzech baterji dział z zaprzęgiem nieprzyjacielowi, prawie przed rozpoczęciem właściwej kampanji, było korzyścią tak ważną i tak w oczy bijącą, iż zrzekać się tej korzyści zdawało się, jeżeli nie zbrodnią przeciwko Ojczyźnie, to przynajmniej największą niedorzecznością, pozbawiającą kraj gotujący się do walki tak ważnej pomocy wojennej. Ogół więc rozbrojenie korpusu moskiewskiego uważając za rzecz konieczną, nie przypuszczał, aby stojący u steru mężowie, w których przezorności i patrjotyzmie ślepą pokładał

wiarę, mogli mieć w tym względzie inne przekonanie. Pocieszano się więc, iż chociaż nie rozbrojono już dziś Moskali, to niezawodnie jednak to nastąpi, a tymczasem ci, co nie chcieli rozbrojenia, aby przez to nie zerwać wątku układów z Carem, w których całą pokładali nadzieję, zręcznie starali się zapobiedz temu, aby rozbrojenie nie nastąpiło. Potęgą, która by mogła znaglić mężów u steru rządu stojących do tego kroku stanowczego, mógł być jedynie klub, gdyby się istotnie zorganizował i zyskał czas do zjednania sobie zaufania ogółu; stronnictwo w układach z Moskwą upatrujące zbawienie kraju, zajęło się skrzętnie usunięciem tego zbiorowiska, z którego mogła się wyłonić władza rzeczywiście rewolucyjna. Zadanie to było nader łatwem, bo powszechność jak wierzyła silnie, iż walka śmiertelna z Moskwą jedynym była środkiem do zrzucenia jej jarzma, tak samo wierzyła, iż nikt z Polaków nie może mieć innego przekonania, a tem mniej mężowie stojący obecnie na czele narodu.

Że aby tę walkę z tryumfem dla narodu przeprowadzić, potrzebną jest przedewszystkiem zgoda i ufność w mężach, których poprzednie czyny są dostateczną rękojmią dla narodu, iż sprawa jego w najszlachetniejszych spoczywa rękach. Że przeto ten, który by chciał tę zgodę i harmonią tak potrzebną powstającemu narodowi psuć, rzucając oszczercze podejrzenie na

mężów, których cześć narodu otacza, nie może być prawym Polakiem, ale musi być albo bezrozumnym zagorzalcem, lub płatnym sługą Moskwy. To też, gdy na wieczornem zebraniu klubu, Mochnacki, który przyznać należy, jeden rzeczy jasno widząc, powstał przeciw niedołężnemu postępowaniu owych bożyszczów narodu i posunął odwagę swoją do wypowiedzenia, iż Chłopicki zdradza powstanie, obudził tem wypowiedzeniem prawdy, której nikt nierozumiał, taką zgrozę, iż porwany i zrzucony ze stołu, który miejsce zastępował mownicy, o włos życiem nie przypłacił tej zbrodni, że jaśniej widział rzeczy jak drudzy.

Nieomieszkali z tego wypadku korzystać ci, którym klub solą był w oku. Krzycząc więc, iż zgromadzenie w którem podobne potwarze i oszczerstwa, podkopujące zgodę w narodzie, ośmielają się głosić, nie może nadal istnieć, zgasili światła i garstkę opierających się pozostać w sali wyprosiwszy bagnetami, faktycznie rozwiązali i zamknęli klub, a tem samem zniweczyli możliwość porozumienia się i działania tym, którzy nie rokować, ale bić się chcieli z Moskwą.

Po rozwiązaniu klubu, najdzielniejszy w nim agitator Mochnacki, stał się chwilowo celem najbezwzględniejszej nienawiści. Chwiejność jego charakteru przed powstaniem, stosunki jego z nienawidzonym radzcą stanu Szaniaw-

skim cenzorem, któremu w swoim czasie miał przedłożyć memorjał, podający środki zwichnienia oświaty i skażenia ducha narodowego u młodzieży, wszystko to przywiedzione przez nieprzyjaznych mu, nastręczyło im pozor łatwy do wystawienia go, jako agenta moskiewskiego. Gwałtownie propagowana przez niego bezwzględna walka z Moskalami, zuchwałe oskarzenie o zdradę ludzi nieskazitelnych, przedstawione zostały jako środki użyte przez Mochnackiego do wywołania niezgody, bezrządu i powszechnego zamięszania, aby Moskalom ułatwić możność stłumienia powstania. A że Mochnacki był od ogółu mało znanym, a pomiędzy młodzieżą nie miał przyjaciół, wieści te zręcznie puszczane łatwo wiarę znalazły i taką przeciw niemu obudziły nienawiść, iż nieszczęśliwy ten człowiek, dla ocalenia się przed niechybną śmiercią, nie tylko ustąpił z widowni politycznej, ale zmuszonym został na czas pewny ukryć się tak, iż wieść o nim w Warszawie zaginęła przez jakiś czas.

Gwiazda nieszczęśliwa dla Polski niedozwoliła, aby jakaś znakomitość, mająca ustaloną w kraju opinją, przyswoiła sobie zdrowy pogląd Mochnackiego na sprawę Polski ; ci właśnie, którzy go mogli w czyn zamienić, opanowani byli obłędem pochodzącym z przecenienia sił moskiewskich, a zupełnego zapoznania sił własnego narodu. Oni widzieli te krocie wojsk moskiewskich, które istniały w ich chorobliwej

wyobraźni i na papierze, ale których w rzeczywistości nie było.

Armia moskiewska po klęskach doznanych w dwóch kampaniach tureckich, przed rokiem prowadzonych, przy najniegodziwszej administracji i zakorzenionej w niej kradzieży, była w rozprzężeniu i nie trzykroć, ale zaledwie 130,000 ludzi mogła mieć do boju gotowych. Myśmy mieli 30,000 ludzi pod bronią, 24,000 wysłużonych żołnierzy, ludzi w sile wieku i 240,000 popisowych, a wiadomo, że gdy Moskal zaledwie po trzech latach ciągłej służby może się nazywać żołnierzem, nasi popisowi w ciągu sześciu miesięcy stają się wybornymi żołnierzami. Zajęciem Litwy podwajaliśmy nasze siły, a mogliśmy ją zająć, bośmy mieli 54,000 wyćwiczonego wojska, gotowego do pochodu. Z tych powodów pułkownik Chrzanowski, przedłożył generałowi Chłopickiemu gotowy plan tej zimowej kampanji, a raczej pochodu na Litwę. Gdyż korpus Litewski, który ją zajmował, złożony w większej części z Litwinów i Polaków, według wszelkiego prawdopodobieństwa, byłby nie tylko nie stawił oporu, ale byłby się z nami złączył. Lecz generał Chłopicki, który w najwyższym stopniu owładnięty był tem przesadnem wyobrażeniem o moskiewskiej potędze, podtrzymywanem zręcznie przez X. Lubeckiego, stronnika Moskwy, zgromił pułkownika Chrzanowskiego za ten pomysł i aby go nie rozgłaszał

w stolicy, kazał mu wyjechać do Modlina, czyli za pomysł zbawienny dla sprawy powstania, ukarał go czasowym aresztem w fortecy.

Kiedy pułkownik kwatermistrzowstwa, któremu ranga nadawała powagę, a specjalność służby upoważniała do robienia planów, naraził się na karę aresztu, za projekt zaczepnego działania przeciw Moskwie, trudno się dziwić, że każdy nie fachowy człowiek, który twierdził, iż czasu nie tracąc, trzeba iść na Litwę, był ze strony władzy uważany, jeżeli nie za wichrzyciela, to przynajmniej za warjata. Tymczasem ogół mniej więcej cały cierpiał na ten rodzaj pomięszania. Wszyscy instynktowo czuli, że zaczepne działanie i wtargnięcie obcesowe na Litwę, może nam jedynie zbawienie przynieść. Wszyscy tak myślący, byli za przytrzymaniem W. Xięcia, jako zakładnika i rozbrojeniem gwardji moskiewskiej pod jego rozkazami będącej, któreby było przyniosło znakomitą pomoc powstaniu, tak w broni jak w koniach, działach i przyborach wojennych.

Lecz inne było przekonanie członków Rady administracyjnej, którzy wzmocniwszy się ludźmi z po za koła urzędowego przybranymi, dla zyskania popularności, szóstego dnia powstania, w odezwie wystosowanej do narodu, nazwali się Rządem tymczasowym. W Rządzie tymczasowym zasiadał Lelewel, mający opinją gorącego patrjoty. Pobiegłem do niego z Teodo-

rem Ślaskim posłem kieleckim i przekładaliśmy mu, że wzięcie W. Xięcia i rozbrojenie Moskali pod jego dowództwem będących, nie tylko ważne korzyści materjalne przyniesie, ale pod względem moralnym nieobliczone będzie miało korzyści, bo postawi od razu na właściwej drodze powstanie, przetnie pole do wszelkich rokowań i obudzi otuchę w całej Polsce. Mówiliśmy mu przytem, iż może na śmiało rachować, iż cała ludność i wojsko nawet, poprze go, gdyby mu w Rządzie chciano stawić opór. Podzielał on nasze przekonanie, a że wybierał się właśnie do rządu, odprowadziliśmy go tamże i nim wszedł do gmachu, ponowił nam najuroczystsze zapewnienie, iż niedozwoli, aby W. Xięciu i gwardjom moskiewskim pozwolono bez rozbrojenia ich wrócić do Moskwy.

Okazało się jednak, że na sessji, na której się rozstrzygał los tych gwardjów, a raczej los Polski, Lelewel, pomimo najuroczystszych zapewnień, jak to powiadają, języka w gębie zapomniał. Był to albowiem znakomity uczony, najzacniejszy człowiek, ale w całym tego słowa znaczeniu niedołęga polityczny. To cechuje najlepiej, jak spaczone o znakomitościach ówczesnych wyobrażenia, wyrobiła sobie opinja publiczna, kiedy takiego mazgaja politycznego, jakim był Lelewel, nazwano Robespierem polskim.

Z największem oburzeniem przyjęła ludność

wiadomość, o danem pozwoleniu W. Xięciu i gwardjom pod jego rozkazami będącym, opuszczenia z bronią i całym rynsztunkiem wojennym Polski. I rzeczą jest niewątpliwą, żeby był którykolwiek z wyższych oficerów, nie zważając na postanowienie Rządu, stanął na czele wojska i rozbroił W. Xięcia, byłby zyskał uznanie całego narodu.

Myśl tę powziął pułkownik Kicki, były adjutant W. Xięcia, oficer używający popularności wielkiej w wojsku. Uczęstnicząc przy zajęciu Modlina, wraz z ogromnymi zapasami wojennymi, nagromadzonymi tamże przez rząd moskiewski, właśnie zamierzał uprzedzić W. Xięcia, ciągnącego ku województwu Lubelskiemu, zebrać tamże stojącą dywizję ułanów, brygadę piechoty i 40 dział i na czele tej siły zastąpić W. Xięciu, który w pochodzie swoim znajdując się wśród przeważnych sił polskich, nie mógł nawet stawić oporu.

Właśnie dla uskutecznienia tego zamiaru, Kicki puścił się z Modlina prawym brzegiem Wisły, dążąc w Lubelskie, gdy na trzeciej stacji wywrócony z powozem przez niezgrabnego pocztyliona, na nieszczęście, rzec można całej Polski, złamawszy nogę, nie mógł zamiaru swojego do skutku doprowadzić. A żaden z oficerów wyższych nie miał odwagi, wziąść na siebie odpowiedzialności, za ten czyn wprawdzie zuchwały, ale od spełnienia którego, zbawienie Ojczyzny zawisłem było.

W. Xiąże więc pomaszerował sobie wraz z swymi Moskalami bez przeszkody na Wołyń, wbrew woli ogółu.

Odwrót jego swobodny z kraju, który powstał dla wybicia się z pod jarzma moskiewskiego, był nieodgadnioną zagadką dla całej Polski, a mianowicie dla ziem zabranych, nie mogących sobie zdać sprawy z tego czynu, który stał w oczywistej sprzeczności z dokonanem powstaniem.

Lecz nasi mężowie stanu z taką byli względnością dla W. Xięcia, iż nie dopomnieli się nawet o uwolnienie majora Łukasińskiego, którego W. Xiąże uprowadził ze sobą.

Zdaje się, iż tak Chłopicki, jak i członkowie Rządu tymczasowego, którym były znane gorący patrjotyzm, energia, a przytem i wziętość w wojsku majora Łukasińskiego, niechcieli wyzwolić z więzów moskiewskich tego zacnego męża, bo się bali jego wpływu i aby im nie przeszkadzał, zostawili go na pastwę W. Xięciu.

Przez szczególną zawziętość W. Xiąże zamiast odesłać Łukasińskiego do Zamościa, po zapadłym nań wyroku, w r. 1824, trzymał go w Warszawie, w koszarach gwardji wołyńskiej i pomimo trwogi jaką go przejęło powstanie, nie przepomniał uprowadzić swej ofiary.

Wydanie na zagładę tego szlachetnego męczennika sprawy narodowej, właśnie w chwili gdy dla sprawy tej działanie Łukasińskiego,

mogło być najprzydatniejszem, jest czynem nikczemnym, którego hańba niczem nie dająca się usprawiedliwić, spada na dzierzących wówczas władzę w ręku.

Pomimo tych wielkich usterków na niekorzyść powstania i dążności stojących u steru władzy do rokowań z Moskwą, ogół zaufawszy pewnym znakomitościom, wyrozumiale poglądał na ich działanie, gotując się gorliwie do walki, która według powszechnego przekonania, ostatecznie los Polski rozstrzygnąć miała.

Objęcie w dniu 5 Grudnia dyktatury przez generała Chłopickiego, sprawiło wielką radość w stolicy i w kraju, bo utwierdziło przekonanie, iż walka z Moskwą z całą sprężystością rozpoczętą zostanie. Przekonanie błędne, bo wypływające z własnego ocenienia tak Chłopickiego, jak innych członków rządu przez powszechność, która ludzi tych zużytych, oceniała według gorących natchnień swego patrjotyzmu. Wszyscy więc według swojego zapatrywania się na sprawę krajową, wnioskując o czynnościach ludzi kierujących tą sprawą, wnosili, że Chłopicki nie dla czego innego ogłosił się dyktatorem, jak tylko, aby z całą dzielnością żołnierza napoleońskiego, rozpocząć walkę dla wyswobodzenia z jarzma moskiewskiego całej Polski. Tymczasem Chłopicki ogłosił się dyktatorem dla utrzymania w ryzie motłochu, jak zwykł był lud nazywać i dla powściągnienia przesadnej

gorliwości jego patrjotycznej, aby nie obrazić Moskwy, z którą zamierzył się układać. Nie mając nadziei zwalczenia jej siłą, chciał ją na drodze układów wyprowadzić w pole, dla zbawienia Ojczyzny, której się na przewodnika narzucił. Popełniał on ten sam błąd, który popełnili wszyscy żyjący przed nim, a równi mu rozumem politycznym mężowie stanu, zacząwszy od Augusta i Michała Czartoryskich; bo niewierząc w potęgę żywotną narodu, chcieli go zbawiać wbrew jego woli, a według swojego widzimisię, za pośrednictwem i pomocą jego wrogów.

Z tem wszystkiem, pomimo, iż dyktator i rząd obok niego istniejący wszelką nadzieję wybrnięcia z tego, według ich mniemania nieszczęścia, pokładali w układach z Carem, naród cały żadnej do nich nie przywiązując wiary, gotował się do walki z prawdziwym zapałem i ochotą serdeczną. W skutku tej ogromnej różnicy w pojmowaniu położenia i ocenieniu stosunków, jaka istniała między narodem a jego rządem, działanie ostatniego nacechowane było niezdecydowaniem się i rażącą sprzecznością.

Rząd lękał się obrazić Cara, a nie ukarał tych, co znieważyli jego herby, pobili jego najwierniejsze sługi, wypuścił W. Xięcia z całem wojskiem, którego broń, działa, konie, zgoła cały rynsztunek wojenny, byłby dla powstania wielką pomocą, a przytrzymał generałów i

urzędników moskiewskich pozostałych w Warszawie, których koszta utrzymania stały się ciężarem dla skarbu, a intrygi przez nich prowadzone, prawdziwą klęską dla powstania. Wysilał się, aby omamić Cara, iż władza jego w niczem naruszoną nie została, a lękając się narodu, chcącego stanowczo zrzucić jarzmo carskie, nakazał formować 3 i 4 bataliony z dymisjonowanych żołnierzy, wszystkim zaś mieszkańcom stanąć pod bronią. Zgoła, że rząd stojący pomiędzy Carem i własnym narodem, odgrywał rolę Herkulesa na rozstajnych drogach; nie śmiał obrazić Cara stanowczem złączeniem się z powstaniem i rozpoczęciem zaczepnego działania, nie śmiał narazić się ludowi otwartem mu wypowiedzeniem, iż według jego przekonania o wojnie z Carem nie ma co myśleć, tylko go przeprosić należy.

Przy zupełnej nieznajomości tak stosunków i położenia własnego narodu jak stosunków i położenia moskiewskiego państwa, działanie rządu chwiejne, nie umiało na razie z korzyścią zużytkować ogromnych zasobów materjalnych, a co ważniejsza, zapału i gotowości do wszelkich poświęceń całego narodu, jakimi rozporządzać mogło. Przeciwnie, całe jego działanie zdawało się być wymierzone ku zmarnowaniu sił materjalnych i ku wyziębieniu tego zapału, który w pierwszej chwili ogarnął naród i pchał niepowstrzymanie do walki ostatecznej z Moskwą.

Dyktator z czysto żołnierskiego stanowiska oceniając stosunki, nie widział tylko 30,000 wojska regularnego i ani chciał przypuścić, aby po za tą garstką mógł rachować na jakąkolwiek siłę. To też trzydzieści tysięcy dymisjonowanych żołnierzy i 240,000 popisowych, którymi mógł rozrządzać i użyć na obronę kraju, nie licząc w to ruchawki, dla dyktatora nie istniało wcale. On na wszystkie przedstawienia odpowiadał stanowczo, iż on ruchawkę za nic uważa, a z trzydziestoma tysiącami wojny Moskwie wydawać nie myśli.

Z zaślepienia tego skrzętnie korzystał X. Lubecki i szajka adherentów jego, między którymi cała rodzina Łubieńskich, w trzymaniu z Moskwą upatrująca najskuteczniejszy środek do zbogacenia się, dzielnie Xięcia ex-ministra wspierała.

Dyktator, który sobie wymarzył, iż powstrzymaniem powstania zyska zaufanie Cara i wyjedna u niego całkiem niezawisłą administracją dla Królestwa Kongresowego, oraz pozwolenie utworzenia gwardji narodowej na wzór landwery pruskiej, znalazł w Łubieńskich silne poparcie tego swojego niepraktycznego urojenia. To go utwierdziło w przekonaniu, iż Car w zamian za usługi mu oddane, przyzwoli na te jego żądania. I ztąd wywnioskował, że szaleństwem by było z małemi porywać się siłami i na klęskę niezawodną sprawę całą narażać, gdy

przez rokowania z Carem, będzie można po latach kilku, mieć dwakroćstotysięcy wyćwiczonego żołnierza i 400 dział i wówczas śmiało potargować się z nim o resztę Polski. Dyktator uroiwszy sobie, że wywiedzie w pole Cara i że ten będzie tak dobrodusznym, iż się nie pozna na tem i jak to powiadają, da na siebie bat ukręcić, popadł w zależność tych niecnych ludzi, którzy jedynie swoje widoki mając na względzie, korzystali z jego zaślepienia i potakując jego niepraktycznemu urojeniu, zjednali sobie u niego nieograniczone zaufanie W skutku tego, gdy dyktator z popędliwością gburowatego żołnierza, karcił tych wszystkich, którzy wiedzeni czystym patrjotyzmem, przybywali do Warszawy dla przedstawienia mu gotowości do walki swoich współobywateli i zamiast udzielić im zachęty i rozporządzić w sposób najskuteczniejszy, tworzącą się ochoczo siłą powstania, zbywał ich mrożącą odpowiedzią : « nie mam jednej skałki dla powstania, nie chcę ruchawki, siedźcie cicho w domach ». Łubieńscy pozajmowawszy wszystkie posady, które w ich ręce oddały wszelkie zasoby powstania, gospodarowali w sposób najszkodliwszy dla niego, a najkorzystniejszy dla siebie. Zakładali magazyny w Augustowskiem, wiedząc dokładnie, iż jeżeli przyjdzie do walki, to ta odbędzie się pod Warszawą. Trwonili więc pieniądze narodu na zakupno zboża, z którego moskiewskie wojska

użytkować miały, dwojaką na tym frymarku odnosząc korzyść, bo się zasługiwali Moskalom i nieprawymi zyski napełniali swoje kieszenie.

O zakupnie zaś broni ani myśleli, chociaż skarb jak Polska Polską, nigdy nie był tak bogaty, bo miał sto milionów do dyspozycji. Z tych stu milionów była znaczna część w srebrze, samych rubli było 3 miliony. Należało więc te ruble i srebro w sztabach przebić w mennicy na monetę polską krajową, mającą nominalną wartość wyższą aniżeli rzeczywistą, aby zapobiedz wywożeniu jej za granicę. Tymczasem postarano się o jak najprędsze pozbycie się srebra, które przeszło do kieszeni niecnych spekulantów. Gospodarstwo podobne zniweczyło zasoby pieniężne kraju, brak drobnej monety zachwiał kredytem banknotów, w których wypłaty czyniono wojsku. Wypłaty te w skutku tego niegodziwego gospodarstwa, stały się w następności illuzyjnemi, bo 50cio złotych banknotów, nikt nie chciał i nie miał czem mieniać, a takimi żołd wojsku wypłacano.

Skutkiem niedołęztwa i zaślepienia owych powag krajowych, których źle pojęte stanowisko przedrewolucyjne, wyniosło na przewodników powstania, nie przez nich i wbrew ich zdziałanego woli, jasnem już było dla ludzi nieco zgłębiających rzeczy, iż powstanie zbite z właściwego toru, nie pójdzie drogą zaczepną, ale po zmarnowaniu najdroższego czasu, na złudnych

i bezowocnych rokowaniach, ograniczy się na najniekorzystniejszą dla siebie walkę odporną, której nader wątpliwy wypadek rozstrzygnąć się musi pod murami Warszawy. Wszelako obowiązek każdemu dobrze myślącemu nakazywał, nie usuwać się od wspólnej obrony, ale owszem garnąć się do wojska, aby pomnożeniem szeregów możliwszem uczynić odparcie nawały moskiewskiej, której najście pomimo złudzeń dyktatora niewątpliwem było.

Postanowiłem więc zaciągnąć się do wojska, ale niedawno ożeniony, mając dwoje drobnych dziatek, nie chciałem ich i żony mojej wystawiać na okropne skutki wojny, które, jak wnosić łatwo było z postępowania niedołężnego rządu, w razie przegranej bitwy, Warszawę spotkać muszą, przeto zamierzyłem to, co miałem najdroższego umieścić na wszelki wypadek w bezpiecznem miejscu, a takiem zdawał mi się Kraków, jako miasto wolne i niepodległe. Aby jednak nie ściągnąć podejrzenia hańbiącego wówczas w mem przekonaniu na siebie, iż się wynoszę w celu opuszczenia świętej sprawy, zamierzyłem w drugiej połowie Grudnia zaciągnąć się jako prosty żołnierz do 4go pułku piechoty liniowej i prosić zaraz o urlop, potrzebny mi do umieszczenia żony i dzieci w Krakowie. Lecz, gdy zamiar mój objawiłem przyjacielowi mojemu Teodorowi Ślaskiemu, posłowi kieleckiemu, ten stanowczo zaczął mnie od niego od-

wodzić: « Pochwalam w zupełności chęć twoją służenia krajowi, rzekł do mnie, ale nie dosyć jest służyć, ale głównie idzie o to, aby służyć najskuteczniej. Jako żołnierz prosty nie wielką zrobisz przysługę krajowi, a otwarcie ci wyznam, że w szeregu będziesz mniej przydatnym, jak każdy nasz Maciek, któremu siłą fizyczną i wytrwałością sprostać nie będziesz mógł. W szeregu ani wiedzy twej, ani prawości kraj spożytkować nie będzie mógł. Nie jesteśmy zresztą w stanie normalnym, ale w stanie nadzwyczajnym, obronę naszą musimy podnieść do najwyższej możliwej potęgi, powołaniem do szeregów wszystkich zdatnych do noszenia broni. A liczba wojska naszego przez to osiem razy będzie większą jak była; zkądże wziąć oficerów do przewodniczenia tym masom? Dawna armia pomimo posunięcia wszystkich jej podoficerów na oficerów, niezapełni jednak ich braku, konieczność nakazuje, aby ludzi intelligentniejszych mianować od razu oficerami. Boć nie zaprzeczysz, że ty, co skończyłeś szkoły i uniwersytet, daleko prędzej obeznasz się z taktyką, jak człowiek prosty, który żadnej nie posiada nauki. Zresztą przy organizacji i tworzeniu nowych pułków, potrzebni są ludzie i z wiedzą i z prawym charakterem, którzy by z całą sumiennością szafowali groszem publicznym, a znając cię osobiście, przekonany jestem, iż pod tym względem z większym pożytkiem dla kraju

poleconą ci służbę wykonasz, aniżeli nie jeden sztabsoficer z dawnego wojska, któremu w drugą naturę się przemieniło ciągnienie korzyści z grosza publicznego. Z tych tedy powodów, protestuję jak najmocniej przeciwko wstąpieniu twojemu, jako prosty żołnierz w szeregi narodowe, bom przekonany, że daleko pożyteczniejszym będziesz, pełniąc służbę oficera, jak prostego żołnierza. Zresztą regulaminu łatwo się nauczysz, a ponieważ przewertowałeś wszystkich autorów wojskowych od Folarda aż do ostatnich czasów, przeto masz i pod tym względem obszerniejsze wiadomości, jak nie jeden oficer dawny ». Zdanie to mego przyjaciela, poparł gorąco Henryk Dembiński, obywatel z Krakowskiego, dawny oficer z Xięztwa Warszawskiego, który przybył właśnie do Warszawy w towarzystwie Rzochowskiego, byłego pułkownika Krakusów, z czasów napoleońskich, który objął dowództwo formującego się w Krakowskiem pułku pierwszego Krakusów.

« Panie Alfredzie usłuchaj rady dobrze tobie i krajowi życzących. My więcej mamy doświadczenia w tym względzie, bośmy już przez to przechodzili ; słusznie ma pan Teodor, że jako prosty żołnierz zmarnujesz się bezpożytecznie dla kraju, daleko pożyteczniejszym będziesz, gdy jako oficer przy nowej organizacji, zajmiesz się konskrypcją, odbiorem potrzebnych przyborów, bom przekonany, że poruczoną czynność

wypełnisz gorliwie, sumiennie i że wiele się przyczynisz do szybkiego sformowania się nowych pułków, które obywatele na obronę Ojczyzny postanowili własnym kosztem wystawić. Właśnie województwo nasze potrzebuje podobnych tobie ludzi, przeto niewdając się w dalsze dowodzenia, spodziewam się, że usłuchasz rady doświadczonych w tym względzie swoich przyjaciół. Ja, nie zwlekając, idę do Małachowskiego i przynoszę ci nominacją na porucznika, a że wiem żeś myśliwy i dobrze strzelasz, my zaś w Krakowskiem formujemy strzelców celnych, przeto nastręczy ci się wkrótce sposobność bicia niedźwiedzi, zamiast zajęcy i kuropatw, na któreś dotąd polował ».

« Chociaż dyktator, u którego właśnie byłem, mówiąc między nami, zżyma się na formacją nowych pułków i nie chce teraz o nich słyszeć, my jednak będziemy swoje robić, boć z batiuszkami musi przyjść do bitki, a wtenczas i dyktator przeprosi się z nowymi pułkami i będzie rad, jak ich będzie miał najwięcej na zawołanie ».

Uwagi te trafiły do mego przekonania, a nadewszystko nadzieja szybkiego uorganizowania strzelców celnych i wyruszenia z nimi na linją bojową, zachęciła do usłuchania rad tych dobrych przyjaciół moich. Z radością wyobrażałem sobie, jak na czele przynajmniej plutonu dzielnych strzelców, będę mógł naprzykrzać się

Moskalom i niejednemu z nich odjąć na zawsze możność uciskania nas.

Dembińskiemu łatwo było spełnić obietnice, bo rząd nie troszcząc się o nowo sformować się mające pułki, zdał całą sprawę na dwóch regimentarzy, którym nadał władzę mianowania oficerów do stopnia podpułkownika w tak zwanej gwardji ruchomej, z której powstać miały nowe pułki. Regimentarzem po lewym brzegu Wisły był mianowanym Stanisław Małachowski, były pułkównik i dowódzca kirasjerów z czasów Xięztwa Warszawskiego, od niego więc Dembiński przyniósł mi nominację na porucznika w gwardji ruchomej. Zaniepokoiło mnie to, bo ja chciałem służyć w strzelcach celnych w przekonaniu tem, iż ochotników, z gajowych, strzelców, leśniczych i amatorów myśliwstwa dobrze strzelających, łatwo będzie zebrać w województwie kilkuset ludzi, którzy wprawni już do użycia broni i zwykle inteligentniejsi od prostych chłopów, w ciągu kilku tygodni obznajmiwszy się z potrzebną dla nich taktyką, będą mogli zaraz być użyci na linji bojowej, gdy gwardja ruchoma, jako złożona z ludzi całkiem surowych, zanim się obezna z użyciem broni i z mustrą, daleko później będzie mogła być użytą. Wyraziłem tę moją obawę Dembińskiemu, dziękując mu za nominację, która mnie do celu nie doprowadzi, ale on odparł mi na to, że sam będąc dowódzcą gwardji ruchomej, nie

będzie za piecem siedział, tylko dołoży wszelkiego starania, aby z zebranemi i uorganizowanemi siłami w województwie pospieszyć jak najprędzej na linją bojową: « Załatwiaj więc, rzekł mi, twoje interesa, odwieź żonę i dzieci do Krakowa, a sam wracaj, zamelduj mi się w Kielcach i bądź spokojnym o to, że zajrzysz Moskalom w oczy ». Zaspokojony tem zapewnieniem Dembińskiego, starałem się załatwić jak najprędzej moje interesa, aby módz. odwieść żonę i dzieci drobnych dwoje do Krakowa, a umieściwszy ich tam wrócić do Kielc, gdzie służbę moją wojskową miałem rozpocząć.

Pomimo najszczerszej chęci jak najprędszego opuszczenia Warszawy, niezbędne załatwienie interesów, nie dozwoliło mi wcześniej jak 1 Stycznia 1831 wyruszyć w drogę. Na szczęście czas był prześliczny, przymrozki do 6 stopni dochodzące utrzymywały drogę w dobrym stanie i ułatwiały podróż, ale krótkość dnia i wzgląd na dzieci, z których jedno miało trzy lata, a drugie drugi rok, zmuszały do wcześniejszych i dłuższych noclegów, tak, że dopiero 7 Stycznia przybyłem do Krakowa. Znalezienie mieszkania, umieszczenie żony i dzieci zabrało znów dni kilka ; nareszcie dopełniwszy tego obowiązku i pożegnawszy, może raz na zawsze to, co miałem najdroższego, opuściłem Kraków, a choć mi i smutno było, ale nie traciłem otuchy, że sprawa nasza po niejednej krwawej rozprawie, musi

się wyswobodzeniem naszem zakończyć. Utwierdzał mnie w tem przekonaniu, wzgląd na to, iż Polska pod względem zasobów, nigdy tak świetnie nie stała.

Sześćdziesiąt tysięcy blisko wojska, licząc w to dymisjonowanych żołnierzy, tak wyćwiczonego, jak prawie w żadnem wówczas państwie europejskiem nie było, zapasy amunicji nagromadzone w Modlinie przez samą Moskwę, sto milionów w skarbie i dwakroć czterdzieści tysięcy popisowych, ochoczych do chwycenia za broń, w samem Królestwie, nie licząc Litwy i innych krajów zabranych, było zaiste potęgą, która na śmiało mogła się z Moskwą mierzyć. Przejeżdżając granicę po powrocie do kraju, w Wilczkowicach, zagadnięty zostałem przez naczelnika komory Jerzmanowskiego: « co deklaruje? » oświadczyłem, « iż oprócz kilku łokci sukna, potrzebnego na mundur, kilku pałaszy i dwóch par pistoletów nic nie wiozę ». Pan naczelnik oświadczył mi, iż rzeczy tych przewieść mi nie dozwoli. Zdziwiony i oburzony tem orzeczeniem pana naczelnika komory, odpowiedziałem mu, « iż chyba sobie żartuje, boć musi mu być wiadomem, że cały naród powstał, że przeto, co tylko odnosi się do uzbrojenia nie może ulegać przepisom, przed rewolucją obowiązującym i że robiąc mi w tym względzie trudności, narazić się może na odpowiedzialność ». Pan naczelnik z zimną powagą odpowiedział mi na to, « iż re-

wolucja jest w Warszawie ale nie na komorze, która żadnej w tym względzie instrukcji nie otrzymawszy, musi się stosować do obowiązujących ją przepisów. Powinien bym, ściśle wypełniając moje obowiązki, rzeczy zabrać i karę jeszcze panu kazać zapłacić, ale przez wzgląd, iż pan rewolucyjnymi wypadkami w błąd wprowadzony zostałeś, nie będę wymagał zapłaty, ale rzeczy na komorze zatrzymam, jako towar zakazany, a wolno panu udać się do komisji wojewódzkiej z prośbą o wydanie tych rzeczy ». Dziwnem mi się zdawało, iż do kraju będącego w powstaniu i zagrożonego najazdem, zakazanem było broń wprowadzać, wszelako nie mogąc przeprzeć uporu służbowego pana naczelnika komory, rad nie rad, pozostawiwszy sukno, pałasze i pistolety, puściłem się w dalszą drogę w dosyć złym humorze. Przybywszy do Kielc 17 Stycznia, zameldowałem się dowódzcy gwardji ruchomej Henrykowi Dembińskiemu, mającemu główną swoją kwaterę w dolnem mieszkaniu gmachu biskupów krakowskich, zbudowanym w wieku XVII przez biskupa Zadzika i opowiedziałem mu, jaka mnie przykrość spotkała na komorze w Wilczkowicach. Oburzył się na tę niewczesną służbistość naczelnika komory, Dembiński, i zapewnił mnie, iż Wielogłowski, prezes komisji, nakaże naczelnikowi, aby niezwłocznie kosztem swoim rzeczy zatrzymane mi odesłał. Następnie, dodał Dembiński,

« pamiętam, iż życzeniem twojem było służyć w strzelcach celnych, ale organizacja tychże jeszcze się odwlecze, a tymczasem zajmiemy się zbieraniem jak najprędszem dostatecznej liczby ludzi do utworzenia dwóch pułków piechoty. Postanowiłem cię użyć, jako adjutanta przy dowódzcy kadrów, majorze Heniszu, bo zależy mi na tem wiele, aby tę czynność powierzyć w ręce człowieka, na którego gorliwość a zarazem i uczciwość z pewnością rachować mogę. Bo naprzód idzie mi o to, aby od zaciągu, czy przez protekcją, czy innym środkiem nikt się nie uwalniał a powtóre, ponieważ obywatele zobowiązani są rozmaite dostarczać przybory, aby te rzeczywiście i podług przepisu dostarczone były w swoim czasie. Dalszą instrukcją otrzymasz od majora Henisza, który tu niebawem nadejdzie i pod którego rozkazami będziesz zostawał, a ponieważ tu idzie o powiększenie siły zbrojnej krajowej, pewny jestem, iż dołożysz wszelkiego starania, aby zebranie jej w zakresie ci poruczonym, jak najspieszniej uskutecznionem było ».

Oświadczenie to Dembińskiego nie bardzo mi było miłem, bo niweczyło marzenia moje o strzelcach celnych i prędkim pochodzie z nimi na linją bojową, ale bacząc, iż posłuszeństwo jest pierwszą cnotą żołnierza, postanowiłem rozkaz mi dany sumiennie wypełnić. Dowódzca mój, major Henisz, dosłużył się rangi kapitana

jeszcze za czasów Xięztwa Warszawskiego i w tym stopniu po nowej organizacji wojska Kongresowego Królestwa, przydzielony do sztabu generała Zajączka, namiestnika Królestwa, pozostawał w kancelarji przybocznej namiestnika przez lat parę, a potem wziąwszy dymisją oddał się gospodarstwu, dzierżawiąc w Krakowskiem dobra rządowe. Obarczony rodziną, której utrzymania jedynym środkiem była zabiegliwość jego w prowadzeniu gospodarstwa, wszelako nie usunął się jako wojskowy od służby i przyjął dowództwo kadrów w województwie, czyli właściwie pobór nowo się tworzyć mających zaciągów.

Formacja tychże, o których dyktator nie chciał wiedzieć, a które dla zapału i ochoty do zbrojenia się całego narodu, nie czuł się w możności z góry urzędownie zakazać, zostawiona była pomimo mianowania regimentarza, na łasce ministra spraw wewnętrznych i komisji wojewódzkich.

Władze te, którym tak błogo było pod rządem poprzednim, niechętne były temu, według ich przekonań szalonemu poruszeniu, które ich wyrzucało z kolei dla nich dogodnej, w którą się wżyły.

Zmuszone naciskiem opinji do brania udziału w tym zamęcie, który zagrażał ruiną ich spokojnej i ustalonej exystencji, marząc w duszy o jak najprędszem przywróceniu obalonego, a

tak dla nich dogodnego porządku, starały się o ile w ich mocy tylko było, utrudniać organizacją siły zbrojnej; w czem zresztą stosowały się w zupełności do natchnień z góry, czyli od rządu im dawanych. A że dowódzcy wojewódzcy tak zwanej gwardji ruchomej nic bez współudziału komisji wojewódzkich przedsiębrać nie mogli, wynikały więc ztąd ciągłe spory i zatargi, które tak pod względem zgromadzenia, jak i zaopatrzenia tych nowych zaciągów, najniekorzystniej wpływać musiały.

W skutku polecenia regimentarza, nakazano formować w województwie Krakowskiem 10 batalionów gwardji ruchomej. Dowódzca mój, major Henisz kazał mi się udać do miasteczka Chęcin, położonego na trakcie krakowskim, o dwie mile od Kielc, gdzie miałem czynność moją rozpocząć i stosowne na miejscu od niego otrzymać instrukcje.

Przybyłem do tej mieściny 19 Stycznia. Ruiny zamku na górze, panującej nad tem miasteczkiem, w którem Władysław Łokietek odbywał wiece, Kazimierz Wielki sprawował rządy, świadczą o jego starożytności i zamożności w owych czasach. Dziś nędzne i przeważnie zamieszkałe przez Żydów, odznacza się tem, iż mając w pobliżu łomy marmurowe, z których Władysław IV kazał wykuć kolumnę, na której stoi posąg Zygmunta III w Warszawie, jest całe zbudowane z marmuru. Nikt się tego jednak

nie domyśli, bo ściany domów są otynkowane wapnem. Domy te nader są niedogodne, bo marmur, który z natury swojej jest nader czułym na wszelkie zmiany powietrza w klimacie ostrym i tak zmiennym jak nasz, sprawia to, iż domy te są nader wilgotne i zimne, o czem miałem sposobność naocznie się przekonać. Po przybyciu tamże, zakwaterowano mnie do byłego burmistrza Chęcin, Lisieckiego, który w młodych swych latach służył jeszcze za Rzeczypospolitej w pułku pieszym, zwanym królowej Jadwigi i był jednym z pierwszych, których piersi ozdobiono medalem *virtuti militari*, za odznaczenie się pod Dubienką. Poczciwy staruszek, przejęty gorącą dla kraju miłością, przyjął mnie z otwartemi rękami, ciesząc się nadzieją, iż usiłowania nasze w wyswobodzeniu Ojczyzny, pomyślniejszem może będą uwieńczone skutkiem, jak ich przed laty.

Zastałem już w tem miasteczku pareset chłopów uzbrojonych w kosy, jako przyszły zawiązek siły zbrojnej, pod dowództwem dwóch oficerów z czasów Xięstwa Warszawskiego, z których jeden nazywał się Kozewski, a drugi Malczewski.

Przybyły major Henisz oświadczył mi, iż bezzwłocznie zajmiemy się według rozkazu poborem ludzi i odbiorem efektów, które się mają składać dla każdego odstawionego i wziętego do wojska : z kożucha, nowej białej su-

kmany, nowej czerwonej czapki, spodni sukiennych, spodni płóciennych, butów nowych, kosy prostej i siekiery. Po kilkodniowej wspólnej robocie, major oświadczył mi, iż się przekonał, że może się na mnie zupełnie w tym względzie spuścić, co mu jest nader dogodnem. » Gdyż wyznaję ci szczerze, dodał, iż oderwanie się zupełne od gospodarstwa, przy szczupłych moich zasobach, zrządza mi nie małą szkodę, a tu trzeba właśnie dołożyć starania, aby jak powołają na linię bojową, nie zostawić dzieci bez funduszu i samemu mieć jakiś zapasik. Dotąd nie miałem się tu kim zastąpić, bo ci dwaj oficerowie przysłani z Warszawy, Kozewski i Malczewski, nie wzbudzają we mnie zaufania; pierwszy utrzymywał po prostu burdel w Warszawie, w domu radcy stanu Siemińskiego, byłego dyrektora poczt i policji, drugi zakrawa na szuję i awanturnika. Oni pod pozorem służenia Ojczyznie, przybłąkali się tu dla zarobku, na ludzi więc takich nie mogłem się spuścić, bo za pieniądze połowę rekrutów uwolnili by od służby i efekta by posprzedawali. Lekarz tutejszy Röhrich także nie odrzuci łapówki, musiałem więc rzecz sam prowadzić, ale teraz kiedy mi cię Pan Bóg zesłał i gdy tydzień pracy wspólnej przekonał mnie, iż to co Dębiński mi o tobie mówił, zupełnie jest zgodnem z rzeczywistością, mogę więc zdawszy całą robotę na ciebie, spokojnie zająć się moją chudobą, bo

wiem, że sprawa publiczna nic na tem nie ucierpi. Obznajmiłeś się z manipulacją, będziesz więc sam prowadził czynność, z kolegami bądź grzecznie ale z daleka, bo oni ci pewnie poczciwej nie udzielą rady, raporta będziesz mi przesyłał co tydzień. Co do uwolnień, kieruj się własnym rozsądkiem i przekonaniem, nie polegając na zdaniu lekarza, ani nawet na zdaniu delegowanego do pomocy komisarza obywatelskiego, Krzyckiego. »

Po odjeździe majora, zabrałem się do roboty z całą energią młodego wieku, od 8 rano do 12 w południe, a od 1 do 5 wieczór, mając dwóch pisarzy do pomocy, bezprzestannie mierzyłem i wraz z doktorem rewidowałem i obmacywałem nagich chłopów. Czynność w mieszkaniu dosyć szczupłem, z powodu nadzwyczajnej zaduchy, była dosyć uciążliwą.

Nakaz dostawy powyżej wymienionych efektów, w znacznej liczbie i w dosyć krótkim czasie, podniósł ich cenę i stał się dosyć uciążliwym dla obywateli. Starali się też uwolnić od tego ciężaru i proponowali mi, wedle ułożonej ceny wypłatę pieniężną, wyrównywającą wartości mających się dostawić efektów. Chociaż starsi koledzy doradzali mi, abym zamianę tę przyjął, bo i obywatelom dogodzę i sam mogę na tem skorzystać, oświadczyłem, iż według instrukcji danej mi, nakazany mam odbiór efektów w naturze i tego nakazu ślepo się trzymać będę,

chociaż według mego przekonania, daleko by odpowiedniej było, gdyby to, co te rzęczy kosztują, obrócono na odpowiednie umundurowanie nowo zaciężnych. Dodałem przytem, « że kiedy panom uciążliwem jest skupowanie tych rzeczy, ułóżcie się z jakim liwerantem, a pozbędziecie się kłopotu. » Poszli też za moją radą i wkrótce zjawił się w mieszkaniu mojem zamożny spekulant Żyd, Horowic, który mi się zameldował, jako ugodzony przez obywateli do dostawy rzeczy dla wojska liwerant. Powiedziałem mu, « iż panu wiadomy jest zapewne przepis, jakie i jakiego rodzaju mają być te rzeczy, skoro mi je pan dostarczysz w dobroci odpowiedniej, nie omieszkam panu dać zakwitowania, zapowiadam jednak, iż rzeczy nie trzymających odpowiedniej miary i jakości, nie przyjmę i za zawód do surowej odpowiedzialności pociągnę, gdyż czasu tracić nie możemy. » Pan liwerant zbliżywszy się do mnie, starał mi się wetknąć w rękę rulon biletów bankowych, odsunąłem się od niego, a zmierzywszy okiem pogardy, rzekłem: « pomyliłeś się pan i nie radzę ci powtarzać próby, bo cię natychmiast aresztować każę. » Natenczas Żyd zdziwiony, uchylając krymki odpowiedział: « bez urazy i z przeproszeniem Wielmożnego Adjutanta, nie pierwszy raz w życiu liweruję, ale pierwszy raz w życiu trafiłem na dziwnego człowieka, który nie chce brać, gdy mu dają. » « To cię mój panie,

odrzekłem, przekonać może, iż efektów byle jakich nie przyjmę i terminu dostawy ściśle przestrzegać będę, staraj że się więc jednemu i drugiemu zadosyć uczynić, jeżeli nie chcesz się narazić na nieprzyjemności.» Niepraktyczność tej dostawy, narażającej na znaczne wydatki obywateli, pokazała się wkrótce. Z nagromadzonych albowiem rekrutów, utworzone dwa pułki piechoty liniowej, oznaczone numerami 9 i 10 i liczące 6 batalionów, nie przedstawiały jak tylko masę ludzi, nie różniących się w niczem od prostych włościan i nie mających postawy zołnierskiej. Ubiór włościański niedogodny do obrotów wojskowych, był przytem pobudką do licznych dezercji, których się bezkarnie w niemożności rozróżnienia nowozaciężnych od pozostałych przy roli kmieci, dopuszczać mogli. Zresztą chłop w sukmanie uważał sam siebie za chłopa a nie za żołnierza.

Przeciwnie, gdyby pieniądze te, które obywatele wydać musieli na ubranie kosynierów, obrócone były zostały na odpowiednie ich umundurowanie, byłyby im nadały od razu postawę żołnierską, natchnęły duchem wojskowym, utrudniły dezercją, a nadewszystko oszczędziły podwójnych kosztów, przebrania ich całkowitego przez komisją wojny. Masy te chłopów podzielono na bataliony, z których trzy nazwane pułkiem 9tej piechoty liniowej, przeszły pod dowództwo Samuela Różyckiego, niegdyś za cza-

sów Xięstwa Warszawskiego, szefa batalionu, a od czasów organizacji Królestwa, pełniącego cywilną służbę komisarza obwodu Stobnickiego; a drugie trzy pod nazwą pułku 10go przeszły pod rozkazy Spytka Jordana, dawniej wojskowego a obecnie właściciela ziemskiego.

Nie były to strzelcy o których marzyłem, ale zaliczony do pułku 9go, pocieszałem się tą nadzieją, iż niebawem wyruszę z tym pułkiem na linię bojową, bo do tego wszystkie czyniono przygotowania.

Tymczasem Dębiński, który zabierał się do wyruszenia z tymi dwoma pułkami do Warszawy, zdawszy dowództwo województwa na Józefa Mieroszewskiego, dzierżawcę dóbr rządowych Kasice, a w r. 1813 adjutanta generała Weissenhofa, wezwał mnie do Kielc i oświadczywszy mi w obecności nowego dowódzcy wojewódzkiego, zupełne zadowolenie z wypełniania poruczonego mi dotąd obowiązku, zaklął mnie na wszystko, abym nadal tą samą zajmował się czynnością, « bo największą przysługę Ojczyźnie oddasz, jeżeli z tą samą jak dotąd gorliwością i sumiennością zajmiesz się zbieraniem kadrów i dosyłaniem ich do kompletowania ubytku, który w skutku walki nastąpić musi. » Przemówienie, a raczej rozkaz Dębińskiego, abym nadal pozostał przy organizacji kadrów, nader przykrym był dla mnie; oświadczyłem mu więc, iż nigdym się nie spodziewał, aby mi

taką krzywdę wyrządzał. « Ja zaciągnąłem się do wojska, abym jak najprędzej mógł być czynnym na linji bojowej, ale nie na to, abym za piecem siedział. Usłuchałem rady pańskiej, żem się nie zaciągnął jako prosty żołnierz do starego pułku, boś mnie zapewnił, że w krótkim czasie województwo Krakowskie zorganizuje strzelców celnych, którzy niebawem pójdą na linię bojową. Strzelców tych niema dotąd, sądziłem więc i miałem wszelkie prawo spodziewać się tego, iż choć z pułkiem 9tym kosynierów pomaszeruję. Pozostawienie mnie na miejscu, uważam za nader bolesną dla mnie krzywdę i upraszam najgoręcej pana dowódzcę, abyś postanowienie swe zmienił i przychylił się do mojej prośby, przydzielając mnie do pułku 9go, do którego i tak się zaliczałem ». Dębiński rzekł : « nie bądź taki gorący, wszak się nikt jeszcze nie bije. Nie bój się, przyjdzie jeszcze i na ciebie czas, bo to się tak prędko nie skończy, pociągnie się pewnie miesiące a może i lata. Uważam dla dobra służby za konieczne, abyś pozostał na miejscu i zajmował się czynnością, w której nabyłeś wprawy i którą z wielkim dla obrony krajowej pożytkiem dotąd spełniałeś. Zresztą jako wojskowy powinieneś się poddać woli twoich przełożonych i zastosować się do ich poleceń. Szczerze ci oświadczam, iż postanowienia mego zmienić nie mogę, bo uważam za najodpowiedniejsze pozostawienie cię na miejscu, dla dobra służby kra-

jowej. Jesteś gorliwy a nadewszystko uczciwy, ująć się niedasz żadnymi względami a tem samem przy poborze i nowej organizacji obrony krajowej, takiego nam tu człowieka jak ty potrzeba. Spuścić się na ciebie zupełnie może i dowódzca wojewódzki i dowódzca kadrów, przeto rad nie rad musisz pozostać. Zapewnić cię tylko mogę, iż zbyt długo nie pozostaniesz, bo nie będziesz wiecznie odsyłał popisowych do pułków, ale województwo będzie się starało sformować pułk, a z nim i ty dostaniesz się tam, gdzie pragniesz ».

Przeciwko tak stanowczemu oświadczeniu dowódzcy, bacząc na subordynacją, nie mogłem stawić oporu, pozostałem więc na miejscu, zajmując się znów odbiorem ludzi i rekwizytów, oraz przeglądem nadsyłanych z innych punktów województwa oddziałów, sprawdzaniem, czy są zaopatrzone wedle przepisów i czy żołd rzeczywiście doszedł ich rąk.

W śród tych zatrudnień w lichych Chęcinach, doszła mnie wiadomość o złożeniu dyktatury przez generała Chłopickiego, o krwawych pod Grochowem z najazdem moskiewskim zapasach a w końcu o objęciu naczelnego dowództwa wojsk naszych przez generała Skrzyneckiego. Zazdrościłem szczerze tym, którzy już starli się z barbarzyńcami, a ostatnia wiadomość nader przykre na mnie zrobiła wrażenie. Wątpiłem, aby sprawa nasza w rękach Skrzyneckiego, po-

myślnym mogła być uwieńczona skutkiem. Złe wyobrażenie o tym człowieku, powziąłem jeszcze przed rewolucją. Sztab pułku 8 piechoty liniowej, którym on dowodził, stał w mieście Pułtusku. Mieszkał tam także komisarz obwodu Pułtuskiego, Władysław Slaski, dobry mój przyjaciel i powinowaty, u którego pułkownik Skrzynecki był częstym gościem. Właśnie w roku 1830, miałem zamiar kupienia części dóbr rządowych, zwanych Xięztwem Sieluńskiem, przeznaczonych na sprzedaż a położonych na szosie pomiędzy miasteczkiem Rożanem i Ostrołęką. Jeździłem więc do Sielunia dla obejrzenia i rozpoznania części tych dóbr, którą zamierzałem nabyć i zwykle w przejeździe przez Pułtusk, nie opuszczałem odwiedzić Władysława Slaskiego, u którego najczęściej parę dni bawiłem. Wkrótce po rewolucji lipcowej znajdowałem się u mego przyjaciela Slaskiego, wracając z Sielunia, gdy przed wieczorem przyszedł w odwiedziny pułkownik Skrzynecki, wraz z swoim ulubieńcem podpułkownikiem Zwolińskim. Rozmowa nie mogła się w owej chwili nie toczyć jak o nadzwyczajnem wydarzeniu, które pozbawiło tronu starszą linią Burbonów. Skrzynecki, mówiąc o tem, wpadł w konwulsyjny gniew i nie szczędząc wszelkiego rodzaju obelg na deputowanych opozycji, najbardziej jednak oburzonym był na wojsko francuzkie. «Wojsko to, wołał, okryło się hańbą na wieczne czasy,

złamało wiarę zaprzysiężoną monarsze, zniesławiło sztandary swoje, łącząc się z motłochem, który należało zmasakrować. Ach gdybym tam był, tobym był im pokazał, jak należy bronić prawej władzy; kartacze i bagnety są najlepszym środkiem do poskromienia zachcianek ludowych. » Podpułkownik Zwoliński przyświadczał energicznie swojemu dowódzcy i żadnym sposobem nie mogliśmy obydwa ze Ślaskiem uspokoić ich gniewu, przeciw nikczemnej według ich przekonania, armji francuzkiej ; ani też usprawiedliwić powstania narodu przeciwko władzy, która najświętsze swoje obowiązki depce ze szkodą narodu. Według ich przekonania, nic nie mogło usprawiedliwić powstania, ono jest zawsze zbrodnią, zasługującą na karę. Człowiek wyznający podobne zasady, jakimże mógł być kierownikiem potęgi rewolucyjnej? W przekonaniu jego, Car był prawym władcą a powstanie buntem karygodnym. Dodawszy do tego, że jeden z jego powierników, major Petrykowski był z jego nastręczenia szpiegiem moskiewskim, a drugi Zwoliński, podpułkownik, pierwszy a na szczęście i ostatni, w samym rozpoczęciu kampanji przeszedł do Moskali, nie można sobie było nic dla sprawy narodowej dobrego rokować z wodza naczelnego, który takie miał przekonania i takich przyjaciół.

Wkrótce kazano mi się z kancelarją przenieść z Chęcin do Kielc i tam dalej czynność moją

prowadzić. Kielce albowiem, jako stolica województwa, były punktem zbornym wszystkich oddziałów nowo zaciężnych, które polecono mi lustrować i zakwitowywać z dostawienia tychże dowódzców powiatowych. Przeniesienie do Kielc zetknęło mnie z komisją wojewódzką, najwyższą władzą cywilną w województwie. Stanąłem kwaterą u Bogdańskiego, sekretarza generalnego komisji wojewódzkiej. Wszyscy ci panowie, jakem się następnie przekonał, niechętni byli ruchowi i udział w nim biorących uważali w ogóle za ludzi excentrycznych, zarywających na terorystów z czasów pierwszej rewolucji francuzkiej. Pan Bogdański przyjął mnie też z niedowierzaniem na kwaterę i z zakłopotanej jego miny, (aczkolwiek starał się ją osłonić przesadną grzecznością) widziałèm, że obrońca Ojczyzny nie jest mu zbyt miłym gościem. Po kilku dniach pobytu mojego w jego mieszkaniu, przekonał się nareszcie, że chociaż zaciągnąłem się do wojska powstańczego, nie jestem jednak ludożercą. Bogdański był sobie w całym tego słowa znaczeniu epikurejczykiem, a większa część jego kolegów mniej więcej hołdowała tym samym przekonaniom. Żyć i użyć było ich głównem zadaniem. A że rząd poprzedni wszelkie im dawał rękojmie do osiągnienia tego celu, tem samem niechętni byli nowemu stanowi rzeczy, który zakłócał ich błogą spokojność i psuł im swobodę życia, do której nawykli.

Nie mieli oni na tyle energji, aby jawnie okazać swoje niezadowolenie i otwarty stawić opór zapałowi narodu, który ich zewsząd ogarnął; ale w duszy pragnęli powrotu do dawnego stanu rzeczy, który im tak był dogodnym i cieszyli się nadto tem przekonaniem, że z upadkiem tego niewczesnego, według ich przekonania, wybryku rewolucyjnego, stan dawny rzeczywiście wróci i oni na swych posadach znów życie swobodne prowadzić będą, jeżeli się niczem w obec rządu moskiewskiego nie skompromitują. Starali się więc, o ile to bez oczywistego narażenia się na odpowiedzialność możliwem było, w niczem się nie przyczyniać do podniesienia, czy to pod względem moralnym, czy materjalnym siły powstania. W ich oczach potęga moskiewska tak była olbrzymią, iż mierzyć się z nią było szaleństwem. Po cóż podtrzymywać walkę bez nadziei wygranej, im prędzej się skończy, tem lepiej dla kraju będzie, bo mniej ofiar poniesie.

Według tej postępując zasady, spełniali powierzone sobie czynnosci, jakby za pańszczyznę.

Nie uwzględniając położenia wyjątkowego, wymagającego nadzwyczajnej energji działania i jak najszybszego wzmocnienia powstania siłami, które kraj mógł dostarczyć, zastawiali się drobiazgową akuratnością w przestrzeganiu form, usprawiedliwiając blichtrem pozornej legalności, niechęć swą rzeczywistą dla powstania. Nie poprzestając na urzędowem paraliżo-

waniu powstańczego działania, gdzie tylko nadarzyć im się mogła sposobność, nie omieszkali występować z swojemi uczuciami patjotycznemi, ubolewali nad nieszczęściami, grożącemi ukochanej przez nich Ojczyznie i rozpaczliwą swoją wymową wpływali na ostudzenie ducha i rozpowszechnienie zwątpienia, którem sami przejęci byli.

Z takimi pomocnikami łatwo odgadnąć, jak zmudną i przykrą była organizacja sił powstańczych. O każdą rzecz trzeba było się targować, trzeba było tydzień deptać i kłócić się o to, co mogło być w 24 godzinach załatwionem. A na usunięcie tego niedołęztwa nie było lekarstwa, bo komisje wojewódzkie działały w duchu, jakim były przejęte wyższe hierarchie tak cywilne, jak i wojskowe, dzierzące kierunek powstania. Ponieważ najazd moskiewski w skutku niedołężnego działania Rządu Narodowego zagarnął część Królestwa, po prawym brzegu Wisły położoną, przeto cały zasób pomocy, jaką zasilać się mogło powstanie, ograniczał się na części województwa Mazowieckiego i trzech całych województwach, Kaliskiem, Krakowskiem i Sandomierskiem.

Te więc części wolne jeszcze od najazdu moskiewskiego, dostarczały ciągle ludzi, już po części przemustrowanych, do zapełnienia ubytku w pułkach, będących na linji bojowej.

Dopilnowanie więc jak najrychlejszego ze-

brania ludzi, przećwiczenie ich w służbie i utrzymanie w komplecie odpowiednim kadrów, aby na pierwsze wezwanie ruszyć mogły na linią bojową, było głównem zadaniem oficerów odkomenderowanych do tej czynności.

Wśród nudnych a mozolnych zajęć zbierania rekrutów i lustrowania nadchodzących z innych obwodów oddziałów tychże do Kielc, doszła nas wiadomość o świetnem zwycięztwie i rozbiciu korpusu Rozena przez wojska nasze w dniu 31 Marca. Wiadomość ta wzbudziła w nas radość nie do opisania, zazdroszcząc wojsku działającemu tego szczęścia, ubolewaliśmy nad położeniem naszem, iż zamiast dzielić jego trudy i wawrzyny, w spokojnych Kielcach zbieramy rekrutów, których uważaliśmy za szczęśliwszych, gdyż predzej jak my, zajrzą wrogowi w oczy, połączywszy się z zwycięzkimi zastępy. W przekonaniu tem, iż wódz naczelny, zadawszy taką klęskę Moskalom, nie da im się upamiętać i korzystając z popłochu i zwątpienia wrogów, znękanych porażką i trudami czuwania zimowego w polu otwartem, będzie ich pędził na czele zwycięzkich zastępów, sądziłem, że główną armią Dybicza niebawem musi ten sam los spotkać, który spotkał Rozena. Pewny więc byłem, że po rozbiciu zupełnem głównej armji moskiewskiej, nie tylko Polska, ale Litwa i w ogóle zabrane ziemie wyswobodzone od najazdu moskiewskiego, stanowić będą taką potęgę, iż

Carowi w obec niej nie pozostanie nic, jak prosić o pokój i uznać niepodległość naszą. Bojąc się więc, aby tak świetnie rozpoczęta kampania, nie skończyła się bez mego bezpośredniego w niej udziału, napisałem do mego przyjaciela posła powiatu Kieleckiego, iż dłużej nie pozostanę w Kielcach, żeby jak najprędzej starał się o przeniesienie mnie do pułku 4go liniowej piechoty, lub z resztą innego starego pułku, jeżeli nie w stopniu porucznika, jaki obecnie posiadam, to w stopniu sierzanta a choćby i żołnierza, mniejsza o to, prosząc go o jak najprędszą odpowiedź, gdyż w przeciwnym razie, sam przybędę do Warszawy i zaciągnę się na prostego żołnierza, zataiwszy mój stopień.

Niedługo czekałem na odpowiedź mego przyjaciela: « Rozbiliśmy, pisał mi, korpus zostawiony przez Dybicza dla obserwowania Warszawy, gdy on zamierzał w Lubelskiem przejść na lewy brzeg Wisły i ubiedz Warszawę z główną swą armią. Czternaście tysięcy tego nędznego bydła wziętego w niewolę, napędzono do Warszawy. Popłoch między nimi po rozbiciu był taki, iż oddziały z kilkunastu a nawet z kilkudziesięciu ludzi złożone, składały broń przed prostym chłopem, wołając: « wiedi na Warszawu ».

« I zapewne, gdyby wódz naczelny korzystał z zapału wojska naszego i zwątpienia w obecnej chwili Moskali, a Dybicza nie puścił na szosę do

Siedlec, możeby i od razu kampanią skończył; ale wódz naczelny nie jest tak gorącym, nie chce jak powiada, na kartę wszystkiego stawiać, mając wiadomość o nadciąganiu gwardji moskiewskich od Łomży. Bądź więc spokojny, bo ta kampania nie tak prędko się skończy. Wódz naczelny nie lubi ryzykować, a jak się pokazuje i korzystać z powodzenia; wojna w ten sposób prowadzona, trwać może lata, dostanie się więc i tobie, zwłaszcza, że mogę cię zapewnić, iż obywatele krakowscy, którzy już własnym kosztem wystawili dwa pułki piechoty i dwa pułki jazdy i ciągle dostarczają rekrutów, podali przedstawienie do Rządu Narodowego, iż wystawią pułk strzelców z trzech batalionów po 1000 ludzi, własnym kosztem, byle ich już uwolniono nadal od dawania ciągłego rekrutów. Rząd przystał na tę ich propozycją; w pułku tym, do którego organizacji należeć będziesz, znajdziesz pomieszczenie. Im prędzej pułk zorganizujecie, tem prędzej będziecie czynnymi na linji bojowej. Nie potrzeba ci więc opuszczać stanowiska, na którem zjednałeś sobie zasługi i puszczać się tam, gdzie może i niechętnem okiem patrzano by na ciebie, jako na obcego, zabierającego miejsce innym, zasłużonym już w pułku. Radzę ci więc, nie bądź tak w gorącej wodzie kąpany, uzbrój się jeszcze w trochę cierpliwości, a daleko więcej będziesz mógł być użytecznym pozostając w pułku, do którego organizacji sam

będziesz należał, jak narzucając się tam, gdzie byś był zupełnie nieznanym i gdzie stanowisko, które już masz, musiał byś sobie z wielkim mozołem i stratą czasu zdobywać ».

Nie długo po odebraniu tego listu, który co do przypuszczanej przezemnie dzielności wodza naczelnego nader mnie nieprzyjemnie rozczarował, pocieszyło nas urzędowe zawiadomienie o postanowieniu Rady województwa Krakowskiego formowania pułku strzelców, pod nazwą braci Krakowian, mającego się składać z trzech batalionów po 1000 ludzi. Prezes komisji wojewódzkiej, Kasper Wielogłowski, którego cała działalność administracyjna przed rewolucją zasadzała się na tem, aby się w niczem rządowi, mianowicie W. Xięciu nie narazić, a uprzejmością pozornie dobroduszną, ujmować sobie obywateli i zyskać ich pobłażliwość, za zaniedbanie w obec rządów interesów województwa, miał dar szczególny do tworzenia projektów, których wprawdzie do skutku nie doprowadzał nigdy, ale którymi w teorji zdawał się najgoręcej zajmować. Tymi różnymi pomysłami, zyskał sobie pomiędzy obywatelami opinią twórczego umysłu. A chociaż województwo pod jego zostające sterem, w porównaniu z innemi województwami, najpośledniej administrowanem było, to nie przeszkadzało szlachcie, oszołomionej jego pomysłami, uważać go za nie pospolitych zdolności administratora.

Rada więc wojewódzka zamierzywszy wystawić pułk strzelców, nie mogła nie zasięgnąć rady i pomocy prezesa komisji wojewódzkiej. Pan Kacper, jak go powszechnie nazywano, jedynym był właśnie do projektów, za wspólnem przeto z nim porozumieniem, przyjęto zasadę, iż pułk nowo utworzyć się mający, tak co do ubrania i uzbrojenia, miał, jeżeli nie przewyższyć, to wyrównać pułkom organizowanym za rządu przedrewolucyjnego. Nie zwrócono jednak na to uwagi, iż obywatele poniosłszy już znaczne ofiary, jedni z rzeczywistej niemożności, drudzy przez obojętność, nie będą zbyt skorzy do nowych wysileń i że łatwiej było komisji wykwintnie umundurować, postawić i dokładnie uzbroić dwa bataliony, jak stawiać trzy bataliony, kiedy środków po temu czy nie było, czy nie umiano wydobyć. To też organizacja pułku tego szła żółwim krokiem i nieodpowiednio celowi. Zajęto się przedewszystkiem dostarczeniem mundurów, lederwerków, ładownic, furażerek a nawet i kaszkietów, które bezużytecznie pozostały w Kielcach na składzie, a zapomniano o najważniejszej rzeczy, to jest o broni, tak, że gdy dwa nareszcie sformowane bataliony, dostały rozkaz do pochodu, okazało się, że oprócz 400 karabinów, które w początku plutonom tyralierskim rozdano, nie było ani jednego karabina, tak, że pułk przedstawiał śmieszną sprzeczność z swoją nazwą, bo był

pułkiem strzelców, w którym $^{4}/_{5}$ żołnierzy uzbrojonych było kosami.

Zebranie potrzebnej ilości popisowych do zapełnienia szeregów w trzech batalionach, odbyło się dosyć raźno. Dowódzca pułku odkomenderowany z 1go pułku strzelców pieszych, podpułkownik Jutrzenka, dawny żołnierz z czasów jeszcze napoleońskich i ciągle służący w wojsku był jednym z rzadkich sztabowców, który z całą gorliwością i znajomością swego zawodu, służył sprawie powstania. Massy więc zgromadzonych rekrutów podzielił na bataliony, kompanie, plutony, poprzydzielawszy do nich oficerów, podoficerów i instruktorów, których z sobą przyprowadził.

W skutku tego podziału przydzielony zostałem do drugiego batalionu, którego dowództwo objął major z 1go pułku strzelców pieszych, Obiedziński; pierwszym zaś batalionem dowodził major Henisz, mój poprzedni zwierzchnik.

Ponieważ ofiarowanego mi obowiązku płatnika pułkowego stanowczo nie przyjąłem, dowódzca nasz, podpułkownik Jutrzenka, przeznaczył mnie w stopniu porucznika, w którym dotąd służbę pełniłem, do drugiej kompanji karabinierskiej. Sztab pułku pozostał w Kielcach, kompanie pierwszego batalionu rozłożono po wsiach w pobliżu Kielc, drugiego batalionu w pobliżu Chęcin.

Ćwiczenie żołnierzy w obrotach wojskowych

i wprawienie ich do karności wojskowej, równie jak obznajmienie się oficerów i podoficerów ze służbą polową było przedmiotem naszych zatrudnień.

Tymczasem nasz dowódzca przeprowadzał zmudne a mozolne targi z prezesem komisji wojewódzkiej i Radą wojewódzką, o dostawę potrzebną mundurów, przyborów wojskowych i broni, żeby pułk jak najprędzej ubrać, uzbroić i zdolnym zrobić do wyruszenia na linią bojową. Oczekując tej chwili z upragnieniem, nader długiem zdawało nam się wyczekiwanie na dostawy, bez których pułk zorganizowanym być nie mógł, a z któremi Rada wojewódzka i pan Kacper nie bardzo się spieszyli.

Ta ich opieszałość psuła nam humor, bo nas więziła na miejscu, a tu spieszno nam było, żeby się nie spóźnić i nie przyjść na plac boju, jak musztarda po objedzie. Z biciem serca wyczekiwaliśmy wiadomości z pola walki, a pewni będąc, iż powtórne spotkanie się naszych, zakończy się stanowczą dla Moskali klęską, radzibyśmy byli, w jednej chwili ubrać się i uzbroić, aby w tych godach wyzwolenia brać czynny udział. W chwili tych obaw, aby się nie spóźnić, doszła nas wiadomość o niefortunnej wyprawie na gwardje, a co gorsza, o krwawej nie bitwie, ale bezowocownej rzezi pod Ostrołęką w dniu 26 Maja.

Wiadomość ta była straszliwym ciosem dla

nas, aniśmy mogli sobie wyobrazić, aby wojsko nasze, taką moralną przewagę mające nad moskiewskiem, ponieść mogło takie straty i pomimo nich nie utrzymać się na placu boju. Klęski tej nie mogliśmy przypisać jak tylko nadzwyczajnej nieudolności naczelnego wodza, nie umiejącego zużytkować dzielności wojska, któremu przywodził.

Wnosiliśmy więc, że zapewne Rząd Narodowy niedołęgę tego będzie się starał jak najprędzej usunąć i kierunek wojska odda niebawem w ręce zdolniejsze. Wnioski jednak nasze okazały się mylnymi, spodziewana a zdawało się nam, tak konieczna zmiana wodza, nie nastąpiła. To też coraz smutniejsze o obrocie prowadzonej wojny pod kierunkiem tego niefortunnego wodza, zaczęły nas dochodzić wieści, które aż nadto zgadzały się z rozpaczliwem zdaniem, objawionem poprzednio w liście mego przyjaciela, iż pod naczelnictwem Skrzyneckiego o prędkiem a pomyślnem rozstrzygnięciu wojny, myśleć nie podobna.

Rzeczywiście z toku następnych działań zdawało się, iż ten niezdarny wódz, jakby naumyślnie wysilał się na to, aby jak najnieudolniej wykonanymi ruchami zdemoralizować wojsko i rozchwiać w niem zupełnie zaufanie w własne siły. Niebawem doszła nas wiadomość o wyprawie na korpusik Rydygiera z 11,000 Moskali złożony. Niepojętą dla nas było zagadką, jak

korpus ten otoczony przez naszych 23,000, nie tylko nie uległ zupełnej zagładzie, ale przeciwnie, wyszedł niemal zwycięzko, zabrawszy nam pod Łysobykami w dniu 19 Czerwca kassę, park amunicji i kilkuset jeńców. Wiadomości te krwawiły serca szczerze przychylnych sprawie powstania, a przytem i mających nieprzeparte przekonanie o niewątpliwej wyższości wojska naszego nad moskiewskiem. Przekonanie to opierało się na faktach.

Pod Stoczkiem i Kurowem dwa razy liczniejsi od naszych Moskale rozbici zostali; pod Grochowem, gdzie trzech prawie Moskali było na jednego Polaka, brakowi jedynie wszelkiego dowództwa z naszej strony Moskwa zawdzięczała swoje ocalenie; tu zaś pod Łysobykami, gdzie właśnie szczególnem wydarzeniem dwóch dzielnych naszych wiarusów miało przeciw sobie jednego Moskala, taki fatalny wypadł rezultat. W wojnie, a jeszcze w wojnie o niepodległość, nieudolność wodza równa się zdradzie, bo te same sprowadza następstwa, to jest ujarzmienie narodu.

Pobłażliwość więc względem wodza, który nieudolnością swoją prowadził naród do tej straszliwej katastrofy, podkopywała zaufanie do rządu, który zatrzymując tego, czy zdrajcę, czy niedołęgę na czele wojska, stawał się jego na zgubę narodu współwinowajcą. Wypadki te o ile oburzały pragnących wyzwolenia narodu

z pod przewagi moskiewskiej i mających wiarę w możliwość dopięcia tego celu, o tyle były na rękę tym wszystkim, którzy znów durzyli się tem przekonaniem, iż z upadkiem powstania powróci wszystko do stanu dawnego, w którym materjalne korzyści sowicie im wynagradzały utratę niezawisłości, o którą nie wiele się troszczyli. Społeczność arystokratyczna, wyższe hierarchie wojskowe i urzędnicze, stanowiły ten zastęp w narodzie, dążący do pojednania się z Carem, owym królem konstytucyjnym, w którego władzy upatrywali rękojmię swojej pomyślności i przewagi w kraju. Stanowili oni wprawdzie szczupłą mniejszość w narodzie, ale po większej części dzierzyli władzę jego w swym ręku. A dążąc skrycie do pojednania się z Carem, starali się stawić mu opór o tyle, aby módz wytargować dla siebie najkorzystniejsze warunki, unikając wszelkiego zaczepnego i stanowczego działania, aby faktycznie przekonać naród, iż o złamaniu potęgi moskiewskiej siłą oręża, a tem samem i o odbudowaniu Polski, myśleć nie podobna.

Działanie to niedołężne i odporne wywierało rzeczywiście wpływ demoralizujący na kraj, który po kilkumiesięcznych wysileniach, niemal potroiwszy siły swoje, w gorszym się widział stosunku do najazdu, jak w pierwszych chwilach rozpoczętej walki. Dotąd powstanie borykało się z najazdem po prawym brzegu Wisły i

przynajmniej cztery i pół z górą województw nietkniętych onego stopą na lewym brzegu, stanowiły spiżarnią i zbrojownią, z których powstanie cały swój czerpało zasiłek; lecz w drugiej połowie Lipca, główna armia moskiewska przeszedłszy na lewy brzeg Wisły i niedoznając najmniejszego oporu, ani przy przeprawie, ani następnie, posuwała się bez przeszkody ku Warszawie, zagarniając Mazowieckie i Kaliskie województwa, a tem samem do dwóch tylko województw Krakowskiego i Sandomierskiego, redukując możliwą dla powstania pomoc.

Kielce, stolica województwa Krakowskiego zostały przepełnione tłumem rozmaitych wojskowych, których pochód moskiewski wypłoszył z Kaliskiego i Mazowieckiego.

Byli to po największej części oficerowie jazdy zajęci umontowaniem dwudziestu czterech rezerwowych szwadronów, którzy przez ciąg kilku miesięcy nie mogli w czterech województwach wyszukać koni pod gotowych jeźdźców.

Ministerjum wojny kierując się winowajczą dla sprawy powstania obojętnością, oficerów znanych z służalczej dla rządu moskiewskiego przychylności, lub niezdatnych do służby frontowej dla tchórzostwa, opilstwa, szulerstwa, zamiast wydalić ze służby, odsyłało do rezerw. Nałogowi pijacy, jak generałowie Weissenhof, Stryjeński, Suchorzewski, mieli robić poruczoną organizacją rezerw, a do pomocy dano im podo-

bnych ludzi, jak Maciej Dembiński podpułkownik z 3go strzelców konnych, lub major Miecznikowski z 4go strzelców konnych, znanych popleczników moskiewskiej władzy. To też uorganizowanie rezerw jazdy, nawet w czasie gdy województwa na lewym brzegu Wisły zupełnie wolne były od najazdu, nie posunęło się na krok.

Gdy Moskwa zająwszy Łowicz, wypłoszyła rezerwy do Kielc i z powodu grożącego niebezpieczeństwa, tem naglejsza okazywała się potrzeba, jak najszybszego wsadzenia na koń tych 24 spieszonych szwadronów, nakazano wówczas wszystkie konie zdatne w dwóch województwach, Krakowskiem i Sandomierskiem, oraz części Kaliskiego, zabrać w rekwizycją. Lecz oficerowie wyznaczeni do tego odbioru, bacząc więcej na swoje zyski, jak na gwałtowną kraju potrzebę, najniesumienniej postępowali w danem sobie zleceniu, a okup właścicieli o zdatności i istnieniu koni wyrokował. Dowódzcy zaś rezerw, jedni niedołężni całkiem z powodu opilstwa, drudzy nienawistni nowemu porządkowi rzeczy, który ich pozbawił wszystkich nieprawych zysków, jakie im dawny rząd zapewniał, korzystając z zamięszania, jakie zwykle zagrażającemu niebezpieczeństwu towarzyszy, bardziej o napełnieniu szkatuł swoich, jak o służbie krajowej i całości Ojczyzny myśleli. Rozgłaszane przez nich wieści o nieprzeliczonej

liczbie zastępów moskiewskich, nie przyczyniały się do podniesienia ducha w władzach wojewódzkich, które i tak nie bardzo były skore do popierania powstania. Nie ośmielono się jeszcze jawnie wypowiedzieć, że wszelki opór jest nadaremnym, ale władze wojskowe i cywilne tak działały, aby go rzeczywiście niemożliwym uczynić.

Wśród zamięszania i nieładu, których przyczyną była, nie tak rzeczywista doniosłość niebezpieczeństwa, jak raczej zła wola i nieudolność władz, nadeszła do Kielc w dniu 31 Lipca wiadomość o przekroczeniu korpusu moskiewskiego Rüdigera na lewy brzeg Wisły. Złowroga dążność do roznoszenia trwogi, nie omieszkała uczynić dodatku, iż Rüdiger na czele 15,000 wojska i dział 40, przeprawiwszy się przez Wisłę, dąży wprost do Kielc. Wieść ta, co do spieszenia Rüdigera ku Kielcom, okazała się całkiem mylną, bo generał ten, jak się następnie wykazało, miał rozkaz zajęcia Radomia, dla zabezpieczenia głównemu najazdowi działania pod Warszawą, a na przypadek klęski i odwrotu przez Górę Kalwaryą; przeto nie mógł się z zajętego stanowiska ruszyć i działać zaczepnie, dopóki pomyślne wypadki nie zapewnią stanowczej przewagi głównemu pod Warszawą najazdowi. Z tem wszystkiem wieść ta niemałego narobiła zamięszania i popłochu, gdyż województwo Krakowskie, pomimo, iż mieściło

w sobie fabryki broni i amunicji, było spichlerzem powstania, a pod względem topograficznym najodpowiedniejszem do obrony, zagrożone od nieprzyjaciela, znalazło się w skutku apatycznego niedołęztwa rządu w najlichszym stanie obrony. Jakoż cała siła zbrojna pod dowództwem generała dywizji Weissenhofa, który za czasów napoleońskich miał być dzielnym żołnierzem, ale jeszcze przed rewolucją, jako dywizioner ułanów, znanym był jako nałogowy opój, składała się z dwudziestu szwadronów jazdy pieszej, z czterech szwadronów rezerwowej jazdy na koniach, z czterech szwadronów jazdy podlaskiej i pułku 6go strzelców pieszych. Pułk ten po trzechmiesięcznej organizacji miał dwa bataliony, liczące po 760 ludzi, czyli 1520 ludzi ubranych i uzbrojonych w 400 karabinów i w kosy, trzeci batalion skutkiem niedołęztwa i złej woli władz wojewódzkich, dotąd ani ubranym, ani uzbrojonym nie był.

W dniu 9go Sierpnia, nakazano dwom batalionom naszego pułku wyruszyć z Kielc ku Daleszycom, zkąd właśnie trzeci batalion naszego pułku przybył do Kielc dla ubrania się i uzbrojenia i pozostawszy tamże, już się z nami nie połączył. Dowódzca onego Skrodzki, kapitan z 1go pułku strzelców, awansowany na majora, należał do tych najgwałtowniejszych patrjotów, którzy ceniąc wysoko swoje przymioty, nie chcą ich na szwank i niepewność boju narażać i po-

mimo najstraszniejszej zawziętości na wrogów, gdy są z daleka od nich, zetknąwszy się z nimi nie mają na względzie, jak tylko chrześcijańską cnotę darowania uraz. To też i major Skrodzki, pomimo całej swojej w słowach energji, nie szukał starcia się z Moskalami, a gdy oni sami zbliżyli się ku niemu, pierwszy na czele batalionu wykrzyknął, « niech żyje Mikołaj ! » i broń złożył. W dniu 9ym Sierpnia dwa bataliony naszego pułku, to jest 1 i 2gi przybyły do miasteczka lichego Daleszyc, na wschód od Kielc położonego. Rozłożyliśmy się za tem miasteczkiem obozem na polu, otoczonem lasami. Jakkolwiek wyszliśmy z Kielc pod wrażeniem niezbyt pocieszających wiadomości, ze względu jednak, iż przecie raz już skończyła się nasza bezczynność i że rozpoczniemy stanowczo działać, w dobrym byliśmy humorze. Przyzwyczajonym sypiać na łóżkach i pod dachem, dziwnym nam się zdawał ten pierwszy nocleg pod gołem niebem i na gołej ziemi, bez rozbierania się. Nie tylko bowiem o barakach lub namiotach, ale nawet i o słomie nie pomyślano dla nas. Sztab tylko zajął ostatnią za miasteczkiem chałupę, kompanie zaś na polu otwartem, gdzie której wyznaczono miejsce, zaległy gołą ziemię do spoczynku. Czujnie się też spało, a chłodna i przejmująca rosa, dobrze przed świtem już orzeźwiła wszystkich. W czasie trzydniowego naszego pobytu pod Daleszycami, liczne patrole jazdy, wysłane w kierunku

ku Wiśle, dla przekonania się o bytności tamże nieprzyjaciela, nigdzie go nie spotkały.

Dnia więc 12go Sierpnia, wyruszyliśmy napowrót ku Kielcom, a przeszedłszy przez to miasto, rozłożyliśmy się o pół mili od niego w lesie na trakcie warszawskim. Nazajutrz oboz nasz licznie był odwiedzany przez mieszkańców Kielc. Ochłonąwszy ze strachu, żartowali sami z łatwowierności swojej i popłochu, w jaki ich wprawiła wieść o zbliżeniu się przeważnych sił moskiewskich.

W ciągu trzydniowego pobytu pod Kielcami, doszła nas wieść pomyślniejsza, iż generał Dębiński, który znamienitym odwrotem z Litwy, zyskał sobie uwielbienie Warszawy, został mianowany naczelnie dowodzącym w województwach Krakowskiem i Sandomierskiem. Wiadomość ta ucieszyła nas nadzwyczajnie, znaną nam była albowiem czynność i energia tego dowódzcy. Pewniśmy więc byli, że potrafi w krótkim czasie zorganizować i zgromadzić dosyć liczne siły, w bezładzie rozrzucone po tych województwach i że z niemi niedługo przepędzi Rüdygera zbieraninę za Wisłę. Z wielką więc radością opuściliśmy dnia 15 Sierpnia obóz nasz i po kilkugodzinnym pochodzie złączyliśmy się o godzinie 10 w nocy w Mniowie, z bardzo przykrem dla nas rozczarowaniem, z oddziałem generała Samuela Różyckiego, pod którego przeszliśmy dowództwo. Zamiana ta utwierdziła nas

o prawdziwości tego twierdzenia, iż wódz naczelny, komendy odrębnie mających działać korpusów, powierzał zawsze najnieudolniejszym generałom, a to z obawy współzawodnika. Tej to obawie przypisywano wybór Giełguda i Jankowskiego, tak zgubny dla sprawy naszej.

Ponieważ i w obecnej chwili Dębiński zyskał był sobie wielką wziętość i przypuszczać należało, iż dowództwo powierzone nastręczy mu sposobność nowego odznaczenia się, wódz naczelny kierując się widokami samolubnej zawiści, ważne dowództwo w zagrożonych województwach nie jemu, lecz o wiele mniej zdolnemu powierzył generałowi. Samuel Różycki w czasie wyprawy Napoleona na Moskwę był szefem batalionu, po upadku cesarza wystąpił z wojska, a po wskrzeszeniu Królestwa Kongresowego, sprawował urząd komisarza obwodu Stobnickiego w województwie Krakowskiem. Gdy naród powstawszy powołał do działania wszystkich dawnych wojskowych, Różycki Samuel pospieszył zwiększyć szeregi ojczyste i objął dowództwo nowo utworzonego w województwie Krakowskiem pułku 9go piechoty liniowej, który jeszcze w miesiącu Lutym przyprowadził do Warszawy. Po powrocie z wyprawy litewskiej, mianowany generałem brygady, powierzonem miał sobie dowództwo w województwach Sandomierskiem, Krakowskiem i Kaliskiem, z zupełną mocą działania według

woli i okoliczności. Różycki nie był w stanie odpowiedzieć tak ważnemu zadaniu, albowiem pomimo osobistej odwagi i najlepszych chęci, nie posiadał ani wiadomości, ani przymiotów wodza, a będąc kiedyś dobrym szefem batalionu, okazał się następnie najniezdolniejszym generałem. Nieposiadając bystrego umysłu, a przytem pełen dobroduszności, utworzył sobie sztab z ludzi młodych, niedowarzonych, nie mających ani doświadczenia, ani zdrowego rozsądku, pod których wpływem zostawał. Sam nieporadny, cóż mógł dobrocią z podobnymi doradzcami zdziałać? Ztąd też całe działanie generała Różyckiego, w tej krótkiej kampanji, napiętnowane jest zupełną nieudolnością. Mając nieograniczoną władzę nad trzema województwami, od niego zależało zebrać i zorganizować prawie gotowe, lecz rozrzucone i w bezładzie zostające siły. Nastręczało mu do tego zupełną sposobność położenie Rüdigera, który zasłaniając tyły głównego najazdu z zbieraniną swoją, nie mógł zaczepnie działać i narażać się na klęskę, któraby najfatalniejsze skutki wywarła na położenie głównej armji moskiewskiej, działającej pod Warszawą. Z tego unieruchomienia korpusu Rüdigera, nie umiał Różycki zupełnie korzystać, zamiast więc ściągnąć i do porządku przyprowadziwszy znaczne siły, znajdujące się w województwach jego wszechwładzy powierzonych, i z tą poważną siłą rozpocząć z całą energią

zaczepne działanie przeciwko Rüdigerowi, Różyczki ograniczył się na przyłączeniu do swego szczupłego korpusu pułku 6go strzelców pieszych, zostawiając resztę sił, któremi mógł rozporządzać, rozproszonych po województwach i bez związku zostających z sobą. Sam niewiedząc dostatecznie ani o sile, ani o położeniu nieprzyjaciela, krażył bezmyślnie przez miesiąc około jego stanowisk, nie śmiejąc na niego uderzyć, gdy po temu była pora, aby potem bez stoczenia bitwy, w sposób niegodny polskiego żołnierza, najprzód z pozycji najodpowiedniejszych do działań zaczepnych i odpornych, a następnie i z ziemi ojczystej, której bronić nie umiał, być wypartym.

Korpus Różyckiego Samuela składał się z dwóch batalionów pułku 22 piechoty liniowej, z dwóch batalionów pułku 6 strzelców pieszych, z 1 batalionu strzelców celnych, z batalionu legii pieszej Litewsko-Wołyńskiej, z 4 szwadronów jazdy Podlaskiej, z 2 szwadronów dzielnej jazdy Wołyńskiej pod dowództwem Karola Różyckiego, z 3 szwadronów jazdy rezerwowej. Artylerja złożoną była z dział 6, między któremi jeden był granatnik, 3 działa 6 funtowe i 2 3 funtowe. Czyli ogółem piechoty 3,600, a jazdy 1080 koni. Pozostawiono niepotrzebnie na kwaterach batalion 3 pułku 6 strzelców pieszych, liczący 800 ludzi i 2 bataliony 11 pułku strzelców pieszych, liczące 1,300 ludzi, 2 bataliony

21 pułku liniowego, liczące 1000 ludzi, oddział strzelców celnych, liczący 240 ludzi i 24 szwadronów jazdy, którym wprawdzie zbywało na koniach, ale tych nie brakowało w województwach i przy sprężystem działaniu, łatwo tę jazdę można było umontować. Gdyby generał Różycki, przybywszy w Krakowskie, natychmiast zajął się był wcieleniem tych oddziałów do swego korpusu, byłby podniósł jego siłę do 10,800 ludzi, aż nadto dostateczną nie tylko do zaczepienia, ale i do pobicia Rüdigera, którego żołnierz nie był liczniejszy, a pod względem ducha, o wiele niższy od naszego. Ta nieporadność Różyckiego w skupieniu sił, pozbawiła go możności stanowczego i skutecznego działania i zredukowała całą jego czynność do marszów i kontramarszów bezskutecznych, które w końcu i najdzielniejsze wojsko zmęczyć i zdemoralizować muszą.

Pułk nasz zostający od 15 Sierpnia pod rozkazami generała Różyckiego, dnia 16go wraz z całym korpusem udał się do Odrowąża, 17go do Brodów ruskich, 18go do Borkowic, w nocy z dnia 18 na 19go do Szydłowca, dnia zaś 20 Sierpnia stanęliśmy pod Mirowem, niedaleko miasteczka Wierzbicy, pod którem przednie nasze straże starły się z moskiewskiemi, zkąd z wielką naszą radością wnosiliśmy, iż nadeszła długo przez nas oczekiwana chwila zmierzenia się z nieprzyjacielem. Wojsko nasze, acz znu-

żone kilkodniowym pochodem, ożywione było najlepszym duchem i życzyło sobie najrychlejszego spotkania.

Jakoż rano 21 Sierpnia wyruszyliśmy ku Wierzbicy, w niewątpliwej nadziei stoczenia bitwy. Przed wymarszem dowódzca nasz, podpułkownik Jutrzenka, dał mi rozkaz, abym z drugą kompanią karabinierską objął straż bagażów, a przeto, abym pozostał w tylnej straży. Nic nie pomogły moje przedstawienia i prośby, aby mi tej krzywdy nie robił, bo najserdeczniejszem mojem życzeniem jest mieć udział w tej pierwszej, a tak długo oczekiwanej bitwie. Na moje przedstawienia, poczciwy nasz dowódzca odpowiedział mi, « niechcę panu krzywdy robić, ale owszem daję panu dowód zaufania mojego, że mu powierzam straż bagażów, bo mam przekonanie, że w razie napadu, co się łatwo przydarzyć może, pan potrafisz sobie dać radę i będziesz się starał obronić to, co straży twej powierzonem było. Zresztą nie potrzebuję panu przypominać, że obowiązkiem wojskowego jest tam pełnić swoją powinność, gdzie mu ją wypełnić polecą ».

Po kilku strzałach armatnich, które zagrzmiały na czele naszych kolumn, rozkazano bagażom zwrócić się na drogę do Odechowa, w którym miały się z korpusem połączyć. Bagaże te składały się z furgonów pułkowych, bryczek sztabsoficerów i mnóstwa podwód

chłopskich, wiozących niepotrzebnie furaż dla jazdy, gdy w tej porze roku wszędzie go było pod dostatkiem.

Specjalnie zaś mojej straży powierzonem było czterdziestu jeńców moskiewskich, siedmiu żydów o szpiegostwo obwinionych i do stu sztuk bydła i owiec, przeznaczonych na żywność dla wojska. Do zabezpieczenia tych bagażów przeznaczono cztery szwadrony jazdy, 149 strzelców celnych, 23 ludzi z pułku 22 piechoty liniowej i kompanią 2 karabinierską z pułku 6 strzelców pieszych, którą ja dowodziłem, gdyż rzeczywisty jej dowódzca, kapitan Aleksander Różycki krewny generała, powołanym został do pełnienia służby przy sztabie. Bagaże z powodu ogromnej ilości fur i dla nikczemności zaprzęgów opóźniających pochód, tworzyły rozwlekłą przeszło na $^1/_4$ mili kolumnę. Poniatowski, kapitan z 2° pułku ułanów, któremu genarał główne dowództwo nad tym całym taborem powierzył, nie zniosłszy się ze mną, ani mi dawszy żadnej instrukcji, na czele trzech szwadronów i 149 strzelców celnych, ruszył przodem na czele tego taboru, zostawiwszy moją kompanię, 23 ludzi z 23go pułku i trzy plutony jazdy pod dowództwem porucznika Witkowskiego z 2 pułku strzelców konnych, dla zamknięcia onego końca, nie pomyślawszy o uporządkowaniu tych w nieładzie postępujących fur, o skróceniu tego rozwlekłego taboru, przez uszykowanie w dwa szeregi fur i

o zabezpieczenie jego boków od napadu. Wlekliśmy się więc calutenki dzień bezładnie, a gdy noc zapadła, kapitan Poniatowski bez żadnej ostrożności prowadząc ten tabor, około pół nocy wyszedłszy z lasu na pole Odechowskie, wpadł na Moskali, a zwróciwszy na prawo z jazdą i strzelcami, umknął szczęśliwie, zostawiwszy cały tabor na łup nieprzyjacielowi.

Trzask wywracających się wozów, krzyk woźniców, wycie moskiewskich żołnierzy, świst kul wśród ciemnej nocy, rozjaśnianej tylko błyskiem wystrzałów, wszystko to tworzyło jakiś piekielny zamęt, w który niespodzianie wpadłszy i najwytrawniejsi żołnierze zachwiać by się mogli, a nie dopiero pierwszy raz do ognia idący żołnierze. To też moje karabiniery, którzy na wpółsenni kroczyli za taborem, raptem zaskoczeni podobnem przywitaniem, stracili przytomność i myśląc jedynie o wydobyciu się żywo z tego piekła, zbiwszy się w bezładną kupę, zaczęli uciekać. Zaledwie z pomocą podporucznika Mierosławskiego udało mi się tę kupę bezładną i słowem strofując i płazem okładając, przywieść do upamiętania. Zasapanych karabinierów ledwieśmy uszykowali w porządną kolumnę, gdy na błysk strzałów, cała kompania legła jak długa na ziemię. « Osły, krzyknąłem, jak nie wstaniecie, to was Moskale potratują jak robactwo, a jak wstaniecie i kosy nastawicie, to wam nic nie zrobią, bo to jazda ». Fortel ten udał mi się,

powstali wszyscy. « Teraz, przemówiłem, stać i słuchać mojej komendy, widzicie, że stoję, a przecie mnie djabli nie wzięli, to i was nie wezmą. Moskale nie głupi się rzucać na nas po ciemku, bo nie wiedzą wielu tu nas jest. » Po uspokojeniu moich karabinierów, widząc po błyskach strzałów, iż linia moskiewskiego frontu pare set ludzi liczyć może i że górują, bo wszystkie kule po nad głowami naszemi przechodzą, wysunąłem czterdziestu ludzi zaopatrzonych w karabiny naprzód i rozstawiwszy ich w pewnych odstępach, kazałem z pod pachy, nie przykładając do twarzy, strzelać pojedyńczo od prawego. Po kilku wystrzałach z naszej strony, posunąłem ludzi o kilkadziesiąt kroków naprzód; po rozpoczęciu ognia z naszej strony, linia strzałów moskiewskich zaczęła się oddalać i słabnąć, wycie kręcących się przed nami kozaków ucichło.

Wśród nocy ciemnej niepodobieństwem było myśleć o zebraniu fur, które wśród zamięszania ogólnego rozpierzchły się, szukając oddalenia przed strzałami i nahajkami kozackiemi. Bogiem a prawdą, kontent byłem, żem się pozbył tego niepotrzebnego taboru, który wszelki pochód szybszy niemożliwym czynił.

Pomimo zamięszania, jakie wynikło z tego nieprzewidzianego spotkania się z Moskalami, niestraciłem ani jednej sztuki bydła i owiec. Do pilnowania ich przeznaczyłem jeńców moskiew-

skich, zapowiedziawszy im surową odpowiedzialność za każdą straconą sztukę. Moskaliska, którym stokroć lepiej było w niewoli jak w szeregu, bo lepszą żywność mieli, bez dodatku pałek, wiernie pilnowali powierzoną im trzodę. To też w pierwszej chwili zamięszania spędzili do kupy bydło i owce i pokładli się w koło nich przemawiając z cicha : « Hospodi Boże pamiłuj », nie myśleli zupełnie o ucieczce, którą łatwo mogli wykonać, ale owszem, najwięcej im o to chodziło, aby się nie dostać w ręce swoich.

Z siedmiu żydów, sześciu uciekło, siódmy chłop ogromny, który o głowę był wyższy odemnie, stojąc przy mnie, jako najwięcej podejrzany, przy pierwszych strzałach padł ugodzony w głowę, o czem się naocznie przekonałem, sądząc, czy nie udaje zabitego dla wymknięcia się.

Nie wiedząc, jaką siłę Moskali mamy przed sobą, ani nie znając położenia, miejsca i kierunku, ktorym mamy iść dalej, bo z zniknięciem kapitana Poniatowskiego, który tabor prowadził, takowyśmy stracili, postanowiłem wrócić przez las do wsi, przez którąśmy przechodzili, aby tam zasięgnąć wiadomości potrzebnych do przedsięwzięcia dalszego naszego pochodu. Porucznik Witkowski, dowódzca owych trzech plutonów jazdy, zgodził się na moją propozycją, oświadczając, iż ze względu na nasze wspólne bezpieczeństwo nieodłączy się, ale owszem za-

stosuje się do moich dyspozycji. Ruszyliśmy więc przez las nazad do wsi, a przybywszy do niej, dowiedzieliśmy się, iż obóz polski znajduje się pod Kowalkowem, wsią o ćwierć mili odległą. Chłop, który nam dał te wyjaśnienia, ofiarował się nas tamże doprowadzić. A ponieważ jak twierdził, ćwierć tylko było mili do Kowalkowa, nie chcąc na gołosłowne twierdzenie nieznanego mi człowieka, puszczać się z oddziałem, wyszedłszy ze wsi i przeszedłszy przez las, wstrzymałem po wyjściu z niego cały oddział i postanowiłem tegoż chłopa z kilku żołnierzami wysłać do Kowalkowa, dla przekonania się, czy rzeczywiście nasz obóz się tam znajduje. W tym celu wezwałem porucznika Witkowskiego, aby dla prędszego przekonania się o tem, wysłał czterech konnych żołnierzy z chłopem do Kowalkowa, aby gdy ci przekonają się o bytności tam naszych, natychmiast jednego galopem wyprawili z wiadomością tą do nas. Porucznik Witkowski, który gdyśmy byli w kłopotach, oświadczył się z gotowością do wypełnienia moich dyspozycji, teraz oświadczył, iż z ludzi swoich żadnego nie wyśle. Nie chcąc czasu drogiego tracić na swarach, posłałem podoficera obrotnego z trzema żołnierzami, ażeby z chłopem do Kowalkowa dotarł, naocznie się przekonał o stanie rzeczy i jak najprędzej wracał z wiadomością tak nam potrzebną. Nie długo po odejściu moich wysłanników, wystrzały z dział

i ręcznej broni, któreśmy słyszeli i widzieli na polu w kierunku Kowalkowa, przekonały nas, iż rzeczywiście obóz nasz znajdował się tam, lecz nie mogliśmy wiedzieć, czy naszych, czy też Moskali mamy przed sobą, postanowiłem przeto czekać powrotu naszych wysłanników. Śmiertelnie długiem zdawało nam się to oczekiwanie, nareszcie, gdy dnieć zaczęło, wrócili nasi i przyprowadzili z Kowalkowa drugiego przewodnika, który mnie upewnił, iż rzeczywiście pod ich wsią obozowali nasi, ale w nocy napadnięci przez Moskali, cofnęli się i że, aby się z nimi połączyć, trzeba rzekę Kamionkę przebyć. Nie tracąc czasu kazałem ruszyć oddziałowi do wyżej rzeczonej rzeki. Chłop z Kowalkowa, który nam służył za przewodnika, wskazał nam bród pod lasem, którymy przeszli, mając wody po wyżej pachy, a niektórzy i po szyję. Po zapuszczeniu się w las, widząc znużenie ludzi, którzy dwadzieścia cztery godzin o głodzie maszerowali i zamiast posiłku rano, kąpiel przymusową wzięli, pozwoliłem im na chwilę w miejscu kucznąć i spocząć. Niebawem rozległo się jednogłośne chrapanie, które mnie pobudziło do tem większej czujności; po półgodzinnem chodzeniu w około śpiących towarzyszy, spostrzegłem zbliżających się trzech naszych strzelców celnych, którzy zbliżywszy się do mnie, powiedzieli mi, iż gdy Moskale w nocy nastąpili na nasz obóz, oni będąc w młynie ko-

walkowskim, nie mogli się dostać już do obozu, schronili się do lasu, w którym przespawszy się, gdy rano chcieli wrócić do Kowalkowa dla powzięcia języka, ujrzeli na polu placówkę dragonów moskiewskich, z kilkudziesiąt koni złożoną, którą panu porucznikowi pokażemy. Jakoż podprowadzony przez nich na kraj lasu, ujrzałem nie wychylając się z gąszczu, na trzysta najdalej kroków od lasu, na polu ze 60 dragonów. Z placówki tej wnosząc, iż obóz moskiewski znajduje się w bliskości, postanowiłem nie zatrzymywać się dłużej w tem sąsiedztwie i z pomocą strzelców, pobudziwszy w cichości ludzi moich, ruszyłem zaraz w dalszy pochód drożyną lasową, która mnie wyprowadziła do wsi za lasem będącej, gdzie dowiedziałem się, iż o świcie korpus nasz przechodził gościńcem ku Iłży. Pocieszeni tem doniesieniem, które nam wskazywało kierunek pochodu naszego, pospieszyliśmy do tego miasteczka. Po marszu forsownym w dniu 22 Sierpnia o godzinie 1ej z południa połączyliśmy się nareszcie z korpusem. Ponieważ kapitan Poniatowski usprawiedliwiając swoją ucieczkę, roztrąbił, iż napadnięty siłami zbyt przeważnemi, zaledwie z jazdą swoją zdołał się wycofać, a nas wszystkich Moskale zabrali do niewoli, przeto witano nas z serdeczną radością, jakby z tamtego świata powracających. Generał wyraził mi nawet podziękowanie za przyprowadzenie w całości powierzonego mi oddziału.

Nie wyszło i pół godziny po przybyciu mojem do obozu, gdy ukazały się kolumny moskiewskie, zmierzające ku niemu. Poznałem wówczas całe niebezpieczeństwo, jakieby mi groziło, gdybym się był pół godziny spóźnił z przybyciem mojem do obozu. Za ukazaniem się Moskali, stanęliśmy w szyku bojowym na polu pod Iłżą, przy gościńcu wiodącym do Ostrowca, z tyłu mając las na kilka mil rozciągający się i na przypadek niepowodzenia dający nam bezpieczne schronienie.

Wszystkim nam się zdawało, iż tak długo oczekiwane spotkanie niezawodnie teraz nastąpi, gdy tymczasem generał rozpoznawszy kolumny nieprzyjacielskie, jak najwolniej zbliżające się ku nam, dał znak do odwrotu, dając za przyczynę przewagę nieprzyjaciela tak co do liczby wojska, jak i co do liczby dział. Tego skrupulatnego obliczenia nie robił w początkach naszej kampanji generał Dwernicki i dla tego bił wrogów.

Nakaz odwrotu przykre zrobił na wszystkich wrażenie, a wyrzeczone przez generała zdanie o przewadze nieprzyjaciela, działało niepocieszająco na żołnierzy, którzy dotąd jak najlepszym byli ożywieni duchem i mieli ochotę zajrzeć z bliska Moskalom w oczy. Radzi nie radzi, ruszyliśmy ku Ostrowcowi gościńcem, ciągnącym się przez las w długości czteromilowej. Ja i kompania moja byliśmy już godzin 40 w cią-

głym pochodzie bez najmniejszego pożywienia, odbywszy kąpiel w całkowitem ubraniu, które w marszu wyschło na nas.

W pochodzie przez las dowódzca naszego batalionu, major Obiedziński, przez wzgląd na wygłodzenie moje, poczęstował mnie kawałkiem wołowego mięsa. Jakkolwiek przeszło zupełnie potem końskim, gdyż wisiało parę dni przytroczone do siodła, zjadłem go jednak, przyciśniony głodem, pomimo największego wstrętu.

Przywlokłszy się już wieczorem do Ostrowca, rozłożyliśmy się obozem pod tą nędzną mieściną; na dobitkę z naszem przybyciem puścił się deszcz, który się wkrótce zamienił w ulewę. Szałasy, które na prędce żołnierze dla siebie i dla oficerów sklecili z gałęzi sosnowych, miały tę niedogodność, iż przy dłużej trwającym deszczu, nie tylko nie ochraniały od słoty, ale nadto działały przeciwnie, bo każdy koniec gałęzi tworzył rynnę zalewającą legowisko. Zdrowym zupełnie łatwiej było znosić ten nocleg w kałuży, a dla cholerycznych przeznaczono chałupę jedną, w której przynajmniej na głowę się im nie lało.

Całą noc z 22 na 23go Sierpnia deszcz lał jak z cebra, niedogodność ta tem dokuczliwszą była dla mnie, iż po kawałku wyschłej i zaprawionej potem konskim wołowiny, zjadłszy u Żyda mleka z kaszą, rozchorowałem się na żołądek. Doczekawszy się wreszcie dnia, zameldowałem się dowódzcy pułku, prosząc, aby mi pozwolił

się schronić pod dach pomiędzy cholerycznych, ze względu na stan zdrowia mojego i trwającą słotę. Otrzymawszy przyzwolenie mego dowódzcy, zakwaterowałem się pomiędzy biedaków, trapionych cholerą. Leżeliśmy pokotem jeden około drugiego, ale przynajmniej na suchej słomie i na głowy nam się nie lało, wszakże jęki cierpiących, straszliwe zmiany w całej fizjonomji i kształtach pasujących się z tą okropną słabością, bardzo przykre sprawiały wrażenie. Przed wieczorem poczciwy mój dowódzca, podpułkownik Jutrzenka, przysłał mi talerz ryżu i szklankę zagrzanego czerwonego wina, po wypiciu i zjedzeniu tego posiłku, żołądek mój się ustatkował, noc przespałem dobrze i dopiero rano przebudziwszy się, dowiedziałem się, iż czterech sąsiadów moich w nocy przeniosło się do wieczności. Rano 24 Sierpnia deszcz ustał, opuściłem przeto lazaret i pospieszyłem do pułkownika naszego, aby mu się zameldować do służby a zarazem podziękować za ojcowską troskliwość o zdrowie moje i za przysłany posiłek, który zdrowie i siły mi przywrócił.

Dnie 23 i 24go Sierpnia przeleżawszy pod Ostrowcem, ruszyliśmy 25go rano pod Siennę, gdzie przenocowawszy, nie w innym jak się zdaje celu, jak tylko aby nas pochodem rozweselić, 26go obeszliśmy znów koło Iłży, w której schwytano kilku dragonów i stanęliśmy w lesie

pod wsią Seredzicami dalszemi, gdzieśmy i dzień 27 Sierpnia przebyli. Następnego dnia nocowaliśmy pod wsią Jagodną, 29 i 30 Sierpnia pod Skarzyskiem Kościelnem, 31 Sierpnia i 1 Września pod Bieszkowem, 2 i 3go pod wsią Gatki, gdzie przysłane odezwy Rüdigera wzywające nas do poddania się, kazano spalić. Wyruszyliśmy następnie w pochód i dnia 4 Września w lesie pod wsią Osiny zatknęliśmy nasz obóz. Czas był słotny, po północy wśród najrzęsistszego deszczu obóz został zaalarmowany, wszystko stanęło pod bronią, lecz ciemność była taka, że aby się przekonać, czy rzeczywiście moi żołnierze wszyscy są w szeregu, musiałem ręką ich dotykać, bom żadnego nie widział. Staliśmy więc tak wśród największej ulewy przez całą noc, aż nade dniem patrole powróciwszy do obozu, oświadczyły, iż nigdzie w blizkości większej siły nieprzyjacielskiej nie ma i że tylko włóczący się kozacy, zaalarmowali obóz, jedynie w celu nużenia niepokojem i niewywczasem wojska. Przez dzień 5 Września pozostaliśmy w tem samem stanowisku. Parę szwadronów z pułku jazdy Podlaskiej i jedna kompania strzelecka z 1go batalionu pułku naszego, starli się z kozuniami i dragonami po za Osinami. W utarczce tej podpułkownik moskiewski, dowodzący tym oddziałem nieprzyjacielskim, poległ od lancy naszego ułana. Nieprzyjaciel po stracie dowódzcy i kilku żołnierzy, cofnął się.

Dnia 6 Września ruszyliśmy znów ku Iłży, która była jakby osią zaklętą, około której mieliśmy się ciągle kręcić bezowocnie. Pomijając w naszym pochodzie wieś Zalesice, ujrzeliśmy na boku, nie więcej jak o małe $^1/_4$ mili uciekające furgony i bagaże moskiewskie. Nie dosyć wczesne i szybkie wysłanie pogoni dozwoliły tym uciekającym powózkom dopaść lasu, przed który wystąpiło kilka szwadronów jazdy nieprzyjacielskiej. Przywitana ogniem z naszych dwóch dział, jazda ta po krótkiej utarczce plankierskiej z jazdą naszą Wołyńską, w której kapitan Bielak, żałowany powszechnie przez Wołyniaków, poległ, cofnęła się do lasu. Zostawiwszy na lewo drogę, którą się Moskale udali, zwróciliśmy na prawo ku Iłży; w pochodzie tym przednia straż nasza, złożona z jazdy Wołyńskiej, napadła placówkę moskiewską z 30 dragonów i dwóch kozaków złożoną. Spostrzegłszy naszych Moskale pierzchli, lecz doścignieni, straciwszy 4 w zabitych, poddali się. W tej utarczce brał osobisty udział prezes województwa Sandomierskiego Januszewicz, który nam wszędzie towarzyszył i gorliwością w opatrywaniu we wszelkie potrzeby korpusu naszego, przez cały ciąg tej krótkiej kampanji szczególnie się odznaczał.

Nie spotkawszy następnie nigdzie nieprzyjaciela, po kilkogodzinnym pochodzie stanęliśmy obozem pod wsią Modrzejowicami. Tu dopiero doszła nas wiadomość o wypadkach zaszłych

w Warszawie w dniu 15 Sierpnia, o zmianie rządu i wodza naczelnego. Zmiana ta nie wiele nas obeszła, bo rząd i wódz dotychczasowy, odznaczali się jedynie najzgubniejszą dla sprawy nieudolnością. Generał Krukowiecki, nowo mianowany prezesem rządu, przysłał zarazem rozkaz generałowi Różyckiemu, aby niezwłocznie udał się nad Wisłę do Janowca i tam znajdujący się most opanował. Dla wypełnienia polecenia tego, trzeba było, albo uderzyć poprzednio na Rüdigera, tego pobić i uwolniwszy się od jednego nieprzyjaciela, zwrócić się dopiero przeciwko drugiemu, lub też pozostawiwszy za sobą Rüdigera, pospieszyć do Janowca przeciwko Dawidowowi, który strzegł mostu. W pierwszym razie przepłoszywszy Rüdigera, wyprawa do Janowca nie groziła żadnem niebezpieczeństwem, lecz w drugiem razie narażała nasz korpus na wzięcie we dwa ognie i niezawodne zniszczenie, jeżeli nie zdołamy z pod Janowca, na przypadek niezdobycia mostu, ujść wcześnie, nim nam Rüdiger w tej bagnistej okolicy odwrotu zupełnie nie zamknie. Ani zdolnosci, ani usposobienie generała Różyckiego, nie czyniły go sposobnym do ruchów śmiałych, zaczepnych, zwłaszcza, że miał przesadne wyobrażenie o potędze Rüdigera. Zamiast więc zmierzyć się z nim, on wolał pozostawić go za sobą i puścić się na zdobywanie według rozkazu mostu w Janowcu, ufając szybkości nóg swych żołnierzy,

iż potrafią wymknąć się zawczasu z tej matni, do której ich prowadził.

Wyprawiwszy więc dnia 7 Września kilkudziesięciu jeńców do Kielc, cały korpus wyruszył z Modrzejowic ku Janowcowi. W pochodzie tym w dniu 8 Września, jazda Wołyńska, tworząca zawsze przednią straż naszą, ubiła kilkunastu Kozaków pod miasteczkiem Ciepielowem, a następnie dnia 9 Września, schwytała 20 dragonów wraz z kapitanem wysłanym na zwiady. Wzięty w niewolę kapitan oświadczył generałowi Różyckiemu, iż korpus Rüdigera o parę tylko mil na lewo za nami znajduje się. Ta wiadomość nie wstrzymała naszego pochodu i o godzinie 1ej z południa stanęliśmy pod Janowcem. Za przybyciem naszem do lasku, będącego pod miasteczkiem, wysłano ku niemu tyralierów, za zbliżeniem się których Moskale będący w miasteczku pierzchli, nie zdążywszy zabrać sucharów i chleba, którego pieczywo właśnie co ukończyli. Następnie kazał generał 6mu pułkowi strzelców pieszych zająć Janowiec, co natychmiast wypełnionem zostało; reszta zaś wojska pozostała w zwyż wspomnianym lasku. Po za miastem ku Wiśle rozciąga się obszerna płaszczyzna, oddzielona od niego rzeczką, na której znajdujący się most ułatwiał jej przejście. Na prost zaś tego błonia zewsząd odsłonionego, znajdował się most łyżwowy na Wiśle, do którego przystęp bronionym był przez usypane

baterje na prawym brzegu tej rzeki, znacznie wyższym od lewego. Baterje te strychowały całe błonie i mogły łatwo zniszczyć Janowiec, po lewej stronie rzeczonego błonia położony.

Batalion 1szy pułku 6go strzelców pieszych otrzymał rozkaz, wyjścia z miasta i uszykowania się na błoniu, na przeciw baterji moskiewskich; batalionowi 2mu tegoż pułku kazano pozostać w mieście. Jak tylko batalion 1szy rozwinął się na wskazanem mu miejscu, natychmiast Moskale rozpoczęli ogień z jednych baterji do stojącego batalionu, z drugich do miasta; nasze dwa działa wprowadzone na górę panującą nad miasteczkiem odpowiadały na ten ogień. Żołnierze 1go batalionu, znajdujący się pierwszy raz w ogniu, okazali jak najzimniejszą krew, a stojąc na otwartem miejscu pod rzęsistym ogniem baterji moskiewskich, wzorowy zachowali porządek. Szczęściem dla nas, acz nader szybkie strzelanie, z powodu zdaje się nieumiejętności artylerzystów moskiewskich, ani nam, ani miastu żadnej prawie niezrządziło szkody, jeden tylko żołnierz czerepem pękniętego granatu w głowę zranionym został. Pod zasłoną rzeczonego batalionu, generał przekonał się, iż o zdobywaniu mostu myśleć nie podobna, albowiem most na łyżwach Moskale mogli w każdej chwili rozwieść i wzięcie onego uniemożliwić.

Rozkaz zdobywania mostu pływającego, nie wielkie nam dał wyobrażenie o rozsądku nowego

prezesa Rządu Narodowego, generała Krukowieckiego, bo idąc do Janowca przypuszczaliśmy, że most jest trwały, na palach zbudowany. Po zrobionym rekonesansie, generał rozkazał 1mu batalionowi cofnąć się do miasta, co tenże pomimo ciągłego i rzęsistego ognia baterji moskiewskich w jak największym porządku uskutecznił. Za powrotem 1go batalionu do miasta, rozkazano batalionowi 2mu ustąpić z miasta i rozłożyć się na polu za cmentarzem. Moskale nie przestawali rzucać granatów do miasta, lecz bezskutecznie, wszystkie albowiem pociski po największej części przenosiły, lub w górze w powietrzu pękały; mrokiem ogień ustał, a natomiast ustawiona nad Wisłą muzyka moskiewska zaczęła grać « Jeszcze Polska nie zginęła », wśród wycia i śmiechu sołdatów, jak się zdaje na urągowisko nam. Ponieważ wzięcie łyżwowego mostu okazało się niepodobnem, nie pozostawało jak tylko uskutecznić odwrót, nim go nam pozostawiony za nami Rüdiger zamknie. Dla utrudnienia, a przynajmniej opóźnienia Dawidowi posuwania się za nami, nakazał generał zniszczyć most na rzece, przerzynającej drogę od Wisły do Janowca. Kompania 1sza karabinierska pułku 6go strzelców pod dowództwem porucznika Kulczyckiego, wykonała ten rozkaz już zmrokiem, pomimo gęstego ognia, jaki Moskale z dział sypali dla przeszkodzenia tej robocie. Panująca następnie cisza w obozie,

nagle o pierwszej po północy przerwaną została kilkokrotnym wystrzałem z baterji nieprzyjacielskich.

Posłyszawszy te strzały, wstałem i poszedłem do naszego dowódzcy, który o kilkanaście kroków na pagóreczku piaszczystym spoczywał. Za zbliżeniem się moim zapytał mnie: « Co Pan myślisz o tych wystrzałach? » « Ja myślę, odrzekłem, że Dawidow zawiadamia tym sposobem Rüdigera, iż my tu jesteśmy i że nam nie pozostaje, jak tylko czasu nie tracąc wynieść się z tej matni, aby jej nam Rüdiger całkiem nie zatkał». « Ja zupełnie podzielam zdanie pańskie, odrzekł pułkownik, i idę do generała przedłożyć mu potrzebę, jak najspieszniejszego ustąpienia ztąd. »

Generał z swym sztabem zakwaterowany był w mieście. Pułkownik nasz udawszy się do głównej kwatery i wprowadzony do generała, przedłożył mu, iż strzały o tej porze, nie mogą mieć innego celu, jak tylko ostrzeżenie Rüdigera w niezbyt wielkiej odległości znajdującego się, iż my tu znajdujemy się i że przecięcie nam odwrotu i wzięcie nas we dwa ognie jest możliwem. Aby więc uniknąć tego nam grożącego niebezpieczeństwa radził pułkownik generałowi, nie zwlekać odwrotu i najpóźniej o godzinie 3ej rano kazać takowy uskutecznić. O słuszności tego twierdzenia przekonywał przyprowadzony właśnie do głównej kwatery schwytany Moskal, wysłannik Dawidowa do Rüdigera,

który wyznał, iż ich trzech wysłano do Rüdigera, aby go zawiadomić o naszym pobycie pod Janowcem, a temsamem i o możności przecięcia nam odwrotu w miejscach tych bagnistych.

Na nieszczęście, przestrogi doświadczonego pułkownika Jutrzenki, poparte zeznaniem schwytanego Moskala, nie trafiły do przekonania generała, który jak się to zdarza wszystkim miernościom, ulegał bezwzględnie wpływom swojego otoczenia. W otoczeniu tem, złożonem z młodzików, rej wodził kapitan Kaczanowski. Oficer ten będąc jednym z najnieudolniejszych konduktorów kwatermistrzostwa przed rewolucją, a następnie nader lichym oficerem, wybrany został właśnie przez generała Różyckiego na kwatermistrza i inżyniera korpusu. On był więc tą wyrocznią, której głosu generał słuchał, a że Kaczanowskiemu jak i adjutantom, wygodnie było wyciągać się pod betach z żydówkami w Janowcu, oparli się więc propozycji pułkownika i pomimo grożącego nam rzeczywiście niebezpieczeństwa, pozostaliśmy na miejscu. Nazajutrz dnia 10 Września, na usilne dopiero nalegania naszego dowódzcy podpułkownika Jutrzenki, generał o godzinie 8ej rano odwrót nakazał. Na drodze, którąśmy mieli obecnie przebywać, gdyż tą którąśmy do Janowca przybyli, odwrót uskutecznionym być już nie mógł, jest wieś Chodcza Górna, w której ciągnąca się długa i wązka grobla pomiędzy stawem i

moczarami, jakie tworzy przepływająca tam rzeka Chodcza, mogła się była stać grobem dla nas w razie ubiegnięcia jej przez Moskali, którzy nawet bliżej byli od niej, jak my. Ale na szczęście nasze i w otoczeniu Rüdigera musieli się znajdować Kaczanowscy i adjutanci podobni do naszych, którym nie spieszno było opuszczać legowiska. To też bagaże i przednia straż nasza zastała ową groblę, ten jedyny przesmyk, przez który wymknąć mogliśmy się, wolnym, i bez szwanku go przebyła, również jak i część jazdy i pułk 22 piechoty. Lecz gdy 6 pułk strzelców zbliżał się ku grobli, ujrzeliśmy wysuwający się z za wzgórza, rozciągającego się przed wsią, po prawej stronie drogi, którąśmy maszerowali, oddział wojska, który się w tejże chwili ukrył za wzgórza. Zwróciłem na to uwagę naszego majora Obiedzińskiego, a sam poskoczyłem ku wzgórkowi. Major wysłał za mną pluton jazdy, który wyjechawszy na wzgórze, ujrzał wraz ze mną kolumny moskiewskie, biegiem prawie pędzące ku wsi i grobli, lecz pośpiech ten był za późny, bo staw od prawej właśnie strony zasłaniający groblę, bronił Moskalom przystępu do niej. Legia piesza Litewsko-wołyńska wraz z strzelcami celnymi Krakowskimi obsadziła wieś, dla zasłonienia naszego odwrotu, a dwa nasze działa ustawione na wzgórzu, zaczęły ogień do kolumn nieprzyjacielskich, który jednak nie długo trwał, gdyż działa nasze pozo-

stawione bez asekuracji musiały się cofnąć. Artylerja nieprzyjacielska zająwszy w półkole wzgórza, wznoszące się po za stawem i strychujące groblę, zaczęła ją z zwykłą sobie szybkością ostrzeliwać. Właśnie w chwili rozpoczęcia tego morderczego ognia, wszedł na groblę i dla szczupłości przejść, maszerować musiał sekcjami batalion 2^{gi} pułku 6^{go} strzelców pieszych. Spacer ten przez groblę pod strzałami kilkunastu dział, z wielką szybkością miotających pociski, groził nam okropną klęską, zwłaszcza biorąc miarę z tego, iż wstępując na groblę, za pierwszym strzałem, w szeregu poprzedzającym mnie, czterech ludzi zostało zabitych. Lecz posuwając się dalej, przypadki śmierci lub skaleczenia były rzadsze, gdyż gęsto rzucane granaty i kule, albo przelatując nad głowami naszemi, rykoszetowały po bagnie, po lewej stronie grobli będącem, albo też nie doszedłszy do grobli, pękały w stawie, wyrzucając słupy wody do góry; czasami tylko jęk ostrzegał, iż ktoś się z nogą lub z ręką albo i z życiem pożegnał. Przed znajdującym się w półgrobli mostem, pułkownik nasz Jutrzenka, kazał nam się zatrzymać; rozkaz ten nie przypadł nikomu do smaku, bo każdy pragnął jak najprędzej wydobyć się z tej gorącej łaźni, którą nam Moskale sprawiali. Pomimo niewielkiej ochoty trzeba było jednak stać, w tem nader niewygodnem stanowisku, w którem służyliśmy za bezbronny cel artylerzystom moskiewskim.

Nie wiem jak ja tam wyglądałem, bom nie miał zwierciadła, abym się mógł zobaczyć, ale moi koledzy nie bardzo mieli pocieszne facjaty, a nasz major Obiedziński zsiadłszy z konia, mienił się jak kameleon, a nie tylko broda mu latała, kłapiąc zębami, ale i szlify trzęsły się. Zrobiwszy to spostrzeżenie, wzięła mnie ciekawość dowiedzieć się od pułkownika, dla czego przyszła mu ochota raptem samemu się zatrzymać przed mostem i nas na taką diabelską wystawić próbę. Posunąłem się więc ku mostowi, pułkownik siedział sobie na koniu z tak spokojną miną, jak gdyby najmniejsze nie groziło niebezpieczeństwo, patrząc na wzgórza, z których prażyła do nas artylerja moskiewska. Przesunąwszy się do niego, odezwałem się : « Za pozwoleniem pułkownika, nie łaskaw by mi był pułkownik powiedzieć, dla czego nas tu pułkownik zatrzymał? » « A to dla tego, że dochodząc do mostu spostrzegłem, iż nieprzyjaciel cały swój ogień skierował na most i jak pan widzisz poręcze na nim pogruchotał, nie chciałem więc w ten war pocisków wprowadzać batalionu i na próżno tracić ludzi i właśnie dla tego wstrzymałem go, bo po pewnej liczbie strzałów, armaty kierunek zmienią z powodu samych strzałów, a natenczas bez straty przejdziemy most». Niebawem też po wróceniu mojem na miejsce, usłyszeliśmy komendę : « Baczność, naprzód-biegiem, marsz ! » która z ochotą i precyzją wypełnioną

została. Przejście grobli, które przy większej zręczności artylerzystów moskiewskich mogło nasz batalion grubo kosztować, opłacił on stratą kilkunastu ludzi. Po za groblą grunt nieznacznie wznosił się i tworzył wyżynę, w pewnej części okrytą lasem, droga idąca wprost z grobli prowadziła na wzgórze lesiste.

Oddziałom naszym, które się po przejściu grobli formowały na płaszczyźnie, nakazał generał dalszy pochód, a postawiwszy dwa działa na wzgórzu, na drodze na prost grobli, zostawił 2ga kompanią karabinierską 6go pułku strzelców w asekuracji; mnie z jednym plutonem tyralierskim kazał obsadzić na lewo od drogi w nizinie będącą Olszynę, a na prawo od drogi moczary zarosłe obsadził trzema plutonami tyralierów z 2go batalionu 6go pułku strzelców pieszych. Działa nasze ustawione na drodze, będącej przedłużeniem grobli, w całej długości takową strychowały, to też dosyć długi czas kolumny moskiewskie usiłujące przebyć groblę, za każdym posunięciem się na nią, rażone morderczym ogniem, w nieładzie z niej uchodziły. Wreszcie Moskale przekonawszy się, iż pochód przez groblę opłacić by musieli ogromnemi stratami, przeprawili na prawo od grobli przez błota znaczną część swoich tyralierów, którzy pod zasłoną zarośli przebrnąwszy strumień od stawu płynący, zaczęli się ucierać z trzema plutonami naszymi, które zajmowały brzeg lasu.

Generał kazał natenczas działom naszym zejść z pozycji i dalej odwrót uskuteczniać, trzy nasze plutony ostrzeżono o cofnięciu się dział, odparłszy tyralierów nieprzyjacielskich, udały się w dalszy pochód za działami.

Z lewej strony drogi piechota moskiewska okrążywszy staw, rozsypała swoich tyralierów w zaroślach na przeciw olszyny, którą ja z moim plutonem strzegłem. Przedzielało mnie od Moskali kilkadziesiąt do stu kroków szerokości mające trzęsawisko, przez nie więc zaczęliśmy się odstrzeliwać Moskalom. Położenie nasze było korzystniejsze, bo gruba olszyna i wysokie kępiny służyły nam za ochronę, a który Moskal wychylił się na obnażoną trzęsawicę, tegośmy zaraz sprzątli; nie mogli także odgadnąć jaką siłą zajmujemy olszynę, przeto i nie bardzo kwapili się naprzód. Aby nas więc wyparować z olszyny, artylerja ich zaczęła z wzgórza po nad stawem ciągnącego się puszczać granaty w olszynę. Wśród ognia z ręcznej broni, huku dział i pękających granatów, nie mogłem usłyszeć, że nasze działa przestały strzelać i cofnęły się, a nie będąc ostrzeżony o odwrocie naszych, i nie wiedząc jakie mi grozi niebezpieczeństwo, z moim tylko plutonem, z którego czterech mi ubito ludzi, przez blisko trzy kwandranse po zupełnem cofnięciu się naszych, przeciągnąłem w tym punkcie walkę. Dopiero gdy się opatrzono że mnie niema, dowódzca batalionu naszego

wysłał po mnie podoficera Gerharda, który przybiegłszy do olszyny, ostrzegł mnie, abym minuty czasu nie tracił, gdyż korpus już o ćwierć mili się znajduje. Zebrawszy więc czemprędzej ludzi, wybiegłem z olszyny na pole i ujrzałem dragonów i kozaków zwolna postępujących drogą, którą poprzednio zajmowały działa nasze. Jazda ta jednak chociaż najwyżej czterysta kroków oddaloną była odemnie, nie ścigała mnie i ja z moim plutonem wolnym maszerując przed nią krokiem, niezaczepiony, dostałem się do tylnej straży, a następnie do pułku.

Wylegiwanie się to sztabowców w Janowcu drogośmy opłacili. Legia piesza Litewsko-wołyńska wraz z strzelcami celnymi Krakowskimi, która zajęła wieś dla wstrzymania pochodu moskiewskiego i zapewnienia odwrotu korpusowi, nie wsparta i zostawiona bez wytkniętego kierunku, rażona przez artylerją nieprzyjacielską, a następnie odcięta od grobli i obskoczona przez przeważne siły moskiewskie, po mężnej obronie cała prawie zniszczoną została. Dowódzca jej podpułkownik Kwiatkowski dostał się do niewoli, a z pięciuset ludzi 80 tylko uszło. Ten sam los spotkał 149 strzelców celnych Krakowskich, z których 20 wydobyło się z tej gorącej łaźni. Dowódzca ich Wacław Gaszyński, bacząc zapewnie, iż nadal może być użytecznym Ojczyznie, zawczasu pomyślał o odwrocie i bez szwanku wycofał się z niebezpieczeństwa.

Gdyby był korpus godzinę tylko wcześniej wyruszył z Janowca, byłby uniknął zupełnie tej ciężkiej, a nie dającej się powetować straty. Ale, gdy przez lekkomyślne dogadzanie wywczasom swoim, sztab narażał na oczywistą klęskę korpus, powinien był przynajmniej dołożyć wszelkiego starania, aby najmniejszą stratą okupić swoją nieoględność winowajczą. Tymczasem całe działanie generała Różyckiego i jego sztabu odznaczało się zupełną nieporadnością i rzec można bezmyślnością. Kazali legji i strzelcom zająć wieś i trzymać się w niej, ale o wsparciu jej i o umożliwieniu odwrotu, jedynego jaki pozostawał przez groblę, nikt się nie troszczył. Zostawiona legia za groblą znikła z ich myśli, znikając im z oczu, a przypomnieli sobie o niej dopiero, gdy ośmdziesiąt jej niedobitków wróciwszy, złączyło się z resztą wojska.

Po półgodzinnym wypoczynku, za zbliżeniem się przedniej straży moskiewskiej, nakazano odwrót. Odbywał on się w szachownicę w największym porządku. Zatrzymywano się na każdej dogodniejszej pozycji, z której działa nasze raziły nadchodzące kolumny moskiewskie. Ustępując w ten sposób zwolna przed nieprzyjacielem, przyciągnęliśmy pod miasteczko Lipsko. Tu jazda nasza, która dotąd stanowiła tylną straż naszą, otrzymała rozkaz cofania się naprzód, dla utworzenia przedniej straży; minąwszy więc piechotę przeszła przez miasteczko, pozo-

stawiwszy szwadron jazdy Wołyńskiej, szwadron jazdy Podlaskiej i szwadron 2go pułku strzelców konnych, dla asekuracji dział, które w tylnej straży postępując, zająwszy pozycją pod samem miastem, przy krzyżu stojącym nad drogą, ogniem swoim wstrzymywały natarczywość pochodu moskiewskiego, a tymczasem korpus przez miasto i przez wąwóz znajdujący się za miastem uskuteczniał swój dalszy odwrót. Dla tem skuteczniejszego zabezpieczenia dział, obsadzono cmentarz, znajdujący się pod miastem, na lewym skrzydle dział naszych, czterema plutonami tyralierskimi z 6go pułku strzelców pieszych, a miasto samo oddziałem strzelców celnych Kuszla i Grotusa. Pułkowi naszemu, który minąwszy miasto, spuścił się w wąwoz, rozkazał generał wziąść się na prawo i wydrapać się na wzgórze, a gdy to uskutecznionem zostało, kazał obydwom batalionom sformować się w kolumny do ataku, po lewej stronie cmentarza, w niewielkiej od niego odległości, po lewem zaś naszem skrzydle, uszykował się szwadron 2go pułku strzelców konnych. Gdyśmy wychodzili z miasta, jazda nieprzyjacielska z grzmiącem hura uderzyła na działa nasze, lecz przywitana kartaczami i ogniem tyralierów naszych, ukrytych na cmentarzu, a w chwili zamięszania sprawionego w jej szeregach tem przywitaniem, napadnięta przez nasze dwa szwadrony, poniosłszy dotkliwe straty, cofnęła się w największym nieładzie.

Z tego korzystając, działa nasze opuściwszy zbyt niebezpieczne stanowisko, podążyły przez miasto, udając się w dalszy pochód. Niebawem nadbiegła artylerja moskiewska i zaczęła walić do miasta, w którem znajdowały się cofające oddziały nasze jazdy i strzelców celnych. Działa moskiewskie uszykowały się na polu przed miastem w niewielkiej odległości od nas, lecz ogień i cała ich baczność skierowane były ku miastu. W tem generał Różycki nadjechał do naszych dwóch batalionów i zaśpiewawszy: « Jeszcze Polska nie zginęła », rozkazał czterem naszym plutonom tyralierskim ruszyć wprost na działa. Pewniśmy więc byli, że ten rozkaz wydany nam został w celu zabrania rzeczonych dział i że wsparci będziemy przez nasze dwa bataliony i przez szwadron jazdy, stojącej na naszem lewem skrzydle. Ruszyliśmy więc ochoczo: ja, Mierosławski, Dietz i Szczepanowski Franciszek, na czele naszych plutonów wprost ku działom nieprzyjacielskim, których paszcze wówczas zwrócone do miasta, w ukośnym do nas były kierunku. Wkrótce jednak nieprzyjaciel dostrzegłszy nas, odwrócił działa ku nam. Na ten jego manewr, Mierosławski 17 letni ale żwawy chłopaczek zawołał: « Patrz jak nas poczęstują kartaczami » ; na co mu odpowiedziałem, że « niedługo im się to uda ». Przyspieszyliśmy więc kroku, a w tym otrzymaliśmy pierwsze poczestne, na które szwadron postępu-

jący na naszem lewem skrzydle, zamiast co koń wyskoczy ruszyć naprzód, ruszył w tył, zostawując swego dowódzcę, który załamawszy ręce, zaklął i zawrócił za nimi. Ucieczka strzelców konnych nie odjęła nam jednak otuchy i pomimo szybkich strzałów Moskali, posuwaliśmy się rączo naprzód, a doszedłszy tak, żeśmy widzieli, jak jeden z kanonierów nabijających działo, niemógł z ładunkiem do wylotu trafić, zakomenderowaliśmy biegiem i w tej chwili. obejrzawszy się, nie ujrzeliśmy za sobą nikogo. Rażenie piorunem niebyło by tak strasznem, jak to opuszczenie od swoich, wrażenie, jakiegośmy w tej chwili doznali, nieda się wysłowić. Rozpacz, zwątpienie, wstyd, hańba, wszystkie męki moralne spotęgowane upokorzeniem w obec wrogów, których szydercze wycia dolatywały do uszów naszych, moralnie zniweczyły nas w tej chwili. Przejście w jednej chwili z najwyższej otuchy do najrozpaczliwszego zwątpienia, jest zabijającem. Niepozostawało więc jak ratować się ucieczką. Moskale zamiast złapać nas, zrobili nam ten zaszczyt, iż za uciekającymi trzy razy z 6 dział kartaczami sypnęli.

Gdyśmy w pewnych od siebie będąc odstępach zaczęli uciekać, ja, jakby siłą jaką pchnięty z tyłu, padłem na ziemię; zaledwiem się wywrócil, gdy cały strzał kartaczowy przeleciawszy nademną, o dziesięć kroków od głowy mojej wybił dziurę głęboką w ziemi. Podzię-

kowałem Bogu Najwyższemu za to mimowolne padnięcie moje, bo gdybym był stał, ten nabój rdzenny kartaczowy, byłby mnie w pół przeciął.

Uszedłszy łaską Bożą od niechybnej śmierci, znękany moralnie i fizycznie, dostałem się szczęśliwie do swoich. Nie mogłem się jednak dowiedzieć, co było przyczyną tej komedji z atakiem na działa i nie ostrzeżenia nas, iż to była demonstracja tylko. Zauważano jednak, iż gdzie była gorętsza rozprawa, zwykle sztab cały znikał i generał pozostawał sam, nie mając się kim posłużyć. Tak też do naszych dwóch batalionów sam przyjechawszy, adjutanta naszego pułkowego i dwóch adjutantów batalionowych posłał z rozkazami do miasta i do cofających się oddziałów naszych, a następnie nakazawszy odwrót, nie miał już kogo do nas posłać z uwiadomieniem o tem swojem postanowieniu. Korpus nasz cofał się wąwozem, czyli drogą głęboką, która się ciągnie z miasteczka Lipsko ku wsi Lipie. Na skręcie tej drogi wychodzącej na dolinę, generał, który zatrzymał się przyspieszając pochód oddziałów naszych, ciągnących od miasta, wezwał mnie do siebie i kazał mi z 200 ludzmi zatrzymać się w tym punkcie i strzedz wąwozu, który oddzielał wyżynę ciągnącą się na prawo od drogi, po której nasz odwrót się odbywał, dopóki oddziały strzelców celnych Kuszla i Grotusa, stanowiących ostatnią kończynę tylnej naszej straży, nie nadciągną do tego

punktu. W zamiarze ostrzeliwania drogi, po której uskutecznialiśmy nasz odwrót, Moskale zbliżyli się na pochyłość wyżyny, na której stoi Lipsko i ustawiwszy działa swoje, gęsto puszczali granaty, przelatujące nad naszemi głowami, bo nie widzieli oddziału naszego, który ustawiłem za wzgórzem, sam tylko od czasu do czasu na wierzch onego wychodząc dla obserwowania ich ruchów. Kanonada ta trwała przeszło godzinę, ani jazda nieprzyjacielska, ani nawet piechota, która powoli nadciągnęła, nie odważyła się zapuścić w wąwoz, dla odcięcia cofających się naszych oddziałów.

Po nadciągnięciu naszych strzelców celnych, uskutecznialiśmy jak najwolniej dalszy odwrót. Kanonada ta, acz nader głośna, szkody nam w ludziach nie zrobiła, ja tylko stojąc na obserwacji na wzgórzu, ogłuszony zostałem od granatu, który, przeleciawszy z szumem straszliwym koło głowy mojej, pękł zaraz w bliskości nie uszkodziwszy mnie ; przez 48 godzin nic jednak nie słyszałem. Nadchodzący wieczór wstrzymał dalszy pochód nader ostrożnego nieprzyjaciela, z którym od godziny wpół do dziesiątej przed południem, aż do zachodu słońca, wciąż walczyliśmy. Strata nasza w zabitych po wydobyciu się z Chodczy, była prawie nic nieznacząca, nieprzyjaciel przeciwnie musiał znaczny ponieść uszczerbek w zabitych i rannych, bo artylerja nasza z szczególną celnością

rdzennymi strzałami przez cały nasz odwrót ciągle przeciw nadciągającym kolumnom jego działała ; temu też przypisać należy nader oględne i opieszałe następowanie nieprzyjaciela na nas

Przy duchu, jaki ożywiał żołnierzy naszych, a biorąc na uwagę, że korpus Rüdigera w większej części składał się z rekrutów i z lada jakiej zbieraniny, można było śmiało się z nim zmierzyć. Lecz generał Samuel Różycki, ulegając jakiemuś przesadnemu wyobrażeniu o przewadze liczebnej nieprzyjaciela, nie postarawszy się o pewne pod tym względem wiadomości, wyrzekł się zaczepnego działania, a przybrawszy rolę odporną, najnieodpowiedniejszą w wojnie powstańczej, uczynił się zawisłym od ruchów i woli nieprzyjaciela, co musiało sprowadzić najsmutniejsze dla nas rozwiązanie tej krótkiej pod jego dowództwem prowadzonej kampanji.

Po długim pochodzie stanęliśmy około północy pod wsią Rzeczniowem, spragnieni wypoczynku po całodziennych trudach, podjętych o głodzie. Lecz wypoczynek ten był nader krótkim, bo zaledwie się rozwidniło, ruszyliśmy do Kunowa. W pochodzie tym Moskale posuwali się za nami, ale tak oględnie, iż nigdzie do starcia nie przyszło.

Za wejściem naszem do lasu rozległego za miasteczkiem Grabowcem, ozwały się działa moskiewskie, wszelako strzelcy celni, rozsta-

wieni na brzegu lasu, wstrzymali pochód Moskali niezbyt kwapiących się w nacieraniu i korpusowi pozwolono wypocząć przez godzinę. W czasie tego wypoczynku, działa moskiewskie puszczające w las granaty umilkły, gdyż przybył do naszej tylnej straży wysłaniec moskiewski z oświadczeniem, iż w tej chwili generał Rüdiger otrzymał kurjerem przesłaną mu wiadomość o poddaniu się Warszawy, komunikując ją przeto, uważa wojnę za skończoną i wzywa uprzejmie generała Różyckiego, aby zaniechawszy nadaremnego już krwi rozlewu, wszedł z nim w układy i zdał się z korpusem swoim na łaskę prawego monarchy, jak to już uczynił naczelny wódz wojska polskiego, generał Kazimierz Małachowski. Różycki na propozycją Rüdigera odpowiedział, iż nie wierzy, aby Warszawa zdobytą została, a tem mniej, aby się wódz naczelny poddał; że zresztą, gdyby i tak było, on póki nie otrzyma rozkazu od Rządu Narodowego, Cesarza Mikołaja za pana nie uzna i broni nie złoży, lecz przeciwnie ma sobie za najświętszy obowiązek, bronić niepodległości Ojczyzny do ostatniej kropli krwi.

Po udzieleniu tej odpowiedzi wysłannikowi moskiewskiemu, ruszyliśmy w dalszy pochód i o godzinie pierwszej z południa rozłożyliśmy obóz nasz tuż za miasteczkiem Kunowem, w stanowisku jak najodpowiedniejszem do odparcia wszelkiej napaści. W dniu 14 Września, odsta-

wionym został z obozu moskiewskiego, przez który miał wolny przejazd, do przednich czat naszych, Nieszokoć, oficer artylerji naszej, wysłany przez wodza naczelnego Małachowskiego z urzędową do korpusu naszego wiadomością: iż Warszawa rzeczywiście kapitulowała, że zawartem zostało zawieszenie broni pomiędzy głównemi armiami, nieobowiązujące jednak w niczem odrębnie działających korpusów i że generał Krukowiecki, zdradziwszy zaufanie narodu, przestał być prezesem Rządu, wszelkie więc mogące wyjść od niego rozkazy, nikogo tem samem nie obowiązują. Generał Różycki udzielił zwołanemu przez siebie korpusowi wszystkich oficerów tej rozpaczą przejmującej wiadomości. Zarazem oświadczył: iż jakkolwiek wiadomość ta nader bolesną jest dla każdego Polaka, wszelako on pewnym jest, iż to nie zachwieje wierności korpusu oficerów dla sprawy narodowej i że jak dotąd tak i nadal pełnić będą obowiązki swoje z całą gorliwością i poświęceniem. Wszyscy oficerowie oświadczyli i zapewnili generała, iż pozostaną wierni Rządowi Narodowemu i starać się będą odpowiedzieć godnie zaufaniu w nich położonemu. Wszelako wiadomość ta przez nas niespodziewana nigdy, najstraszliwszą boleścią przepełniła serca nasze.

O dzielności wojska naszego nikt nie powątpiewał, ale nieudolność, nieporadność, a po części i zła wola jego naczelnych dowódzców,

dowiedziona niezbitymi faktami, nastręczała mimowolnie najrozpaczliwsze przypuszczenia.

Jakąż można było zresztą pokładać nadzieję w tych, którzy dowodząc wojskiem, równającem się co do liczby wojsku nieprzyjacielskiemu, a co do dzielności ducha o wiele go przewyższającem, pozwolili jednak temuż nieprzyjacielowi przekroczyć Wisłę bezkarnie i na przestrzeni kilkodziesięciomilowej nie odważywszy się nigdzie z nim zmierzyć, bez bitwy, haniebnie wydali mu stolicę, a tem samem i ognisko powstania. Cóż można było wróżyć innego o dalszym działaniu tych niedołęgów, czy zdrajców, jak tylko, że im się wojna sprzykrzyła i że dążyć będą chociażby do najhaniebniejszego, byle prędkiego jej zakończenia. Smutek więc ponury ogarnął wszystkich przewidujących, iż straszna chwila niepowrotnego upadku zbliża się nieuchronnie, a tem boleśniejsza, iż nie brakiem sił, ale jedynie nieudolnością, czy złą wolą przewódzców powstania spowodowana.

Zaraz po odjeździe Nieszokocia z obozu naszego, przybył tamże oficer moskiewski z propozycją zawieszenia broni, oświadczając zarazem, iż generał Rüdiger życzy sobie zapobiedz obopólnym stratom walecznych, zwłaszcza, gdy rozpoczęte w Warszawie układy rokują zakończenie szczęśliwe tej wojny zgodnym sposobem. W skutku tej propozycji, wysłany został do obozu moskiewskiego, Jan Ledóchowski, poseł,

a obecnie dowódzca pospolitego ruszenia w województwie Krakowskiem, który zawarł zawieszenie broni nieograniczone, o którego zerwaniu dwudziestoczterma godzinami naprzód, strona jedna drugą zawiadomić miała. Na mocy tego układu generał Różycki porozsyłał oddziały wojska naszego na kwatery, zostawiwszy w Kunowie, swojej głównej kwaterze, pułk 6 strzelców pieszych i szczupły oddział pospolitego ruszenia.

Pochopność ta do proponowania i zawarcia zawieszenia broni ze strony generała Rüdigera, jak się później pokazało, pochodziła ztąd, iż posuwający się po prawym drzegu Wisły ku województwu Sandomirskiemu korpus Ramoriny, zagrażał mu wzięciem go we dwa ognie, a następnie, iż oczekiwał nadciągnięcia zapowiedzianych mu posiłków od głównej armji, aby rozdzielone i na rozejmie polegające oddziały polskie, napaść znienacka i przewagą sił, tem niezawodniej pokonać. Lecz i generał Różycki mógł czas zawieszenia broni spożytkować na naszą korzyść. Naprzód przez zbudowanie mostu na Wiśle, któryby był umożliwił przejście korpusowi Ramoriny, liczącemu 23,000 wyborowego wojska polskiego, na lewy brzeg tejże rzeki. Połączenie się tego korpusu z nami, byłoby nam nadało przewagę, zapewniającą niewątpliwe i zupełne zniesienie Rüdigera. Powtóre, mógł był generał zwiększyć swoje siły ściągnię-

ciem oddziałów, pod dowództwem generałów Stryjeńskiego i Kamińskiego w województwie Krakowskiem rozłożonych i wzmocnieniem tem postawić się w możności korzystnego zaatakowania nieprzyjaciela i zadania mu klęski.

Lecz generał Różycki nietylko, że niepomyślał o skoncentrowaniu sił, jakie miał pod swojem dowództwem, ale i te, któremi bezpośrednio dowodził tak porozdzielał, iż ich następnie zgromadzić nie zdołał. Przebywszy do dnia 17 Września w Kunowie, udał się pułk 6 strzelców pieszych do Mnichowa, gdzie połączywszy się z pułkiem 22 piechoty liniowej oraz z strzelcami celnymi, wyruszył 19 Września do Słupi Nowej, położonej u stóp lasów i góry Łysej, na której szczycie stoi klasztor Benedyktynów, przez Bolesława Chrobrego fundowany. Kościół przy tymże klasztorze pod inwokacją Św. Krzyża postawiony, nadał nazwę całemu obszarowi ogromnych lasów w koło świątyni i na górach przyległych.

W czasie obozowania naszego pod Słupią Nową, zwiedziliśmy ów starożytny klasztor i świątynię na szczycie Łysej góry zbudowaną. Z wieży kościoła roztacza się rozległe panorama, sięgające aż do Krakowa, zakończone szczytami bielejących się Tatrów, które ztamtąd o 37 mil są oddalone. Na tej wieży zapisywaliśmy swoje nazwiska, zapisał je wraz z nami i X. Adam Czartoryski, były prezes Rządu Narodowego, chwilowo

szukający przytułku w naszym obozie, jak wielu innych niedołęgów. Jakieś złowrogie przeznaczenie nieszczęśliwej naszej Ojczyzny, splotło jej ostatnie dzieje z rodziną Czartoryskich, August i Michał wykopali grób dla Polski, a wnuk ich, wydobywającą się z tego grobu, zasypał w nim na nowo.

W czasie pobytu naszego pod Słupią, przyszła wiadomość o wkroczeniu korpusu Ramoriny do Galicji, wiadomość niemal boleśniejsza, jak o wzięciu Warszawy, bo niwecząca ostatnie nadzieje skutecznego oparcia się najazdowi. Było w mocy generała przez postawienie mostu na Wiśle w miejscu wskazanem, zapobiedz temu nieszczęściu. Lecz zamiast w tak ważnej i krytycznej chwili, użyć z całą energią władzy swojej i polecić komendzie wojskowej i tak bezczynnie w tyle korpusu pozostawionej, aby pod najsurowszą odpowiedzialnością, most tak nieodbicie potrzebny, natychmiast postawiła, generał Różycki ograniczył się na zaleceniu tej czynności Kasprowi Wielogłowskiemu, prezesowi komisji województwa Krakowskiego, który od początku powstania nie wierzył w możliwość oparcia się Moskwie i działał na korzyść powstania o tyle, o ile go do tego nieprzeparta konieczność zmuszała. To też otrzymawszy polecenie postawienia rzeczonego mostu, traktował tę rzecz według form, przyjętych w zwykłem działaniu cywilnej administracji. Wysłał wprawdzie na miejsce

inzyniera cywilnego, więc dopełnił formy, ale o tem, aby ów inżynier miał potrzebną do tego pomoc w ludziach i w materjale nie pomyślał nawet, przeto urzędnik ten nie mógł spełnić zlecenia swego. Przez niedołęztwo więc generała Różyckiego, a ślamazarność czy złą wolę Wielogłowskiego, prezesa komisji wojewódzkiej, korpus najdzielniejszy wojska polskiego, który złączywszy się z nami, mógłby był pomimo wzięcia Warszawy, szalę powodzenia jeszcze na naszą przechylić stronę, zmuszonym został do ustąpienia z granic Królestwa.

Wiadomość o przejściu korpusu Ramoriny do Galicji i rozbrojeniu onego, nadesłaną nam została z obozu moskiewskiego wraz z zawiadomieniem o wypowiedzeniu zawieszenia broni. Zawiadomiono nas także, iż jedna kolumna nieprzyjacielska wyruszyła ku Kielcom, druga ku Skalbmierzowi, a trzecia ku Pinczowowi. Opuściliśmy więc 22 Września Słupią Nową i udaliśmy się pod Łagów, gdzie stało kilka szwadronów jazdy naszej. Przybywszy pod to miasteczko o godzinie w pół do 2 z południa, ledwie żołnierze mieli czas zgotować sobie jedzenie, gdy tylna nasza straż zaczęła się ucierać z nadciągającymi Moskalami. Wysłano więc naprzód jazdę i bagaże drogą ku Rakowu, a pułk 6 strzelców, 22 liniowej piechoty i strzelcy celni cofali się zwolna przed nieprzyjacielem. Otrzymałem rozkaz z kompanią 2 karabinierską zaję-

cia stanowiska pomiędzy wiatrakami za miastem będącymi i wstrzymywania nadciągającej nieprzyjacielskiej jazdy. W pochodzie ku tymże wiatrakom, dopędzony zostałem przez adjutanta pułkowego, który mnie wraz z kompanią zawrócił, oświadczając, iż myłka zaszła i że 1sza karabinierska ma nas zastąpić. Jakoż niebawem nadciągnęła ta kompania dla zluzowania mnie. Z pagórka na którym stałem, widząc liczne zastępy kozactwa i dragonów, występujących z lasu i formujących się na polu, powiedziałem do porucznika Wincentego Kulczyckiego, dowódzcy tej kompanji : « Winszuję ci dobrej zabawy », sam w duchu kontent, że w niej udziału brać nie będę, bo rzucenie jednej kompanji w czystem polu, naprzeciw massom kawalerji, zdawało mi się największym nonsensem, bez celu najmniejszego, narażającym ją na niechybną zgubę. Wydobycie zaś mnie z tej po prostu biedy, winien byłem temu, iż dowódzcą *de nomine* 2 kompanji karabinierskiej, którą ja *de facto* dowodziłem, był kapitan Alexander Różycki, krewny generała, który wkrótce po przejściu naszego pułku pod rozkazy generała Różyckiego, pozostawszy tytularnym dowódzcą 2 kompanji karabinierskiej, przeniósł się do sztabu generała, mnie pozostawiając cały ciężar i odpowiedzialność służby w kompanji. Pod Łagowem więc widząc na co się zanosi, dla ocalenia swej kompanji wraz ze mną, wyjednał

u generała zluzowanie mnie przez kompanię Kulczyckiego.

Nieoględność w wydawaniu rozkazów była do tego stopnia posuniętą, iż jak mnie tak i i Kulczyckiemu, nie powiedziano kierunku, w którym ma się cofać, ani nawet pomyślano o zabezpieczeniu mu odwrotu, przez polecenie wspierania go. Kompania ta więc pozostawiona własnemu losowi, odcięta od reszty cofającego się korpusu, pomimo mężnej obrony, w końcu uledz przeważnej sile nieprzyjaciół musiała. Porucznik Kulczycki, obywatel z obwodu Miechowskiego, dowódzca tej kompanji, acz wprzódy nie służył w wojsku i z gospodarza wprost mianowany dowódzcą kompanji, potrafił w krótkim czasie przyswoić sobie taktykę, a uczucie obowiązku uczyniło go dzielnym oficerem. Sformowawszy więc swoją kompanię w czworobok, odparł cztery szarże jazdy nieprzyjacielskiej, torując sobie drogę. Moskale po stracie podpułkownika dragonów i znacznej liczby żołnierzy, część dragonów, opatrzonych tak jak piechota w karabiny z bagnetami, spieszywszy, rozpoczęli ogień z ręcznej broni. Porucznik Kulczycki straciwszy wielu ludzi od kul nieprzyjacielskich, widząc niepodobieństwo przebicia się przez te massy, które go zewsząd otaczały, dla ocalenia pozostałej reszty, kazał zaprzestać ogień i wywiesiwszy białą chustkę dał znak, iż chce się poddać. Nadjechał zaraz sztabsoficer moskiew-

ski, któremu Kulczycki oświadczył, iż chce się poddać, byle im zapewniono życie i nie pędzono w głąb Moskwy do niewoli, ale zatrzymano w kraju i po skończeniu kampanji puszczono do domów. Moskal przystał na to, ale zaledwie nasi broń złożyli, gdy Moskale rzucili się na nich i w sposób najokropniejszy zaczęli bezbronnych mordować. Sam Kulczycki zrąbany najokropniej, brat jego Felix toż samo, stracił rękę, byliby obydwa oddali ducha na placu, lecz na ich szczęście, pułkownik kozacki Antonów, który stojąc przed rewolucją na granicy, znał się z nimi, przybywszy na plac boju, wstrzymał to pastwienie się nad bezbronnymi i poznawszy obydwóch braci Kulczyckich, kazał ich wziąść z placu i sam ich odwiozłszy do pobliskiej wsi, polecił opiece właściciela, pozostawiwszy dla ich bezpieczeństwa załogę. Tym sposobem uszli nieochybnej śmierci i w parę lat potem, miałem ukontentowanie obydwóch widzieć, z oczywistymi śladami na twarzy i rękach barbarzyńskiej dzikości Moskali.

W czasie tym, gdy Kulczyckiego obsiedli Moskale, my odbywali odwrót spokojnie, dopiero po ujściu prawie mili od Łagowa, spostrzegliśmy na prawo, pomykające polami dwie kolumny jazdy moskiewskiej w celu, jak się zdaje, przecięcia nam odwrotu. Generał, który niewiadomo dla jakiej przyczyny, 6 szwadronów jazdy wysłał naprzód, a pod ręką nie pozostawił sobie

tylko 80 koni, rozkazał naszym dwom batalionom sformować się w czworoboki, w odstępach pomiędzy nimi postawił dwa działa, a tym 80 koniom kazał uderzyć na pierwszą kolumnę jazdy moskiewskiej, posuwającą się ku nam. Po prawej ręce naszej były zarośla, które generał kazał obsadzić 4 plutonami tyralierów. Piękny to był widok, gdy nasza garstka z fantazją poszła do ataku. Kolumna pierwsza moskiewska, do 400 koni licząca, rozwinęła się na jej przyjęcie i zaledwie jazda nasza starła się z Moskalami, skrzydła moskiewskie okoliły ją i zamknęły do koła. Tyraliery nasze wówczas podsunąwszy się zaroślami, zaczęli prażyć po plecach Moskali, koło które ściskało tę garstkę jazdy naszej, rozskoczyło się i zostawiło wolną drogę do wycofania się naszym zuchom. Gdybyśmy mieli byli w tej chwili naszych 6 szwadronów, nie ulega wątpliwości, iż te dwie kolumny jazdy nieprzyjacielskiej byłyby porządne cięgi wzięły, a tak przez bezmyślne dyspozycje straciliśmy kompanię dobrej piechoty i z 80 jezdzców, zaledwie połowa i to pokiereszowana wróciła. Rozprawa z kompanią Kulczyckiego i szarża tych 80 naszych jeźdzców, odjęły ochotę jeździe nieprzyjacielskiej zaczepiania nas. Nie nagabywani w dalszym pochodzie, przybyliśmy o godzinie 8 wieczorem do miasteczka Rakowa, po przejściu którego stanęliśmy obozem. Na drugi dzień o świcie, jazda nasza wraz z dwoma działami

dostała rozkaz udania się oddzielnie inną drogą, a nasz pułk 22 liniowy, strzelcy celni i dział 7 wraz z generałem Różyckim pociągnęliśmy przez Chmielnik do Pińczowa, gdzie 23^{go} o godzinie 2 z południa przybywszy, przeszliśmy przez miasto i za rzeką Nidą, płynącą pod tem miastem, stanęliśmy na błoniach obozem. W mieście tem zastaliśmy pułk 11 strzelców pieszych, zorganizowany jeszcze w końcu Lipca, a obecnie dopiero rozdawano mu broń, co maluje najlepiej z jaką opieszałością w sprawie obrony krajowej działały władze wojskowe i administracyjne, którym taż była poruczoną. Nie da się to usprawiedliwić, że generał Różycki, który w trzech województwach władając nieograniczenie i mogąc usunąć, cierpiał jednak tę zbrodniczą tychże władz obojętność dla sprawy narodowej.

Miasteczko Pińczów leży na lewym brzegu Nidy, znacznie wyniesionym nad prawy brzeg tejże rzeki. Od Pińczowa zaczyna się okolica bezleśna i całkiem otwarta, niekorzystna do wojny odpornej, zwłaszcza przeciw nieprzyjacielowi przewagę jazdy mającemu. Należało więc po przybyciu do Pińczowa most na Nidzie zniszczyć, a dawszy wojsku kilka godzin wypocząć, ruszyć z wieczora do Skalbmierza, dla połączenia się z stojącym w tem miasteczku oddziałem generała Kamińskiego. Połączenie to albowiem nadawało nam przewagę nad cią-

gnącym ku Skalbmierzowi oddziałem moskiewskim, pod dowództwem generała Krasowskiego, któregą napadnięcie i pobicie, mogło zgubnem uczynić dla Moskali to zbytnie rozdzielenie sił Rüdigera. Lecz generał Różycki, straciwszy z oczu nieprzyjaciół, zdawał się zupełnie zapominać o nich i z zwykłą sobie niedołężną obojętnością, jakby w najprzyjaźniejszych okolicznościach, roztasował się z swym sztabem w Pińczowie. Napróżno dowódzca naszego pułku, podpułkownik Jutrzenka, nalegał na generała, aby kazawszy niezwłocznie most zniszczyć, najpóźniej o godzinie 2 w nocy z obozu wyruszył, gdyż przez 12 godzin żołnierz dostatecznie wypocznie; nie mógł go na żaden sposób do tego nakłonić, pod pozorem, iż oddział strzelców wysłany ku Kielcom jeszcze nie nadciągnął, a rzeczywiście odwiedziony radami swojego sztabu i adjutantów, którym nie chciało się opuścić miasta, słynnego z dobrych win węgierskich, a przytem woleli w wygodnych kwaterach przespać się, jak w nocy maszerować.

Postanowienie generała pozostania w Pińczowie, obudziło nieukontentowanie w wojsku, przewidującem smutne następstwo tej bijącej w oczy nieprzezorności, którąśmy na drugi dzień srodze odpokutować mieli. Sztab wygodnie rozkwaterowany w mieście, nie spieszył się z wstawaniem, dopiero o godzinie 8 rano 24 Września, wypłoszyli go nadciągający Moskale, których przednia straż dotarła już do miasta.

W chwili zamieszania sprawionego nadejściem Moskali, nakazano odwrót ku Skalbmierzowi, lecz nadbiegły właśnie ztamtąd posłaniec, doniósł, że generał Krasowski, któregośmy mogli uprzedzić i pobić, zajął już to miasto, nie pozostało więc jak przez Działoszyce zdążać do Miechowa, aby się wymknąć okalającym nas kolumnom nieprzyjacielskim. Przyszło wówczas dopiero sztabowi naszemu do głowy, że trzebaby dla utrudzenia Moskalom pościgu, zniszczyć nader długi most na Nidzie, mogąc to uskutecznić jak najdogodniej wczoraj przed wieczorem. Wyznaczona do tej roboty jedna kompania 11 pułku strzelców pieszych i oddział strzelców celnych, nie mogli jej wykonać; naprzód, że nie mieli do tego narzędzi potrzebnych, powtóre, że od ognia spiesznie podkładanego most zająć się nie chciał, a po trzecie najgłówniej dla tego, że artylerja moskiewska obsadziwszy lewy brzeg rzeki, znacznie nad prawym górujący, rzęsistym ogniem rażąc naszych robotników, zmusiła ich do ustąpienia. Dla braku jazdy, którą generał wyprawił innemi drogami, straż tylną powierzono pułkowi 11 strzelców pieszych, strzelcom celnym i jednemu batalionowi pułku 22 piechoty liniowej. Pókiśmy byli w okolicach lesistych, jazda była nieodłączną naszą towarzyszką, lecz gdyśmy od Pińczowa mieli odwrót nasz uskuteczniać przez całkiem ogołocone z lasów pola i błonia, generał uznał za naj-

odpowiedniejsze rozłączyć się z jazdą. Mądrości tej taktyki nikt z nas pojąć nie mógł, zwłaszcza, że jazda nieprzyjacielska wraz z artylerją konną siedząc nam na piętach, w otwartych polach najskuteczniej przeciw samej piechocie, częściowo tylko w broń palną opatrzonej, działać mogła. To też tylna straż nasza na otwartych błoniach, rażona przez artylerją nieprzyjacielską, nie mogła jak tylko uledz smutnemu losowi, jaki jej nieudolność generała Różyckiego zgotowała. Pułk 11 strzelców pieszych, pierwszy raz w ogniu będący, po kilku salwach kartaczowych pierzchnął; strzelcy celni i batalion 22 pułku piechoty liniowej zdziesiątkowani przez artylerją nieprzyjacielską, a następnie obskoczeni przez jazdę, po długiej obronie, która resztę korpusu od zagłady ocaliła, częścią wycięci, a częścią zabrani w niewolę zostali.

Zrażone wojsko tem, tak już oczywiście nieudolnem i nie oględnem postępowaniem generała Różyckiego, ogarnęło największe zniechęcenie, zwłaszcza, gdy żołnierze dowiedzieli się, że już nic nie pozostaje, jak tylko do Galicji się dostać.

Przyszło im i to na pamięć, iż pomimo swej najlepszej chęci, zmuszeni byli ciągle tylko cofać się przed nieprzyjacielem, nigdzie się z nim tak, jak sobie tego życzyli, nie zmierzywszy na prawdę. Cofanie to ustawiczne, zakończone z winy jedynie generała katastrofą Pińczowską, do reszty rozprzęgło wszelką karność w wojsku.

« Dla czegoż mamy się narażać, mówili żołnierze, gdy nic już tem krajowi nie pomożemy; po co nam wlec się do Galicji, wolimy na własnej grzędzie pozostać, szkoda tylko żeśmy się już w Kunowie nie rozeszli, tobyśmy byli napróżno biedy się nie nacierpieli i w domach spokojnie siedzieli, jak ci, co ich Moskale zabrawszy pod Chodczą, do domów popuszczali. »

Na to głośne rezonowanie żołnierzy, nie było co i odpowiadać, szliśmy więc w ponurem a rozpaczliwem milczeniu. W ciągłym a długim, bo 9 milowym pochodzie z Pińczowa do Miechowa, szeregi nasze widocznie topniały, tak, że gdyśmy się do tego miasta obwodowego wieczorem przywlekli, z całego oddziału zaledwie 300 pozostało ludzi, reszta rozeszła się do domów. W Miechowie doszła nas wiadomość o rozbiciu i ujściu z granic Królestwa do wolnego okręgu miasta Krakowa oddziału generała Kamińskiego, znikła więc wszelka nadzieja stawienia jakiegokolwiek bądź oporu i nie pozostawało nic, jak tylko myśleć o ocaleniu się od zemsty dzikiego wroga. Naradziwszy się z jednym z moich kolegów, porucznikiem Celińskim, którego ojciec, o parę mil od Miechowa ku granicy Krakowskiej Rzeczypospolitej dzierżawiąc wieś rządową Glanów, mógł nam ułatwić dostanie się do Krakowa, udałem się do mojego dowódzcy, podpułkownika Jutrzenki i oświadczyłem, « iż dotąd służyłem uczciwie sprawie

krajowej, wedle sił i zdolności moich, ale ponieważ widzę, że generał ma zamiar opuścić granice Królestwa, nie poczuwam się do obowiązku towarzyszenia mu w tej pielgrzymce, jednakowoż chciałbym pójść do generała prosić go o uwolnienie od służby i pozwolenie udania się do Krakowa, gdzie moja żona wraz z dziećmi drobnemi obecnie przebywa ». « Żeś pełnił twoją powinność gorliwie, ja to mogę najlepiej zaświadczyć, odrzekł mi pułkownik; do tego safanduły nie potrzebujesz chodzić, ja cię sam uwalniam od dalszej służby, bo jej faktycznie pełnić nie możesz, nie z mojej, ani z własnej winy, ale właśnie z winy tego mazgaja, któremu nie generałem być, ale pierze drzeć gdzie w kącie należało. Bywaj więc zdrów, czasu nie trać i pospieszaj do żony i do dzieci, bo to teraz twój najświętszy obowiązek ». Po pożegnaniu się serdecznem z dzielnym i poczciwym moim dowódzcą, nie tracąc czasu wedle jego rady, kopnęliśmy się zaraz z Celińskim pomimo 9 milowego marszu, któryśmy o głodzie odbyli, do Glanowa, gdzie po północy stanęliśmy. Poczciwa rodzina mojego kolegi przywitała nas jak najserdeczniej i skoro świt wyprawiono nas do Krakowa, gdzieśmy się 25 Września przed południem dostali.

To nieszczęśliwe zakończenie tej krótkiej kampanji nie można przypisać ani brakowi sił, ani zasobów, ale jedynie nieudolności generała

Różyckiego, w którego rękach wszystko się zmarnowało. Wódz naczelny Skrzynecki, powierzając dowództwo tak ważne generałowi Różyckiemu, zupełnie odpowiedniego sobie wybrał namiestnika. Jak Skrzynecki w olbrzymim rozmiarze potrafił całą potęgę narodu zniweczyć przez swą nieudolność i do upadku przywieść, tak przez niego wybrany dowódzca to samo w mniejszym rozmiarze na zgubę narodu wykonał. Inny wódz jak Różycki, z zasobami, które mógł czerpać z trzech województw i z Krakowa, niezawodnie w pierwszych dniach Sierpnia byłby zbieraninę Rüdigera rozpędził, tyłom głównego najazdu zagroził i pobudził do działania powodzeniem swojem główną armię, w demoralizującej bezczynności utrzymywaną przez Skrzyneckiego. Nie potrzeba było na to nawet zbyt wielkich zdolności, lecz po prostu zdrowego rozsądku i dzielnej woli. Na nieszczęście generałowi Różyckiemu zbywało zupełnie i na jednym i na drugim i właśnie dla tego, jak się zdaje, powierzono mu odrębne i ważne dowództwo.

Nie przewaga wrogów, ale zaślepienie, zła wola i nieudolność tych, którzy się narodowi narzucili na przywódzców, była istotną i główną przyczyną naszego upadku.

Pisałem w Krakowie, w Grudniu 1831 roku.

UTWORY POETYCZNE

Do Napoleona. — Do Mocarzy.
Pożegnanie. — Wspomnienia. — Dumanie.
Szczęście.

UTWORY POETYCZNE

DO NAPOLEONA.

O Ty płodzie wolności, mężu niepojęty,
Coś obudził z uśpienia ludy znikczemnione,
Świat zdziwił swymi czyny, pod twe stopy zgięty,
Nie Ciebie tron zaszczycał, ale Ty koronę!

Jak gdy słońce zabłyśnie na karpackich szczytach,
Dzielność jego promieni wieczne topi lody,
Ożywia mchy rosnące na martwych granitach,
Pobyt swój zawsze chwilą oznacza swobody,

Tak twój geniusz potężny świat ożywiał cały,
Na odgłos twoich czynów zadrzały despoty,
Godność swego jestestwa poznał człek zdumiały,
I tobie dzięki składał, że wracasz wiek złoty.

A moc Twa piorunując tłumy najezdnicze,
Wiodła przed sobą sztandar wolności zwycięzki,
I rwiąc hańbiące ludy pęta niewolnicze,
Każdy krok Twój znaczyła przez tyranów klęski.

A od nurtów Adygi, wsparty twoją mocą,
Obił się głos wolności aż o Wisły brzegi,
Ich mieszkaniec pod obcą gnębiony przemocą,
Wielbiąc Cię, szedł zwycięzkie Twe zwiększać sze-
[regi.

Wówczas zbledli na tronach władcy Europy,
Zgięli swe harde karki przed synem wolności,
Zniżyli swoje berła pod zwycięzkie stopy,
I ze drżeniem błagali twojej wspaniałości.

Mogłeś być zbawcą ludów i ukrócić władzę
Królów, co przez podstępy ogarnęli ziemię,
A poświęcając wszystko swej dumnej powadze,
Sprzysięgli się by w więzach gnębić ludzkie plemię!

Lecz nie pomny zostałeś na głos tego bóstwa,
Któremuś wszystko winien, któregoś był płodem,
Które Ciebie wybrało z bohaterów mnóstwa,
Byś świętą walkę toczył z chytrym królów rodem.

Zaufany w potęgę, którąć wolność dała,
Niewahałeś się złączyć z jej największym wrogiem,
Blask Cię szczęścia zaślepił a duma zuchwała,
Z obrońcy ludów — władcą uczyniła srogim.

Straszna Cię za to losu spotkała odmiana,
Ty, któryś trząsł tronami, zmieniał postać świata,
Którego dumni władcy uznali za pana,
Na pustej skale w więzach skończyłeś twe lata.

Lecz jeśli kiedy z kości twych mściciel powstanie,
Co równie jak Ty —dumę królów upokorzy,
Natenczas mu twój przykład na pamięci stanie,
I wprzód nim ich wytępi, miecza już nie złoży!

DO MOCARZY.

Władcy, dokąd was wiedzie pycha niepojęta
I ta niepowściągniona żądza panowania?
Czyliż wam na to losy dały moc władania,
By bliźnich waszych gnębić, w hydne więzić pęta?

Drżyjcie, bo nieszczęść naszych miara już prze-
[brana,
Do nieba o zbyt słuszną na was zemstę woła;
Zachwiane trony burza otacza do koła,
I straszna dla ciemięzców gotuje się zmiana.

Bo dzielny duch wolności, co ożywia ludy,
Choć go bezwzględnie wasza uciska przewaga,
Im bardziej go gnębicie, tem się bardziej wzmaga,
Aż wreszcie starga więzy i przełamie trudy.

Przez niego ożywione szlachetnym zapałem,
Z zbyt długiego ucisku ockną się narody,
Zwyciężą przeciwności — walcząc o swobody,
I zadyktują prawa monarchom zdumiałym.

Czas ten jest nie daleki, w którym runie władza,
Która się na spodleniu ludzkości zasadza,
Czyliż każdego słuszna zemsta nie przenika,
Gdy tyle ofiar chłonie królów duma dzika,

I czyliż to Riegów, Bestużewów cienia,
Miałyby zapomniane zginąć bez pomszczenia?

Nie, z każdej ich krwi kropli mściciele się zrodzą,
Którzy swem poświęceniem ludy wyswobodzą,
Którzy walcząc z przemocą, swą stałością, męztwem,
Świętą sprawę narodów uwieńczą zwycięztwem!

POŻEGNANIE.

Żegnam cię o mój kraju, o ojczyzno droga,
Przed chwilą wolnąś była, teraz w jarzmie wroga.
Pola, które za ciebie krwią synów się zlały,
Depce z dziką pogardą najezdnik zuchwały!
Stokroć szczęśliwsi, którym los w nagrodę męztwa,
Pozwolił dni zakończyć na łonie zwycięztwa;
Którzy gasnącem okiem patrzeli na szyki,
Przed którymi pierzchały trwożne najezdniki.
Ale nam los okrutny w domiar srogiej męki,
Czarną rozpacz zostawił i czcze żalu jęki!
Tem straszniejszą jest boleść, tem sroższe cierpienie,
Gdy z zgubą kraju ziomka łączy się wspomnienie.
Przebóg! ledwie grobowe zrzuciwszy okrycie,
Prawe dzieci ojczyznie przywracały życie,
Gdy dłoń co miała wspierać jej kroki chwiejące,
Ciosem śmierci dotknęła łono matki drżące!
Chłopicki zguby Polski najpierwsza przyczyno,
Niech na cię łzy rozpaczy twych rodaków spłyną,
Niech cienie tych, co legli w ojczyzny obronie,
Dręczą cię w ciągu życia, dręczą przy twym zgonie.
Niechaj krew tylu mężnych napróżno wylana,
Woła na cię o zemstę do zastępów Pana,

Niech imie twe na grobie ojczyzny wyryte,
Piętnem hańby i wzgardy zostanie okryte.
W tobie lud, co z przemocą srogą walkę toczył,
Przyszłego szczęścia swego nadzieję zjednoczył,
W tobie miliony ziomków widziało wybawcę,
Mściciela krzywd doznanych, przyszłych swobód [dawcę;
Wzgardziłeś tą ufnością, przez którą lud prawy
Wkładał ci na skroń wieniec nieśmiertelnej sławy,
Mogłeś być zbawcą swoich, lecz przez upór twardy,
Stałeś się tylko celem nienawiści, wzgardy,
A nad wdzięczność rodaków, nad pochwalne pienia,
Poniosłeś nieszczęśliwych słuszne złorzeczenia.
Gdzież błędne zwrócim kroki, w któreż świata strony,
Poniesiem rozpacz naszą, żal nie ukojony,
Wszędzie nas tylko czeka czcza litość, o nieba!
Gdy nam krwi naszych wrogów, gdy nam zemsty [trzeba!
O okrutne wyroki! srogie przeznaczenie!
Za te trudy, za blizny, za to poświęcenie,
Z jakiem o wolność swoją walczył naród cały,
Losy go na tułactwo, niewolę skazały.
My żebrzem gościnności pod obcymi dachy,
Gdy przez wrogów zajęte ojców naszych gmachy,
Brzmią dzikiemi okrzyki, radości, wesela,
A naród bez nadziei ujrzenia mściciela,
Jęczy w ohydnem jarzmie okrutnej przemocy,
Którem go gnębi mściwy despota północy.
Nie powściągnięta w gniewie jego groźna ręka,
Niemal każdą rodzinę ciosem zemsty nęka.
Tam mężni w dzikie stepy Sybiru zagnani,
Zarówno z zbrodniarzami do kopalń skazani,
Tu starcy wypędzeni z przodków swych spuścizny,

Za to, że dali życie obrońcom ojczyzny.
Lecz nie dość jeszcze mu na tem — zemsta zawzięta
Nie syta krzywdą mężów, — ściga niemowlęta,
A rwiąc z dzikością święte natury ogniwa,
Z łona rodzin stroskanych, — nieszczęsne porywa.
Serca czułe jakąż są dręczone katuszą,
Kiedy z dziećmi lubemi rozłączać się muszą,
Kiedy okrutna przemoc ich najdroższe plemię,
W obcą im, nienawistną uprowadza ziemię.
Tam nikczemnym służalcom, tchnącym zemstą pana,
Nad dziećmi wolnych ludzi opieka oddana,
W ich oczach cnotą zbrodnia, występkiem uczciwość,
Podłość pierwszą zaletą, bóstwem zysku chciwość.
Nieznana im ta żądza swobody i chwały,
Którą dzieci lechickie z mlekiem już wyssały.
Nawykli podle pełzać przed tronem despoty,
I błogosławić jarzmo, piętno swej sromoty,
Całą ich jest dążnością, według władcy woli,
Zgnębić umysł młodzieży pod ciosem niedoli,
Szlachetne czucia, miłość kraju wykorzenić,
I na podobnych sobie niewolników zmienić.
Najstraszniejszy to wyrok, jaki zemsta wściekła,
Na naród ujarzmiony w swym gniewie wyrzekła;
Wydartą mu została ta jedna otucha,
Że w dzieciach swych utwierdzi niezgiętego ducha,
Który ożywiał piersi ojców niestrwożone
I targał więzy na nich przemocą włożone.
Ziemio, z którą mnie łączą najdroższe wspomnienia,
Dziś dotknięta żelazną prawicą zniszczenia,
Ziemio droga naddziadów, których świetna chwała,
Przez wieki wśród burz blaskiem niezgasłym jaśniała,
Gdy oręż, co cię wyrwać miał z ostatniej toni,
Podstępem wytrącony został z naszych dłoni,

Gdy chytrej zdrady zgubnym ciosem ugodzona,
Ojczyzna znów w grób ciemny została wtrącona,
Gdy okrutnego losu wyrok niecofniony,
Poddał srogiemu jarzmu me rodzinne strony,
Żegnam je ze łzą w oku, was bracia kochani,
Niech widok waszych nieszczęść serce me nie rani,
Niech nie patrzę na chwilę, w której zemsta krwawa,
Mordów, gwałtu, łakome narzuci wam prawa,
Niech nie widzę jak zbrodnia z bezwstydnem wej-
[rzeniem,
Urągać będzie cnocie swojem wyniesieniem.
Pójdę w dalekie strony, pójdę razem z tymi,
Co tocząc boje krwawe z wrogami tej ziemi,
Gardząc łaską najezdzców, z ich uczuciem sprzeczną,
Poprzysięgli im zemstę i nienawiść wieczną!

WSPOMNIENIA.

Noc swój płaszcz gwiazdolity roztoczyła w koło
Kryjący wdzięk natury; jej ponure cienie
Wyniosłszy na szczyt nieba księżyc wdzięczne czoło
Rozpędza, tocząc światła srebrnego promienie.

Ach ku lubym równinom myśl moja ulata,
Kędym dnia światło ujrzał, gdzie ojców mogiły,
Gdzie kwiat lubej nadziei wieńczył młode lata,
Póki go srogich losów burze nie zniszczyły.

Ku wam piękne równiny nieprzejrzane okiem,
Które, gdy lato plony bujnymi okrywa,
Zdajecie się być wówczas kobiercem szerokim,
Na którym miast Sarmackich królowa spoczywa.

A jej pod nieba sklepy wznoszące się szczyty,
U stóp których spienione Wisła nurty toczy,
I brzeg jej prawy w koło lasami okryty,
Jakiż dla serca mego wdzięk mają uroczy'

Chociaż mnie od was srogość ciemięzcy oddziela,
Choć pędzić nędzny żywot zdala od was muszę,
Lube wspomnienie o was umysł rozwesela,
Gdy w miejsca drogie serce przenosi mą duszę.

Tam błądzę, kiedy tęsknym marzeniom oddany,
O troskach, co mnie cisną zapomnieć się silę,
A umysł ciosem tylu nieszczęść skołatany,
W tem słodkiem omamieniu ma ulgę na chwilę.

Ale, jak szybko znika ta pora szczęśliwa,
I jaki cios boleści me serce rozdziera,
Gdy wspomnę, że w chwili tej zemsta tam straszliwa,
Nad ziemią ukochaną srogość swą wywiera.

Widzę ją w czarną szatę odzianą żałoby,
Zbroczoną krwią swych dzieci, a wrogi zawzięte
Z dziką pogardą depcą świeże jeszcze groby,
Gdzie kości jej obrońców spoczywają święte.

Chwała wam nieśmiertelnych bohaterów cienie!
Ach niezbyt dawno jeszcze, jak wasze oblicze,
Gdy go chwały wolności ożywiało tchnienie,
Postrachem przerażało hordy najezdnicze.

A ci sami, co teraz świętokradzką nogą,
Depcą śmiało po waszych grobowcach zuchwali,
Jakąż byli na ówczas pomiatani trwogą,
Kiedyście w dniu pamiętnym więzy swe stargali.

Ach wówczas to o ostrze waszego bułata,
Roztrącały się mnogie barbarzyńców tłumy,
Które zaciekły mocarz pół dzierzący świata,
Słał na rzeź jak ofiary obrażonej dumy.

Zachwiał się tron tyrana na ciemięztwie wsparty,
Pod ciosami rozpaczą kierowanych dłoni,
Ale los i tą razą na Polskę zażarty,
Użył zdrady, by wyrwać go z ostatniej toni.

A jej tchnieniem wyrodka zaraziwszy serce,
W którym swoje nadzieje złożył naród dzielny,
Obłąkał jego umysł, przemienił w mordercę,
Aby własnym rodakom zadał raz śmiertelny.

A pod ciosem podwójnym zdrady i przemocy,
Który wywarł na mężnych wyrok losu mściwy,
Ulegli. Jedni pchnięci w cienie czarnej nocy,
Szczęśliwi, bo nie widzą, jak tyran krwi chciwy

Zniszczył ich kraj rodzinny mordem i pożogą,
Ale drudzy wygnani z ojców swoich ziemi,
Uchodząc przed ciemięztwem i niedolą srogą,
Szukać muszą przytułku pomiędzy obcymi.

O biada wam na przyszłość niebaczne narody
Odrętwiałe, zimnymi świadkamiście byli,
Wtenczas gdyśmy o nasze i wasze swobody,
Z najstraszniejszym ich wrogiem krwawy bój to-
[czyli.

O ludy zaślepia was ręka przeznaczenia,
A tej burzy, co cięży nad waszemi głowy,
Wtenczas dopiero gromy wyrwą was z uśpienia,
Gdy was tyran zdumiałych zakuje w okowy.

DUMANIE.

Już po dziennym obiegu krąg słońca wspaniały,
Zanurza się w spienione oceanu wały,
A omdlałą przyrodę pod skwarnem promieniem,
Wieczorny powiew wiatru swém ożywia tchnieniem.
Znów wszystko nowem życiem oddychać się zdaje,
Wesołym śpiewem ptaków brzmią przyległe gaje,
Tu wznoszący się lekko pod niebios sklepieniem
Skowronek dzień gasnący — wdzięcznym żegna pie-
[niem.
Tu słowik wydobywa harmonijne tony,
Tam w oddaleniu słychać drozda głos pieszczony,
Kwiaty siane natury szczodrobliwą dłonią,
Balsamiczną powietrze napełniają wonią.
Wszystko natenczas umysł zachwyca, unosi,
I człek razem z naturą chwałę Twórcy głosi!
Lecz gdy w przestrzeni blady księżyc się pokaże,
I tworom uroczyste milczenie nakaże,
Gdy po gwarze, który się rozlegał wesoło,
Ponura nocy cisza rozciągnie się w koło,
A której jednostajność zaledwie przerywa
Szum oddalony wody, co po głazach spływa,
Wtenczas człek w rozmyślaniu zatapia się cały,
Chciałby Stwórcy tajniki wybadać zuchwały,

Chciałby te krocie światów, które nad nim krążą,
I jak on ku swojemu przeznaczeniu dążą
Zgłębić, poznać, na jaki cel są utworzone,
Jaką siłą w przestrzeni są tak zawieszone,
Czyli mieszkaniem wyższych istot są od ludzi ;
Lecz napróżno zbyt śmiałą myśl ciekawość trudzi,
A choć człowiek bystrością rozumu się chlubi,
Chcąc to zgłębić w czczych tylko domysłach się gubi.
Ta potęga natury duszę czcią przenika,
Tu jest kres nieprzeparty badań śmiertelnika,
Tu Stwórca jaśniejący w swej odwiecznej chwale,
Podziwienie mu tylko zostawił w udziale.
W gorejące te bryły wzrok mając wlepiony,
Korzę się przed Twą mocą Stwórco niezgłębiony!
Wielbię Cię! o Wszechmocny niebios, światów [Panie!
Ty, na którego woli wszechwładne skinienia,
Miliony tworów nowych z niczego powstanie,
Lub miliony istnących — w nicość się zamienia.
Tobie cześć, Tobie chwała, o Przedwieczny Boże!
Którego nawet pojąć myśl ludzka nie może,
Dziwić się tej wielkości — to człeka udziałem,
A ufność mieć w opiece jego szczęściem całem.
Bo gdy zwrócę myśl moją wzniesioną do Boga
Na tę ziemię, gdzie dla mnie wytkniętą jest droga,
Po której odbyć muszę podróż krótko trwałą,
Póki duch nie opuści to znikome ciało,
Przebóg! cóż zdziwionemu oku się przedstawia,
Hołdem cnocie należnym uczczone bezprawia !
Tu władca, co się mieni być Boga obrazem,
Dla dumy krocie bliźnich wytępia żelazem,
Tu sędzia, co ma bronić niewinności, cnoty,
Sprzysięga się z przemocą, na zgubę sieroty,

A zbrodniarz tyle możny, wznosząc głowę hardą,
Prawom rytym dla słabych — urąga z pogardą,
Wszędzie lub gwałt otwarty, albo podstęp skryty,
Przynależne zasłudze wydziera zaszczyty.
Patrząc na tyle zbrodni, niecnych czynów tyle,
Przyjścia mojego na świat przeklinałbym chwile,
Gdyby nie ufność w Stwórcę, który wszystkiem
[włada,
Przed którym z tajnych czynów zasłona opada;
Którego mieczem kary, surowa praw księga,
Jak na tronie, tak w chacie zbrodniarza dosięga.
Ta pewność o Istności, która wynagradza
Dobre czyny, złe karci, troski me osładza,
A ufny w rękę Boga, na złych zbrojną gromem,
Lituję się nad szczęściem przewrotnych znikomem.

SZCZĘŚCIE.

Jak dziwne przeznaczenie na ziemi człowieka,
Ciągle goni za szczęściem, co przed nim ucieka,
Jeśli mu w szybkim biegu pochwycić się daje,
Zmienia wkrótce swą postać, szczęściem być prze-
[staje.
Ledwie się krótkotrwałem chce cieszyć złudzeniem,
Już go sytość nudząca swojem niszczy tchnieniem.
Szczęście — mara zwodnicza, która tylu ludzi,
Od powicia do grobu czczym urokiem łudzi
Kędyż jest? nie na ziemi ma swoje siedlisko,
Nie zna człek tej istoty, tylko jej nazwisko.
Niema go dla tych, którzy za kroplę słodyczy
Przeznaczeni są spełniać kielich łez goryczy;
Którym jeśli zabłyśnie promień jego złoty,
Jak lube światło słońca wśród jesiennej słoty,
Natychmiast nienawistna dłoń ponurej troski,
Niszczy przezeń rozlany balsam w sercach boski.
Lecz choć ciągle zwodzony w swej nadziei człowiek,
Goni jednak za szczęściem do zawarcia powiek.
Dzieckiem — cacko, które mu pokazują zdala,
Żądza go osiągnienia umysł mu zapala,
Dopięcie celu jakąż rozkosz mu wystawia,
Jak się naprzód tą myślą cieszy i zabawia;

Lecz zaledwie osiągnął to — co sobie życzy,
Upragnionego szczęścia znikł urok zwodniczy,
A cacko, które miało tyle uczuć sprawić,
Zaledwie w posiadaniu — już przestaje bawić.
Młodzieńcem, gdy krew w żyłach silniej wrzeć po-
[czyna,
Kiedy serce pod władzą jest Wenery syna,
Widok piękności jakim ogniem go zajmuje,
W posiadaniu jej szczęście całe swe znajduje,
Jakaż rozkosz cieszyć się jej lubym widokiem,
Na wdzięki jej urocze żądnem patrzeć okiem,
Pieścić usta rożane i żądzą wzniesione,
Piersi samej miłości ręką utoczone,
A gdy zmysłów najwyższe dojdzie upojenie,
Połączyć duszę z duszą, z tchnieniem zmięszać
[tchnienie,
Boskiej równa szczęśliwość — lecz prędko ustaje,
Równe po niej wrażenie — jak po śnie zostaje.
Raz nasycone żądze — szczęśliwość ta znika,
Ciężarem jest dla serca — znudzeniem przenika,
Przestaje być czem była, młodzian od niej stroni,
I nowe goniąc szczęście, nową marę goni.
Męża w dojrzałym wieku, nadobna dziewica
Ponętą wdzięków swoich nie tak już zachwyca,
Na innej on podstawie swe szczęście opiera,
Żądza go wyniesienia i sławy pożera.
Ach jaka rozkosz — zdumieć świat wielkimi czyny,
Uwieńczone mieć skronie pysznymi wawrzyny,
Przewagą geniuszu ogarnąć tę ziemię,
I zgiąć pod stopy swoje drzące ludzi plemię.
Tron i władza najwyższa — to cel upragniony,
Laurowy wieniec blaskiem uświetnić korony
Kresem szczęścia. I w niego wlepiwszy swe oczy,

Rycerz dumą miotany, w krwi strumieniach broczy,
Nic go od celu życzeń oddalić nie zdoła,
Choć mu niebezpieczeństwo zagraża do koła,
Gardzi niem w przedsięwzięciu szermierz nie ugięty,
Po stosach trupów dąży do mety wytkniętej;
Łamie wszystkie przeszkody i tam wreszcie stawa,
Zkąd światu zdumionemu ma dyktować prawa.
Wszystko przed jego władzą korne gnie kolana,
Struchlały ród śmiertelnych uznał go za pana,
Skinieniom jego woli sprzeciwić się boi,
Lecz on wśród uwielbienia osłupiały stoi.
W około siebie okiem zdziwionem spogląda,
Szczęście, którego chciwie dusza jego żąda,
A które mniemał znaleść na wielkości szczycie,
I niem nagrodzić trudy podjęte sowicie,
Gdy go się zdał już posiąść — nagle przed nim znika,
I zawiedzione serce boleścią przenika,
Zasłonę wyobraźni, co mu wzrok pokrywa,
Prawica doświadczenia teraz właśnie zrywa;
Przez nią tron okazany w istotnej postaci,
Cały urok zwodniczej szczęśliwości traci.
Niespokojność go skrzydłem złowrogiem ogarnia,
Siostra podejrzliwości — dusz ludzkich męczarnia,
Za którą zimna bojaźń krok w krok się posuwa,
I duszę władców jadem niszczącym zatruwa.
Poznał więc, choć zapóźno, jak dalece błądził,
Kiedy na stopniach tronu szczęście znaleść sądził,
I tem sroższe dla duszy wynikło cierpienie,
Gdy tam, gdzie szczęścia szukał, znalazł udręczenie.
Słaby rodzie śmiertelnych nie twoim udziałem,
Cieszyć się na tej ziemi szczęściem doskonałem,
Pasmo twojego życia z wątłej tkane przędzy,
Mało uciech zawiera, więcej mieści nędzy.

Całe szczęście człowieka gdy go wzmacnia cnota,
I czy ciosy zawistny los na niego miota,
Czyli szczęście zwodniczym blaskiem go otacza,
On przekonań nie zmienia, z drogi swej nie zbacza;
I ani go pomyślność zaślepić nie zdoła,
Ani pod ciosem nieszczęść nie nachyli czoła.
Tak właśnie — jak pod niebo wznosząca się skała,
Która tysiączne burze spokojnie przetrwała,
I czy o jej szczyt wzniosły piorun się roztrąca,
Czy go świetnym szkarłatem zdobi promień słońca,
Ona zawsze jednako wznosi swój grzbiet stromy,
Czy dnie piękne, czy wściekłych burz szaleją gromy!

ROK 1836 W KRAKOWIE

ROK 1836 W KRAKOWIE

Po upadku powstania naszego w roku 1831, wychodztwo nasze zgromadzone we Francji, wzięło sobie za zadanie pracować nad wyswobodzeniem Ojczyzny ujarzmionej. Część onego arystokratyczna, która przez swą niewiarę w siły własnego narodu stała się główną przyczyną jego upadku, nie nauczona smutnem doświadczeniem, ograniczała swą działalność na konszachtach z dyplomacją, która, aby ją w tym fałszywym kierunku utrzymać, korzystając z jej zaślepienia, nie przestawała jej durzyć. Przeważna jednak część wychodztwa, niepodzielając złudzeń arystokracji, zawiązała w roku 1832 Towarzystwo Demokratyczne, które nie na stosunkach z wrogą nam dyplomacją, ale na rozbudzeniu i zużytkowaniu sił narodu, opierała jego wyswobodzenie. W tym celu starała się wyrobić sobie środki komunikacyjne, a pewne z krajem. Pomimo ścisłego przymierza, którem wspólny interes łączył wszystkie rządy z Cara-

tem, upatrujące w utrzymaniu jego potęgi, najsilniejszą podporę własnego bytu; pomimo czujności policji francuzkiej, której baczne śledzenie Towarzystwa Demokratycznego nakazał Ludwik Filip, ten naczelnik tajnej policji monarchów, stosunki, jakie zawiązało Towarzystwo Demokratyczne w Niemczech, nie zostały wykryte. Domyślano się, iż Towarzystwo Demokratyczne potrafiło sobie ułatwić drogi do działania w Polsce, ale na trop ich, ani policja francuzka, ani inne trafić nie zdołały. Niestety znalazł się w łonie samego Towarzystwa Demokratycznego nikczemnik, który go zdradził. Był nim Pawłowski. Służył on w powstaniu 1831 r., w piątym pułku ułanów, imienia Zamojskich i w spotkaniu pod Kuflewem dostał się do niewoli moskiewskiej. Przebył w niej jakiś czas, lecz przez wymianę jeńców odzyskawszy wolność, wrócił do pułku i po upadku powstania, udał się wraz z innymi na tułactwo. Pobyt w niewoli moskiewskiej oddziałał szkodliwie na charakter Pawłowskiego i obudził w nim podłą chęć służenia Moskwie, która hojnie zręcznych szpiegów swoich wynagradza. Sprytny, czynny, gorliwy, potrafił się wkręcić do Towarzystwa Demokratycznego, a zostawszy członkiem onego, starał się obrotnością swoją i udanym zapałem dla sprawy naszej, zwrócić na siebie uwagę kierowników Towarzystwa. Jednocześnie wszedł w stosunki z ambasadą moskiewską w Paryżu,

której stał się tajnym agentem. Potrafił jednak tak zręcznie to podwójne stanowisko zajmować, iż zarząd Towarzystwa nie domyślając się jego łotrostwa i zupełne pokładając zaufanie w jego prawości a zarazem i obrotności, właśnie jego wysłał do Niemiec i do Galicji w interesach sprawy narodowej. Jako członkowi i wysłańcowi Towarzystwa Demokratycznego, nadarzyła się Pawłowskiemu najlepsza sposobność zbadania stosunków w Niemczech, które w różnych kierunkach zwiedzał i zapoznania się tamże ze wszystkimi ludźmi szlachetniejszymi, którzy sprzyjając sprawie wyswobodzenia ludów, pomocnymi byli i Towarzystwu Demokratycznemu. W skutek tych Pawłowskiego odwiedzin w Niemczech, znaczna liczba obywateli tamtejszych, a nawet urzędników, zdenuncjowana przez niego, została aresztowaną i po różnych twierdzach uwięzioną.

Po dopełnieniu tego niecnego czynu, Pawłowski wybrał się do Galicji, aby i tam spełniać dalej ohydne swoje zadanie. Lecz rozgłos nieszczęścia, w jaki pogrążył w Niemczech masę ludzi uczciwych, których zdradził, poprzedziło jego do Krakowa przybycie. Wychodzcy znajdujący się w tem mieście postanowili wymierzyć karę na Pawłowskim, karę na jaką ten zbrodniarz zasłużył i przez zgon jego ocalić w Krakowie i w Galicji wiele osób od grożącego im nieszczęścia.

Gdy w końcu Stycznia 1836 r. przybył do Krakowa Pawłowski, jeden z wychodzców, znany mi Litwin, spotkawszy Pawłowskiego, którego znał, przywitał go z udanem ukontentowaniem. Gdy Pawłowski zapytał się go, co tu porabia, oświadczył Litwin, iż życie tułacze sprzykrzyło mu się, że radby podać się do amnestji (a był to oficer wojsk moskiewskich, który w 1831 r. przeszedł do wojska polskiego) i gdyby ją mógł otrzymać, chętnie by odsłużył rządowi rossyjskiemu, jeżeli by go chciał użyć w celach politycznych, czy to pomiędzy emigracją, czy też w którejkolwiek części Polski.

Po tej rozmowie zawiązały się ściślejsze stosunki pomiędzy Pawłowskim a tymże Litwinem, w skutku których Litwin miał sposobność ponawiania mu swej szczerej chęci, wydobycia się z przykrego położenia, w jakiem zostaje, przez zjednanie sobie względów rządu moskiewskiego i służenia mu. Litwin ten miał tak przyjemne i sympatyczne oblicże, taka się w niem malowała prostoduszność, że Pawłowski uwierzył w szczerość jego oświadczeń i zaufawszy mu, wyznał, że ma ścisłe z rządem moskiewskim stosunki i że ma polecenie wyśledzić mającego przebywać w Krakowie pewnego, mocno skompromitowanego emigranta, ukrywającego się pod przybranem nazwiskiem Mazurkiewicza i jeżeli mu się to uda, czeka go 2000 rubli nagrody. Zapytał następnie, czy zna

tę osobistość i czy rzeczywiście znajduje się ona w Krakowie, a ponieważ on jej sam nie zna, wielce byłby mu wdzięcznym, gdyby dopomógł do jej odszukania.

Litwin odrzekł na to: « a wyrobisz mi amnestją i zajęcie w służbie rządowej moskiewskiej? »

Gdy Pawłowski przystał na to, sprytny Litwin nie omieszkał korzystać z jego zaślepienia i ułożył zaraz plan wyprowadzenia go w pole i zgładzenia.

Przyznał się więc, że osobistość ta jest mu dokładnie znaną, ale że jej obecnie w Krakowie nie ma, lecz przebywa we wsi Mnikowie, odległej o półtorej mili od Krakowa.

Na to Pawłowski rzekł: « amnestją mieć będziesz, a ja teraz pobiegnę i zawiadomię o tem konsula rossyjskiego Unger de Sternberga ».

Litwin odrzekł: « nie czyń tego, bo stracisz pieniądze. Sternberg dowiedziawszy się od ciebie, gdzie ten, co wart 2000 rubli przebywa, każe go schwycić, 2000 rubli sobie naturalnie weźmie, a tobie pokaże figę. Daleko więc praktyczniej będzie, jeżeli Ty ze mną pojedziesz do Mnikowa, sprowadzimy Mazurkiewicza do Krakowa, tu oddasz go w ręce władzy i nagrodę przeznaczoną za niego wówczas z pewnością odbierzesz ».

Rozmowa ta odbywała się w mieszkaniu Pawłowskiego, w hotelu pod Sobieskim, po połu-

dniu. Litwin rachował na chciwość Pawłowskiego i dobrze rachował, bo Pawłowski, pragnąc jak najprędzej złapać te 2000 rubli, zapytał niecierpliwie, « a kiedyż pojedziemy, bo ja nie mam czasu czekać, radbym jak najprędzej pojechać do Galicji ».

« Dziś już zapóźno, bo niedługo noc zapadnie, ale jutro rano przededniem przyjadę po ciebie, bądź więc gotów. »

Ten, po którego miano do Mnikowa jechać, był w Krakowie i przebrany za furmana, zajechał przededniem z Litwinem po Pawłowskiego, który ubrawszy się w piękne niedźwiedzie futro bo mróz był dobry, wsiadł z Litwinem do sanek.

Podróżni przejechawszy przez rogatkę Łobzowską, ruszyli przez Bronowice ku Mydlnikom i tam w wąwozie prowadzącym do Mydlnik zamordowali Pawłowskiego. Zabrawszy mu papiery, pomiędzy którymi znajdowały się blankiety paszportów moskiewskich, francuzkich i pruskich z podpisami najlegalniejszymi, które im się bardzo przydały, nawrócili do Krakowa. Uwinęli się zaś tak szybko, że nim się rozwidniło, w pobliżu rogatki Łobzowskiej, przy drodze położyli trupa, owiniętego w pyszne niedźwiedzie futro, zostawiwszy przy nim pieniądze, zegarek, pierścienie i wszystkie kosztowności, jakie miał z sobą, a sami pojechali do miasta.

Jadący rano do miasta chłop dał znać na ro-

gatkę, że w pobliżu przy drodze leży jakiś pan w niedzwiedziach, czy pijany, czy nieżywy.

Zabicie agenta tak dogodnego rządom, a tak zgubnego dla sprawy poczciwej, dało powód do bezwzględnego prześladowania wszystkich Polaków, czasowo przemieszkujących w obwodzie Rzeczypospolitej Krakowskiej.

Konferencja składająca się z trzech konsulów dworów opiekuńczych, moskiewskiego, austrjackiego i pruskiego, działając w duchu swych rządów, postanowiła wydalić z Krakowa wszystkich Polaków nieurodzonych w Krakowie, a osiadłych tamże od roku 1831, na których padało podejrzenie, iż brali udział w powstaniu w roku 1831.

Konsulom trzech zaborczych rządów zależało na tem, aby rządom swoim wykazać w Krakowie jak największą liczbę osób mocno skompromitowanych, zagrażających przewrotem porządku i bezpieczeństwa publicznego, których zgubne zamiary udało się przezorności i gorliwości konsulów zniweczyć.

Akcji tego bezpodstawnego prześladowania ludzi zupełnie spokojnych podjął się rząd austrjacki.

Komisarz policji austrjackiej Gut, działając w duchu tak zwanej konferencji konsulów opiekuńczych dworów, dążył bezwzględnie do wykazania pomiędzy skazanymi na wydalenie z Krakowa jak największej liczby przestępców

politycznych, których w czambuł skazał na wywiezienie do Ameryki. Bo im większa liczba była tych skazańców, tem donośniejszą była zasługa w obec rządów konferencji konsulów, która potrafiła wyśledzić tylu niebezpiecznych wichrzycieli i sprężystem swojem postępowaniem niweczyła to gniazdo, które sobie partja przewrotu założyła w Krakowie.

Według tej dążności, każdy Polak, nieurodzony w Krakowie, choć w nim zamieszkały, jeżeli tylko padało na niego podejrzenie, iż mógł brać udział w powstaniu 1831 r., należał tem samem do wichrzycieli najniebezpieczniejszych, zagrażających przewrotem porządku politycznego i społecznego w Europie, dla którego ocalenia, należało jak najprędzej oswobodzić Europę z obecności tych zatwardziałych zbrodniarzy politycznych i przenieść ich jak najprędzej na stałą do Ameryki siedzibę.

Pomimo tej dążności austrjackiego dyrektora policji Guta, wszechwładnie rozrządzającego losem mieszkańców Krakowa, zdawało mi się, iż będąc właścicielem realności w Krakowie, zapisanym od Stycznia 1831 r. z żoną i dwojgiem dzieci w księdze ludności tego miasta, jako stały onego mieszkaniec, będę wolnym od wszelkiego podejrzenia, iż brałem udział czynny w powstaniu r. 1831.

Tymczasem ani posiadanie własności, ani świadectwo władz krakowskich, iż jestem sta-

łym i spokojnym mieszkańcem tego miasta, nie mogło mnie ocalić od przymusowego wydalenia z Krakowa, które z końcem Marca 1836 r. dokonano na mnie.

Przewieziony pod strażą inspektora policji Weinbergera na Podgórze, oddany zostałem tamże pod władzę Guta, sprawującego wówczas urząd dyrektora policji tak na Podgórzu, jak i w Krakowie.

Pan Gut oświadczył mi, że jeżeli pod słowem zaręczę mu, że się samowolnie nic wydalę nigdzie z Podgórza, to nie zamknie mnie w areszcie, ale pozostawi na wolnej stopie i mogę sobie mieszkanie nająć w hotelu.

Zapewniłem, iż może być pewnym, że nie zawiodę jego zaufania i z Podgórza nie wydalę się nigdzie.

Następnie wezwał mnie do protokółu, zapytując mnie o rok i miejsce urodzenia mojego, a zarazem nie tylko o rodziców moich od dawna zmarłych, ale i o wszystkich krewnych moich, tak po ojcu jak i po matce, których imiona, nazwiska, miejsce pobytu i zatrudnienia musiałem podyktować do protokółu.

Na tem zakończywszy pierwszą ze mną czynność, zawezwał mnie na drugi dzień na godzinę 10 przed południem do swojej kancelarji. Po przybyciu mojem oświadczył mi, iż należę do kategorji osób mocno skompromitowanych, które wydalone będą do Ameryki.

Oświadczyłem, iż nie widzę żadnego powodu, do wydalenia się do Ameryki, bo jako poddany Królestwa Polskiego, wolę wrócić do Królestwa.

Na to pan Gut odrzekł : « pan brałeś udział w powstaniu 1831 r., przeto bez podania prośby o amnestją i otrzymania takowej, nie możesz wracać do Królestwa i zniewolonym będziesz udać się do Ameryki. »

« Pan dyrektor źle jesteś poinformowanym, w powstaniu nie służyłem i właśnie dla tego, żeby nie służyć, przeniosłem się z żoną i z dziećmi mojemi w pierwszych dniach Stycznia 1831 r. do Krakowa i ztamtąd się nie wydalałem, jako dowodzi spis ludności i na podstawie tej wydane mi świadectwo przez władze krakowskie. W powstaniu służył mój brat stryjeczny Kajetan Młocki, który właśnie po odbytej kampanji umarł w Krakowie, co poświadcza sepultura jego śmierci. Całe moje przewinienie ogranicza się względem rządu Królestwa Polskiego na przejściu granicy bez paszportu, a z tego łatwo się wytłumaczę i stanowczo oświadczam panu dyrektorowi, że do Ameryki nie pojadę i że postanowiłem, gdy mi wzbronionym jest pobyt w Krakowie, wrócić do Królestwa Polskiego. »

Nie rozstrzygając kwestji stanowczo, odrzekł pan Gut : « zostawiam panu czas do namysłu i spodziewam się, że pan rozważywszy dobrze swoje położenie, pójdziesz za moją radą i będziesz wolał jechać do Ameryki, jak wrócić do Królestwa

Polskiego, gdzie pana bardzo smutny los spotkać może. »

Po tej rozmowie pozostawiony zostałem wprawdzie na wolnej stopie, ale z polecenia Guta nachodził mnie często adjutant stojącego na Podgórzu batalionu piechoty austrjackiej, chętnie jak prawie wszyscy oficerowie austrjaccy pełniący słuzbę agenta policyjnego i swojem gburowatem zachowaniem się sprawiał mi wiele nieprzyjemności. Oprócz tego Gut wzywał mnie dosyć często do swojej kancelarji, namawiając uporczywie, abym jechał do Ameryki.

Gdy jednak przekonal się, że jego namowy i groźby o smutnym losie, jaki mnie czeka, jeżeli wrócę do Królestwa Polskiego, nie skutkują, postanowił działać ze stanowiska psychicznego, obudzić we mnie pewność natychmiastowego uwolnienia mojego, aby w chwilę potem odjąć mi wszelką onego nadzieję i tem przejściem nagłem i nieprzewidzianem z najwyższej radości do najgłębszego smutku, złamać mnie moralnie i przez to powolniejszym uczynić, do zgodzenia się z losem a raczej z jego postanowieniem wysłania mnie do Ameryki.

Niebawem też, gdym po południu wracał ze spaceru do mego mieszkania, pan dyrektor Gut rozpromieniony zabiegł mi drogę i po najuprzejmiejszem przywitaniu: «szczęśliwy jestem, rzekł, że pana mogę pierwszy zawiadomić, iż przyszło uwolnienie dla pana z pozwoleniem zamieszka-

nia w Krakowie, dokąd pan jutro rano z pewnością wrócisz. »

Podziękowawszy panu Gutowi za to niespodziewane dla mnie jego współczucie, udałem się do mego mieszkania, w którego bramie zastałem majora Holfelda, dowódzcę batalionu z asystencją 12 żołnierzy, który mnie zapytał · « czy jestem Młocki », a gdym odpowiedział « tak », krzyknął na żołnierzy « bierzcie go ! »

Na przedstawienie moje, iż major się musi mylić co do aresztowania mnie, gdyż ja w tej chwili rozszedłem się z panem Gutem, który mi oświadczył, iż nadeszło dla mnie pozwolenie pobytu w Krakowie i winszował mi, że się ta rzecz tak pomyślnie dla mnie załatwiła i że jutro rano z pewnością wrócę do Krakowa.

Na to major : « Ja się nie mylę, bo przed kwadransem otrzymałem polecenie od pana Guta, aby pana aresztować i w ścisłem osadzić więzieniu, w wykonaniu więc tego polecenia, proszę z sobą ».

Zaprowadzono mnie więc do dziury jakiejś zupełnie ciemnej, do której, po otworzeniu drzwi przez majora, wepchnięto mnie i drzwi zamknięto.

W izbie tej, czy komorze nie było podłogi, tylko piasek wilgotny ; chodząc po omacku w różnych kierunkach, nie mogłem namacać, ani tapczanu, ani ławki, izba była zupełnie pustą.

Po zapewnionem powrocie do Krakowa przez

dyrektora policji, być prawie w tej samej chwili z rozkazu tegoż dyrektora wtrąconym do ciemnicy pustej, bez garści słomy nawet, musiało wywrzeć nader bolesne wrażenie. Przebyłem też noc okropną. Cierpiałem fizycznie, bo mając pod nogami wilgotny piasek, nie miałem na czem ani się położyć, ani nawet usiąść, bo rzeczy moje pozostały w hotelu, a ja miałem na sobie lekkie ubranie letnie. Cierpiałem nie mniej dotkliwie moralnie, pomyślawszy, iż jestem zawisłym od człowieka, który postępowaniem swojem ze mną, wykazał mi całą nikczemność swego obłudnego charakteru i bardzo prawdopodobnem uczynił, dopuszczenie się na mojej osobie najsromotniejszego gwałtu, skoro by to zdało mu się przydatnem w jego urzędowym zawodzie.

Na szczęście moje, prawie codziennie przed południem odwiedzał mnie przyjaciel mój, sędziwy Antoni Kostecki, były intendent policji z czasów Xięztwa Warszawskiego, a następnie Rzeczypospolitej Krakowskiej.

Gdy przyszedł nazajutrz po uwięzieniu mojem do hotelu pod Czarnym Orłem, oberzysta zawiadomił go o nagłem aresztowaniu mnie i zaprowadzeniu do więzienia z pozostawieniem rzeczy moich w hotelu.

Poczciwy Kostecki, wróciwszy do Krakowa, zawiadomił żonę moją o uwięzieniu mojem i doradził jej, aby niezwłocznie udała się do kon-

sula moskiewskiego Unger Sternberga o protekcją dla mnie, jako dla poddanego Królestwa Polskiego, który od dawna żądając odstawienia go do Królestwa, prześladowanym jest dla tego przez policję austrjacką. Jakoż konsul uwzględniając przedstawienie mojej żony, nakazał natychmiast uwolnienie mnie z więzienia.

Powróciłem więc do mojego w hotelu mieszkania. Ponieważ jednak dano do zrozumienia Gutowi, iż tenże nie może zmuszać poddanego Królestwa Polskiego do wyjazdu do Ameryki, kiedy ten stanowczo żąda powrócić do Królestwa, przeto tenże postanowił za ten opór mój jego woli, dokuczać mi przez te kilka dni, przez które mógł pod różnymi pozorami zatrzymać mnie pod swoją władzą.

Zabronił mi więc wychodzić nie tylko z hotelu, ale i ze stancji mojej, kazał jednego szyldwacha postawić w moim pokoju, a drugiego na korytarzu przy drzwiach do mojej stancji, zabronił przytem komukolwiek bądź odwiedzać mnie.

Parę razy Gut wzywał mnie jeszcze do protokółu pod eskortą żołnierzy i usilnie starał się przekonywać. « Ponieważ wiadomo jest dokładnie, żeś pan służył w wojsku polskiem w 1831 r., przeto szczerze życząc panu radzę, abyś się tego nie zapierał, bo tem niewłaściwem zatajeniem rzeczy, władzom dokładnie wiadomej, o wiele pogorszysz swoje położenie, gdy zeznawszy do protokółu to, co było rzeczywi-

ście, nie będą zarzucać panu, że przez fałszywe zeznania, miałeś zamiar oszukania władzy, co bardzo wpłynie na jej surowsze z panem postępowanie. »

Ostrzeżony jednak byłem przez znajomego mi wyższego urzędnika z Królestwa Polskiego, iż właśnie wydany został przez Cara ukaz, aby tych wszystkich odstawionych z Krakowa z zaboru moskiewskiego, którzy jakikolwiek brali udział w powstaniu 1831 r., natychmiast przesyłać bez różnicy stanu, wieku i stopnia, jaki zajmowali w wojsku powstańczem do Orenburga i tam ich wcielać, jako prostych sołdatów do karnych kompanji.

Wiadomość ta o ukazie carskim, wskazała mi, jak mam oceniać obłudne rady Guta, wzywające mnie do szczerego wyznania (dla mojego niby dobra), iż służyłem w powstaniu.

Oświadczyłem mu więc: « iż dziwi mnie, że po pierwszem mojem do protokółu zeznaniu, pan dyrektor zupełnie go nie uwzględniasz i usiłujesz mnie przekonać, że służyłem w wojsku powstańczem w r. 1831. Daruje mi pan dyrektor, że o tem ja sam najlepiej muszę wiedzieć i nie wiem po który raz muszę panu oświadczyć stanowczo, iż powrócę do Królestwa Polskiego, bo całą moją jest winą, że bez paszportu, któregom wówczas dostać nie mógł, przejechałem granicę, i za to, w najgorszym razie, skazanym będę na zapłacenie kilku rubli. »

Rozmowa ta była ostatnią, jaką miałem z panem Gutem, przekonał się z niej, iż wymowa jego i rady dawane z pozornej dla mnie życzliwości, nie trafiły do mego przekonania i nie zmienią mojego postanowienia powrócenia do kraju; nie wzywał mnie więc już dalej do protokółu i wkrótce też wyjazd mój nastąpił.

Oprócz konsulatu moskiewskiego w Krakowie, urzędowała w temże mieście postanowiona przez rząd Królestwa Polskiego komisja, pod przewodnictwem radcy stanu Jagielskiego, której zadaniem było czuwać nad zobowiązaniami rządu austrjackiego, co do zaopatrywania solą Królestwa Polskiego i wolnego miasta Krakowa i jego okręgu, według konwencji zawartej z tymże rządem na podstawie traktatu wiedeńskiego. Komisja rzeczona miała także nadzór nad komorami celnemi, wzdłuż granicy Królestwa Polskiego i Rzeczypospolitej Krakowskiej znajdującemi się.

W biurze radcy stanu Jagielskiego do objazdu granicznych komor przeznaczonym był urzędnik tegoż biura, Adolf Krajewski, człowiek w gruncie niezły, ale nader roztrzepany, lubiący się bawić i uganiać z chartami po polach.

Temuż Adolfowi Krajewskiemu, stary intendent Kostecki, który był pomimo wieku podeszłego zapalonym charciarzem, potrafił wyperswadować, iż ja w czasie powstania w 1831 r.

polowałem często wprawdzie z wyżłem, ale wraz z nimi w okręgu krakowskim.

Tenże sam Krajewski zaopatrywał mnie we wszystkie książki i broszury zakazane i oświadczył mi, że we cztery oczy o wszystkiem mówić możemy. « Bądź pan pewny, że nie zdradzę, ale czy to w domu, czy na ulicy, jeżeli się trzecia osoba zjawi, proszę się w żadną polityczną rozmowę nie wdawać, bo ta trzecia osoba może należeć do policji tajnej, ja zaś jako urzędnik obowiązany do zawiadamiania władzy nie tylko o czynach, ale i o zdaniach wyrażających niechęć do rządu, musiałbym donieść o nich, aby mnie ta trzecia osoba nie skompromitowała w obec rządu. »

Tenże Krajewski objeżdżając komory graniczne, miał sposobność zaznajomienia się z podpułkownikiem moskiewskim z Alexopolskiego, jegerskiego pułku, wydelegowanym na komorę graniczną w Igołomji w Królestwie Polskiem, do odbierania wydalonych z Krakowa poddanych Królestwa Polskiego.

Gdy nadszedł dzień wydalenia mnie z Podgórza, Krajewski zawiadomiony o tem, oczekując mojego przybycia, już w dniu tym od rana gościł w Igołomji u podpułkownika, któremu polecił mnie jako swego przyjaciela, z którym by się rad widzieć i który po południu przystawionym będzie z Podgórza.

W dniu 1 Czerwca 1836 r. z rana, major

austrjacki Hohlfeld, któremu polecono wysłanie mnie do Królestwa Polskiego, nająwszy na mój koszt trzy wozy, jedenastu żołnierzom i sierżantowi, który nimi dowodził, kazał w mojej obecności nabić broń ostrymi ładunkami.

Ostentacyjna ta ostrożność względem mnie śmieszną była, ale panu Gutowi zdawało się, że mi tem dokuczy i że wskaże Moskalom, jak niebezpiecznego wichrzyciela odsyła im.

Według jego dyspozycji, których ślepym wykonawcą był major Hohlfeld, na jednym wozie umieszczono pięciu żołnierzy, którzy stanowili tylną straż, na wozie poprzedzającym umieszczono mnie, obok mnie siadł sierżant, na przeciwko mnie dwóch żołnierzy, a jeden siadł obok wiozącego nas chłopa. Poprzedzał mnie wóz, na którym siedział wraz z trzema żołnierzami odstawiony także do zaboru moskiewskiego wyrobnik, którego miano pędzić piechotą, ale gdym oświadczył, iż go chcę zabrać, skoro za wozy płacę, zgodzono się na to i kazano mu na pierwszym jechać, który tworzył tym sposobem przednią straż tej karawany.

Niedopuszczono nikogo ze znajomych, ani nawet żony mojej i dzieci moich, aby się mogli ze mną pożegnać. Nie dozwolono mnie wieść przez Kraków, ale kazano wprost jechać do Niepołomic, tam przeprawiono nas na promie na lewy brzeg Wisły.

O godzinie 7 po południu w dniu 1 Czerwca

przybyliśmy do Igołomji, komory granicznej polskiej, na wschodnio północnym krańcu okręgu wolnego miasta Krakowa położonej.

Kapral austrjacki, który mnie przywiózł i oddał w ręce podpułkownika moskiewskiego, został przez tegoż w obecności mojej w sposób nader dobitny złajanym, za to ostentacyjne otoczenie mnie siłą zbrojną.

« Ja temu nie winien, proszę pana pułkownika odpowiedział rzeczony kapral, pan Gut dał rozkaz mojemu majorowi i musiałem to wypełnić, co mi major rozkazał. »

Na to podpułkownik odrzekł: « powiedz temu waszemu Gutowi, że padlec, dopuścił się nadużycia, bo skoro ten pan, pokazując na mnie, jako obywatel i poddany Królestwa Polskiego, chciał sam dobrowolnie wrócić do kraju, to Gut nie miał prawa więzić go i pod strażą, jakby jakiego złoczyńcę, odsyłać, powiedz że mu odemnie jeszcze raz ci powtarzam, że padlec. »

Podpisawszy następnie świadectwo, oddał kapralowi, mówiąc: « paszli won, w siej czas, austryjskie duraki. »

Zaprosiwszy mnie na herbatę rzekł mi: « a to prawdziwy łotr ten Gut, podał pana za chłopa, chociaż spisując z panem protokół, wiedział dokładnie, żeś szlachcicem, ale chciał panu dokuczyć, żebyśmy go jako chłopa piechotą pędzili, bo według jego raportu, nie mogę panu dać podwody, ale musisz ją sobie nająć. Dziś pan

zanocujesz na odwachu, bo taki przepis, a jutro rano pojedziesz do Proszowic, ale że dowódzcy kompanji stojącej tam, kapitana Kakuzina obecnie nie ma, przeto, aby pana w jego nieobecności niespotkała jaka nieprzyjemność, dodam panu do towarzystwa bardzo porządnego oficera, porucznika Naumowa, pod którego opieką pan zupełnie bezpiecznym będziesz. »

Miałem sposobność na odwachu rozmówić się z moim towarzyszem, który był rzeczywiście żołnierzem z batalionu weteranów czynnych, odznaczającego się w walce z Moskalami w r. 1831 dzielnością swoją. Ostrzegłem go więc, że carski ukaz wszystkich wojskowych polskich, których dostawią z Krakowa, skazał do rot aresztanckich do Orenburga. Wytłumaczyłem dalej poczciwemu wiarusowi, co go czeka, jeżeli się przyzna, że służył w wojsku polskiem w r. 1831. Że aby się ocalić od nędzy najstraszliwszej i katowania, które go czeka w kompaniach karnych w Orenburgu, a które mu zagraża w końcu nieochybną i okrutną śmiercią, należy nic nie wspominać, że się służyło w wojsku, tylko podać do protokółu, że właśnie, aby nie być wziętym do wojska w czasie powstania, uszedłeś do okręgu wolnego miasta Krakowa i tam w kopalniach zarabiałeś na życie, a teraz jako obcemu, niemającemu paszportu, kazano ci wrócić do miejsca urodzenia.

Dziękowało mi poczciwe wiarusisko, żem go

ostrzegł o niebezpieczeństwie i nauczył, jak się ma tłumaczyć.

Na drugi dzień, w towarzystwie porucznika Naumowa, pojechałem do Proszowic, gdzie rzeczywiście nie zastaliśmy kapitana Kakuzina i jak to przewidział podpułkownik dowódzca stacji extradycyjnej w Igołomji, zaledwieśmy wysiedli i zajęli stancją w oberzy, przybiegł zaraz sierżant i wpadłszy do izby, zapytał: « kuda arestant? » Na to mu odpowiedział porucznik Naumów, « arestanta zdieś niet, jeto pomieszczyk, moj druh ». Gdy zaś sierżant zaczął uwagi robić, dopominając się o zabranie mnie na odwach, porucznik podniesionym głosem krzyknął natenczas « *mierzawiec, małczat' i w siej czas stupaj na karaulnią* ».

Sierżant się wyniósł, a przed wieczorem przyjechał kapitan, u którego na herbacie i kolacji pozostałem, traktowany jak najuprzejmiej. Przenocowawszy w oberzy, pojechałem rano na drugi dzień do Miechowa, gdzie stał sztab Alexopolskiego, jegerskiego pułku.

Dowódzca onego, pułkownik Rafałowicz, przyjął mnie także jak najuprzejmiej, czysto po polsku mówiąc, ubolewał nad moim losem, czynił mi jednak niewątpliwą nadzieję, iż to uwięzienie moje wkrótce po przybyciu mojem do Kielc skończy się i że spodziewa się mieć ukontentowanie, powitania mnie już swobodnie wracającego do Krakowa. Dodał przytem, « iż

pokój przeznaczony jest dla pana w klasztorze Bożogrobców, w nim pan przenocujesz, a jutro w towarzystwie podoficera odeszlę pana do Jędrzejowa, zkąd już kozacy zajmą się odstawieniem do Kielc. »

Po przybyciu mojem do Jędrzejowa, dowódca kozacki oświadczył mi, iż dziś i jutro pozostanę w Jędrzejowie, a dopiero pojutrze odstawionym będę do Kielc. Dodał przytem : « jeżeli tu w okolicy Jędrzejowa, masz pan znajomych obywateli, to zamiast nudzić się w mieście, możesz pan do którego z nich pojechać, a pojutrze przed południem wrócić. »

Podziękowałem mu za tę grzeczność, ale z niej nie korzystałem. Zależało mi albowiem na tem, aby nim do Kielc odstawionym nie zostanę, nikt poprzednio o mojem przybyciu nie wiedział i niewygadał się o mojej działalności w tej okolicy w czasie powstania.

Korzystałem z wolnego pobytu w Jędrzejowie, aby napisać list do mojej żony, uspokajający, która po wywiezieniu mnie z Podgórza, żadnej wiadomości, co się ze mną stało, niemiała.

W Kielcach, mieście gubernialnem, znali mnie wszyscy urzędnicy dokładnie, bo właśnie w tem mieście, jako adjutant i zastępca dowódzcy kadrów, zajmowałem się czynnie organizacją tworzących się pułków i z tego powodu byłem w ciągłej styczności z władzami

administracyjnemi Województwa Krakowskiego.

Odstawiony przez kozaków 5 Czerwca przed wieczorem do Kielc, w skutku raportu Guta, zostałem zamknięty w izbie więziennej, w której mieściło się 2 zbójców, 4 złodziei pokutych i na jednej leżących *pryczy*, która całą tę izbę zajmowała, na tym więc samym tapczanie umieszczono mnie i rzeczy moje.

Zaledwie upłynęło dwadzieścia minut po umieszczeniu mnie w więzieniu, gdy wszedł do niego młody jeszcze człowiek Lisiecki, syn byłego burmistrza Chęcin, u którego rodziców w miesiącu Styczniu 1831 r. stałem kwaterą, zajmując się wówczas odbiorem popisowych i przyborów dla nich potrzebnych.

Zarekomendował się, przypominając się znajomości mojej i oświadczając, iż jest sekretarzem generała Bohlena, gubernatora wojennego, dawnego województwa Krakowskiego a dziś gubernji Kieleckiej i że czuje się obowiązanym, być mi pomocnym i przyszedł zapytać się, co mu mam do rozkazania?

Podziękowawszy mu za jego uprzejmość, oświadczyłem mu, iż rozkazywać niemam prawa, ale skoro taki łaskaw, upraszam więc naprzód, aby przed nikim nie wspomniał, że mnie kiedykolwiek widział w życiu, a następnie, żeby się pofatygował do komisarza obwodu Kieleckiego, Władysława Ślaskiego i zawiadomił

go o mojem przybyciu a zarazem o stancji, oraz towarzystwie, w którem mnie umieszczono.

Lisiecki oświadczył, iż natychmiast spełni moje życzenie i może mnie upewnić, że jutro rano przeniesionym zostanę do odpowiedniejszego pomieszkania i pożegnawszy się ze mną, pospieszył do Władysława Ślaskiego.

Rzeczywiście, na drugi dzień, po godzinie 9 rano, otworzyły się drzwi więzienia i podpułkownik sztabu głównego stanąwszy na progu więzienia, kazał rzeczy moje zabrać, mnie zaprosił z sobą i umieścił w izbie oficerskiej, na głównym odwachu, mówiąc mi, że tu panu będzie swobodniej i przyjemniej.

Przeniesienie to zawdzięczałem pośrednio Lisieckiemu, a bezpośrednio Władysławowi Ślaskiemu, który zawiadomiony przez Lisieckiego o mojem uwięzieniu, udał się do generała Bohlen'a i oświadczył mu, « że raport dyrektora policji austrjackiej Guta, jest fałszywy, co do mojej osoby, gdyż przywieziony Młocki jest szlachcicem, krewnym moim, człowiekiem zupełnie spokojnym. Ale, ponieważ według życzenia pana Guta niechciał jechać do Ameryki, tylko stanowczo oświadczył, iż jako poddany Królestwa Polskiego, powróci tamże, przeto pan Gut, aby się zemścić za to niezastosowanie się do jego woli przez pana Młockiego, fałszywe o jego stanie i pochodzeniu zrobił doniesienie,

aby był pędzonym na miejsce przeznaczenia piechotą. »

W parę dni później wezwano mnie do protokółu. Prowadził go pułkownik pułtawskiego pułku piechoty sam osobiście.

Gdym przyszedł do jego biura, prosił mnie siedzieć i o trochę cierpliwości, gdyż poprzednio przesłucha jednego także odstawionego z Krakowa, którego zaraz wprowadzą.

Jakoż niebawem drzwi się otworzyły i wpuszczono owego żołnierza z batalionu weteranów czynnych, któregom uczył jak ma się tłumaczyć, i radziłem, aby broń Boże, nie przyznawał się, że służył w wojsku, bo go najsmutniejszy los spotka.

Pułkownik tyłem siedział do drzwi, przez które przyprowadzony wpuszczonym był do biura, nagle obrócił się na stołku ku drzwiom i dobitnym tonem i czystą polszczyzną zapytał go: « w którym pułku służyłeś? » Zapytany wyciągnąwszy się jak struna, pomimo trzęsienia moją głową, aby mu tą mimiką przypomnieć dawaną mu radę, odrzekł: « w batalionie weteranów czynnych. »

Pułkownik spojrzał na mnie i uśmiechnąwszy się, rzekł: « szkoda cię, nie przyznawaj się, żeś służył w powstaniu, bobyś już świata nie ujrzał, i zapałkowaliby cię w karnych Orenburga kompaniach. »

Dopiero potem żołnierz oprzytomniawszy,

zaczął recytować lekcję daną mu przezemnie, a pułkownik spisawszy jego zeznanie do protokółu, zadzwonił, aby go wyprowadzono, pocieszając, iż najpóźniej za dwa tygodnie będzie całkiem uwolniony.

Po jego odejściu, pułkownik wziął się do badania mnie i spisania moich zeznań ; po dopełnieniu czego, oświadczył, iż akta tyczące się mnie, odesłane zostaną do Warszawy i spodziewa się także, że uwolnionym zostanę.

Przez trzy tygodnie pobytu mego w izbie oficerskiej, na głównym odwachu, doznawałem najprzychylniejszego obchodzenia się ze mną od oficerów moskiewskich, którzy odwiedzali mnie licznie.

Kapitan Mohiłka, Wołoch z rodu, równie jak i major Wołków, powiedzieli mi : « że mogę o wszystkiem śmiało mówić, gdyż za to możemy panu zaręczyć, iż podłego denuncyanta pomiędzy nami nie znajdziesz. » Korzystałem z tego i w rozmowach z nimi nie obwijałem w bawełnę przekonań moich politycznych. Dowodziłem, iż system rządu carskiego opiera się na zbydlęceniu ludzi, dla tem łatwiejszego utrzymania ich w ślepej uległości.

Znajdowało się też między oficerami kilku młodych ludzi, przysłanych wprost ze szkoły kadetów petersburskich do Alexopolskiego, jegierskiego pułku, konsystującego w Krakowskiem. Ci młodzi ludzie przejęci byli czcią

i przywiązaniem nie tylko do cara ale i dla całej jego rodziny. I nie dziw, bo jak mi mówili, car sam i jego rodzina odwiedzała bardzo często ten zakład, a każde takie odwiedziny miały na celu zjednanie sobie kształcącej się w nim młodzieży, stanowiącej rozsadnik przyszłych sług carskich. Oprócz jak najuprzejmiejszego obchodzenia się cara z tą młodzieżą, rodzina jego starała się ujmować ich, obdarzając różnemi łakociami, lub podarunkami drobiazgów na pamiątkę, tak, że ci młodzi oficerowie przysłani ze szkoły petersburskiej kadetów, nie mogli się dosyć nachwalić dobroci cara i całej jego rodziny dla nich. Oprócz tego, wszystko było skierowane w wychowaniu tej młodzieży do rozbudzenia w niej nie tylko najwyższej czci dla cara, ale wpojenia w nią przekonania o wszechwładnej jego potędze, przed którą korzyły się z poddańczą uległością wszystkie ludy Europy. W tym też celu fałszowano dowolnie historją, geografią, etnografią, tak, że ci młodzi ludzie z zupełną wiarą opowiadali, iż najgenialniejszym i najszczęśliwszym wodzem w tym wieku był Suworów. On z rozkazu cara zdobył buntujące się Włochy i Francją, przeciwko jego władzy. A gdy przyszło poskromić Anglią, znów polecił to zadanie Suworowi. Ten wybierając się na tę wyprawę, zgromadził 40,000 wielbłądów. Dziwili się wszyscy, na co taką massę tych zwierząt zabierał w pochód. Lecz gdy wkroczono do Anglji

i przyszło maszerować przez bezwodne stepy, bito wielblądy i w ich żołądkach znajdowano wodę, potrzebną do zaspokojenia pragnienia żołnierzy. Przezorność Suworowa ocaliła wojsko, ułatwiła pokonanie Anglików i poddanie się ich zwierzchnictwu cara, który z woli Boga jest opiekunem wszystkich i utrzymuje między nimi porządek; bez tej carskiej opieki, te ludy na wpół dzikie, wytępiały by się wzajemnie.

Oficerowie starsi Alexopolskiego, jegerskiego pułku, należącego do korpusu Rüdigera, który już lat 6 bez przerwy był w Polsce, inne mieli o carskim rządzie pojęcia i o jego wpływie na narody zachodnie. Potakiwali mi, gdym tłumaczył wychowańcom petersburskim, jak ich oszukiwano, prawiąc im o uskramianiu przez Suworowa ludów zachodnich, buntujących się przeciwko carskiej władzy, która jedynie dla ich dobra powściągała ich dzikość i żądze wzajemnego tępienia się. Gdy przeciwnie, ludy te należą do najoświeceńszych w Europie, a właśnie Moskwa liczy się do nawpół dzikich. Carska władza rzeczywiście w Moskwie jest wszechwładną, ale na ludy zachodnie nie wywiera żadnego dodatniego wpływu, owszem, jako władza bezwzględnie despotyczna, obudza wstręt niemal pogardę w tejże ludności, która już przyszła do pojęcia godności własnej.

Przez cały ciąg pobytu mojego w areszcie w Kielcach, pomimo tego, iż byłem wszystkim

urzędnikom gubernialnym i po większej części obywatelom okolicznym dobrze znanym, żaden się nie znalazł taki, któryby mnie zdradził, bądź to w chęci przypodobania się rządowi najezdniczemu, bądź też przez lekkomyślną gadatliwość. Nawet ci Polacy nie liczni, którzy dopiero po upadku powstania weszli do bezpośredniej służby cywilnej moskiewskiej, jak Lisiecki, pełniący służbę sekretarza przy gubernatorze wojennym moskiewskim, generale Bohlenie, jako też i szwagier jego Frieben, pełniący przy tymże generale służbę urzędnika do szczególnych poruczeń, czyli szpiega, nie zdradzili mnie, ale przeciwnie najbezinteresowniej oświadczyli się być gotowymi na moje usługi.

Objawy te szlachetne przekonywającym były dowodem, iż pomimo bezwzględnego ucisku pod srogimi rządami cara Mikołaja, duch polski nie tylko nie upadł, ale owszem stanowczo wpływał nie tylko na umysły Polaków zbłąkanych, wstrzymując ich od zupełnego moralnego upadku, ale, oddziaływał skutecznie na załogi moskiewskie, rozlokowane po kraju.

Pobyt tychże ciągły wśród Polaków i zawiązane z nimi stosunki, wpłynęły skutecznie na obudzenie w Moskalach poczucia godności osobistej, a zarazem sprawiedliwości, przez co podsycana w nich przez rząd pogarda i nienawiść przeciwko Lachom, zmieniła się w szacunek i dosyć żywe dla tychże współczucie.

Objawy te wstrętne były rządowi carskiemu, przeto, aby to zbliżenie się zdobywców do podbitych stanowczo zerwać, całemu korpusowi Rüdigera, od lat sześciu kwaterującemu w Polsce, nakazano nagły wymarsz w głąb Moskwy, nad Wołgę. Rozkaz ten przyjętym był, szczególniej przez oficerów, z największem niezadowolnieniem i przeważna też ich liczba podała się do dymisji.

Nareszcie 28 Czerwca 1836 roku zawiadomiono mnie urzędownie, iż z Warszawy przyszedł rozkaz uwolnienia mnie, z warunkiem jednak, abym poprzednio obrał sobie miejsce czasowego pobytu, gdzie pod nadzorem władzy miejscowej pozostanę, bez pozwolenia której wydalać mi się z miejsca obranego nie wolno.

Oświadczyłem więc, że za miejsce tymczasowego mego pobytu wybieram sobie wieś Zgórsko, w powiecie Kieleckim, będącą własnością Teodora Ślaskiego, byłego posła na sejm z powiatu Kieleckiego i poddaję się nadzorowi jego.

Po podpisaniu tej mojej deklaracji, przeniosłem się z aresztu na mieszkanie do Zgórska o 9 wiorst od Kielc, stolicy gubernji odległego, a raczej do dworu dobrego mego przyjaciela Teodora Ślaskiego.

Brat jego Władysław był komisarzem obwodu Kieleckiego, Antoni Walewski był wówczas gubernatorem cywilnym gubernji Kieleckiej.

Tak Walewski, a tembardzie Władysław Ślaski, jak i wszyscy wyżsi urzędnicy gubernialni byli mi dobrze znani, dosyć więc często odwiedzałem Kielce, starając się o wyjednanie sobie tymczasowego do Krakowa paszportu.

Otóż w czasie jednej z takich moich do Kielc wycieczek, nie długo po wyjsciu mojem z aresztu, gdym wracał po obiedzie, na którym byłem u Władysława Ślaskiego, jadąc z powrotem do Zgórska szosą krakowską, z którą w kierunku ukośnym łączy się w bliskości Kielc droga, idąca od zakładu fabrycznego rządowego wyrobów żelaznych w Białogonie, spostrzegłem na szosie Białogońskiej szereg powozów, zajętych przez wyższych oficerów moskiewskich, dojeżdżający do drogi krakowskiej, po której jechałem.

Nie mając znajomych pomiędzy Moskalami, nie przypatrywałem się, owszem odwróciłem się w przeciwną stronę; gdy w tem usłyszałem z powozu, który na przodzie jechał, donośne wołanie «panie Alfredzie»! Obejrzawszy się, zobaczyłem, iż z powozu pierwszego, który przystanął, a za nim wszystkie jadące zatrzymały się, wysiadł generał moskiewski i przeszedł na szosę, po której ja jechałem. Kazałem więc przystanąć mojemu woźnicy i wysiadłszy z bryczki, idę ku temu generałowi, który szedł ku mnie, w głowę zachodząc, co to za generał moskiewski, któremu imię moje znanem jest.

Gdym się do niego zblizył, ten się odzywa:

« Cóż to nie poznajesz mnie starego znajomego? »

Na to odrzekłem mu, « przyznam się panu generałowi, że w tym mundurze poznać go nie mogłem, bośmy się znali, gdy generał polski mundur nosił ».

« No, mój kochany, nie dziw się, bo nieszczęsne wypadki zmusiły mnie do przywdziania tego munduru, w którym mogę być niejednemu pomocnym. Pamiętam zawsze o dawnych znajomych, ucieszyłem się więc dostrzegłszy cię jadącego i nie mogłem sobie odmówić tej przyjemności, aby się z tobą nie przywitać i nie pomówić choć krótką chwilę. »

W mojem położeniu musiałem przyjąć to uprzejme oświadczenie od generała, którym był osławiony Rożniecki.

Znajomość moja z nim odnosi się do czasu nabycia przez niego dóbr Łaziska, w powiecie Stanisławowskim, gubernji Warszawskiej położonych, na których zabezpieczonym był kapitał, przypadły mi w spadku po matce mojej z domu Borzęckiej.

Był to człowiek szerokiej i gruntownej wiedzy i znakomitych zdolności, nie tylko pod względem wojskowym, ale i wszechstronnie wykształcony, ale na swoje i Polski nieszczęście, bez charakteru. Gdym w roku 1824 z powodu mej wierzytelności wszedł z nim w stosunki, Rożniecki był wówczas generałem broni, dowódcą całej jazdy polskiej, dowódcą żandarmeryi, a

co najsmutniejsza, naczelnikiem tajnej policji; oświadczył mi jednak przy pierwszem mojem widzeniu się z nim, iż ma obowiązki względem mojej rodziny, a tem samem i względem mnie.

« Z wujem twoim rzekł, Piotrem Borzęckim, byłem w szkole kadetów, on mnie zaszczycał swoją przyjaźnią, a że był bardzo zamożnym, wspomagał mnie niejednokrotnie. Następnie, pierwszy mąż twojej matki, pułkownik Stanisław Dembowski, naczelnik kancelarji wojennej Rzeczypospolitej Polskiej, za króla Poniatowskiego, wyjednał mi po ukończeniu szkoły kadetów nominacją na porucznika w jeździe narodowej. Nie mogę ci więc nie być przychylnym, zwłaszcza, że z rysów twarzy przypominasz mi twego wuja ».

Pomimo tego, iż Rożniecki był naczelnikiem tajnej policji, nie taiłem przed nim moich przekonań, ani też mej nienawiści do Moskali. Nie starał się jednak odwieść mnie od tych przekonań, ale usiłował przy każdej sposobności tłumaczyć się ze swego postępowania i starał się wykazać, iż pod względem uczuć patrjotycznych lepszym jest w gruncie, aniżeli na pozór się wydaje. Że naczelnictwo tajnej policji przyjął dla tego jedynie, aby zasłonić obywateli od daleko dokuczliwszego prześladowania, gdyby ono dostało się w ręce Moskala. Zgoła, że w stosunkach ze mną przed powstaniem 1830 r. wyraźnie miał na względzie przekonanie mnie, iż

nie jest tak złym Polakiem, za jakiego jest powszechnie uważanym. Rachował zdaje się na to, że tym sposobem zyskać może we mnie, w obec ówczesnej młodzieży obrońcę, której zbyt złe o nim wyobrażenie może choć w części złagodzić. Łudził on się wprawdzie w tym względzie, bo postępowanie jego, jako Polaka, było tak haniebnem, że usprawiedliwionem niczem być nie mogło. Chociaż pod względem polskości, nie lepsi od niego byli generałowie: Wincenty Krasiński, Hauke Maurycy, Potocki Stanisław, Kurnatowski Zygmunt, Trębicki Stanisław, ale przynajmniej nie z takim cynizmem i nie tak jawnie, objawiali swą dla Moskali służalczość.

W spotkaniu się. mojem przypadkowem na gościńcu publicznym pod Kielcami, po sześcioletniem niewidzeniu się ze mną, okazał się równie uprzejmym dla mnie, jak był dawniej.

O kilkadziesiąt kroków od powozów i licznego otoczenia swego, które się zatrzymało na gościńcu Białogońskim, chodził ze mną, przeszedłszy na szosę krakowską, wziąwszy mnie pod ramię i rozmawiał, wypytując się o żonę moją, o dzieci, o dalszą rodzinę moją, a szczególniej o ciotki moje, jednę Borzęcką, a drugą, Potocką. Spacer ten trwał przeszło kwandrans, poczem uściskawszy mnie serdecznie, powrócił do swojego otoczenia i z niem ruszył do Kielc, a ja w przeciwną stronę, do mojej tymczasowej siedziby, do Zgórska.

Coś w półtora tygodnia po tem spotkaniu się mojem z Rożnieckim na gościńcu, pojechałem znowu do Kielc, bo chciałem jak najprędzej wyrobić sobie paszport tymczasowy do Krakowa, którego otrzymanie zawisłem było od dobrej woli nie tylko polskich urzędników, ale i od moskiewskich władz wojskowych, a mianowicie od dowódzcy żandarmerji.

Za obecnem przybyciem mojem do Kielc, doznałem ogromnej zmiany i to na moją korzyść w obejściu się ze mną oficerów moskiewskich, wszyscy prawie z największą uprzejmością, a raczej jakiemś uszanowaniem salutowali mnie, szczególniej okazał się dla mnie nader uprzejmym dowódca żandarmerji miejscowej, kapitan Szwejkowski, od którego opinji głównie zależało otrzymanie paszportu.

Domyśliłem się, że tę szczególną uprzejmość wojskowych moskiewskich dla mnie, zawdzięczam owemu przypadkowemu spotkaniu się mojemu z generałem Rożnieckim w obecności ich. Potwierdził mi to Władysław Ślaski, komisarz obwodu Kieleckiego, który powiedział mi, że Moskale w głowę zachodzą i połapać się nie mogą, co zacz ten Młocki, który niedawno wypuszczony z kozy, jest w tak przyjaznych stosunkach z generałem Rożnieckim, musi to być majster, którego drażnić niebezpiecznie.

To też spotkanie ułatwiło mi otrzymanie paszportu czasowego, który z końcem Sierpnia

1836 r. otrzymawszy, w pierwszych dniach Września, po pięciomiesięcznej nieobecności wróciłem do Krakowa.

Na drugi dzień po mojem przybyciu spotkałem się z Adolfem Krajewskim, który okazał największe zadowolnienie zobaczenia mnie i zaraz zapytał:

« Czy za paszportem, wydanym przez władze Królestwa Polskiego przybyłeś? »

« A nie inaczej » odrzekłem.

« Cieszę się nadzwyczajnie, zawołał Krajewski, najprzód, że pana widzę w dobrem zdrowiu, a powtóre, że teraz będę mógł śmiało wykłuć oczy temu niegodziwemu Miecznikowskiemu, majorowi, który jak się okazuje, denuncjował pana fałszywie konsulowi moskiewskiemu Sternbergowi, żeś służył w wojsku polskiem w czasie powstania, czemu przeczyłem stanowczo, twierdząc, żeś pan mieszkał w Krakowie w czasie powstania i żeś polował ze mną i z Kosteckim; on zaś utrzymywał, że się mylę i kompromitował mnie w obec konsula. Skoro więc pan otrzymałeś paszport od władz Królestwa, ten jest najlepszym dowodem, żeś pan w powstaniu nie służył, bo gdyby tak było, jak Miecznikowski twierdził, to byś pan był według carskiego ukazu, nie do Krakowa, ale do Orenburga pojechał. »

Oświadczenie to Krajewskiego, niespodziewaną było dla mnie nowością, którą nader

przykre zrobiła na mnie wrażenie, bom nigdy nie przypuszczał, aby oficer byłych wojsk polskich, zamieszkały w Krakowie, mógł się zniżyć do podłej roli denuncjanta i szpiega moskiewskiego.

Powstanie z r. 1830 zastało Franciszka Miecznikowskiego kapitanem w pułku 2 strzelców konnych, i jak wielu innych oficerów, tak i jego posunęło o stopień wyżej. Został więc majorem. Należał on jednak do niechętnych powstaniu, którzy pomimo awansu, jakim ich obdarzyło powstanie, nie mogli mu przebaczyć, iż zakłócało ich spokojność i narażało na wstrętną im niepewność.

Rząd narodowy zamiast tych ludzi niechętnych powstaniu usunąć całkiem od służby, użył ich pierwiastkowo na linji bojowej, gdzie niezdarność ich i zła wola okazały się zbyt szkodliwemi dla sprawy, aby ich na stanowiskach im poruczonych mógł nadal zatrzymać. Chwycił się środka najmniej właściwego, a raczej najzgubniejszego, bo im powierzył zajęcia w kraju, których właśnie cała skuteczność, od sprężystości i dobrych ich chęci jedynie zawisłą była. To też organizacja sił znajdujących się w kraju, ku wspieraniu powstania, najniedołężniej i z największą niechęcią prowadzona przez tych odstępców, szerząc zwątpienie, jakiem sami przejęci byli, sprowadziła zupełny rozstrój i z największą szkodą powstania przyczyniła się

do zmarnowania zupełnego tych sił i zasobów, które, gdyby były w właściwym czasie spożytkowane, byłyby niewątpliwie wpłynąć mogły na pomyślny przebieg wypadków wojennych, na korzyść powstania, przez wytworzenie poważnego korpusu, który byłby stanowczo zagroził tyłom głównej armji moskiewskiej pod Warszawą zgromadzonej. Gdy zaś niechętni organizatorowie powstania, mając do dyspozycji konie w trzech województwach, wolnych od najazdu, przez ciąg kilku miesięcy nie mogli się zdobyć na dostarczenie koni dla 30 gotowych szwadronów jazdy naszej, zbezwładnili ją zupełnie do obrony ziemi własnej. Wtedy Paskiewicz, wódz moskiewski, przeszedłszy pod Nieszawą na lewy brzeg Wisły, bez żadnego oporu ze strony Skrzyneckiego, wodza powstania, dotarł do Łowicza, w mieście tem nabył od właścicieli ziemskich w kilku dniach, dla spieszonej swej jazdy 4000 koni, których nasi organizatorowie przez ciąg trzech miesięcy odszukać nie mogli.

Miecznikowski, major należący do niechętnych, przysłanym był na początku powstania na plackomendanta miasta Kielc, stolicy województwa Krakowskiego. Zachowanie się jego na tem stanowisku całkiem było ujemnem dla powstania, tak jak wszystkich jemu podobnych, którzy wzięli sobie za zadanie, wszystko utrudniać i zwlekać, dla zbezwładnienia oporu i przyspiesze-

nia upadku powstania, uważając je ze swego stanowiska, jako niedogodną dla nich burdę, której zakończenia jak najprędszego pragnęli, w nadziei płonnej, iż Moskwa po upadku powstania stan dawny utrzyma i oni swobodnie znów będą mogli paradować na Saskim placu.

Ponieważ pułk szósty strzelców pieszych, w którym służyłem, organizował się w Kielcach, przeto Miecznikowski, jako plackomendant, miał z nim stosunki, wiedział więc, że byłem porucznikiem w drugim batalionie, dowódzcą drugiej karabinierskiej kompanji i w denuncjacji swej, szczegóły te podał do wiadomości konsula moskiewskiego w Krakowie. Uczciwości jedynie urzędników gubernialnych gubernji Kieleckiej, obywateli tejże gubernji a nawet i tych, którzy pomimo przyjęcia służby bezpośredniej u Moskali, mieli jednak tyle jeszcze uczucia godności osobistej, iż nie zniżyli się do podłej roli denuncjonowania wrogom własnych ziomków, zawdzięczam moje wyswobodzenie z grożącego mi nieszczęścia.

Po trzytygodniowym pobycie moim w Krakowie, powróciłem do Królestwa Polskiego, dla wyrobienia sobie paszportu emigracyjnego. Jakem to już nadmienił, spotkanie się moje przypadkowe z generałem Różnieckim, wracającym z Białogonu, nie mało się przyczyniło do ułatwienia mi tego zadania.

Dowódzca miejscowej w Kielcach żandar-

merji moskiewskiej, kapitan Szwejkowski, od czasu mojego spotkania z Różnieckim, którego był naocznym świadkiem, bardzo był dla mnie uprzejmym, a że głównie od jego opinji zależało otrzymanie paszportu emigracyjnego, o który się starałem, nie robił mi trudności, i owszem dał opinią przychylną.

Na podstawie tej opinji, władza gubernialna wydała mi paszport emigracyjny, który mi doręczonym został 24 Stycznia 1837 r.

Z nim wróciwszy do Krakowa, uchwałą Senatu Rządzącego wolnego miasta Krakowa i jego okręgu z dnia 16/2 1837 r. zostałem wpisanym w księgę obywateli krajowych, zapewniony mając stały pobyt w mieście Krakowie i jego okręgu.

SPRAWOZDANIE

O WYPADKACH ZASZŁYCH W KRAKOWIE

w dniach 25 i 26 kwietnia 1848.

Z POLECENIA

Prezesa Komitetu Narodowego Krakowskiego

KRZYŻANOWSKIEGO JÓZEFA

przezemnie jako członka tegoż Komitetu spisane.

SPRAWOZDANIE

O wypadkach zaszłych w Krakowie w dniach 25 i 26 kwietnia 1848. Z polecenia Prezesa Komitetu Narodowego Krakowskiego, Krzyżanowskiego Józefa, przezemnie jako Członka tegoż Komitetu spisane.

Walka stoczona na bruku wiedeńskim, jakkolwiek zakończona zwycięztwem dla ludu, nie pociągnęła za sobą radykalnej zmiany rządu. Wprawdzie Metternich obalonym został, ale system, którego on był wyobrazicielem, pozostał nietkniętym. Ta sama biurokracja, która władała samowładnie państwem przed rewolucją, ta sama biurokracja zatrzymując w swem ręku ster rządu, zwróciła wszystkie usiłowania swoje, do tłumienia rozwijających się swobód i do odzyskania napowrót nieograniczonej władzy. Z zwykłą sobie przebiegłością dążąc do osiągnienia zamierzonego celu, w działaniach swoich podwójny przybrała charakter. W Wiedniu, gdzie skoncentrowany żywioł rewolucyjny, zbyt jej się zdawał silnym, aby go można otwartą pokonać przemocą, starała się go uśpić i ubezwładnić, przyznawaniem mu koncessji,

ogłaszaniem liberalnych zasad. których moc obowiązująca po za rogatki Wiednia sięgnąć nie miała. W masce liberalizmu ukazująca się biurokracja mieszkańcom Wiednia, i utrzymująca skrzętnie tamże nienawiść swoją ku nowemu porządkowi, z całą zaciętością starała się go gnębić na prowincji, i to tem jawniej i tem gwałtowniej, im odleglejszem było jej stanowisko od stolicy. Ze wszystkich prowincji cesarstwa, Galicja i Kraków, przez swoje położenie ulegały najwszechwładniejszemu despotyzmowi biurokracji. Były one jej Eldoradem, w którym wszelkiego rodzaju bezprawiów i gwałtów bezkarnie dopuszczać się mogła. Bo kto nie był urzędnikiem, ten jako istota niższa uważany, mógł być bezwzględnie poświęcanym widokom i celom tej uprzywilejowanej i dzierżącej w swem ręku wszelką władzę kasty. Zmiany zaszłe w Wiedniu i zaręczenie poszanowania narodowości wszystkim ludom, pod berłem cesarza Austrji zostającym, były ciosem niweczącym wszystkie korzyści, jakich dotąd wyłącznie używała biurokracja. Wytężyła ona przeto wszystkie swoje usiłowania, aby to nieszczęście od siebie odwrócić, i bez względu na środki, utrzymać się na stanowisku korzystnem, które dotąd dzierżyła. Stanowisko jej w części Polski berłu Habsburgów podległej, tembardziej zagrożonem było, iż opinia publiczna w całych Niemczech, równie jak w Wiedniu objawiona, nie-

tylko za poszanowaniem narodowości, ale za zupełnem odbudowaniem Polski, jako państwa niepodległego, w dawnych granicach, stanowczo zdanie swoje orzekła.

Rząd przyrzekając w ogóle poszanowanie narodowości, bez określenia ściślejszego w tym względzie zamiarów swoich, zdawał się uznawać to powszechne świata cywilizowanego żądanie. Łatwo pojąć, iż biurokracja, dla której główną i żywotną kwestją było, utrzymanie się przy despotycznej władzy, jaką dotąd bez żadnego ograniczenia w prowincji polskiej dzierżyła, wbrew opinji publicznej objawionej w Wiedniu i w całej ucywilizowanej Europie, zwróciła wszystkie środki, jakie miała w swej mocy, aby nie tylko zamierzone odbudowanie Polski do skutku przyjść nie mogło, ale nawet zagwarantowana narodowość jej mieszkańcom, pod berłem Habsburgskiem zostającym, pozostała martwą literą. Nie śmiejąc jednak w pierwszych chwilach zapału odradzającego się ducha wolności jawnie działać, starała się podstępnie tak rzeczy prowadzić, aby w danej chwili, mieć choć pozorny powód użycia gwałtu, który, jak się to jej już tyle razy udawało, spodziewała się usprawiedliwić, z bezczelnością sobie właściwą zwalając winę onego na ofiary swoje. Katastrofa, która obecnie spotkała Kraków, jest tego najoczywistszym dowodem. Z przytoczenia prostego i rzetelnego faktu wyświeca się postępo-

wanie zbrodnicze i machiawelskie biurokracji w tem mieście.

Lud krakowski radośnie powitał wypadki, zaszłe w Wiedniu, bo w nich widział świtającą jutrzenkę przyszłego swego oswobodzenia. Gdy go zaś doszły niewątpliwe wieści, że lud wiedeński skruszywszy swe pęta, pragnie długo zwlekaną wymierzyć sprawiedliwość Polsce, z całą serdecznością podał mu dłoń bratnią i odtąd znikły wszystkie niechęci. Polak zapomniawszy krzywd wyrządzonych mu, chciał być szczerze bratem Wiedeńczyka; chciał wraz z nim walczyć przeciw wspólnemu wrogowi wolności. Austrją począł uważać jako swego naturalnego sprzymierzeńca, i przejął się tą wiarą, iż ona w własnym interesie dopomoże mu do odzyskania tej ojczyzny, dla której tyle już cierpiał i do której jego wytrwałe i żadnemi klęskami nie zachwiane przywiązanie, zjednało mu współczucie i poszanowanie u wszystkich narodów cywilizowanych. Tą myślą ożywiony lud krakowski, z całą ufnością w świętość swej sprawy i współczucie ludu wiedeńskiego, rozpoczął działanie swoje, przez zgromadzenie się w sali amfiteatru Nowodworskiego w d. 28 Marca, i tam wybrał komitet obywatelski, aby tenże był pośrednikiem pomiędzy ludem a rządem austrjackim, w przygotowaniu środków, któreby postawiły Kraków w możności mienia udziału czynnego w odbudowaniu Polski.

Komitet obywatelski zaledwie zawiązany, doznał stanowczego oporu ze strony starosty barona Kriega (syna), pełniącego tymczasowo obowiązki nadwornego komisarza cesarskiego. Przybycie do Krakowa deputacji obywateli galicyjskich, udających się do Wiednia, dla przedłożenia Najjaśniejszemu Panu żądań słusznych narodu polskiego, do której deputacji przyłączyli się wybrani członkowie komitetu i obywatele krakowscy, dało pochop baronowi Kriegowi do wystąpienia energicznego przeciwko komitetowi. Zastępca komisarza rządowego przybywszy osobiście do sali obrad komitetu, starał się naprzód prośbą nakłonić Komitet do rozwiązania się; wreszcie po bezskutecznem w ten sposób rokowaniu, zagroził użyciem siły zniewolić Komitet do rozwiązania się; w końcu jednak poprzestał na zawieszeniu tylko czynności Komitetu, aż do powrotu wysłanej przez Komitet deputacji z Wiednia. Krok ten samowolny barona Kriega, przeciwny już przyznanej wolności obradowania, w celu publicznego dobra, niemiłe w Krakowie sprawił wrażenie. Obywatele tego miasta uważając postępek barona Kriega za niezgodny z obecnym stanem rzeczy, gdy nadto powrót deputacji z Wiednia przedłużał się, wezwali Komitet, aby zażądał od barona Kriega, cofnięcia zawieszenia obrad Komitetu. Zadosyć czyniąc woli obywateli Komitet przedłożył ich życzenia baronowi Krie-

gowi, zwracając jego uwagę, iż tamowaniem obrad uprawnionych nowym porządkiem rzeczy, wywołuje oburzenie umysłów, którego powinien dla dobra samego rządu unikać. Starosta był jednak nieugiętym, odpowiedziawszy: «iż z formami, które dopiero od dni 14-tu istnieją obeznanym nie jest, a według dawnych przepisów, które dla niego mają moc obowiązującą, zezwolić na to nie może.» Komitet obywatelski w skutku tej odpowiedzi zastępcy komisarza cesarskiego, nie chcąc ani łamać danego mu słowa, ani bezczynnością swoją zawodzić położonego w nim zaufania przez swych współobywateli, rozwiązał się. Lecz obywatele krakowscy zgromadziwszy się w amfiteatrze Nowodworskim, na nowo wybrali Komitet z nazwą Narodowy. Do tego Komitetu, obywatele zgromadzeni, powoławszy wszystkich członków rozwiązanego Komitetu obywatelskiego, powiększyli go pewną liczbą członków, dając mu moc przybierania do swego grona nadal, wedle uznanej potrzeby, większą ilość członków. Po uskutecznieniu tego wyboru, cała massa zgromadzonych obywateli udała się w największym porządku do mieszkania barona Kriega, i uszykowawszy się na ulicy Ś-go Jana, wysłała z grona swego kilku obywateli z prośbą o potwierdzenie tego nowego wyboru.

Baron Krieg, który w dniu poprzednim nie chciał się skłonić do przedłożeń Komitetu oby-

watelskiego, widząc z okien swojego mieszkania tę poważną, acz spokojną i bezbronną massę obywateli, przychylił się do jej żądań. Komitet Narodowy krakowski w tym samym dniu rozpocząwszy czynności swoje, odniósł się do swojej deputacji w Wiedniu będącej, aby też potwierdzenie wybranego przez obywateli krakowskich Komitetu Narodowego u tronu wyjednała. W skutku przedstawień deputacji, minister spraw wewnętrznych baron Pillersdorf, z woli Najjaśniejszego Pana, wybór Komitetu Narodowego reskryptem z dnia 13 Kwietnia zatwierdził. Pomimo jednak tego, całe zachowanie się następne barona Kriega względem Komitetu i ludności krakowskiej, skierowanem było do stopniowego draźnienia umysłów i wywołania tym sposobem zaburzenia, aby mieć powód do użycia przemocy, do przytłumienia w samym zarodzie tego rozwijającego się życia narodowego, którym pod tarczą instytucji zdobytych w Wiedniu, zaczęto oddychać w Krakowie. Zaledwie albowiem kilka godzin upłynęło od rozpoczęcia czynności nowo obranego Komitetu Narodowego, na którego istnienie sam baron Krieg zezwolił, gdy odezwą swoją, cofając przyzwolenie swoje, zaprotestował przeciw działaniu Komitetu Narodowego, uznając tylko istnienie Komitetu obywatelskiego, który dniem wprzódy uporem swoim zmusił do rozwiązania się. Postępowanie to barona Kriega rzucało na

niego słuszne podejrzenie nieszczerości, a chwytanie się wybiegów dla odwołania raz danego w obec tylu świadków słowa, niezgodne z wysokiem dostojeństwem komisarza nadwornego cesarskiego, które zastępczo piastował, w fałszywem i niekorzystnem świetle stawiało go w oczach ludu prawego, który gardzi obłudą i więcej się nią oburza, aniżeli jawnie dokonanym gwałtem. Przykre z tego powodu wrażenia zamiast starać się łagodzić, jątrzył przeciwnie komisarz rządowy, tamowaniem ciągłem działań Komitetu Narodowego, niedozwalaniem mu wydawania odezw, które jedynie mogły uspokoić umysły i wzbudzić zaufanie do istniejącej władzy. Jednym z głównych zadań Komitetu było pojednanie narodowych żywiołów, zwaśnionych siedemdziesięcioletniemi knowaniami biurokracji, których skutkiem była krwawa 1846 r. katastrofa. Dla osiągnienia zamierzonego celu pojednania, zawezwał Komitet współobywateli swoich na narady, których wynikiem było postanowienie aby właściciele ziemscy przez dobrowolną ofiarę zrzekli się na korzyść włościan praw swoich do robocizny, danin i czynszów, dotąd obowiązujących, i tym czynem dając niewątpliwy dowód bezinteresownego współczucia dla braci swych włościan, załagodzili i na wieczne czasy usunęli powód do niechęci, z których dotąd z taką dla narodu polskiego szkodą biurokracja korzystać umiała. Postanowienie to Komitetu

Narodowego, trafiło do przekonania posiadaczy ziemskich, gdyż pojęli, iż tylko tym sposobem usuwając ziarno niezgody i węzłem wspólnego dobra łącząc cały polski naród, ułatwią wyrobienie się siły, zdolnej zniweczyć zamachy wewnętrznych i zewnętrznych wrogów, a zarazem zapewniając byt osób i bezpieczeństwo własności w kraju, uczynią niemożliwem dla biurokracji wywołanie ponowne straszliwych r. 1846 wypadków. Postanowienie to posiadaczy ziemskich przesłanem zostało przez Komitet Narodowy do deputacji naszej wówczas w Wiedniu się znajdującej, aby jako niezbędne i nieodzowne dla dobra powszechnego, przedłożonem było Najjaśniejszemu Panu.

Monarcha odesłał deputacją dla porozumienia się w tym względzie do ministra spraw wewnętrznych barona Pillersdorfa, a ten w imieniu Najjaśniejszego Pana, reskryptem swoim z d. 13 Kwietnia zatwierdził prawomocność właścicieli do uwłaszczenia włościan, z tem wyraźnem oświadczeniem, iż jedynie właścicielom ziemskim przysłuża prawo rozrządzania własnością, a tem samem i uwłaszczenia włościan. Lecz właśnie osiągnienie tych zbawiennych z uwłaszczenia następstw, wprost przeciwnem było interesowi biurokracji, która niechęć włościan do dziedziców, nieuwłaszczonych do właścicieli, uważając za główną podstawę swego wszechwładztwa, zajęła się jak najczynniej

uniemożliwieniem tego postanowienia właścicieli ziemskich.

I zaledwie też doszło do wiadomości urzędów, iż właściciele ziemscy dla pojednania się z włościanami zaczynają takowych uwłaszczać, natychmiast baron Krieg wydał rozkaz, jak najsurowiej polecający podwładnym urzędnikom oparcie się przeprowadzeniu zamierzonego przez właścicieli ziemskich uwłaszczenia. Podobne rozporządzenie wydał gubernator Galicji hrabia Stadyon, a starostowie po cyrkułach nakazali obywateli, którzyby się na ten krok odważyli, wiązać i do cyrkułu odstawiać (1).

Straż finansowa jednocześnie wystąpiła z projektem urządzenia nowej rzezi w Galicji. W cyrkule krakowskim komisarz dystryktowy Ambros, wprost włościan do rzezi namawiał, i pomimo zeznania wiarogodnych świadków, czyn ten jego niecny dowodzących, domagania się Komitetu u Barona Kriega o zarządzenie śledztwa i pociągnięcie do odpowiedzialności pomienionego urzędnika, zostały bezskutecznemi.

Zachowanie się to biurokracji jawnie wykazało: tak dążność jej do ponowienia mordów z r. 1846, jakoteż i usiłowanie do obalenia nowo rozwijającego się systemu konstytucyjnego, który cesarz wszystkim ludom pod berłem jego zostającym uroczyście zaręczył.

(1) Rozporządzenie takie Loscota starosty Wadowickiego przysłano Komitetowi.

Dalszym zadaniem czynności Komitetu Narodowego, wypływającem z uroczystego zaręczenia Najjaśniejszego Pana narodowości naszej, było doprowadzenie do skutku połączenie cyrkułu krakowskiego z Galicją. Polecił więc Komitet deputacji wysłanej do Wiednia, aby żądanie to przedłożyła Najjaśniejszemu Panu, starając się jak najsilniej o wyjednanie przyzwolenia na to połączenie, z samej natury rzeczy wypływające. Lecz minister spraw zagranicznych hr. Fiquelmont zimno odpowiedział deputacyi : « że kwestja ta do dyplomacji należy ». Odpowiedzią tą minister zaprzeczył prawom narodowości naszej, przyznanym manifestem cesarskim, i rozbój dokonany na Krakowie w r. 1846 uważał jako czyn legalny, za który odpowiedzialność brał na siebie nowy rząd konstytucyjny.

Tak w każdym kroku biurokracja dawała uczuć to lekceważenie nowego porządku rzeczy, to działanie wprost przeciwne rozwijaniu się stopniowemu instytucji, zaręczonych manifestem cesarskim. Skutków tej nienawiści ku nowym instytucjom i wyrachowanego oporu w zastosowaniu ich praktycznem, doznała ze strony biurokracji w Krakowie organizacja Gwardji Narodowej, tej pierwszej podstawy bezpieczeństwa publicznego. Czuli ważność tej instytucji obywatele Krakowa, czuł ją Komitet Narodowy, lecz w zaprowadzeniu jej napotkali na niczem

niedający się przełamać opór barona Kriega. W mieście o ile było w mocy jego, wstrzymywał on zawiązanie się Gwardji Narodowej, a na prowincyi tworzenia onej stanowczo zakazał.

Kiedy po wszystkich zwłokach i przeszkodach, stawianych ze strony rządu miejscowego, obywatele dopełnili nareszcie obioru oficerów Gwardyi Narodowej i zażądali zwrotu broni, która kosztem ich dla milicji krakowskiej nabyta, w r. 1846 przez władze austrjackie zabraną została, nie mogli wyjednać u barona Kriega stanowczej na to odpowiedzi. Próżne były w tym względzie Komitetu Narodowego przedstawienia, łudził go komisarz cesarski to zapewnieniem, że o zwrot tej broni władzę właściwą zawezwał, to że broń chociaż nie ta, którą miastu zabrano, ale inna dla całej Gwardji Narodowej niezawodnie nadesłaną zostanie; a łudził jedynie w tym celu, aby zyskać na czasie, i uzbrojenie Gwardyi Narodowej jak najdłużej odwlec, bo uorganizowanie tej siły zabezpieczającej utrzymanie spokojności i bezpieczeństwa, właśnie nie zgadzało się z widokami biurokracji, która w wywołaniu zaburzenia upatrywała najskuteczniejszy środek do zupełnego przywrócenia jej dawnej przewagi.

Tymczasem odgłos zniesienia wszędzie dawnej przemocy, odgłos wzajemnego braterstwa między ludami, a tem samem i poszanowanie

praw pokrzywdzonych dawniej narodowości, przebiegłszy Europę, otworzył drogę do ziemi ojczystej i naszym nieszczęśliwym braciom, znoszącym od lat 17 wytrwale męki tułactwa. Władze austrjackie nie tamowały im wstępu na ziemię krakowską, a z każdym dniem wzrastała liczba tułaczy przybywających. Krakowianie przyjmując ich z serdecznością, zajmowali się zarazem obmyśleniem środków przyszłego ich zatrudnienia. W tym celu po naradzeniu się z Komitetem Narodowym, wysłaną została deputacja, złożona z dwóch obywateli krakowskich: Maurycego hr. Potockiego i Lüjego, oraz z wychodzców Broniewskiego i Rottermunda do Wiednia, celem wyjednania u Najjaśniejszego Pana pozwolenia, utworzenia z przybyłych i przybyć mających tułaczy kolumn polskich, w którychby z pożytkiem dla kraju służąc, mogli tem samem mieć zabezpieczone utrzymanie swoje.

Z rozrzewnieniem witali Krakowianie codziennie przybywających na ziemię rodzinną braci, nie przeczuwając, że ich otacza zdrada i że rozkosz tę wzajemną wielu obywateli miejscowych równie jak i wielu braci tułaczy, niebawem miało przypłacić kalectwem i śmiercią. W miarę albowiem radości, jaką w mieszkańcach Krakowa wzbudzał powrót wygnańców, wzrastała coraz jawniej niechęć i zła wola nadwornego komisarza cesarskiego barona Kriega, równie

jak i dwuznaczna nieufność dowodzącego wojskiem cesarsko-austryackiem generała feldmarszałka hrabiego Castiglione.

Niechęć ta naczelników, tem jaskrawiej odbijała się u ich podwładnych, a wojsko austryackie, pomimo zupełnej zmiany, jaką wypadki zaszłe w Wiedniu, powinny były sprowadzić w jego stosunkach z obywatelami, coraz dla nich nieprzyjaźniejsze zaczęło okazywać usposobienie. Komitet Narodowy Krakowski pomimo tej jawnie objawionej niechęci i nieufności do obywateli krakowskich przez załogę austrjacką, chcąc dać dowód, że wraz z obywatelami pragnie zachować nietylko przyjazne stosunki tak z wojskiem, jak i z władzami austrjackiemi, ale że pragnie wzmocnić je ściślejszym węzłem braterstwa, zachęcił obywateli do dania uczty, na której by to pojednanie szczere nastąpić mogło. Lecz te zabiegi Komitetu i obywateli ku pojednaniu, natrafiły na uporczywą niechęć władz austrjackich, a ponowione w tym względzie rokowania, w końcu prawie ze wzgardą przez komenderującego generała hrabiego Castiglione odrzucone zostały.

Wkrótce powiększanie stopniowe załogi w mieście, podwajanie środków ostrożności, szańcowanie się na zamku, wzbronienie mieszkańcom w dnie powszednie wstępu do katedry na Wawelu, która mieszcząc najdroższe dla każdego Polaka pamiątki, jest przedmiotem szczególnej

czci, co raz boleśniejszem uczuciem przejmowało mieszkańców Krakowa, coraz dotkliwszą czyniły tę złowrogą nieufność, nasuwającą ludowi słuszne podejrzenia o nieprzyjaznych względem niego zamiarach władz austrjackich. Przygotowania wojenne ze strony rządu trwały ciągle, zwożono działa, race kongrewskie, amunicje, zaopatrywano zamek w żywność, rodziny oficerów równie jak i niższego stopnia wojskowych wynosiły się z miasta, zgoła zachowywano się tak, jakby się spodziewano co chwila napadu.

Postępowanie to władz austrjackich niczem nieusprawiedliwione, szerzyło trwogę i podejrzenie w mieście, zwłaszcza, że mieszkańcy onego, pomimo zaprowadzenia w całej monarchji instytucji gwardji narodowej, dotąd uzbrojonymi nie będąc i nie mogąc wyjednać ani zwrotu broni, będącej własnością milicji krakowskiej, ani broni prywatnej, zabranej przez władze austrjackie w 1846 r., widzieli się wystawieni na łup dowolnych gwałtów, bez możności zapobieżenia i oparcia się im.

To z jednej strony groźne stawianie na stopie wojennej załogi, wśród zupełnie spokojnego miasta, z drugiej strony uporczywe utrudnianie uorganizowania się rzeczywistego Gwardji Narodowej w mieście, a wzbronienie tworzenia się jej otwarte na prowincji, wbrew postanowieniom cesarza, coraz jawniej wykazując złą wolę władz rządowych, niepokoiło i rozjątrzało opinję

publiczną. Próżno Komitet Narodowy pragnąc usunąć postępowaniem władz austrjackich wywołane oburzenie w mieście, udawał się kilkakrotnie do barona Kriega, przekładając mu, że Krakowianie, również jak i inni dotąd pod rządem Austrji zostający Polacy, żywiąc niewątpliwą nadzieję odzyskania z pomocą Austrji niepodległości ojczyzny swojej, postępują z całą szczerością i otwartością, której najlepszym dowodem jest adres ich przedłożony Najjaśniejszemu Panu, że przeto środki ostrożności używane przez załogę miasta, dające się wytłumaczyć jedynie obecnością nieprzyjaciela, są całkiem niewłaściwe i szerzą tylko trwogę i oburzenie pomiędzy spokojnymi mieszkańcami. Że bliskość granicy moskiewskiej nie może służyć za wymówkę tym wojennym w mieście przygotowaniom, bo chcąc zabezpieczyć od moskiewskiej napaści terytorjum krakowskie, nie zamek ale główne gościńce, od Szyc, Michałowic i Barana z Królestwa kongresowego do Krakowa wiodące, strzedz i zabezpieczyć by należało. Że gdy w obecnych stosunkach bezpieczeństwo miasta polega na Gwardji Narodowej, a ta służby swojej bez uzbrojenia pełnić nie może, przeto w braku palnej broni nieodzownem jest przyzwolenie uzbrojenia jej przynajmniej w piki. Że tym sposobem zaspokoi się słuszną troskliwość o bezpieczeństwo swoje mieszkańców miasta, a zarazem Komitetowi Narodowemu możliwem

się uczyni utrzymanie spokojności wewnętrznej, której zabezpieczenie jedynie za pomocą Gwardyi Narodowej przyjął na siebie obowiązek.

Pomimo jednak tych przedłożeń Komitetu Narodowego, baron z jednostajnym uporem uzbrojeniu Gwardyi Narodowej opierał się, niespokojność zaś wywołaną przygotowaniami wojennemi załogi austrjackiej, uspokajał obłudnem zaręczeniem, że takowe jedynie przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi, to jest Moskwie, są wymierzone. Po daremnem kilkakrotnem a bezowocnem konferowaniu Komitetu Narodowego z nadwornym cesarskim komisarzem, baronem Kriegem, obywatele krakowscy zniecierpliwieni tem ciągłem odwlekaniem uzbrojenia Gwardji Narodowej, zażądali od Komitetu, aby raz jeszcze udał się do barona Kriega, i w imieniu całej ludności przedłożył mu, iż ociąganie się z uzbrojeniem Gwardyi Narodowej, w trwodze i niepewności tym dokuczliwszej utrzymuje obywateli, bo uzbrojenie i wzmacnianie zamku utwierdza ich w tem przekonaniu, że albo napad moskiewski, lub inne jakie nieodgadnione niebezpieczeństwo zagraża miastu.

Komitet Narodowy przybyłym z tem żądaniem obywatelom oświadczył, iż bezskutecznie tyle razy przekładając to wszystko baronowi Kriegowi, sądzi, iż skuteczniej będzie, jeżeli ci sami obywatele wraz z kilku członkami Komitetu, jako delegacja od ludu krakowskiego

udadzą się do barona Kriega, dla przedłożenia mu swoich żądań.

Delegacja na wniosek Komitetu utworzona, udała się do mieszkania barona Kriega, i po kilkogodzinnych z nim rokowaniach, wyjednała wreszcie u niego przyzwolenie na robienie pik, w celu tymczasowego uzbrojenia w nie Gwardji Narodowej, z warunkiem, iż takowe po otrzymaniu broni palnej, na składzie złożone zostaną.

Na mocy tego przyzwolenia, wydanego przez zastępcę komisarza nadwornego cesarskiego barona Kriega członkom delegacji obywatelskiej, niektórzy majstrowie, a między nimi obywatel Miller, zajęli się wyrabianiem pik dla uzbrojenia Gwardji Narodowej.

Wśród tej niepewności wywołanej dwuznacznem postępowaniem władz austrjackich, nadeszły święta Wielkanocne. Wiadomo z jaką uroczystością pamiątka dnia tego obchodzoną jest w kraju naszym. Podwyższało w obecnej chwili tę uroczystość religijną to przekonanie, iż z pamiątką Zmartwychwstania Pańskiego, przypadło rzeczywiste zmartwychpowstanie całej ludzkości z ucisku i poniżenia, w którem dotąd zostawała. Obecność braci naszych tułaczy w pośród nas, utwierdzała to przekonanie. Uroczystość dnia tego Krakowianie chcąc uczcić w sposób odpowiedni radości, jaką przejęci byli, zaprosili według starego ojców zwyczaju na

święcone, w salach redutowych zastawione, wszystkich braci z tułactwa przybyłych. Obecność na tej rzec można rodzinnej uczcie barona Kriega i dyrektora policji Kroebla, tem przyjemniejszą była dla mieszkańców Krakowa, iż zdawała im się być tą rękojmią zgody i jedności, do zawiązania których z władzami austrjackiemi, reprezentującemi naród niemiecki, z całą szczerością dążyli

Wśród spełnianych toastów na cześć narodu niemieckiego, bohaterskich Wiedenczyków, obecnego na tej uczcie reprezentanta Najjaśniejszego Pana, zakończyła się uczta tem pocieszającem przekonaniem, iż dnie niepewności dla Krakowa przeminęły, i że odtąd władze austryackie urzędujące w mieście, wspólnie z jego mieszkańcami do utrzymania zgody i porządku dążyć będą. Wkrótce jednak ta wiara w prawość dążności władz austrjackich okazała się mylną.

Z początkiem d. 24 Kwietnia 1848 r., jakby gromem uderzyła mieszkańców Krakowa wiadomość, że baron Krieg zakazał dalszego wpuszczania przybywających wychodzców polskich na ziemię krakowską.

Rozkaz ten niweczył całą ułudę, jaką się w dniu wczorajszym uwodzili Krakowianie, przekonywając ich dostatecznie o nikczemnej obłudzie biurokracji. Ten sam baron Krieg, który w dniu wczorajszym podawał nam bratnią dłoń i podzielał radość wspólną, w kilka

godzin później wydał rozkaz, skazujący braci naszych na nowe tułactwo, bez żadnej widocznej przyczyny, i czynem tym niedającym się niczem usprawiedliwić, rozbudzał znów nieufność i podejrzenie całej ludnosci.

Na wieść tę Komitet Narodowy zgromadziwszy się w sali posiedzeń swoich w gmachu Krzysztofory, zawiadomionym został, iż kilku wychodźcom którzy rannym pociągiem jechali, dozwolono 24 Kwietnia przybyć do Krakowa, z wyraźnem jednak zaleceniem władzom granicznym, aby od dnia tego żadnego wychodźcy na ziemię krakowską nie wpuściły.

Komitet Narodowy chcąc jak najprędzej usunąć powody oburzenia, jakie to postanowienie niespodziewane barona Kriega we wszystkich warstwach ludności obudzało, zawiadomił o niem natychmiast deputacją swoją przebywającą w Wiedniu, polecając jej jak najusilniej, aby niezwłocznie starała się wyjednać cofnięcie tego postanowienia.

Dzień 25 Kwietnia rozpoczął się uroczystością na cześć urodzin Najjaśniejszego Pana, w której wraz z władzami cywilnemi i wojskowemi austryackiemi brał udział Komitet i znaczna częśc obywateli, assystując nabożeństwu, które się na Plantacyach w pobliżu zamku odbyło. Po powrocie z uroczystości dowiedział się Komitet Narodowy, również jak i cały Kraków, o nowym gwałcie, którego się dopuścił nie już podrzędny

urzędnik, ale minister odpowiedzialny za swe czynności narodowi. Rozlepiono albowiem po rogach ulic i rozrzucono wydrukowane postanowienie ministra spraw wewnętrznych, barona Pillersdorfa, znoszące bezwarunkowo pańszczyznę i wszelkie dotąd opłacane przez włościan czynsze właścicielom ziemskim. Ta grabież samowolna własności cudzej, tembardziej była oburzającą, iż ten sam minister, który reskryptem swoim w imieniu Najjaśniejszego Pana d. 13 Kwietnia wydanym, odpowiadając deputacji na żądanie przez nią uwłaszczenia włościan Najjaśniejszemu Panu przedłożone, oświadczył wyraźnie: « iż nikt cudzą własnością prócz samego właściciela rozporządzać prawa nie ma, przeto do załatwienia tej ważnej kwestji powinna być wybrana komisja z właścicieli i zająć się doprowadzeniem do skutku uwłaszczenia ». Ten sam minister w pięć dni poźniej, wbrew przez siebie orzeczonej zasadzie i wydanemu reskryptowi, poważył się cudzą własnością samowolnie rozrządzić, i takową trzecim osobom bezprawnie podarować. Reskrypt ten w całej ohydzie objawił machiawelskie biurokracji postępowanie, która, jak się to już nadmieniło powyżej, pomimo dokonanej rewolucji w Wiedniu, nie przestała w swem ręku dzierżyć steru rządu. Przedświadczona o silnem postanowieniu właścicieli ziemskich, doprowadzenia obecnie do skutku uwłaszczenia i usamowolnienia wło-

ścian, którego im dotąd taż biurokracja pomimo ich chęci wypełnić nie dozwoliła, a nadto dowiedziawszy się, iż znaczna część właścicieli ziemskich czując, że im przysłużą prawo niewątpliwe własnością swoją rozrządzać, z takowej dar włościanom już uczyniła, postanowiła zbawienne skutki ztąd dla ogółu wypływające zniweczyć i przywłaszczając sobie prawo do cudzej własności, takową samowolnie włościanom podarowała, a to jedynie w celu obałamucenia umysłów i wmówienia w włościan, że jedynie od urzędników dobrodziejstw spodziewać się mogą.

W czynie tym bezprawnym i samowolnym wykryła się dobitnie dążność biurokracji do zjednania sobie włościan, podburzania ich przeciwko właścicielom, i ponowienia w danym razie mordów i rabunków, które z jej poduszczenia i pod jej przywództwem miały już miejsce w roku 1846. Minister baron Pillersdorf nadużywający w sposób tak oburzający swej władzy, stał się odpowiedzialnym za wszystkie nieszczęścia, jakie z powodu jego samowolnego postanowienia, niweczącego prawo własności dotknąć kraj mogły, i powinien był być jako burzący wszelkie podstawy porządku społecznego, a tem samem jako dopuszczający się zdrady kraju, pociągnionym do surowej odpowiedzialności.

Reskrypt też ten ministeryalny nietylko

w Krakowie, ale i w całej Galicyi wywołał największe oburzenie, nie z powodu usamowolnienia i uwłaszczenia włościan, bo o to się właściciele ziemscy już od r. 1845 u rządu bezskutecznie dopominali, ale z powodu podstępnego i bezprawnego przeprowadzenia go. Widziano w nim słusznie jasny powrót do znienawidzonego a powstaniem wiedeńskiem obalonego systemu Metternicha, widziano w nim na nowo rozpoczynające się panowanie gwałtu i przemocy, pod którem nikt ani swej własności, ani swego osobistego bezpieczeństwa nie mógł być pewnym. Konstytucja zapowiedziana była więc tylko czczem przyrzeczeniem, z którego sobie biurokracja bezwstydną igraszkę robiła.

Pod tem zgubnem wrażeniem, niszczącem wszelkie zaufanie do rządu, zostawali wszyscy mieszkańcy Krakowa, gdy do sali obradującego Komitetu Narodowego, około godziny 6-ej wieczorem, w towarzystwie kilku obywateli, wprowadzonym został wychodzca obywatel Horoch i przemówił w te słowa :

« Powracam z Francji na ziemię ojczystą. « Powierzono mi dowództwo nad kolumną z pięć « dziesięciu kilku osób złożoną, z których każda « zaopatrzona jest pasportem. Przeprowadziłem « oddział ten przez wszystkie kraje niemieckie « bez przeszkody i stanąłem na ziemi krakow- « skiej w Szczakowej. Tutaj otoczeni strażą fi- « nansową i policyjną, w oczach naszych ostremi

« ładunkami broń nabijającą, zostaliśmy zatrzy-
« mani. Mnie i innym czterem z kolumny po-
« zwolono jechać do Krakowa, resztę zaś po
« odebraniu im pasportów, zawrócono nazad do
« Mysłowic, na komorę pruską. »

Obywatele towarzyszący wychodzcy Horochowi, domagali się od Komitetu, aby jako organ pośredniczący pomiędzy ludem a rządem. wyjednał u naczelnika rządu barona Kriega, rozkaz przepuszczenia do Krakowa, zawróconych przez władze graniczne do Mysłowic rodaków.

Odpowiednio do tego żądania i do obowiązku swojego, Komitet polecił 6-ciu członkom swoim udać się do barona Kriega i wyjednać u niego pozwolenie przybycia do Krakowa, zatrzymanej w Mysłowicach kolumnie. Deputacja ta wysłana z grona Komitetu do barona Kriega, zastała już przed mieszkaniem jego tłum ludu, który na wieść z dworca kolei rozniesioną o zatrzymaniu braci naszych w Szczakowej, zgromadził się i z krzykiem domagał się uwolnienia ich i przybycia do Krakowa. W celu zapobieżenia nadużyciu i skłonienia barona Kriega do cofnięcia rozkazu, zabraniającego wstępu wychodzcom naszym na ziemię krakowską, deputacja przyśpieszyła kroki i stanąwszy przed baronem Kriegiem, zrobiła go uważnym na ciężką tej chwili potrzebę. Oświadczyła mu, że odmowna odpowiedź wywoła smutne następstwa; że wszystko

jest w słusznem z wielu przyczyn oburzeniu; że przynależało, albo od początku nie wpuszczać wracających braci naszych z wygnania do Krakowa, albo też, gdy się to już stało, nie cofać raz danego przyzwolenia; że w razie ztąd mogącego wyniknąć zaburzenia, gwardja narodowa nie opatrzona w broń, nie może takowemu przeszkodzić; że Komitet, gdy wstawienia się jego będą bezskutecznemi, może być zniewolonym pójść z ludem do granicy, dla wyzwolenia uwięzionych rodaków i przyprowadzenia ich do Krakowa; że nareszcie opór władzy w tej dobie nie jest na czasie, i że za wywołany tym niewłaściwym uporem nieporządek, a może i rozlew krwi i inne zgubne ztąd wynikające następności, nie kto inny, tylko sam naczelnik rządu odpowiedzialnym będzie.

Przez godzin trzy deputacja siliła się na powody przekonywające o potrzebie koniecznej przyzwolenia na przybycie do Krakowa, zatrzymanych na granicy wychodzców, ale daremnie. Baron Krieg był zimnym jak głaz na te wszystkie przedłożenia, bo jemu nie szło o uspokojenie, ale przeciwnie, o zniecierpliwienie ludności i wywołanie burdy, która by mu nastręczyła pozór do użycia najsurowszej represyi. Naturalnem też następstwem tego wyrachowanego uporu barona Kriega, nie mogło być jak tylko większe rozdrażnienie ludności, czekającej na ulicy od trzech godzin przyzwolenia na to, co

według jej przekonania, najniesprawiedliwiej było wzbronionem.

W pośród tłumu zniecierpliwionego znaleźli się usłużni agenci biurokracji i rządu moskiewskiego, którym łatwo było wykrzyknikami politycznymi pobudzić tę ludność rozdrażnioną do najścia na mieszkanie barona Kriega. W oka mgnieniu też dół domu, sień i przedpokój pierwszego piętra, zatkane zostały massą ludzi, usiłujących się wedrzeć do salonu barona Kriega. Członkowie Komitetu stanąwszy we drzwiach salonu, odpychali własnemi piersiami cisnących się, uśmierzając o ile to możliwem było, ich natarczywość. Jednocześnie prosili nadwornego komisarza, ażeby przychylną odpowiedzią grożące niebezpieczeństwo usunął. Lecz przedstawienia członków Komitetu, poparte nawet przez dyrektora policyi Krœbla, nie odniosły żadnego skutku. Dopiero wówczas, gdy od cisnącego się tłumu w przedpokoju okna wytłuczone i sprzęty zgruchotane zostały, a członkowie Komitetu zdrajcami nazwani, walcząc przez półtory godziny z massą, żadnej perswazyi słuchać już nie chcącą, na siłach fizycznych omdlewać zaczęli, uległ nareszcie baron Krieg i napisał rozkaz, dozwalający przyjazdu do Krakowa wychodzcom, zatrzymanym w Szczakowej. Lecz rozjątrzona i podżegana przez płatnych agitatorów massa, nie poprzestała już teraz na tem, zażądała, ażeby nietylko zatrzymani w Szczako-

wej wychodzcy, ale i wszyscy w dniach następnych przybyć mogący, bez przeszkody przybyć mogli do Krakowa.

Baron Krieg i na to żądanie przyzwolił. Lecz przyzwolenie to nastąpiło w chwili, gdy członkowie Komitetu przełamani siłą tłoczących się do salonu barona Kriega, wyparci z oddrzwiów, wtargnięciu tłumnemu massy oprzeć się już nie byli w stanie.

Tłum wtłoczywszy się do salonu, zażądał niezwłocznego wydania broni dla gwardji narodowej.

Przedstawienie członków Komitetu osłaniających osobę barona Kriega, że cesarski komisarz nadworny, jako naczelnik władzy cywilnej, nie tylko broni niema, ale i nią nie zarządza, nie uspokoiło wzburzonych umysłów. Za poduszczeniem podżegaczy poczęto wołać, że broń znajdzie się na zamku, że należy więc tam zaprowadzic komisarza cesarskiego i wraz z nim żądać, aby była natychmiast ludowi wydaną. Nadaremnie członkowie Komitetu opierali się z narażeniem życia swego wykonaniu tego zamiaru, odepchnięci i powaleni przemocą od roznamiętnionego tłumu, ulegli, a podżegacze, kierujący całą tą napaścią, zostawszy panami mieszkania, pochwycili barona Kriega i wyprowadzili go z domu na ulicę, w zamiarze pójścia z nim na zamek. Nim jednak doszli do rynku, wyprzedził ich jeden z członków komitetu, a rachując, iż ogół

ludu krakowskiego, nie pochopny do gwałtu, i zawsze umiarkowaniem odznaczający się, usłucha zdrowej rady, przemówił do zgromadzonych w rynku, ku którym ciągnął tłum z ulicy Św. Jana, prowadzący barona Kriega, aby komisarza rządowego nie do zamku, ale raczej do Komitetu zaprowadzić.

Lud w rynku zgromadzony usłuchał tej rady i tłum prowadzący barona Kriega, już nie do zamku, ale do Krysztoforów nawrócić musiał, o czem zawiadomiony Komitet w bramie gmachu, w którym obradował, przyjął komisarza cesarskiego, i nie dopuszczając ciśnienia tłoczących się za nim do wnętrza gmachu, kazał wnijście onego zamknąć i zaryglować.

Gwałt ten dokonany na osobie barona Kriega, równie oburzył Komitet jak i wszystkich prawych obywateli. Podszczuwacze powszechnie znani, płatni agenci moskiewscy, pomiędzy którymi niejaki Eder Rudolf i Tomaisz, aktor, najzagorzalszych patryotów odgrywali rolę, wystąpili teraz jawnie, widziano ich na czele ruchu i żałować należy, że rząd przez nieusprawiedliwioną dotęd niczem nieufność, odmówił uzbrojenia Gwardji Narodowej, bo by się był przy tej sposobności przekonał, jaką ona jest siłą w utrzymaniu porządku i bezpieczeństwa władz nawet samych. Uwolnionego tym sposobem z rąk tłumu zastępcę komisarza nadwornego, komitet umieścił w gronie swojem. Nie-

bezpieczeństwo groziło teraz zarówno Komitetowi jak i baronowi Kriegerowi, którego członkowie komitetowi w razie danym, postanowili własnem życiem zasłonić od zniewagi. Tymczasem tłum ludzi zgromadzony przed gmachem posiedzeń komitetu, a poduszczany ciągle przez nikczemnych wichrzycieli, którym noc już zapadła ułatwiała działanie, domagał się wrzawliwie broni. Komitet po krótkiej naradzie z baronem Kriegem, skłonił ostatniego do piśmiennego wezwania generała komenderującego hr. Castiglione, aby tenże dla uspokojenia ludu, broń znajdującą się na składzie w zamku, pod dyspozycją naczelnika Gwardji Narodowej wydać polecił.

Z pismem tem wysłano delegacją z trzech członków komitetu złożoną do generała hr. Castiglione. W tej chwili ozwały się trzy wystrzały działowe na zamku, alarmujące miasto. Delegacja spotkała komenderującego na czele całej załogi wkraczającego do miasta. Komenderujący nie wchodząc w treść oddanego mu pisma, zażądał od delegacji, aby poprzednio wprowadziła do sali Komitetu, w której baron Krieg przebywa obecnie, generała Moltke, który niezwłocznie jej towarzyszyć będzie. Wprowadzony generał Moltke do Komitetu, zapytał się barona Kriega, czyli on w gronie Komitetu uważa siebie za jeńca, czy tylko za gościa? Baron Krieg bez względu na to, iż swoim zaciekłym i niedafącym

się usprawiedliwić uporem, wywołał zaburzenie, w którem członkowie Komitetu stanęli w jego obronie z narażeniem życia własnego i nareszcie wyrwaniem go z rąk tłumu, od nader smutnych wyzwolili następstw, jakby kartując rzecz do koniecznego krwi rozlewu, oświadczył « iż uważa się za jeńca ». Tą nikczemnością barona Kriega zdziwiony Komitet, oświadczył generałowi Moltke na dowód, iż baron Krieg nie jest Komitetu jeńcem : « oznajmiamy mu, iż wolno mu w tej chwili w towarzystwie generała odejść, jeżeli sądzi, że obok niego przez tłum ludu bezpiecznie przejść potrafi. » Generał Moltke ocenił należycie trudne położenie i przyznał, że osoba jego, niezdoła zabezpieczyć osoby barona Kriega, gdyby go sam przez środek tłumu prowadzić chciał. Po krótkiej naradzie, uznał także pomieniony generał, iż tak wielkie rozdraźnienie ludu, należy jakąś koncessyą ułagodzić i wziąwszy pismo barona Kriega, tyczące się wydania broni dla gwardji narodowej, w towąrzystwie tych samych delegatów, którzy go do Komitetu przyprowadzili, udal się z nimi do komenderującego, który na czele całej załogi w rynku uszykowanej, powrotu jego oczekiwał. Generał Castiglione odczytawszy pismo mu doręczone i przekonawszy się o stanie rzeczy dokładnie mu przez generała Moltke i członków Komitetu wyjaśnionej, dodawszy delegacji adjutanta swego, polecił mu oświadczyć Komitetowi : « iż słowem

« honoru zaręcza, że żadnej broni złożonej na « zamku nie ma, a wojska swego rozbrajać dla « gwardji narodowej mocen nie jest, że po« chwala chęć Komitetu odprowadzenia barona « Kriega do niego, albo też do mieszkania barona « i że jak tylko baron Krieg przez Komitet od« prowadzonym zostanie, wojsko natychmiast « cofnie się z placów alarmowych ».

Komitet w skutku tego oświadczenia komenderującego, ogłosił z okien ludowi zgromadzonemu, że baron Krieg, zastępca komisarza nadwornego cosarskiego zezwolił pisemnie: 1) na wjazd zatrzymanych rodaków, po których wysłanym będzie osobny pociąg; 2) na rozdanie broni Gwardji Narodowej, jeżeliby jaka na zamku znaleść się miała i na sprowadzenie na ten cel broni z zagranicy. Nadto, że generał komenderujący zaręczył słowem honoru, iż obecnie w zamku żadna broń na składzie nie znajduje się i że Komitet dał słowo komenderującemu, iż sam w całym składzie swoim odprowadzi barona Kriega do jego mieszkania, iż gdy to uskutecznionem zostanie, wojsko natychmiast stanowiska przez siebie zajęte w mieście opuści. Zakończył komitet to ogłoszenie prośbą, aby lud przejście spokojne ułatwił i rozszedł się do domów. Lud na to wezwanie rozstąpił się tworząc szpaler, a Komitet otoczywszy barona Kriega, przy świetle pochodni około wpół do dwunastej w nocy przeszedłszy wśród ludu, oddał barona Kriega komenderującemu.

O ile w tej całej sprawie postępowanie Komitetu było szczerem i szlachetnem, o tyle zachowanie się władz austryackich okazało się obłudnem i nikczemnem. Zaledwie baron Krieg odprowadzony przez Komitet znalazł się wśród szeregów austryackich, gdy komenderujący, który przed chwilą zgadzał się zupełnie z ustępstwami poczynionemi przez barona Kriega, cofnął nikczemnie swoje słowo, oświadczając Komitetowi bezczelnie, « iż na cokolwiek dziś baron Krieg ustnie, lub pisemnie przyzwolił, on na to zgodzić się nie może i uważa to jako nieważne i niebyłe. »

Szczęściem, że toczącej się rozmowy z generałem w języku niemieckim, lud zgromadzony nie rozumiał, bo tak nagłe zaparcie się danego słowa przez generała i cofnięcie dopiero co udzielonych przyzwoleń, mogło łatwo przebrać miarę cierpliwości tak bezczelnie oszukiwanego ludu i wywołać najkrwawszą katastrofę.

Nie domyślając się złamania słowa przez komenderującego, lud poczciwy rozszedł się do domów, wojsko wróciło do koszar i nic już spokojności tej nocy nie przerwało. Nazajutrz t. j. 26 Kwietnia z rana, Komitet Narodowy widząc, że władza rządowa z dziwną i nie wytłumaczoną obojętnością, ani nie śledzi powodów wczorajszego zaburzenia, ani głównych onego przewódzców, znanych władzom rządowym, nie pociąga do odpowiedzialności, wezwał naczelnika

Gwardji Narodowej, aby ująwszy wiadomych podżegaczy wczorajszych nadużyć, oddał ich władzy, jako burzycieli spokojności publicznej. Naczelnik gwardji narodowej Piotr hr. Moszyński, zleciwszy wykonanie tego polecenia podwładnym swoim, oznajmił zarazem, że składa dowództwo, nie będąc w możności gwardją nie uzbrojoną, żadnej rzeczywistej posługi dla kraju spełnić. W skutku tego oświadczenia naczelnika Gwardji Narodowej, zwołaną została na godzinę trzecią po południu taż gwardja, w celu uskutecznienia nowego wyboru. W czasie, gdy władze rządowe, pomimo zaszłych wypadków, w dziwnem i zagadkowem zamknęły się milczeniu, Komitet w celu uspokojenia mieszkańców miasta, wygotował odezwę i przesłał do druku, którego uskutecznieniu wszakże niebawem nastąpiony gwałt ze strony wojska stanął na przeszkodzie.

Władze albowiem rządowe, zamiast zająć się wyśledzeniem wichrzycieli, dobrze im znajomych, zamiast dążyć do uspokojenia mieszkańców, przez zabezpieczenie porządku i bezpieczeństwa w mieście, zajęły się około godziny 11 przed południem, uorganizowaniem gwałtów mordów, w mieście bezbronnem i spokojnem jakich dzieje cywilizowanych narodów w Europie nie przedstawiają.

Po wzmocnieniu załogi, świeżo przybyłem właśnie w tej chwili wojskiem z Galicji, wy-

słano z zamku silne oddziały, w celu odcięcia przedmieścia Kazimierza od miasta. Część tych oddziałów zajęła mosty łączące Kazimierz z miastem; część zaś dla rozszerzenia postrachu pomiędzy Izraelitami zamieszkającymi to przedmieście niemal wyłącznie, zaczęła dopuszczać się na nich gwałtów, bijąc kolbami i rozpędzając znajdujących się na ulicach. Jednocześnie, już w mieście samem, na ulicy Stradom, oddział wojska, ludzi przechodzących spokojnie, kolbami i bagnetami poranił. Do Komitetu obradującego przybyło kilkanaście osób, donosząc o gwałtach i rozboju, popełnianych przez wojsko na Kazimierzu i Stradomiu, zanosząc prośbę zarazem o zaradzenie złemu. Komitet wysłał natychmiast z grona swego delegacją do komenderującego generała hr. Castiglione, który po wysłuchaniu zażaleń delegacji oświadczył: « że jakkolwiek « w skutku wczorajszych wypadków, połączył « w swojej osobie władzę cywilną i wojskową, « wszelako pragnie pozostać z Komitetem w naj- « przyjaźniejszych stosunkach i mile zawsze « członków jego z przedstawieniami od ludu « przyjmie, honorem ręcząc, że żadnej ze strony « jego i wojska zaczepki nie będzie. Co się zaś « tyczy nadużyć na Kazimierzu i Stradomiu, « przez wojsko popełnionych, o których się obe- « cnie dowiaduje, tym nie wierzę, wszelako « śledztwo zarządzić polecę i po wykryciu pra- « wdy, sprawców onychże ukarzę przykładnie ».

Wszelako, pomimo tego zaręczenia generała Castiglione, którego nikczemną obłudę, wkrótce smutne wykazały wypadki, osoby przechodzące koło posterunków wojskowych, słyszały żołnierzy twierdzących, że miasto o godzinie 4 z południa bombardowane, następnie na rabunek oddane zostanie.

Jednocześnie z tą wiadomością, udzieloną Komitetowi, nadbiegły do sali obrad jego kobiety potrwożone z płaczem, a między niemi siostra obywatela Millera, majstra kowalskiego, donosząc, iż: oddział wojska napadłszy na dom jego, czeladź bije, w kuźni narzędzia niszczy, równie jak i w mieszkaniu podobnych gwałtów się dopuszcza. Komitet narodowy dla przekonania się o prawdzie, wysłał na miejsce popełnionych gwałtów trzech członków z grona swojego, z poleceniem, aby po sprawdzeniu faktów, udali się do generała Castiglone, z żądaniem powściągnienia nadużyć i przykładnego ukarania winnych. Lecz nim członkowie delegowani przez Komitet zdołali dojść do wskazanego im miejsca, już wojsko zabrawszy z kuźni Millera ukute groty do pik, którymi, na podstawie wydanego przez zastępcę komisarza nadwornego cesarskiego pozwolenia, gwardja narodowa miała być uzbrojoną, do zgromadzonych tamże kilkudziesięciu osób, których przeważną liczbę składały kobiety i dzieci, dało ognia i zabiciem jednej kobiety i dziecka, oraz poranieniem kilku bezbronnych

osób, rozpoczęło zdradziecki mord bezbronnej ludności, na który, jak bieg następny wypadków jasno wyświecił, miasto już od rana przez władze austrjackie skazanem było. Po tej podstępnej i rozbójniczej napaści na dom obywatela Millera, dały się słyszeć z zamku trzy alarmowe strzały z dział, które jakoby potwierdzenie rozsiewanych przez żołnierzy wieści, rozniosły trwogę po mieście i trudne do opisania zrządziły w niem zamięszanie.

Trzask zamykających się bram domów i sklepów, mnóstwo biegnących w różnych kierunkach osób, z przerażeniem pytających się, co to wszystko znaczy, dawały jasno poznać, że nikt nie mógł sobie wytłumaczyć tego napadu ze strony wojska, i niepewny o życie i własność swoją, w pierwszej chwili rozniesionego popłochu, niewiedział co przedsięwziąć. Niektórzy wśród tego ogólnego zamięszania, pobiegli na Stradom, aby się naocznie przekonać, co istotnie zaszło, a ujrzawszy przy domu obywatela Millera trupy pomordowanych przez żołnierzy, a przytem wojsko całą masą z zamku ruszające do miasta, przybiegli do Komitetu z tą wiadomością. Niedziw więc, że przy postępowaniu wojska, stwierdzającem wieści o przeznaczeniu miasta na rabunek, lud w obronie życia i własności swej zaczął barykadować ulice, przypierające do rynku, aby nie puścić do miasta wojska, które przez mordy dokonane na

bezbronnych, przybrało cechę bandy zbójców. Wszelako w poruszeniach tych ludu krakowskiego, wywołanych jedynie chęcią zabezpieczenia własnego, nie objawiała się żadna myśl zaczepki, ani chęć walczenia z wojskiem austrjackiem, a dowodem tego najoczewistszym jest ta okoliczność, iż wśród ludu stawiającego barykady na ulicy Św. Jana, dwóch żołnierzy stojących na warcie przed mieszkaniem barona Kriega, odbywało swą służbę spokojnie, przez nikogo niebędąc napastowanymi. Podobnie i na innych ulicach, żołnierzy tak pojedyńczo, jak po kilku razem przechodzących, nikt nie zaczepiał, a w domu hr. Wodzickiego na rogu Szewskiej ulicy i Rynku, 28 żołnierzy strzegących kassy pułkowej tamże, pozostało przez cały ciąg dnia tego nie napastowanych, chociaż złem za dobre odpłacając, żołnierze ci następnie z okien domu do ludu strzelali.

Na odgłos wrzawy i ogólnego w mieście zamięszania, członkowie Komitetu narodowego rozeszli się po ulicach, w celu uspokajania potworzonych umysłów.

Równocześnie osoby do Gwardji narodowej należace, acz bezbronne, w tym samym celu zaczęły się zbierać przed domem nowo w tej chwili obranego dowódzcy swego hr. Adama Potockiego, a następnie rozchodzili się ztamtąd, aby uspokajać strwożony lud i nakłaniać go do rozbierania barykad, dla usunięcia wszelkiego

pozoru do napaści, zamierzonej przez wojsko. Jakoż usiłowania te nie pozostały bez skutku i barykady w niektórych punktach rozebrano. Kiedy się to działo w mieście, cała emigracja równie bezbronna, zebrała się na Błoniach po za miastem, ku Woli rozciągających się, dla ułożenia spisu nowo przybyłych, niezbędnie potrzebnego dla komissji, trudniącej się zaopatrzeniem ich w żywność i mieszkanie.

Na huk dział rozlegający się z Zamku, emigracja zebrana na Błoniach, pośpieszyła do miasta, znaglona do tego pochodu strzałami z dział, wymierzonymi do niej z zamku. W chwili, gdy członkowie komitetowi, łącznie z obywatelami, należącymi do gwardji narodowej, zajmują się uspokojeniem ludu i rozbieraniem barykad, wojsko austrjackie całą massą wkracza do miasta. Lewe jego skrzydło posuwa się przez Plantacje ku ulicy Wiślnej i Franciszkańskiej, prawe od Stradomia dąży ku jatkom rzeźniczym i ulicy Mikołajskiej, środek ulicą Grodzką zmierza ku Rynkowi. Wkroczywszy w Rynek oddział jeden piechoty stanął frontem do ulicy Floryańskiej, pomiędzy ulicą Sienną a kramami żelaznymi, zajmując całą przestrzeń Rynku, od Sukiennic do rogu Siennej ulicy; drugi podobny oddział stanął frontem do ulicy Św. Anny i domu hr. Adama Potockiego; oddział jazdy uszykował się frontem do wieży ratuszowej, reszta piechoty

stała w pewnych odstępach uszykowaną w ulicy Grodzkiej.

Około godziny 5 z południa, dwie kompanie piechoty ruszywszy z nadstawionym do ataku bagnetem, wpadły w ulicę Św. Jana, w celu uderzenia na bezbronny oddział Gwardji narodowej, zajęty w tej ulicy rozbieraniem barykady.

Wówczas jeden z członków Komitetu narodowego, znajdujący się tamże, stanąwszy naprzeciw tej do ataku idącej kolumny, wezwał oficera nią dowodzącego, aby jej zapęd powstrzymał, czyniąc mu następujące zapytania: « Dla czego mordów na bezbronnych mieszkańcach dopuszczać się zamierza? Co mu winno to miasto, które napada? » Tu odrzekł oficer, « iż miasto chce ich atakować. » Na to przemawiający doń członek komitetu żywo odparł. » Czy strzelił gdzie aby jeden człowiek do was? Czy może kto na was kamieniem rzucił? Czy nareszcie choćby palcem wam kto pogroził? Wszakże nigdzie nikt żadnej zaczepki wam nie dał, idziecie wojując i mordując, nie zrobiwszy wprzód żadnego wezwania, nie objawiwszy nawet waszych żądań. Objawcie, czego od miasta chcecie, a bez wojny spokojne i bezbronne miasto odpowie wam. » Po tej przemowie oficer nic nie odpowiedziawszy, cofnął swój oddział i połączył się z batalionem stojącym frontem do ulicy Szewskiej.

Gwardja narodowa a raczej obywatele bez-

bronni, lecz wpisani do Gwardji narodowej, widząc wojsko w szyku bojowym rozwinięte w Rynku i naczelnie-komenderującego generała Castiglione ku kosciołowi P. Maryi zmierzającego, żaczęli wracać na stanowisko swoje przed dom Adama Potockiego. Członkowie Komitetu narodowego zawiadomieni o przybyciu generała Castiglione w Rynek, zaczęli się zbierać, celem udania się gremialnie do generała, aby go zapytać: « dla czego Izraelitów na Kazimierzu, dla czego przechodzących na Stradomiu wojsko poraniło? Dla czego przy domu Millera ludzi pomordowało? Dla czego wreszcie całą siłę wśród miasta w szyku bojowym rozwinął i mieszkańców przeraża? »

Lecz nim kilku członków na prędce zwołać się zdołało, już generał Castiglione nie zaczepiony przez nikogo, dał znak, aby rozpoczęto ogień do bezbronnych mieszkańców. Jakoż batalion stojący frontem do ulicy Floryańskiej, na dany rozkaz przez generała, rozpoczął ogień do osób, co obiadując w restauracji Lipińskiego, na widok rozwijającego się wojska, wyszli przed dom bezbronni, dla przypatrzenia się tej niewytłumaczonej a groźnej demonstracji, nie przeczuwając, iż pierwsi padną ofiarą podstępnej srogości generała austrjackiego.

Mord osób bezbronnych przed hotelem Lipińskiego, był hasłem do rozpoczęcia go na wszystkich punktach, zajmowanych przez wojsko.

Kiedy jedne oddziały zasypywały gradem kul ulicę Floryańską, Mikołajską i Sienną, oddział stojący frontem do domu Adama Potockiego, po ustąpieniu jazdy z przed wieży ratuszowej, rozpoczął ogień do Gwardji narodowej bezbronnej, stojącej przed tymże domem. W tym samym prawie czasie napadnięto ostatni oddział wychodzców naszych, wracający do miasta z Błonia i zabito z nich jednego. Ustawione zaś dwa działa wprost ulicy Wiślnej, strychowały strzałami swojemi Rynek i ulicę Sławkowską. Kiedy wojsko w Rynku i w części ulic mu przyległych, ogniem z ręcznej broni i z dział, szerzyło śmierć lub kalectwo pomiędzy bezbronnymi mieszkańcami, wówczas oddziały onego zajmujące przedmieście Stradom i część przedmieścia po za jatkami rzeźniczemi leżącą, dopuszczały się tamże najokropniejszych bezprawiów i mordów.

W domu zwanym pod Łańcuchem, oprócz osób zdrowych zamordowano leżącego w łóżku chorego subjekta od kupca Launera. Wtymże domu zrabowano i zbito obywatelkę Skibicką, znajdującego się u niej Strzeleckiego literata skłuto bagnetami.

W domu zwanym na Psiej górze, po zrabowaniu i wymordowaniu osób starszych, żołnierz porwawszy na bagnet niemowlę, obnosił po ulicy, kręcąc niem i podnosząc w górę.

Na widok pomordowanych i poranionych tylu

niewinnych ofiar, na widok tego rozuzdanego pastwienia się nad drobnem niemowlęciem, przejmującego dreszczem zgrozy naturę ludzką, zrozpaczeni mieszkańcy, powziąwszy przekonanie, iż miastu rzeczywiście grozi rabunek i rzeź, do której generał Castiglione dał hasło ; pomni na rok 1846, utwierdzający ich w tem przekonaniu, lotem błyskawicy rzucili się do obrony życia, rodzin i majątków swoich. Zaledwie kilkunastu uzbrojonych w broń palną, reszta z kijami, siekierami i co kto mógł uchwycić w rękę wzięli się do odparcia napaści. Kolumna wojska atakująca ulicę Floryańską, przywitana trzema wystrzałami, straciwszy dwóch ludzi, mięsza się, to spostrzegłszy odpierający z kijami, drągami i kamieniami w ręku, rzucają się na tę kolumnę wojska.

Zbójcy są zawsze nikczemni ; to wojsko, co z zimną krwią przed chwilą strzelało do bezbronnych i spokojnie stojących, nie może teraz znieść widoku ludzi acz stosunkowo bezbronnych, lecz śmiałych, zagrzanych chęcią pomszczenia się krwi niewinnie przelanej ; rzecz niepodobna do uwierzenia, lecz tak było w istocie, ze zdumieniem wszystkich na to patrzących, żołnierz od stóp do głowy uzbrojony, podaje tył haniebnie, przed garstką w kije i kamienie zaopatrzoną. Popłoch pierwszego oddziału jak iskra elektryczna przenika inne. Z uszykowanego wojska robi się kupa bezładna, pierzchający

żołnierze impetem swoim przewracają stojących i waląc się jedni na drugich giną od własnych bagnetów, lub od strzałów dalszych szeregów, które z przestrachu strzelają do swoich. W tym zamięszaniu generał Castiglione zostaje ciężko w twarz ranny. Pędzone z Rynku w bezładnej ucieczce przez kilkadziesiąt ludzi z kijami, wojsko austrjackie biegiem ucieka w ulicę Grodzką i dążąc ku Zamkowi, w tym pochodzie bezładnym, po jednej i po drugiej stronie ulicy sypie gradem kul po oknach, tak, że w zupełnem słowa tego znaczeniu, ani jedno okno w ulicy Grodzkiej nie zostało całe, przy czem kilka osób w mieszkaniach swoich utraciło życie. Kiedy wojsko austrjackie pierzchło z Rynku przez ulicę Grodzką ku Zamkowi, wówczas artylerja austrjacka rozpoczęła z Zamku ogień przeciwko miastu. Przez dwie godziny granaty i race kongrewskie roznoszą spustoszenie po domach. Cudem rzec można, przez szczególną opiekę pana Zastępów nad ludem nieszczęśliwym, pomimo gradu wyrzuconego ognistych pocisków, miasto zachowanem zostało od prawie nieuchronnego zniszczenia przez ogień, który pomimo tego, iż w kilku zajmował się miejscach, szczęśliwie jednak ugaszonym został.

Dopełniając miarę nieprawości, dowódzca austrjacki cofając się na Zamek, rozkazał wypuścić wszystkich z więzień kryminalnych złoczyńców. Na rozkaz ten, inspektor kryminału Jarymkie-

wicz otwiera więzienia, żołnierze dopomagają więźniom do rozbicia kajdan.

Dowódzca austrjacki pomylił się jednak w swojej piekielnej rachubie. Zbrodniarze nie chcieli być jego wspólnikami, a zawstydzając swoją szlachetnością generała feldmarszałka hrabiego Castiglione, odepchnęli jego podszepty i szanując to nieszczęście, w którem on miasto pogrążył, opuścili go, nie dopuściwszy się żadnego nadużycia.

Wśród grzmotu dział, szumu rac kongrewskich i huku pękających granatów, pareset obywateli uzbrojonych częścią w broń palną, częścią w topory i drągi, uderza na oddział wojska, który na przedmieściu, po za rzeźniczemi jatkami leżącem, dopuszczał się rabunków i najokropniejszych mordów, i taką mu klęskę zadaje, że generał Moltke, dowodzący w tej stronie, widział się zmuszonym wywiesić białą chustkę i wysłać parlamentarza z oświadczeniem, iż pragnąc położyć tamę dalszemu krwi rozlewowi, chce się porozumieć z członkiem komitetu Adamem hr. Potockim, sam zaś śpieszy na Zamek, aby powstrzymać bombardowanie. Oświadczenie to generała Moltke zostało przyjętem i gdy jedni rozbiegli się, aby na punktach, w których lud walczył bój wstrzymać, drudzy zawiadomili o oświadczeniu generała austrjackiego Adama Potockiego, który przybrawszy członka komitetu narodowego Stanisława księcia Jabło-

nowskiego i jednego z obywateli Alexandra Ekielskiego, w ich towarzystwie udał się na zamek, gdzie im generał Moltke w imieniu rannego generała Castiglione oświadczył: iż jeżeli w przeciągu 1 1/2 godziny, wszyscy wychodzcy przybyli z Francji, nieopuszczą miasta, bombardowanie na nowo się rozpocznie i trwać będzie dopóty, dopóki miasto nie zamieni w gruzy. Żądanie to generała austrjackiego, przedłożone przez parlamentarzy Komitetowi, uznane zostało przez tenże, pomimo barbarzyńskiego zagrożenia, że niepodobne do przyjęcia i do wykonania. Przeto Komitet z swej strony żądał zawieszenia broni dotąd, dopóki mająca się wysłać niezwłocznie z grona Komitetu deputacja do Wiednia, o losie dalszym braci przybyłych z Francji, postanowienia Najjaśniejszego Pana nie przywiezie.

Z przedłożeniem tego żądania Komitetu wysłani zostali do dowódzcy wojsk austrjackich, ci sami członkowie komitetu: Adam hr. Potocki i Stanisław ks. Jabłonowski, którzy w pochodzie do Zamku spotkawszy członka komitetu Józefa Wysockiego, zaprosili go, aby im towarzyszył. Tymczasem niezważając na rozpoczęte układy, a w skutku tego i trwający rozejm, oddział wojska austrjackiego wpadłszy na przedmieście Kazimierz, dopuszczał się wszelkiego rodzaju gwałtów i rabunków. Izraelici zamieszkujący to przedmieście, przywiedzeni wreszcie

do rozpaczy, rzucili się do obrony życia i majątków swoich i zmusili do odwrotu, zadawszy jej klęskę, tę bandę rabusiów, niegodną nazwy żołnierza.

Po pięciu godzinnem rokowaniu, w którem słowa prawdy o niesłychanem i niczem nieusprawiedliwionem postępowaniu generała Castiglione względem miasta, przez wysłanników komitetu z godnością wypowiedziane zostały, generał Moltke w zastępstwie rannego generała Castiglione dowodzący, dawszy uczuć dobitnie parlamentarzom naszym, że wszelki opór ze strony Komitetu jest daremnym, bo oprócz sił przeważnych, któremi rozporządza, ofiarowały mu swą pomoc wojska moskiewskie, stojące na pograniczu o milę od Krakowa, której on jednak w obecnej chwili nie widział potrzeby użycia i na dowód tego, dał do przeczytania list, który w tym względzie napisał właśnie do generała moskiewskiego, podał ultimatum swoje, które mu się podobało nazwać kapitulacją miasta i tę wraz z nim podpisawszy wysłannicy nasi, powrócili z nią do Komitetu.

W ultimatum tem dowódzca austrjacki zażądał: 1° Bezzwłocznego rozwiązania Komitetu; 2 Opuszczenia przez wychodzców w ciągu trzech dni miasta; 3° Złożenia wszelkiej broni; 4° Wynagrodzenia szkód, jakie wojskowi ponieść mogli w rekwizytach i sprzętach, grożąc, że od-

rzucenie tego ultimatum, pociągnie za sobą niewątpliwe zniszczenie miasta.

W dodatku zaręczał amnestję ogólną za wypadki dnia tego, posuwając bezczelność do napiętnowania nazwą zbrodni, sprawiedliwy opór mieszkańców, stawiony jedynie w obronie życia i majątków, przeciwko niespodziewanemu i zbójeckiemu napadowi wojska. Obrady Komitetu narodowego, nad przyjęciem lub odrzuceniem ultimatum, przedstawionego mu przez jego wysłanników, trwały do godziny wpół do drugiej w nocy. Gwałty i mordy popełniane w ciągu dnia tego przez wojska austrjackie na bezbronnych mieszkańcach, żadną, nawet choćby pozorną niespowodowane przyczyną, dawały jasno poznać, iż dowódzcy austrjaccy, wyzuci z wszelkich zasad ludzkości, bez wzdrygnięcia się, gotowi są do popełnienia każdej zbrodni. Oprócz tego zwiększało niebezpieczeństwo miasta jawne i z zdumieniem wszystkich przyznanie się generała Moltke w ciągu rokowań, do przyjaznych z Moskwą stosunków i ofiarowanej mu przez nią pomocy.

Pomoc Moskwy zagrażała nieszczęśliwemu miastu najazdem z dwóch stron, a tem samem zniszczeniem, połączonem z wszystkiemi okropnościami, na jakie się rozuzdane i na wpół dzikie żołdactwo zdobyć jest w stanie. Pomimo tego, że lud krakowski i z okolicznych wsi włościanie, pragnęli przedłużyć raczej walkę, jak

znieść to upokarzające wydalenie dopiero co przybyłych braci z swych siedzib, wychodzcy nasi jednak, niechcąc pogrążyć starożytnej Piastów i Jagiellonów stolicy w odmęt nieobliczonego nieszczęścia, którem jej zagrażał austrjacki dowódzca, postanowili szlachetnie dla ocalenia miasta od zguby, opuścić rodzinną ziemię i rozpocząć na nowo męczeński zawód tułactwa.

Umiał Komitet narodowy ocenić to szlachetne a zarazem rozrzewniające poświęcenie się braci naszych, którzy po 17-letnich cierpieniach, zaledwie stanąwszy na ziemi rodzinnej, wytrąceni z niej na nowo bezprawnie dziką przemocą, potrafili potłumić w sobie słuszne przeciw temu gwałtowi oburzenie i niechcąc wyzyskiwać bratniego dla nich Krakowian zapału, z uczuć i osób swoich zrobili szlachetną dla dobra ogólnego ofiarę.

W uznaniu jej, wszyscy członkowie Komitetu jednomyślnie postanowili nie rozłączać się z braćmi wychodzcami i towarzyszyć im w tułactwie. Chcieli albowiem postanowieniem tem objawić swoje współczucie dla braci wychodzców, a zarazem zaprotestować w sposób najdobitniejszy przeciwko gwałtowi, którego się władze austrjackie dopuściły względem wychodzców naszych i względem mieszkańców Krakowa.

Po uchwaleniu tego postanowienia, Komitet narodowy o godzinie wpół do drugiej w nocy

ultimatum generała Moltke przyjął i tem samem za rozwiązany się uznał.

Gwałt dokonany ostatecznie na Krakowie, równie jak całe poprzednie postępowanie władz austrjackich, jest dowodem niezbitym spisku biurokracji, zawiązanego po wybuchu rewolucji w Wiedniu, przeciw nowemu rzeczy porządkowi. Spisek ten szeroko rozgałęziony i okrywający jakby siecią całe państwo austrjackie, rozpoczął swoje działanie naprzód w części Polski, pod panowaniem Austrji zostającej. Wszystkie działania barona Kriega, zastępcy komisarza nadwornego, wypływające z ukartowanego naprzód planu, zmierzały do stopniowego draźnienia opinji przez opieranie się systematyczne wykonaniu ulepszeń zaręczonych manifestem cesarskim. Żadnej najwyraźniej dozwolonej koncessji nie mógł lud krakowski otrzymać, bez uczynienia demonstracji w masie. Wszystkie postanowienia uchwalane i ogłaszane dla całej monarchji w Wiedniu, były dla Krakowa literą martwą. Nie w innym celu tamowanem zostało uorganizowanie i uzbrojenie Gwardyi Narodowej, które pomimo całej usilności mieszkańców, przez upór barona Kriega do skutku przyjść nie mogło, i rozjątrzenie powszechne utrzymywało. Podburzanie włościan w okręgu krakowskim do rabunku i mordu przez urzędników i straż finansową austrjacką, które pomimo licznie w tym względzie zanoszonych

zażaleń, nigdy skarceniu nie uległo, acz nie znalazło posłuchu u poczciwego ludu, którego nie miała czasu zdemoralizować biurokracja, jest wszelako niezaprzeczonym dowodem przewrotnych knowań biurokracji. Przybycie braci naszych z tułactwa, podwoiło zabiegi jej, dla przyśpieszenia stanowczego kroku reakcji. Agenci Moskwy, tego najwierniejszego biurokracji sprzymierzeńca, przebiegali kraj, roznosząc pomiędzy ludem zatrważające wieści, w ciągłem rozdraźnieniu i niepewności utrzymujące umysły. Pomimo zażaleń z tego powodu zanoszonych do barona Kriega, władze rządowe żadnego nie przedsięwzięły kroku, aby złemu zaradzić. To samo działo się w Galicji, ten sam wyrachowany upór ze strony urzędników, wprowadzenia w życie zagwarantowanych przez Najjaśniejszego Pana reform, to samo podburzanie włościan do mordów i rabunków. Zgoła wszędzie występowanie władzy, jako burzycielki pokoju, bezpieczeństwa i wszystkich podstaw porządku społecznego.

Wreszcie jak wypadki przekonały, dzień 26 Kwietnia był dniem naznaczonym do wykonania postanowień zamierzonej reakcji na całym obszarze Polski, pod berłem austrjackiem zostającej. Bo w chwili gdy we wszystkich miastach cyrkularnych rozpędzano komitety, Kraków uległ naprzód rozbójniczemu napadowi, następnie bombardowaniu, bezprzykładnemu

w dziejach cywilizowanej Europy, bo nie poprzedzonemu żadnem obwieszczeniem, żadnem, choćby ustnem do kogokolwiekbądź z mieszkańców przemówieniem.

Któż więc poważył się dopuszczać podobnych gwałtów?

Oto nikt inny tylko ta sama biurokracja, która w roku 1846 zarządziła mordy, na których wieść Europa wzdrygnęła się zgrozą przejęta, ta sama biurokracja, która zdawała się być niepowrotnie pokonaną, taż sama zuchwale podnosi głowę, i mordem dokonanym na Krakowie, zadaje fałsz odrodzeniu się Europy.

Ludu niemiecki nie łudź się! Krew, którąś przelewał na bruku wiedeńskim i berlińskim, przelewałes ją napróżno, panowanie przemocy i gwałtu, które mniemałeś poświęceniem swojem na zawsze usunąć, trwa, a trwa tak silne jak dawniej. Przeklęte przymierze gabinetów Petersburga, Berlina i Wiednia, na szkodę i ujarzmienie ludzkości nie zostało rozwiązanem, zbrodnia dokonana na Krakowie jest tego niezaprzeczonym dowodem, a zarazem i zapowiedzeniem, jaki i ciebie niebawem los czeka.

Jest przeznaczeniem Polski cierpieć dla ludzkości, dopełnia ona tego świętego powołania z męczeńską wytrwałością, i z ufnością w opiekę tego Boga, który ją wybrał pomiędzy narodami, aby im była przewodniczką na drodze poświęcenia się dla dobrej sprawy. Ludu Nie-

miecki, nie żebrze ona dla siebie twojej pomocy, ale Cię z powołania swojego ostrzega o grożącem niebezpieczeństwie, od Ciebie zaś zależeć będzie, czy sobie zasłużysz na wdzięczność, czy na klątwę następnych pokoleń.

Pisałem we Wrocławiu 2-go Maja 1848 r.

CO SIĘ KOMU NALEŻY.

PORÓWNANIE HISTORYCZNE

POMIĘDZY

Jenerałem Henrykiem Dąbrowskim

A

Księciem Józefem Poniatowskim.

CO SIĘ KOMU NALEŻY.

Porównanie historyczne pomiędzy Jenerałem Henrykiem Dąbrowskim a Księciem Józefem Poniatowskim.

Społeczność używająca w dawnej Polsce w całej pełni praw politycznych, składała się z kilkukroć stotysięcy szlachty i stanowiła w właściwem tego słowa znaczeniu naród, gdyż mieszczan i włoscian pozbawiono stopniowo w ciągu wieków praw politycznych i zamieniono ich w ślepe narzędzia panującej kasty. Wprowadzenie Jezuitów do Polski i oddanie w ich ręce wychowania publicznego, przyczyniło się do upadku oświaty a tem samem i do pogorszenia stosunków politycznych i społecznych Rzeczypospolitej Polskiej.

Towarzystwo Jezusowe mając na pierwszym względzie dobro materjalne własne, dążyło do ogarnięcia władzy nieograniczonej nad społeczeństwem, a najskuteczniejszym do tego środkiem było ogłupienie i sfanatyzowanie wychowańców swoich.

Pomiędzy kilkakroć stutysiącami szlachty,

było pareset rodzin górujących zamożnością nad innemi i dążących do przewodzenia nad mniej zamożnymi współbraćmi swoimi. Ten stosunek umieli Jezuici zręcznie na swoją korzyść wyzyskać. Dogadzanie widokom magnatów zgadzało się w zupełności z ich interesem, bo im zjednywało możnych dobrodziejów. Przeto też w szkołach skierowali całą dążność do zaszczepienia w mniej możnej młodzieży szlacheckiej, bałwochwalczej czci dla zamożniejszych. Synowie dygnitarzy czyli tak zwanych karmazynów, siedzieli w szkole odłączeni od szaraczków, czyli chudopachołków, a gdy tych ostatnich ojcowie duchowni traktowali z góry, dla pierwszych byli zawsze z uprzedzającą uprzejmością i poszanowaniem. Według tego systemu, w sobotę szaraczków wyciągano na ławę i ćwiczono w kolej, nie dla tego, aby zasłużyli na to, ale dla wzbudzenia pokory (1). Przed ławą zaś karmazynów występował ojciec profesor i wysławiając dawność, świetność i zasługi ich rodów, wywodził ztąd wniosek bardzo naturalny, iż samą świetnością swego pochodzenia, przeznaczeni są od Boga do sprawowania najwyższych dostojeństw, a tem samem i do przewodniczenia narodowi.

Od najmłodszych więc lat wpajano w jednych butę, zarozumiałość, samowolę, chęć przewo-

(1) To w bardzo młodym wieku moim słyszałem z ust Wybickiego wojewody i jego krewnego a mego opiekuna, Onufrego Wyczechowskiego.

dzenia a nie znoszenia żadnych ograniczeń, w drugich wszczepiano służalstwo, bałwochwalczą cześć dla możnych i przekonanie, iż tylko pokorną uległością i wysługiwaniem się swem ulubieńcom losu, mogą zapewnić sobie polepszenie bytu i dochrapać się jakiegoś odznaczenia w świecie. Kierunek ten wychowania zatarł w narodzie szlacheckim poczucie wszelkiej samodzielności, zatarł nawet wyobrażenie o ojczyznie, o obowiązkach względem niej. Szlachta straciła pamięć o Polsce, widziała tylko magnatów, od których łaski los jej był zawisłym. Przylgnęła więc do nich i przyzwyczaiła się ślepo im wysługiwać.

Jezuici tym sposobem stali się potrzebnymi magnatom, aby motłoch utrzymać w przynależnej uległości, stali się potrzebnymi i motłochowi, który za ich protekcją, mógł się spodziewać osiągnienia łask pańskich. Dla interesu więc własnego, Jezuici zręcznie oszukując jednych i drugich, rozbudzali w nich najpodlejsze namiętności i wyzyskiwali je z korzyścią dla siebie. Wychowanie jezuickie zdemoralizowało i rozstroiło cały naród. Magnaci przejęci zarozumiałością i samowolą, nieznoszącą żadnego ograniczenia, nazwyczaili się podporządkowywać dobro ojczyzny wybrykom swojej pańskiej fantazji i chwilowym swoim interesom osobistym. Massa przeważna mniej możnej szlachty, przyzwyczajona od lat najmłodszych do bicia czołem

przed nimi, nie miała własnego zdania i szła ślepo za wolą pana najmożniejszego w województwie, ziemi lub powiecie. Bałwochwalcza ta cześć dla możnych, zaszczepiona i rozkrzewiona w massie narodu przez Jezuitów, tak się w nim rozkorzeniła, iż wszelkie nadużycia magnatów i lekceważenie przez nich zasad moralnych i obowiązków obywatelskich, uważał ogół szlachty, jako rzecz naturalną, będącą wynikiem ich wysokiego stanowiska i pocieszał się tem zdaniem, iż « wolno panu wszystko, jako panu » lub też: « co wolno panu, to nie uchodzi chudopachołkowi. »

Podobne usposobienie magnatów i szlachty kierowanej przez nich, ułatwiło rządom despotycznych sąsiadów, oddawna czyhających na zagładę nienawistnej im Rzeczypospolitej, doprowadzenie do skutku ich niecnych zamiarów. Wyzyskiwanie zręczne przez nich próżności, zawiści jednych do drugich, chęci wyniesienia się lub chciwości magnatów, rozdwajało kraj cały, wzniecało w nim zaburzenia i nastręczało sposobność niecnym sąsiadom, wtrącania się do spraw wewnętrznych Rzeczypospolitej, zakończonego jej zupełnem ujarzmieniem, przez trzech związanych na jej zagładę despotycznych sąsiadów.

Pomimo jednak tego, iż prywatna zła wola, lub niedołężne zaślepienie magnatów zbezwładniły naród i ułatwiły wrogom onego ujarzmie-

nie, zakorzeniona bezwzględna cześć dla nich przez Jezuitów, długo utrzymywała się w pognębionym narodzie, który do dziś dnia nie otrząsł się jeszcze z tej służalczej adoracji dla możnych. Adoracja ta nie tylko jest wadą gminu, ale i najwykształceńsi jej ulegają. Ztąd też pochodzi otaczanie aureolą nadzwyczajnych zasług ludzi pochodzących z wyższego rodu, którzy gdyby sumiennie według swych czynów osądzeni byli, zstąpić by musieli z trójnoga chwały, na który ich wyniesiono, bo okazali by się ludźmi nie zasługującymi na żadne uznanie. Gdy przeciwnie zasługi ludzi nie należących do uprzywilejowanych rodów, pomimo poświęcenia całego swojego żywota dla spraw publicznych i oddania ojczyznie znamienitych usług, bywają najczęściej zapoznane.

Najbardziej rażącym tego przykładem jest ocenienie działalności jednoczesnej w narodzie naszym dwóch mężów, to jest: X. Józefa Poniatowskiego i Jana Henryka Dąbrowskiego. Gdy opinia zostająca pod wpływem bezwzględnej adoracji dla magnatów, niemal ubóstwiła X. Józefa Poniatowskiego i wystawiła go jako ideał rycerskości i poświęcenia się dla ojczyzny, nad zasługami generała Henryka Dąbrowskiego przeszła prawie do porządku dziennego, chociaż niepospolitym zdolnościom męża tego, wytrwałości jego niczem nie dającej się zrazić w usługach, wypływających z czystego przywiązania

do spraw ojczystych, Polska po zupełnym upadku swoim, głównie zawdzięcza jemu, iż imię jej nie poszło w zapomnienie i że mordercy jej, pomimo wszelkich wysileń, dobić jej nie mogą.

Zestawienie działalności tych dwóch mężów w zawodzie ich publicznym, najlepiej uwydatni wartość rzeczywistą każdego z nich.

Xiąże Józef Poniatowski, syn Andrzeja Poniatowskiego, generała austrjackiego i hrabianki Kińskiej, przyszedł na świat 1761 r. Przy miernych zdolnościach umysłowych, odznaczał się zalotnością i osobistą odwagą. U ludzi tego usposobienia, zajmujących zwłaszcza wyższe w społeczeństwie stanowisko, uciechy światowe są zwykle głównym celem życia, służba publiczna obowiązkiem, od której ze względu na stanowisko zajmowane, nie wypada się uchylać, ale która głównemu celowi ich życia jak najmniej powinna zawadzać. Jest ona więc uważaną przez nich, jako niedogodność konieczna, której jedynie dla przyzwoitości poddać się należy. X. Józef rozpoczął zawód swój wojskowy w służbie austrjackiej, brał czynny udział w wojnie, którą cesarz Józef prowadził z Turkami 1788 r. i z żalem opuścił tę służbę, jak to wyraził w liście pisanym do króla Stanisława Augusta, gdy go tenże powołał do kraju.

Pierwsze wystąpienie X. Józefa na widownię publiczną w Polsce było w r. 1792. Carowej

Katarzynie II, buta trzech magnatów polskich, Szczęsnego Potockiego, Seweryna Rzewuskiego i Franciszka Branickiego, wzywających jej pomocy do zwalenia ogłoszonej konstytucji w dniu 3 Maja 1791 r., nastręczyła pozór wówczas do wtargnięcia w granice Rzeczypospolitej.

Król Stanisław August mianował X. Józefa naczelnym wodzem wojsk polskich. Obrona niepodległości kraju, zagrożonego najazdem moskiewskim, wspartym przez zdrajców kraju, którzy pod laską Szczęsnego Potockiego, zawiązali Konfederację w Targowicy, powierzoną została X. Józefowi i otworzyła mu pole do wykazania swych zdolności.

Carowa po ukończeniu pomyślnem wojny z Turcją, zamierzywszy ujarzmienie i drugi rozbiór Polski, ruszyła przeciw niej całą swoją potęgą, wynoszącą 100,000 żołnierzy, pod naczelnem dowództwem generała Kochowskiego. Siły polskie zaledwie dochodziły 60,000, wszelako wodzowi uzdolnionemu i przejętemu ważnością swego obowiązku, zapał jakim był ożywiony cały naród i wojsko pod jego rozkazami zostające, wynagradzało nierówność sił i nastręczało środki do skutecznego odparcia najazdu. Lecz aby umieć zużytkować zapał narodu, trzeba mieć wiarę w niego i samemu go posiadać. Tymczasem X. Józef Poniatowski pod wpływem swego niedołężnego stryja, podzielał jego przesadne o potędze moskiewskiej wyobrażenia i

przyjmując z niechęcią dowództwo nad wojskiem, ani marzył o możności pokonania, a nawet oparcia się wrogowi, miał jedynie na względzie odbycie z nim niby pojedynku dla ocalenia honoru wojskowego. Z tem przekonaniem wychodząc w pole, otoczył się tak zwaną złotą młodzieżą, z którą nawykł był prowadzić wesołe w Warszawie życie, a która przeważnie składała się z stronników Szczęsnego Potockiego, marszałka Konfederacji Targowickiej. Sztab Xięcia, który otwarcie szydził z tej wojny i nazywał ją wojną pana Ignacego Potockiego z panem Szczęsnym (1), nie mógł podnosić ducha, ale owszem szerzył zwątpienie.

Główne siły moskiewskie w liczbie 60,000, pod dowództwem Kochowskiego, wkraczały w granice Rzeczypospolitej trzema kolumnami, jedna od Kijowa, druga od Bałty, trzecia od Mohylewa nad Dniestrem.

Kolumnę idącą od Kijowa oddzielało mil 38 od kolumny wkraczającej od Bałty, a tę znowu dzieliło mil 20 od kolumny idącej od Mohylewa. Ruch ten niebaczny mógł mieć najfatalniejsze dla najazdu skutki, gdyż wojsku polskiemu, zajmującemu pod Bracławiem dośrodkową pozycją, to tak znaczne oddzielenie kolumn moskiewskich jednej od drugiej, ułatwiało niedopuszczenie połączenia się onychże, a tem samem

(1) Ignacy Potocki, jeden z głównych twórców Konstytucji 3-go Maja.

i możność pobicia każdej z osobna. Lecz X. Józef zamiast korzystać z błędu moskiewskiego dowódzcy i skupić swoje siły, które 30,000 ludzi wynosić mogły i całą tą massą uderzyć na którąkolwiek z tych kolumn moskiewskich, nie mogących dla zbytniego oddalenia jednej od drugiej wspierac się wzajemnie i tak jednę po drugiej znieść, popełnił błąd jeszcze większy, bo szczupłe swe siły zamiast skupić, rozdzielił i rozdrobnił, wysyłając oddziały zaledwie 3000 ludzi liczące, naprzeciw kolumn moskiewskich, przeszło 6 razy od każdego z nich liczniejszych. Jasna rzecz, że oddziały tak szczupłe napadnięte od sił tak przeważnych, musiały ponieść ciężkie straty, które utwierdzały w żołnierzu przekonanie o niezrównanej przewadze liczebnej wojska moskiewskiego, a ta w rzeczywistości nie była taką, ale stawała się nią w skutku nieudolności i błędnych rozporządzeń naczelnego wodza wojsk polskich.

Pierwszy ten krok fałszywy wywarł stanowczy wpływ na cały przebieg kampanji. Wojsku polskiemu, które mogło z łatwością pokonać nieprzyjaciela na samym jego wstępie w granice Rzeczypospolitej, w skutku nieudolnego kierownictwa nie pozostawało nic, jak tylko cofać się dla skupienia rozrzuconych niebacznie oddziałów. Cofanie się pod naciskiem napierających sił przeważniejszych, wpływa demoralizująco na cofających się; wszelako Moskale nie

umieli wyzyskać korzyści, jakie im ten stosunek nastręczył i niezdołali przeszkodzić połączeniu się na Wołyniu rozrzuconych oddziałów polskich, tak, że X. Józef miał pod ręką do 30,000 ludzi. Umiejętne użycie tej skoncentrowanej massy, mogło naprawić początkowe błędy, zwłaszcza, że wódz moskiewski nie odznaczał się szczególnemi zdolnościami i nastręczał przezornemu i ufającemu sobie przeciwnikowi, łatwą sposobność do zadania mu klęski. Lecz jeżeli w moskiewskiem dowództwie była nieporadność, w polskiem zwiększona ona była przekonaniem dowódzcy, iż pokonanie wroga jest niemożliwem. Przekonanie to musiało wpływać jak najzgubniej na działanie wojenne, rozprzęgało karność w podkomendnych, skazanych na bezustanne cofanie się, najniedołężniej kierowane.

Nadzieja więc, którą wojsko miało oparcia się Moskalom pod Lubarem, zawiedzioną także została. Za zbliżeniem się nieprzyjaciela nakazano odwrót, ale zamiast, jak zwykle jest przyjętem w takich razach, wysłać naprzód bagaże wszelkie, pozostawionc je właśnie w tyle. Zaniedbanie tej tak pospolitej ostrożności, nie tylko spowodowało stratę znaczną bagażów, ale dało powód do zamięszania zupełnego, gdy uciekające tabory, wpadły na kolumny nasze cofające się przez długą groblę pod Boruszkowicami. Wśród powstałego ztąd nieładu i popłochu,

przytomność i dzielność Kościuszki, ocaliła tylko wojsko nasze od zupełnego rozbicia.

Zrażony żołnierz klęską, z powodu lekkomyślnego niedbalstwa głównego sztabu poniesioną, przyciągnął późną nocą do Połonnego. Lecz ponieważ sztab X. Józefa lekko rzeczy biorący zapomniał wytknąć obozu, to jest oznaczyć miejsc, które nadciągającym oddziałom służyć miały za stanowiska, przeto żołnierz zniecierpliwiony, hurmem bezładnie cisnął się do miasta, w którem właśnie nagromadzone były magazyny dla zaopatrywania wojska. Wśród zamięszania, jakie ztąd powstało, wybuchnął pożar, który je bardziej jeszcze powiększył, zaledwie czujność i wziętość u wojska Kościuszki potrafiła uspokoić onego zniechęcenie i przywrócić ład (1). Mniemano, iż pod Połonnem, jako składzie żywności i zasobów wojennych, a w części obwarowanem, przyjdzie do starcia z nieprzyjacielem. Lecz wódz naczelny, uznawszy oszancowania, nad któremi przez kilka tygodni pod kierunkiem pułkownika inżynierji Sierakowskiego pracowano, za niedostateczne, nakazał odwrót, po spaleniu znacznej części prowiantów, których uprowadzić nie można było. Wojsko nasze pociągnęło więc pod Szepetówkę. Lecz X. Józef przybywszy na miejsce i uznawszy tę pozycję za niedogodną, wydał

(1) Pamiętnik Niemcewicza z czasów moich. — Pamiętnik generała Józefa Zajączka.

rozkaz gromadzenia się pod Zielińcami. Nocą pomaszerowano na wskazane miejsce. Wojsko na oślep zajęło stanowiska, a sztab znów zapomniał o obsadzeniu wsi Zieliniec, która była kluczem zajętego przez wojska nasze stanowiska. Zaledwie świtać zaczęło, gdy generałowie nasi Trokin i Zajączek, objeżdżając posterunki swoje, spostrzegli nadciągających Moskali, zaalarmowali więc cały obóz. Z wadliwego jednak szyku Polaków, nie umiał korzystać atakujący ich generał dywizji Marków. Po 7 godzinnem ogniu działowem, jazda moskiewska luką zostawioną przez nieobsadzenie przez naszych Zieliniec, wpadłszy na zachwiane działowym ogniem prawe nasze skrzydło, takowe złamała. Lecz niedołężnie wsparta przez piechotę moskiewską, nader oględnie posuwającą się, nie mogła korzystać z chwilowo otrzymanej przewagi i napadnięta przez brygadę jazdy polskiej Mokronowskiego, została zupełnie rozbitą i prawie w pień wyciętą.

Klęska jazdy moskiewskiej dodała ducha naszym. Napróżno dowódzca moskiewski generał Marków, chcąc swój błąd naprawić, ruszył do ataku całą swoją piechotą, lecz ta rażona gęstym ogniem kartaczowym nadbiegłej artylerji naszej, nie mogła wytrzymać ataku piechoty polskiej i poniosłszy ogromne straty, została złamaną i do odwrotu zmuszoną.

Rozbitą dywizję Markowa nic od zupełnej za-

głady uratować nie mogło, gdyż klęska jej nastąpiła o godzinie 2 z południa, dnia 18 Czerwca 1792 r., siedem więc godzin dnia ułatwiało wypoczętym rezerwom polskim ściganie znękanych nieprzyjaciół i wytępienie ich zupełne, lub zabranie w niewolę z całym ich przyborem wojennym. Lecz X. Józef Poniatowski, który możliwości pokonania nieprzyjaciela nie przypuszczał i żadnego też w tym względzie planu nie ułożył, zbyt szczęśliwy, że mu się udało Moskali odeprzeć, nie tylko nie wydał rozkazu do ścigania ich, ale przeciwnie, o godzinie 6 po południu nakazał odwrót do Ostroga, aby się módz od nich jak najdalej odsadzić. Brakiem zdolności wojennych, a nadewszystko, brakiem wiary w siły własnego narodu, X. Józef nie umiejąc korzystać z odniesionego zwycięztwa, stracił wszystkie korzyści moralne i materjalne, jakie ono mu zapewniało niewątpliwie. Zniesienie zupełne dywizji Markowa i przyjście z odpornego do zaczepnego działania, byłoby spotęgowało zapał w narodzie i w wojsku, a w nieudolnych dowódzcach moskiewskich i w zdrajcach Targowickich, rozniosło trwogę i zwątpienie. Lecz na to trzeba było mieć inne zdolności wojenne, i inne przekonanie polityczne, jak je miał X. Józef Poniatowski. Jak demoralizujący wpływ na dowódzców moskiewskich byłoby wywarło zupełne zniesienie dywizji Markowa i przejście do kroków zaczepnych przez nas, jasno się ztąd

pokazuje, iż odparcie tylko rzeczonej dywizji, zmięszało tak naczelnego wodza moskiewskiego, iż przez 10 dni wstrzymał się od wszelkiego ruchu naprzód. Dziesięć więc dni wypoczynku miało wojsko polskie, zgromadzone w liczbie 23,000 pod Ostrogiem, lecz czasu tego nie umiał wódz jego naczelny wyzyskać na korzyść naszą. Pozycja pod Ostrogiem z natury swej obronna, nastręczała sposobność oparcia się stanowczego nieprzyjacielowi. Tymczasem sztab Xięcia, nie myślał o spożytkowaniu tego stanowiska, tak jak nie myślał rozpoczynając kampanią o prowadzeniu wojny zaczepnej i zaopatrzeniu się w odpowiednią liczbę dział.

Dopiero za nadciągnieniem nieprzyjaciela, spostrzeżono, że pięćdziesiąt dział pozycyjnych, które zostawiono w Warszawie, jako mniej potrzebnych, okazały się nieodzownemi, do skutecznego oparcia się nieprzyjacielowi. Co więcej, przekonano się dopiero o braku amunicji, gdyż poprzednio nie zadano sobie pracy do obliczenia jej potrzebnej ilości. Nakazano więc znów odwrót ku Bugowi, a do Warszawy, odległej o mil pięćdziesiąt kilka od placu boju, napisano o przysłanie pocztą amunicji.

Ciągłe cofanie się i bezowocne utarczki zniechęcały wojsko, a wieści zatrważające rozpuszczane z głównej kwatery po kraju, przez skrytych zwolenników Targowicy, oburzały ludzi prawych, ale wyrodnych utwierdzały w zbro-

dni, a chwiejnych zachęcały do ich naśladowania. Cofnąwszy się za Bug, postanowił X. Józef, dla ratowania honoru wojskowego, stawić opór i bronić przeprawy przez tę rzekę nieprzyjacielowi.

W tym celu prawe skrzydło liczące 5,000 ludzi, powierzył generałowi Kościuszce, środkiem sam dowodził, a lewe skrzydło było pod dowództwem Michała Wielhorskiego. Stanowisko zajmowane przez prawe skrzydło nasze, strzegące brzegu rzeki od granicy galicyjskiej do Dorohobuska, ułatwiało Moskalom zostającym w dobrych stosunkach z rządem austrjackim, obejście go, przekraczając granicę galicyjską. Stanowiska zajmowane przez X. Józefa, a szczególniej przez Michała Wielhorskiego, strzegąc rzeki coraz szerszej, mniej były narażone na rzeczywisty napad. To też naczelny wódz moskiewski, silnymi podjazdami pozornie kusząc się o przejście Bugu naprzeciw stanowisk X. Józefa i Michała Wielhorskiego, sam na czele 20.000 główny i rzeczywisty atak zwrócił przeciw prawemu skrzydłu polskiemu, dowodzonemu przez Kościuszkę (1).

Przy tej obronie przeprawy przez Bug, nie objawiła się w X. Józefie bystrość umysłu, przenikająca zamiary przeciwnika, chociaż więc tenże w dniu 16 Lipca 1792 r. przeszedł Bug

(1) Pamiętnik generała Zajączka.

naprzeciw Dubienki i ruchem tym jasno wskazywał, gdzie cios stanowczy wymierzyć zamierzył, X. Józef wszelako niczego się nie domyślając, nie pospieszył połączyć się z Kościuszką, ale pozostał na miejscu, strzegąc stanowiska, któremu nic nie zagrażało (1).

Kościuszko przygotował się na przyjęcie nieprzyjaciela, przez usypanie szańców w miejscach stosownych. Moskale w dniu 17 Lipca, kusząc się przez 5 godzin o zdobycie pozycji polskich pod Dubienką, stracili około 4000 ludzi w zabitych i rannych, gdy strata naszych wynosiła 10 oficerów i 903 żołnierzy (2).

Ta ogromna różnica pochodziła ztąd, iż nieprzyjaciel działając na oślep massami przeciw oszańcowanym pozycjom naszym, wystawionym był na morderczy ogień artylerji naszej, która w dniu tym świetnie się wywiązała z swojego zadania. Wszelako gdy nieprzyjaciel cztery kroć liczniejszy zaczął ku wieczorowi przechodzić granicę galicyjską i zagroził zupełnem oskrzydleniem i odcięciem szczupłych sił naszych, Kościuszko nakazał odwrót, a noc zapadająca ocaliła wojsko nasze od klęski, którаby go spotkać mogła, przy opieraniu się dłuższem w bronieniu stanowiska, którego obrona z powodu przejścia przez Moskali granicy galicyjskiej, stała się niepodobną. Jak więc przed miesiącem w świet-

(1) Pamiętnik Niemcewicza.
(2) Manuskrypt generała Kościuszki.

nej pod Zielincami bitwie, X. Józef nie potrafił korzystać z zwycięztwa i utracił wszystkie onego korzyści, tak pod Dubienką nie umiał, znów korzystać z błędów nieprzyjaciela i nie połączywszy się z Kościuszką, stracił powtórnie nadarzającą mu się sposobność, zadania nieprzyjacielowi stanowczej klęski. Bo gdy pięć tysięcy naszych pod dowództwem Kościuszki, potrafiło przez pięć godzin stawić czoło dwudziestu tysięcy Moskalom i przyprawić ich o tak dotkliwe straty, to przez połączenie się X. Józefa z Kościuszką siły nasze podniesione do 16,000, byłyby pod Dubienką niewątpliwie pokonały główny najazd moskiewski. A skutkiem tego zwycięztwa, zapewniającego stanowczą orężowi naszemu przewagę, byłoby wyparcie najazdu z granic Rzeczypospolitej. Tymczasem z powodu nieudolności naczelnego wodza wojsk polskich, bitwa pod Dubienką, jakkolwiek chlubnem była świadectwem dzielności żołnierza naszego, w skutkach jednak swoich była dla nas rzeczywistą klęską. Gdyż po złamaniu pod Dubienką linii naszej obronnej nad Bugiem, zmuszeni zostaliśmy do cofania się za Wisłę, której bieg nastręczał warunki skuteczniejszego oparcia się nieprzyjacielowi. Z powodu jednak ciągłego cofania się wojska naszego, rosło zwątpienie w otoczeniu królewskiem, szerzone skwapliwie przez zwolenników Targowicy, popieranych wpływem posła moskiewskiego Bułhakowa, któremu po-

mimo toczącej się wojny z Moskwą, Stanisław August pozwolił mieszkać w Warszawie.

Pomimo jednak niedołężnego prowadzenia wojny, położenie nie było jeszcze rozpaczliwem, zapał do walki nie ostygł ani w narodzie, ani w wojsku, wynoszącem około 60,000 ludzi. Zbliżenie się do stolicy mieszczącej wszelkie zapasy wojenne, zapewniały wojsku potrzebne zaopatrzenie do oparcia się nieprzyjacielowi nad Wisłą. Lecz skuteczność onego zawisłą była od jedności działania króla z narodem.

Tymczasem utrzymanie tego stosunku stawało się coraz wątpliwszem, gdyż, skoro król tak trwożliwą a zawsze nikczemną uległością przejętym był dla Moskwy, iż pomimo najścia przez nią granic Rzeczypospolitej, zatrzymał posła jej przy sobie, łatwo było przewidzieć, iż za zbliżeniem się wojsk moskiewskich ku stolicy, niedołężny Stanisław August nie zdoła się oprzeć wpływowi posła moskiewskiego i przyłączy się do Targowiczan.

W takich stosunkach możliwość walki skutecznej z nieprzyjacielem, zawisłą była od wyrwania króla z pod zgubnego wpływu jego otoczenia. Zniewolić go więc do opuszczenia stolicy a przeniesienia się do obozu, gdzie właściwie jako najwyższy wódz wszystkich sił zbrojnych narodu, powinien się był znajdować, było czynem, od którego wykonania, zbawienie ojczyzny w tej chwili zawisłem było.

Nie było też chwili do stracenia, bo posuwaniem się Moskali, oraz wieściami niepokojącemi z głównej kwatery, król przerażony, rokował z Targowicą i z Bułhakowem, posłem moskiewskim.

Przeniesienie niezwłoczne króla do obozu lub do Krakowa, zrywało te nikczemne a zgubne dla narodu konszachty króla z wrogami ojczyzny, stwierdzało jedność króla z narodem i odejmowało Moskwie wszelką sposobność wichrzenia, rozdwajania narodu i zbezwładnienia sił jego. Akcję tę polityczną wielkiej doniosłości mógł wówczas jedynie wykonać X. Józef, naprzód, jako bliski krewny króla, a powtóre, jako z jego ramienia wódz naczelny wojska narodowego. Wystawiano mu więc, iż obecnie zbawienie ojczyzny zależy od wydobycia króla z Warszawy, zaklinano go, aby to natychmiast wykonał, czy z wolą czy bez woli króla. Lecz patrjotyzm X. Józefa nie wznosił się tak wysoko, aby dla dobra ojczyzny poświęcić przyjęte formy konwencjonalne, do których był nawykłym. Zamiast więc pośpieszyć do Warszawy, poprzeć obecnością swoją zdanie tak znakomitych mężów jak Ignacy Potocki, Stanisław Małachowski, Kazimierz Sapieha, Sołtan i Kołłątaj, doradzających usilnie królowi, ażeby przeniósł się do obozu lub do Krakowa, w razie oporu króla, zniewolić go do tego kroku, Xiąże Józef cierpliwie oczekiwał pod Kurowem, co król postanowi w tym

względzie. Tymczasem król na błagalny list, który potajemnie napisał do carowej Katarzyny, otrzymał od niej odpowiedź w dniu 21 Lipca 1792 r., w której carowa wyrzucając mu jego niewdzięczność i przewrotność, oświadczyła mu wyraźnie, iż jeżeli natychmiast nie przystąpi do Konfederacji Targowickiej, to w żadne układy wchodzić z nim nie będzie i przestanie go już uważać za króla. Tej ubliżającej mu, poniżającej go groźbie, nikczemny Stanisław August nie był się w stanie oprzeć i w dniu 22 Lipca, przystąpiwszy do Konfederacji Targowickiej, przesłał rozkaz do wojska, aby w skutku zawartego pokoju, kroki nieprzyjacielskie niezwłocznie powstrzymane zostały.

Postanowienie to króla, podle zdradzającego własny naród, podkopało moralne przekonanie o możliwości dłuższej obrony i wywołało w obozie największe oburzenie, a zarazem i rozstrój zupełny. Xiąże Józef, który oprócz osobistej odwagi, nie posiadał odpowiednich zdolności, aby mógł podołać trudnemu zadaniu, jakie wódz naczelny miał do rozwiązania w tej kampanji, przekonany zresztą, iż w pojedynku tym z Moskwą, zrobiwszy wszystko, co dla ocalenia honoru wojskowego zrobić należało, wywiązał się należycie z zadania swego i nic mu więcej do zrobienia nie pozostaje, prosił o uwolnienie go zupełne od służby wojskowej.

Z innych względów, ale jednocześnie zażądali

uwolnienia generałowie Kościuszko, Zajączek, Kniaziewicz, Sierakowski i Wielhorski. Wojsko z pozostałymi w służbie dowódzcami, przeszło na lewy brzeg Wisły, oczekując dalszych rozkazów. Wkrótce objawiło się smutne następstwo zdrady Targowiczan i króla: powtórny rozbiór Polski, ścieśniający jej granice i uszczuplający ilość jej obrońców do 15,000. Najznakomitsi mężowie polityczni, chroniąc się przed dokuczliwem prześladowaniem Targowiczan i Moskali, musieli kraj opuścić. Nie stracili jednak nadziei wyzwolenia go z straszliwego ucisku, w którym go pogrążyła obrażona buta magnatów, ośmielona nikczemnością króla i w tym celu pozostawali w porozumieniu z dowódzcami pozostałymi przy wojsku, oraz z osobami cywilnemi, niecierpliwie znoszącemi jarzmo, narzucone ojczyźnie

X. Józef opuścił także kraj, ale się usunął całkiem od spraw publicznych, przemieszkując najwięcej w Wiedniu, gdzie przez matkę swą hrabiankę Kińską, oraz z powodu zasług ojca i własnej służby w wojsku austrjackiem, miał ułatwione stosunki.

Jan Henryk Dąbrowski, pełniący wówczas służbę wice-brygadiera w sztabie generała Byszewskiego, należał do najczynniejszych członków związku, utworzonego w celu oswobodzenia ojczyzny.

Urodził się pod Wieliczką we wsi Pierz-

chowicach, 29 Sierpnia 1755 r., z ojca Jana Michała, sztabs oficera w służbie saskiej i z matki Zofii Maryanny Lettów. W r. 1770 wstąpił do pułku saskiego X. Albrechta, w którym ojciec jego służył. W r. 1780 przeniesionym został do pułku gwardji przybocznej Elektora Saskiego, którym dowodził hrabia Bellegarde, obdarzony niepospolitemi zdolnościami, posiadający obszerną wiedzę. Dąbrowski bystrością umysłu i pilnością, wkrótce sobie zjednał szacunek i przychylność swojego dowódzcy, który mianował go swoim adjutantem i z ojcowską troskliwością zajął sie jego wykształceniem w zawodzie obranym.

Gdy następnie w Polsce zaczęto myśleć o powiększeniu i uorganizowaniu siły zbrojnej narodowej, Dąbrowski, któremu się otwierało pole służenia ojczyźnie, opuścił służbę saską i w roku 1790, wstąpił do wojska narodowego w stopniu majora. W kampanji 1792 r. odbytej, za odznaczenie, posunięty został na stopień wice-brygadiera. Działanie związkowych było nader utrudnionem wpływem króla i jego stronników, oddanych Moskwie. Wszelkie więc plany skoncentrowania wojsk narodowych, aby w razie danym mogły z korzyścią działać i oprzeć się zamierzonemu onychże rozbrojeniu, rozbijały się o złą wolę króla. Tymczasem zawarty traktat w Grodnie z carową przez króla i Targowiczan w dniu 3 Sierpnia 1793 r., zatwierdzający po-

wtórny rozbiór Polski i traktat zawarty na rozkaz carowej z królem Pruskim dnia 25 Września 1793 r., pomimo nawet opozycji Targowiczan, a nadto dodatkowy traktat z carową, zawarty 16 Października 1793 r., poddawał pod zupełną zawisłość Moskwy i tę szczupłą część Rzeczypospolitej, którą się podobało zaborcom zostawić na czas jakiś królowi Poniatowskiemu.

Złudzeniem więc była tylko niepodległość, pozostawiona tej części Rzeczypospolitej, bo jej zaborcy, a mianowicie Moskwa, dążyła do odjęcia jej wszelkich środków obrony.

Postanowienie zmniejszenia wojska polskiego do liczby 15,000, rozbrojenie reszty onego i zamiar zabrania wszelkiej broni z arsenałów, przyspieszyło wybuch przygotowującego się dopiero powstania. Brygadier Madaliński, stojący z brygadą jazdy w Pułtusku, otrzymał rozkaz rozpuszczenia jej. Należąc do związku nie usłuchał rozkazu króla, który w porozumieniu z Moskwą wydał go, dla ułatwienia zamierzonego rozbrojenia wojska polskiego. Madaliński zebrawszy swoją brygadę ruszył z nią w Krakowskie, rozpędzając po drodze oddziały pruskie, chcące mu stawić opór i przykładem swoim zachęcił inne pułki polskie do powstania. Na wieść o tym ruchu przybył niebawem do Krakowa generał Kościuszko i obwołany w mieście tem naczelnikiem narodu, w dniu 24 marca 1794, wezwał cały naród do chwycenia za broń. Zwycięztwo

odniesione przez Kościuszkę w dniu 4 Kwietnia 1794 r. pod Racławicami, nad generałami moskiewskimi Tormansowem i Denissowem, ścigającymi Madalińskiego, podniosło ducha w narodzie i zapewniło rozwój powstania.

Wkrótce też dnia 17 Kwietnia powstała Warszawa. W stolicy tej załoga polska wynosiła 2000 a moskiewska 9000 żołnierzy. A chociaż poseł i naczelny wódz wojsk moskiewskich Igielstrom, przedsięwziął wszelkie środki ostrożności dla stłumienia spodziewanego wybuchu, jednakowoż dzielność tej szczupłej garstki wojska polskiego, wspieranego przez bohaterskich mieszkańców Warszawy, po 11 godzinnej walce, odniosła nad najezdnikami stanowcze zwycięztwo. W bitwie tej stoczonej na ulicach Warszawy padło Moskali 3000, w niewolę wzięto 4000 wraz z 162 oficerami, zdobyto dział 42. Igielstrom z garstką niedobitków ratował się ucieczką.

X. Józef 1 Czerwca przybył z Wiednia do obozu Kościuszki, ofiarując się służyć pod rozkazami swego dawnego podkomendnego, jako ochotnik. Czyn ten szlachetny Xięcia zjednał mu powszechne uznanie. To też gdy na obronę zagrożonej Warszawy przez Prusaków i Moskali pospieszył tam Kościuszko, powierzył po odesłaniu Mokronowskiego na Litwę, X. Józefowi dowództwo prawego skrzydła linji obronnej stolicy, zagrożonego od strony Babic przez Prusaków.

Henryk Dąbrowski miał sobie powierzoną obronę skrajnego lewego skrzydła szanców pod Czerniakowem, zagrożonego przez Moskali. Dąbrowski wywiązał się chlubnie z poruczonego mu zadania, w dniu 2 Sierpnia wyparował Moskali z ich stanowiska, przepędził ich za Wilanów, zabrawszy im tamże wielkie zapasy żywności. Szesnastego Sierpnia powtórną im zadał klęskę, a gdy przeważne nadciągnęły Moskalom posiłki, cofnął się bez straty do swoich pod Czerniakowem szańców.

X. Józef zetknąwszy się z stryjem i jego otoczeniem, owiany został duchem zwątpienia. I jak w kampanji 1792 r. nie pomyślał o możliwości oparcia się nieprzyjacielowi, tak tembardziej teraz walczył tylko dla utrzymania honoru wojskowego, bez żadnej nadziei uratowania ojczyzny. Takie przekonanie nie może rozbudzać odpowiedniej dzielności, a tem mniej natchnąć duchem przedsiębiorczym.

Obrona też szańców pod Babicami odbywała się jakby za pańszczyznę i gdy w skutku niebacznego opuszczenia przez Prusaków stanowiska swego pod Babicami i posunięcia się ich ku Woli, Kościuszko nakazał X. Józefowi zabrać im tył i z całą energią uderzyć na nich, gdy z frontu będą atakowani, X. Józef tak niedołężnie ruch ten wykonał, iż nieprzyjaciel ostrzeżony nim o grożącem mu niebezpieczeństwie, potrafił wcześnie

cofnąć się na dawne swoje stanowisko i uniknąć klęski, która mu groziła.

Zająwszy Prusacy napowrót niebacznie opuszczone stanowisko swoje naprzeciw Babic, bronionych przez X. Józefa, nie zaniedbali korzystać z niezbyt skrupulatnej czujności dowódzcy polskiego i jego podwładnych. Gdy więc jednej nocy, X. Józef, zamiast w okopach bawił u swej kochanki, aktorki Silańskiej w Warszawie (1), a podwładni, za przykładem dowódzcy, lekceważąc obowiązek służby, nie mieli się na baczności, Prusacy podsunąwszy się pod źle strzeżoną baterję, zdobyli takową wraz z ośmiu działami.

Nieprzyjaciel wprawdzie następnie wypartym został z zajętej baterji przez Kościuszkę, ale ta lekkomyślność X. Józefa, zachwiała zaufanie do niego w naczelniku narodu, który dając mu inne przeznaczenie, obronę tej części szańców powierzył Henrykowi Dąbrowskiemu. Po siedmiotygodniowych niefortunnych usiłowaniach zdobycia Warszawy, król pruski i posiłkujący go Moskale w dniu 7 Września 1794 odstąpili od oblężenia. Powstanie w Wielkopolsce i zniszczenie przez Mniewskiego dowódzcę powstańców, amunicji wraz z działami oblężniczemi, przeznaczonemi dla wojsk pruskich, oblegających Warszawę, było jedną z głównych przyczyn

(1) Pamiętnik Koźmiana.

zmuszających króla pruskiego do odwrotu. To też zemsta Prusaków zwróciła się z całą srogością przeciw Wielkopolsce. Dowódzca pruski Sekuli, uganiając się za powstańcami, napełniał ją barbarzyństwem, mordując ludność bez względu na wiek i płeć. Naczelnik Kościuszko, dla wzmocnienia powstania i oswobodzenia Wielkopolanów od krwawej Sekulego zemsty, posunąwszy Henryka Dąbrowskiego na stopień generała dywizji, polecił mu wtargnąć do Wielkopolski. Dąbrowski na czele 3000 (1), pobiwszy oddział pruski 13 Września w Kamionnej, przy ujściu Bzury do Wisły, zdobył magazyny i kasę jego i posuwając się naprzód szybko, 27 Września zajął Gniezno. W okolicach Bydgoszczy starł się z Sekulim, który pobity zamknął się w Bydgoszczy, lecz to miasto 2 Października zostało przez naszych szturmem zdobyte, wśród którego Sekuli mocny ranny dostał się do niewoli i w skutku ran wkrótce umarł.

Kościuszko wysyłając Dąbrowskiego do Wielkopolski, polecił X. Józefowi, aby z swoją dywizją zajął Kamionnę przy ujściu Bzury do Wisły, umocnił to stanowisko i wspierał wyprawę Dąbrowskiego, urzymywaniem z nim związku za pomocą wysyłanych podjazdów i zapewnieniem mu jego linji odwrotu.

X. Józef wywiązał się najniedbalej z tego za-

(1) Pamiętnik Karola Woydy.

dania, bo dał się ubiec Prusakom, którzy ważną pozycję Kamionnej zajęli w 2000 ludzi.

Rozkaz naczelnika, aby ich wyrzucił z tego stanowiska, starał się wprawdzie wypełnić, ale wziął się do tego w sposób najniedołężniejszy, tak, że w 6000 atakując trzy razy mniejszy oddział pruski, nie tylko go z zajmowanego stanowiska nie wyparował, ale pomimo liczebnej przewagi swojej, ze stratą przez Prusaków odpartym został. Ani więc związku z wyprawą Dąbrowskiego nie utrzymał, ani linji jego odwrotowej nie ubezpieczył, a niefortunnie kierowanem działaniem, żołnierzowi polskiemu, który dotąd z przeważnie liczebnym wrogiem śmiało i szczęśliwie walczył, odjął zaufanie w siebie i zniechęcił go do nadaremnych wysileń. Wkrótce w skutku klęski Maciejowickiej w dniu 4 Października 1794 r., w której naczelnik Kościuszko ranami okryty, dostał się do niewoli, Dąbrowski zniewolonym był spieszyć z swoją dywizją ku zagrożonej Warszawie. Po wzięciu w niewolę Kościuszki, mianowany naczelnikiem narodu Wawrzecki, mąż prawy, ale nigdy w wojsku nie służący, przy złej woli króla i jego stronników, nie mógł powściągnąć zwątpienia i rozstroju, jakie skrzętnie po bitwie Maciejowickiej przez niechętnych rozpowszechniano.

Wszelako o sprawie nie zwątpił, a dla obmyślenia najskuteczniejszych do jej obrony środków, zwołał radę wojenną na dzień 26 Paździer-

nika 1794 r., na którą stojącego pod Brochowicami nad Bzurą Dąbrowskiego wezwał.

Na tej naradzie Dąbrowski wniósł, aby Pragę i Warszawę opuścić, króla zabrać i ze wszystkiemi siłami i artylerją przenieść wojnę do Wielkopolski. W takim razie wojska pruskie na tyłach swoich mając wzmagające się powstanie, a z frontu napadnięte przez wojsko polskie, będą zmuszone dla uratowania się od nieuchronnej klęski, opuścić całą Wielkopolskę. Dąbrowski przedłożył zarazem szczegółowy przez siebie obmyślony plan tej kampanji, lecz na radzie popartym został tylko przez dwóch generałów Ożarowskiego i Mokronowskiego, przeto plan jego odrzuconym został. Skutkiem nie przyjęcia planu Dąbrowskiego, nastąpił w dniu 4 Listopada 1794 r. szturm do Pragi, zdobycie onej przez srogiego Suworowa i rzeź jej mieszkańców, dopełniające miary nieszczęść. Wprawdzie Wawrzecki nie tracąc jeszcze nadziei oporu, wyruszył z Warszawy na czele 12,000 ludzi i 113 dział (1), nakazując wszystkim generałom koncentrować się pod Tarczynem. Gdyby ten rozkaz był wykonanym, siły nasze wynoszące do 40,000, mogły jeszcze opór stawić, ale nie wszystkim generałom zależało na tem. Pierwszy X. Józef opuścił swój korpus, stojący nad Bzurą i przybył do Warszawy, zajętej przez Moskali.

(1) Treskow. Feldzug der Preussen.

Przykład ten zwątpienia i niesubordynacji, oddziałał najzgubniej na resztę oddziałów. Generałowie Michał Wielhorski, Ożarowski, Mokronowski, Kołysko, naśladując X. Józefa porzucili chorągwie i rozpuszczając swoje komendy, rozszerzyli zwątpienie i zupełny rozstrój, nawet w oddziałach generałów wiernych chorągwi narodowej, Dąbrowskiego, Madalińskiego, Giedrojca, Niesiołowskiego, tak, że skutkiem zupełnego bezładu, opór dalszy stał się niemożliwym i naczelnik Wawrzecki z generałami i szczupłą garstką mężnych towarzyszy, zmuszonym został w dniu 17 Listopada pod Radoszycami poddać się ścigającym go Moskalom.

Po straszliwym upadku ojczyzny, X. Józef Poniatowski zgodził się z losem i nie marząc, aby Polska mogła byt swój odzyskać, dążył do tego, aby sobie samemu byt zapewnić i za wstawieniem się króla wyjednać od wrogów tyle dla siebie, aby sobie mógł swobodne prowadzić życie. W liście z dnia 14 Marca 1795 r., pisanym z Warszawy do króla, przebywającego z rozkazu carowej w Grodnie, między innemi pisze (1) X. Józef: « Dziwno mi, że Xiąże Repnin teraz dopiero robi trudności względem przypuszczenia mnie do przysięgi, wszak o tem mowy nie było, gdy W. Król. Mość do Grodna przyjechałeś. Zresztą tak wielkie mam zaufanie w charakterze

(1) Korespondencje X. Józefa Poniatowskiego. Wydanie Ed. hr. Raczyńskiego.

i szlachetności Xięcia, iż śmiałbym rachować raczej na jego w tym względzie usłużność, o ile się to zgadza z jego powinnością, jakbym się lękał dolegliwości, którąby on mógł od nas odwrócić ».

W liście zaś z 25 Marca 1795 r. do króla, pisze X. Józef: « Jedynem mojem życzeniem jest żyć na wsi w Jabłonnej, jak dom będzie mieszkalnym, a potem pojechać do siostry mojej do Wiednia i tam oczekiwać, aż los W. Król. Mości się zdecyduje, a potem poświęcić się całkiem W. Król. Mości. »

Jan Henryk Dąbrowski, pomimo okropnego położenia, nie zwątpił o ratunku ojczyzny i wydźwignienie jej z upadku postawił sobie za główny cel życia swojego. Zmuszony do pozostania w Warszawie, nie przyjął ofiarowanego mu stopnia generała dywizji przez rząd moskiewski. Pomimo jednak tego, dziki Suworów ceniąc wysokie jego zdolności, okazywał mu wielki szacunek i nie wahał się z zwykłą sobie gburowatą otwartością oświadczać generałom pruskim, zdziwionym tem jego dla Dąbrowskiego uznaniem, « samiście winni, że go tak wysoko cenię, bo was zawsze bił. »

Dąbrowski korzystając z zawartego pokoju w Bazylei, między Rzecząpospolitą Francuzką a królem Pruskim, przesłał posłowi tejże Rzeczypospolitej w Berlinie, obywatelowi Caillard w Wrześniu 1795 r. uwagi swoje, jakimi środ-

kami naród polski, z korzyścią dla Francji, mógłby odzyskać swoje znaczenie polityczne i w jaki sposób sam by mógł działać w tym celu. Po zajęciu Warszawy przez Prusaków, Dąbrowskiemu pozwolono nareszcie udać się do Berlina, dokąd przybył 17 Marca 1796 r.

Poseł francuzki przy dworze berlińskim, w depeszy swej do rządu Rzeczypospolitej, pisze, « iż generał Dąbrowski przyjmowanym jest przez władze pruskie z wyjątkowem odznaczeniem. »

Król pruski przez swoich ministrów proponował mu, aby w tym samym stopniu, jaki miał w wojsku polskiem, wszedł w służbę pruską. Odpowiedział na to Dąbrowski, « iż wspólnie z trzydziesto-tysiącami towarzyszów swoich, wszedłby w tę służbę, gdyby król w porozumieniu z rządem francuzkim, przyczynił się do przywrócenia niepodległości Polsce. A natenczas nie wątpi, iż naród Polski, lub samego Króla pruskiego, lub którego z książąt pruskich, ogłosił by królem swoim konstytucyjnym. » Król wysłuchał tej propozycji Dąbrowskiego, ale na nią nie odpowiedział. Nie zrażony tem milczeniem króla, Dąbrowski przedłożył rządowi pruskiemu obszerny memorjał, wykazując w nim, ze względu politycznego interesu Prus, potrzebę odbudowania Polski, wraz z planem strategicznym dla Prus wspierających powstanie Polski przeciw Moskwie i Austrji. Przekonawszy się jednak, iż nadzieją uzyskania jakiejkolwiek po-

mocy dla sprawy polskiej od rządu pruskiego trudno się łudzić, opuścił Berlin.

Walka, którą toczyła Rzeczpospolita Francuzka z koalicją despotów, w której główną i najuporczywszą rolę odgrywała Austrja, nasuwała myśl Dąbrowskiemu, iż rząd francuzki w inseresie własnym powinien popierać sprawę Polski, która wspólnych z nim ma wrogów. Całe więc usiłowania jego zwrócone zostały w tę stronę. Stosunki jakie zawiązał w Berlinie z posłem Rzeczypospolitej Francuzkiej, ulatwiły mu otrzymanie listu zalecającego do generała francuzkiego Jourdan'a, za pośrednictwem którego zaznajomił się z znakomitymi dowódzcami wojsk francuzkich Kleber'em, Bernadotte'm i Championetem. Generałowie ci powzięli dla niego cześć i współczucie, na jakie zasługiwało jego poświęcenie dla ojczyzny i jego znamienite zdolności. Otworzył on im myśli swoje, co do utworzenia legionów polskich, które by walczyły obok zastępów republikańskich z wspólnymi wrogami Francji i Polski i stałyby się zawiązkiem przyszłej armji polskiej. Generałowie francuzcy zgodzili się z jego myślą i radzili mu udać się niezwłocznie do Paryża, dla wyjednania u Dyrektorjatu pozwolenia do formowania legionów polskich, a generał Kleber, który szczególną przyjaźń powziął dla Dąbrowskiego, dał mu listy polecające gorąco i jego osobę i plan jego członkom rządu francuzkiego. Dąbrowski

wkrótce po przybyciu swojem do Paryża przedłożył w dniu 10 Października 1796 r. Dyrektorjatowi memorjał, w którym wyłuszczył korzyści, jakie by Francja osiągnęła tak pod względem politycznym, jak i pod względem wojskowym z utworzenia legionów polskich. W dniu 30 Października 1796 r. otrzymał Dąbrowski zawiadomienie od ministra wojny Petiet'a, iż Dyrektorjatowi konstytucja nie dozwala tworzyć obcych legionów, przywiązanych do służby francuzkiej, lecz Dyrektorjat nie widzi żadnej w tem niestosowności, aby legiony te powstały we Włoszech, dobijających się niepodległości i ofiarujących się wykonać myśl generała Dąbrowskiego. Dyrektorjat przeto polecił generałowi Bonapartemu, naczelnemu dowódzcy wojsk francuzkich we Włoszech, aby się zajął przeprowadzeniem tego planu za porozumieniem się z władzami włoskiemi i z generałem Dąbrowskim. Zaopatrzony listami polecającymi ministra wojny Petiet'a i generała Clarke'go, Dąbrowski pośpieszył do Włoch i tam za współudziałem generała Bonaparte'go, zawarł w imieniu swych współziomków w dniu 9 Stycznia 1797 roku umowę z administracją generalną Lombardji, działającą w imieniu ludu lombardzkiego, na mocy której powstały pod dowództwem Dąbrowskiego Henryka, generała wojsk polskich, legiony polskie, posiłkujące lud lombardzki.

Dzięki wytrwałości i niezmordowanym starą-

niom Dąbrowskiego, powstała tym sposobem zbrojna reprezentacja narodu polskiego, która przedłużając walkę o niepodległość faktycznie dowieść miała wrogom, iż pomimo rozboju dokonanego na narodzie polskim, Polska jeszcze nie zginęła.

Legiony pod umiejętnem, ojcowskiem kierownictwem Henryka Dąbrowskiego, okryły nową chwałą imię Polski. Odznaczając się męztwem nieustraszonem na polu bitwy, łagodnem się obejściem z bezbronnymi mieszkańcami, karnością, oraz cnotą obywatelską, zjednały sobie powszechną cześć i poważanie. Świat patrząc na czyny tych synów Polski, przekonał się o doniosłości zbrodni, jakiej się dopuściły trzy mocarstwa zaborcze, wymazując Polskę z rzędu narodów niepodległych. Z powstaniem legionów obudził się duch narodu znękanego nieszczęściami, ożywiła się w nim nadzieja odzyskania niepodległości, spotęgowała się miłość do ujarzmionej ojczyzny i pochopność do ponoszenia dla niej ofiar.

W ciągu czteroletniej nieprzerwanie toczącej się walki Rzeczypospolitej Francuzkiej z koalicją despotów, w której Dąbrowski na czele legionów polskich, po stronie Francji zaszczytny brał udział, nie spuścił on z oka głównego celu swojego, którym było wyswobodzenie ojczyzny i wśród szczęku oręża korzystał z każdej sposobności, aby rządowi francuzkiemu wykazywać

potrzebę odbudowania Polski, przedkładając zarazem odpowiednie do tego plany i sposób przeprowadzenia takowych, z rzeczywistym nie tylko dla Polski ale i dla Francji pożytkiem, z której przeobrażeniem według nowych zasad politycznych i społecznych, mocarstwa rozbiorowe zgodzić się nie mogły. W tej więc sprzeczności zasad rządu Rzeczypospolitej Francuzkiej, z zasadami rządów despotycznych, upatrywał słusznie Dąbrowski źródło ciągłych nieporozumień i starć, które najwłaściwszą otwierały drogę zastępom polskim, walczącym za sprawę wolności do wyswobodzenia własnej ojczyzny. Nie zrażały go więc żadne zawody, bo nie kierowały nim żadne osobiste widoki, tylko niezłomne postanowienie służenia ojczyźnie i najmocniejsze przekonanie, iż wypełnia ten obowiązek, w ścisłym z Francją zostając stosunku.

To też gdy generał Bonaparte, ów genialny awanturnik, przywłaszczył sobie rządy we Francji, a dążąc do zamienienia swej konsularnej godności na monarchiczną władzę, zawarł pokój w dniu 9 Lutego 1801 r. nie tylko z Cesarzem niemieckim ale i z Carem moskiewskim Pawłem I, w dniu 8 Października 1801 roku, Dąbrowski nie zraził się tem skarbieniem sobie łaski despotów przez nowego władcę Francji. A gdy wielu innych legionistów, zrażonych doznanymi zawodami, ogarnęło zwątpienie i przenosząc życie wygodne pod strzechą rodzinną

nad trudy i dolegliwości tułactwa, opuszczało chorągwie i wracało do kraju, do którego ich wabił odgłos złagodniałych rządów zaborczych, a mianowicie mniemanej życzliwości dla Polaków Cara Alexandra I następcy Pawła (1), Dąbrowski oparł się tym pokusom i wraz z innymi towarzyszami swymi pozostał przy sztandarze narodowym, pewnym będąc, iż zgoda pozorna zaborców Polski z nowym władzcą Francji trwałą być nie może i że czy prędzej, czy później nastąpi między nimi starcie, które nastręczy sposobność do wywalczenia niepodległości ojczyzny.

W latach od 1796 do 1806, kiedy Dąbrowski twórca legionów i wskrzesiciel upadłego ducha w narodzie, niezrażony przeciwnościami, z niespożytą wytrwałością pracował nad odbudowaniem ojczyzny, wówczas X. Józef Poniatowski początkowo przeniosłszy się do Wiednia, tam swobodne i oddane uciechom świątowym prowadził życie.

Po śmierci carowej Katarzyny zaszłej w Listopadzie 1796 r., następca jej Paweł I, obdarował X. Józefa starostwem Bohusławskiem i częścią klucza Zyple (2). Gdy darowizna ta pomnożyła środki do prowadzenia życia swobodnego, X. Józef zatęsknił za krajem i jako pod-

(1) Znakomicie odznaczający się generał Kniaziewicz, 5 Maja 1801 roku opuściwszy legiony, pociągnął swoim przykładem masę legionistów do opuszczenia chorągwi i do powrotu do kraju.
(2) Pamiętnik Koźmiana.

dany pruski, powrócił na stałą do Warszawy siedzibę. Z Wiednia przywiózł z sobą awanturnicę francuzką, hrabinę Vauban, która stała się nieodstępną towarzyszką Xięcia i zamieszkiwała wraz z nim w jego pałacu, zwanym pod Blachą. Awanturnica ta, której mąż odegrywał rolę błazna na dworze X. Józefa, stała się wszechwładną panią i Xięcia i całego prawie wyższego towarzystwa, nadającego sobie nazwę: « la bonne société » (1).

Blacha stała się przybytkiem francuzczyzny, z którego mowę polską wyśmiano i wyrugowano zupełnie. Cokolwiek tchnęło polskością zostało pod Blachą wyszydzonem i napiętnowanem nazwą szyderczą: « le patriotisme d'antichambre ». Zaraza ta cudzoziemszczyzny, pod wpływem X. Józefa, szerzyła się i ogarnęła cały tak zwany wyższy świat, którego wstręt do polskości, objawił się wypowiedzeniem otwartej wojny Bogusławskiemu, patrjotycznemu twórcy sceny narodowej. Po stronie Bogusławskiego stał tylko Stanisław Sołtyk ex-podstoli koronny (2) i poczet ludzi odznaczających się uczuciem polskiem i gruntowniejszą wiedzą. Loże jednak teatru polskiego były prawie puste, bo cała arystokracja za przykładem X. Józefa wspierała teatr francuzki, odwiedzając go tłum-

(1) Pamiętnik Seglasa.
(2) Pamiętnik Kozmiana.

nie, a z lekceważeniem i pogardą traktując scenę narodową.

Ten antinarodowy kierunek pałacu pod Blachą, wyraził najdosadniej Ludwik Osiński, tłumacz wzorowych tragedji Kornela i Rasyna dla sceny narodowej, we dwu wierszu:

« Polak jeszcze po polsku i pisze i czyta,
Bo nie cała Warszawa jest Blachą pokryta. »

Pogarda dla ojczystego języka utwierdzona wpływem X. Józefa Poniatowskiego w wyższych kołach społeczności polskiej, przyczyniła się głównie do zatarcia w nich uczuć polskich i do przemienienia tej części społeczności polskiej w kosmopolityczną odrębność, oprócz nazwisk, nie mającą nic wspólnego z narodem. Zaraza ta cudzoziemska zakaziła warstwy społeczeństwa mniej możne, w bezpośredniej styczności z tak nazwanem wyższem społeczeństwem zostające, a wpływ jej demoralizujący, po kilkudziesięciu latach, jeszcze w zupełności usuniętym nie został. Pałac X. Józefa pod Blachą nie tylko był ogniskiem demoralizacji publicznej, pod względem politycznym, ale i pod względem prywatnych stosunków domowego życia. Używać i nadużywać rozkoszy ziemskich było głównem zadaniem życia właściciela pałacu pod Blachą i jego otoczenia, a cała ich czynność umysłowa i fizyczna zwróconą była do spełnienia tego zmysłowego zadania. Młodzież więc

obojga płci nie mogła się oprzeć wabiącym pokusom nader wolnego i wesołego życia, które w zimie w Warszawie w pałacu pod Blachą, w lecie zaś z większą jeszcze bezwzględnością w dobrach X. Józefa Jabłonnie, pod Warszawą położonych, pędzone było.

X. Józef Poniatowski pod względem wywierania wpływu demoralizującego na społeczeństwo polskie, był godnym naśladowcą stryja swego, smutnej pamięci Stanisława Augusta, króla polskiego. On rozwiozłosci w wyższych sferach rozpowszechnionej przez stryja swojego nie dał upaść, ale owszem podtrzymał ją i uczynił wybitną cechą dobrego tonu, którą właśnie tak zwane wyższe towarzystwo odróżniało się od warstwy niższej społeczeństwa, zachowującej pod tym względem przesadną skrupulatność. X. Józef, jako krzewiciel rozpusty, a z nią upadku moralnego i materjalnego własnych współziomków, chociaż może bezwiednie, działał wszelako na korzyść ich ciemięzców. To też królowie pruscy zwiedzając swieżo zabrane prowincje i stolicę ich Warszawę, umieli ocenić te jego w tym względzie zasługi. Nie tylko więc brali udział w świetnych zabawach, które Xiąże Józef urządzał, dla uprzyjemnienia pobytu królewskiej parze w dawnej królów polskich stolicy, ale królowa wybierając go na swego tancerza, a król pruski darząc go wielką wstęgą orderu orła czarnego, starali się dać mu poznać,

zupełne swoje z jego postępowania zadowolnienie.

Tymczasem przewidywana przez Dąbrowskiego walka mocarzy zaborczych z nowym władzcą Francji wybuchła. Cesarz niemiecki w połączeniu z Carem moskiewskim, subwencjonowani przez rząd Wielkiej Brytanji, występują pierwsi do walki, zakończonej w dniu 2 Grudnia 1805 r. klęską ich zupełną pod Austerlitz i pokojem Presburskim, zawartym 26 Grudnia t. r. W roku następnym gabinet angielski, chcąc tamę położyć trwożącej go potędze Napoleona, zawiązuje nową koalicją przeciwko niemu. Na czele jej staje król pruski, wsparty pieniędzmi Anglji i zapłaconą przez nią pomocą Moskwy. Żołdownicy ci arystokracji angielskiej wypowiadają Napoleonowi dnia 9 Października 1806 r. wojnę. Władzca Francuzów wezwany do walki, w piętnaście dni po jej wypowiedzeniu przez króla pruskiego zajmuje w dniu 24 Paźdriernika Berlin, a czując całą ważność usług, jaką mu w dalszym ciągu tej walki oddać mogą Polacy, powołuje do stolicy Prus z Włoch Dąbrowskiego, a z Drezna jego od 1794 do 1802 r. nieodstępnego towarzysza, Józefa Wybickiego. Pierwszy ma się zająć organizacją sił zbrojnych Polski, drugi organizacją jej władz cywilnych. Obydwaj ci mężowie w Poznaniu, zajętym w dniu 3 Listopada 1806 r. przez wojska francuzkie, zajmują się z całą energią organizacją powstania

w Wielkopolsce i wytworzeniem siły zbrojnej. Tymczasem rząd pruski w dniu 11 Listopada wydaje rozporządzenie, iż wszelki opór władzom królewskim, mabyć bezzwłocznie karany śmiercią. Lecz rozporządzenie to nie powstrzymuje obywateli Wielkopolski, zagrzanych obecnością Dąbrowskiego i Wybickiego, do chwycenia za broń przeciwko swoim ciemiężcom.

Pomimo powstania Wielkopolski, Warszawa zachowała się spokojnie. Wszelako gubernator jej, generał pruski Keller, który oględnem postępowaniem umiał sobie zjednać przychylność jej mieszkańców, widząc niemożność dłuższego utrzymania się w stolicy, z polecenia króla swojego organizuje 14 Listopada 1806 r. straż obywatelską, dla bezpieczeństwa miasta i rządy nad niem powierza X. Józefowi Poniatowskiemu.

Nie zawiódł się gubernator pruski na swoim wyborze, X. Józef wiernie wypełniał poruczoną mu przez rząd pruski missję.

Nie tylko w ciągu dwunastodniowej bytności jeszcze w Warszawie gubernatora Kellera i wojsk pruskich i moskiewskich, utrzymał wzorowy porządek, ale nawet po opuszczeniu zupełnem w dniu 26 Listopada przez wrogów stolicy polskiej, nie dopuścił żadnego objawu niepodległości. Wreszcie w dniu 28 Listopada 1806 roku wkraczajęcemu do Warszawy na czele jazdy francuzkiej Muratowi, Xięciu Bergu i Klewii

oddał X. Józef klucze od miasta i wypełniwszy wiernie polecenie dane mu przez króla pruskiego, usunął się zupełnie od wszelkiego udziału w sprawach publicznych. Dopiero Wybickiemu z polecenia Napoleona przybyłemu do Warszawy, dla organizowania władz polskich, udało się przełamać upór X. Józefa Poniatowskiego i zniewolić go do zajęcia się organizacją siły zbrojnej.

Po bitwie pod Pułtuskiem, zaszłej 26 Grudnia 1806 r., Napoleon wrócił do Warszawy 3 Stycznia 1807 r. i w ciągu krótkiego w tej stolicy pobytu, zajął się urządzeniem w zdobytym na Prusakach kraju polskim, tymczasowej administracji. Zdawało się wszystkim, iż przewodnictwo w wydziale wojny należy się z powodu znakomitego odznaczenia się, wytrwałej pracy w tym zawodzie i poświęcenia dla sprawy narodowej, Janowi Henrykowi Dąbrowskiemu i pierwotnie sam Napoleon był tego zdania. Lecz otoczenie jego, mianowicie Murat, jego szwagier, Taleyrand, minister spraw zagranicznych, ujęci uprzejmem podjęciem rodaczki swej hrabiny Vaubau, przyjaciółki X. Józefa, mieszkającej wraz z nim w jego pałacu, zwanym pod Blachą, byli za X. Józefem. Popierała go też arystokracja nasza, woląc mieć swojego na czele wojska, jak obcego im szlachetkę, którego znana energia i nieugiętość w sprawach publicznych przerażała ją. Nie trudno więc jej było przeko-

nać Napoleona, który we Włoszech miał sposobność poznać Dąbrowskiego znakomite zdolności, a przy niezawisłości charakteru, gorące dla sprawy narodowej uczucie, iż daleko powolniejszym dla jego widoków będzie na tym stopniu arystokratycznych przekonań a lekkiego usposobienia X. Józef, aniżeli surowej cnoty, nieugięty legionista. Przeto Cesarz Francuzów kierując się jako despota więcej własnym interesem, aniżeli dobrem narodu, którego obłudnie grał rolę wybawcy, mianował 14 Stycznia 1807 z pominięciem Dąbrowskiego, wbrew ogólnej opinji, X. Józefa Poniatowskiego naczelnikiem tymczasowego wydziału wojny.

Po zakończonej przez Napoleona walce z Prusami i Moskwą pokojem Tylżyckim, 9 Lipca 1807 r., król Saski zostawszy Xięciem Warszawskim, stosując się do woli Napoleona, zamianował X. Józefa ministrem wojny i naczelnym wodzem wojska polskiego.

Cesarz Francuzów nie zawiódł się na wyborze, bo X. Józef zajmując przez cały ciąg trwania X. Warszawskiego wysoką posadę naczelnego wodza wojska polskiego, jako wierny sługa Cesarza Napoleona, bardziej miał na względzie korzyści swojego pana, jak sprawę własnego narodu.

W drugim roku istnienia Xięztwa Warszawskiego, Cesarz austrjacki wypowiedziawszy wojnę Napoleonowi, wysłał pod dowództwem

krewnego swego Arcyxięcia Ferdynanda d'Este, korpus czterdziestokilkotysięczny dla zajęcia X. Warszawskiego, wtargnięcia ztamtąd do Prus i wsparcia przygotowanego w północnych Niemczech powstania, przeciwko gnębiącej naród niemiecki władzy francuzkiej. Wprawdzie siła zbrojna X. Warszawskiego składała się z 31,000 piechoty i 6,000 jazdy, ale dobroczyńca Polski, Napoleon, podarował z tego bratu swemu Hieronimowi, którego podobało mu się zrobić królem Westfalskim, 4 pułki piesze i dwa jazdy, a niebawem, gdy mu przyszła zgubna myśl osadzenia na tronie hiszpańskim drugiego brata swego Józefa, zabrał znów trzy pułki piechoty i jeden jazdy polskiej i zesłał je do Hiszpanji. Kiedy więc pułki polskie dla dogodzenia dynastycznym urojeniom despoty francuzkiego, musiały służyć za narzędzie ucisku innych ludów, wówczas własna ich ojczyzna miała na razie zaledwie 13,000 wojska do oparcia się przeważnemu najazdowi Austrjaków.

Pomimo tego, iż już w jesieni 1808 r. wszystko zapowiadało ponowne starcie się Cesarza Austrji z Cesarzem Napoleonem, które rzeczywiście urzędowem wypowiedzeniem wojny przez Cesarza Franciszka I dnia 6 Kwietnia 1809 r. potwierdzonem zostało, wszelako zmiana ta stosunków politycznych, nie przerwała wesołego życia ministra wojny i naczelnego wodza wojsk polskich. Wojska austrjackie mające wkroczyć

do X. Warszawskiego zbierały się za Pilicą, o 10 mil od Warszawy, a minister wojny Xięztwa Warszawskiego, X. Jozef Poniatowski, nic o tem nie wiedział. Dopiero ekonom z dóbr Małachowskiego w kordonie austrjackim, za Pilicą położonych, wiedziony patrjotycznem uczuciem przekradłszy się przez posterunki austrjackie, zawiadomił X. Józefa o grożącem Warszawie niebezpieczeństwie. Zaczęto się krzątać około zgromadzenia szczupłych sił do obrony zagrożonej stolicy Xięztwa, ale niebawem 12 Kwietnia naczelny wódz wojsk austrjackich, Arcyxiąże Ferdynand d'Este, wydał odezwę do mieszkańców X. Warszawskiego, zapowiadającą im swój pochód, a 14 Kwietnia przekroczywszy granicę, zawiadomił o swojem wtargnięciu pisemnie X. Józefa. W kłopotliwem położeniu, w jakiem się znajdował X. Józef Poniatowski, objawił się w całej czystości prawy charakter i przywiązanie do ojczyzny generała Henryka Dąbrowskiego. Niezważając na to, iż ubliżono jego zasługom i pokrzywdzono go dotkliwie, oddając X. Józefowi naczelne dowództwo wojska polskiego, które on utworzył i wypielęgnował, złożył szlachetnie obrazę i żal swój słuszny na ołtarzu ojczyzny i pośpieszył wesprzeć szczerze doświadczoną radą swoją nader jej potrzebującego X. Józefa.

Plan bitwy pod Raszynem był dziełem Dąbrowskiego, który wiernie i z świetną odwagą wykonał w dniu 19 Kwietnia 1809 roku

X. Józef Poniatowski. Nieprzyjaciel czterykroć liczniejszy, zaufany w swą przewagę liczebną był pewnym, iż bez wielkiego z swejstrony wysilenia, zniesie tę garstkę, ośmielającą się stawić mu czoło. Tymczasem niespodziewanie natrafił na tak nieugięty opór, iż od południa do późnego wieczora, walcząc zażarcie, nie mógł przełamać tej lekceważonej przez siebie garstki, która potrafiła utrzymać się na placu boju i dopiero nazajutrz, to jest 20 Kwietnia, cofnęła się pod wały stolicy. Bitwa Raszyńska zamieniła zarozumiałość najazdu w zwątpienie o pomyślnym skutku przedsięwziętej wyprawy. Nastąpiło ze strony wodza wojsk austrjackich, Arcyxięcia Ferdynanda d'Este, żądanie zawieszenia broni, a następnie rokowania o poddanie Warszawy.

Dąbrowski, który układał warunki kapitulacji, umiał ją wyzyskać pod względem strategicznym na korzyść naszą, zapewniła ona nam posiadanie przedmieścia Pragi na prawym brzegu Wisły położonego a zarazem i neutralność od strony Warszawy, tego ważnego stanowiska. W skutku tej kapitulacji, Arcyxiąże chociaż zajmował pozycję w Warszawie górującą nad Pragą, nie mógł jednak z tej pozycji tak korzystnej działać zaczepnie przeciwko Pradze, którą po ustąpieniu z Warszawy załoga polska obsadziła jako wzmocniony szaniec przedmostowy, a główne siły nasze zajęły na prawym

brzegu Wisły pod twierdzą Modlinem korzystne stanowisko.

Na radzie odbytej w obozie polskim, przemogło zdanie Dąbrowskiego, aby wojnę odporną zamienić w zaczepną. W skutku tego X. Józef z całą masą regularnego żołnierza miał wkroczyć do Galicji. Dąbrowski miał z ruchawką bronić prawego brzegu Wisły od Warszawy do Torunia i wywołać w całej Wielkopolsce powstanie, aby wojną podjazdową trapić nieprzyjaciela bezprzestannie, a w razie jego odwrotu, wziąść go we dwa ognie.

Plan ten wydał najświetniejsze skutki. Arcyxiąże trafił na nieprzełamany opór w przeniesieniu się na prawy brzeg Wisły. Dąbrowski poruszywszy całą Wielkopolskę, trapił go zręcznie prowadzoną wojną podjazdową. X. Józef wkroczywszy do Galicji, posuwał się zwycięzko naprzód.

Arcyxiąże Ferdynand nie mogąc się przedrzeć na czasie do Prus, dla poruszenia całych północnych Niemiec przeciwko znienawidzonemu władcy Francuzów, musiał spieszyć na obronę zagrożonych posiadłości austrjackich wkroczeniem X. Józela do Galicji, a zarazem i zbliżyć się do głównej armii austrjackiej, walczącej pod Wiedniem z Napoleonem.

Wojska austrjackie napróżno kusząc się o wzięcie Torunia w dniu 18 Maja, rozpoczęły odwrót, a Dąbrowski z oddziałami, które utwo-

rzył, krok w krok postępował za niemi. Tymczasem X. Józef po zajęciu Lublina, zdobyciu Zamościa, wysłał oddział pod dowództwem generała Różnieckiego, który zajął Lwów, a sam posunął się ku Krakowowi, który w dniu 15 Lipca 1809 r. po ustąpieniu z niego Austrjaków, zajął. Na drugi dzień po odzyskaniu przez wojska polskie dawnej Jagiellonów stolicy, przyszedł z głównej kwatery Cesarza Napoleona rozkaz wstrzymania wszelkich nieprzyjacielskich kroków, z powodu rozejmu zawartego 12 Lipca w Znaim Morawskim.

Jest rzeczą niezaprzeczoną, iż opór nieprzewidziany, na jaki Austrja natrafiła w Xięztwie Warszawskiem, nie mały wpływ wywarł na rozstrzygnięcie kampanji, toczącej się w okolicach Wiednia. Szczupłe siły polskie, nie tylko nie dozwoliły armji Arcyxięcia Ferdynanda wtargnąć do Prus i rozniecić w całych Niemczech powstania, ale co ważniejsza, zatrudniły 60,000 wojska austrjackiego i oderwały go z pola głównej walki, co się przyczyniło przeważnie do uratowania Napoleona. Gdyby nie opór Polaków, armia Arcyxięcia Ferdynanda połączywszy się z głównemi siłami austrjackiemi, byłaby w bitwie pod Wagram przeważyła szalę zwycięztwa na stronę Austrji, a tem samem przyśpieszyła stanowczo już wówczas upadek Napoleona, który go w kilka lat później spotkał. Oceniając też tę ważność usług ze stanowiska

wojskowego, oddanych przez Polaków Napoleonowi, a kierując się przedewszystkiem pożytkiem narodu, Dąbrowski usilnie nastawał na X. Józefa, aby korzystał z szczęśliwego zajęcia Krakowa i Galicji, wcielił je do Xięztwa i zamienił jego nazwę na nazwę Królestwa Polskiego.

« Nie hulajmy, nie balujmy, ale czemprędzej zajmujmy się podniesieniem siły naszej zbrojnej, do czego środki zdobyliśmy sobie, do stutysięcy. Austrja chce odstapić Galicji, dla ocalenia Illirji, Dalmacji i pobrzeża Raguzy. Napoleon widząc nasze postanowienie, poparte siłą poważną, a przy tem i życzeniem Austrji, zgodzi się na to, bo krwawą kampanią przerzedzone mając szeregi i niepewnych wszędzie sprzymierzeńców, będzie nas wolał mieć po swolej stronie jak przeciw sobie ».

Rada ta Dąbrowskiego nie przypadła ani do usposobienia, ani do przekonania politycznego X. Józefa. Oświadczył więc, « iż przysiągłszy na wierność Napoleonowi, w jego imieniu i z jego rozkazu prowadząc tę wojnę, musi się stosować do jego woli i zdobytą na Austrji Galicją, uważać za własność Cesarza Francuzów, którą bez dopuszczenia się zdrady, rozrządzać samowolnie nie może. » Odpowiednio więc do tego przekonania X. Józefa, uważającego się przedewszystkiem za sługę cesarza Napoleona w kraju polskim, odzyskanym walecznością wojska pol-

skiego, orły austrjackie zastąpione zostały orłami francuzkimi, ludność polska przysięgała na wierność Cesarzowi Francuzów, a nawet formujące się pułki polskie przybrały nazwę francuzko galicyjskich. Fakta te dostatecznie wykazują, iż o ile zamianowanie X. Józefa wodzem naczelnym wojsk polskich, było dogodnem dla obłudnej polityki Napoleona, o tyle było zgubnem dla sprawy polskiej.

Wcale inne dla niej nastąpiłyby były skutki, gdyby mąż zdolny, sprężysty i tak poświęcony ojczyźnie jak Dąbrowski, był naczelnym wodzem wojska polskiego, bo byłby potrafił utrzymać godność swojego stanowiska i wyzyskać najodpowiedniej sprzyjające okoliczności dla zapewnienia trwałego bytu odradzającej się ojczyźnie.

Cztery miesiące trwały targi dyplomatyczne, zaczem przyszło do zawarcia pokoju między Cesarzem Francuzów a Cesarzem austrjackim w dniu 14 Października 1809 r. w Wiedniu. Xiąże Józef zamiast wyzyskać czas ten rokowań i jak radził Dąbrowski, z całą stanowczością ogłosić Królestwo Polskie i opierając się na poważnej sile zbrojnej, wytargować uznanie onego przy zawarciu traktatu wiedeńskiego, zwłaszcza, że to wówczas dogadzało interesowi Austrji, zapomniał zupełnie o stanowisku swojem jako wodza wojska polskiego a przejął się służalczą uległością dla Napoleona, którego za pana swojego uznawał.

Stanowisko podobne więcej odpowiadało usposobieniu X. Józefa, bo go uwalniało od wszelkich kłopotów i odpowiedzialności, a tem samem dozwalało mu oddać się rozkoszy i zabawom, które rzeczywiście stanowiły główne zadanie jego życia. To też pobyt czteromiesięczny X. Józefa w Krakowie, pozwolił mu po trudach wojennych sowicie wynagrodzić sobie stracone dla uciech chwile. Naoczny świadek, a mianowany przez X. Józefa po zajęciu Krakowa Intendentem policji Antoni Kostecki, z którym zapoznałem się, osiadłszy w Krakowie po powstaniu 1831 r., opowiadał mi o tem pogrążeniu się w najwyuzdańszej rozpuście X. Józefa wraz z całą otaczającą go złotą młodzieżą owych czasów.

Głos Dąbrowskiego nawołujący do pamiętania o sprawie ojczyzny, był głosem wołającego na puszczy, hulatyka była na porządku dziennym. Zabawy wszelkiego rodzaju, a najczęściej rajskie kolacje zbyt zajmowały umysły, aby było czas myśleć o sprawach publicznych. Sam wódz naczelny będąc duszą tej wesołości, znużony nocną pracą w nadobnem towarzystwie płci pięknej, zwykle dopiero o 11 przed południem budził się i leżąc w łóżku, odbierał raporta wojskowe i od Intendenta policji. Taki rodzaj życia nie przyczyniał się do rozbudzenia sprężystości i wznioślejszego pojęcia o obowiązkach względem ojczyzny, wypływających z zajmowanego

stanowiska. Zkąd też pochodzący brak poczucia godności narodowej i wypływające z niej służalcze podporządkowanie najżywotniejszych ininteresów ojczyzny woli i widokom Napoleona, odgrywającego obłudnie rolę zbawcy Polski, wywarło w swych następstwach najzgubniejszy wpływ na losy Polski, równie jak i na los samego Napoleona.

Xiąże Józef od początku utworzenia Xięztwa Warszawskiego, nie umiał sobie wyrobić powagi odznaczającej się godnością, jaka przywiązaną jest do stopnia naczelnika siły zbrojnej niepodległego narodu, lecz z potulną uległością, jakby jaki podrzędny dowódzca wypełniając ślepo narzucane mu rozkazy od władzy obcej, przyzwyczaił tę władzę do lekceważenia go. To też gdy nadeszła chwila stanowczego starcia się Napoleona z Moskwą w roku 1812, pomimo, iż Xięztwo Warszawskie wystawiło do tej walki 74,000 piechoty, 22,000 jazdy, odpowiednią artylerją, oprócz 10,000 walczących w Hiszpanji. X. Józef, wódz naczelny tej potężnej siły, nie miał żadnego głosu w rozrządzeniu takową. Przy rozpoczęciu wojny z Moskwą, wojsko polskie z rozkazu despoty francuzkiego zostało samowolnie rozrzucone na całej olbrzymiej linji bojowej, a naczelny wódz onego X. Józef, z trzema dywizjami przeszedł pod rozkazy króla Westfalskiego, brata Napoleona.

Mąż mający na pieczy godność i interes kraju,

dowodząc naczelnie siłą zbrojną narodu, byłby mu potrafił zapewnić stanowisko sprzymierzeńca ale nie bezwiednego narzędzia, a nawet w obec Napoleona, byłby potrafił zjednać powagę głosowi swojemu i odwieść go od zgubnego rozproszenia i ubezwładnienia wojska polskiego, jedynego z posiłkujących wojsk sprzymierzonych, na którego wierność w każdej dobie mógł Cesarz Francuzów z pewnością liczyć.

Tymczasem X. Józef, jako naczelny wódz wojska polskiego, nie potrafiwszy sobie wyrobić stanowiska poważnego i poważanego, traktowanym był wraz z wojskiem narodowem, pod jego rozkazami zostającem, jak każdy podrzędny dowódzca francuzki, ślepo obowiązany wykonywać rozkazy z góry nadane.

Napoleon z usposobienia despota, pomimo zdolności swoich, a jeszcze większego szczęścia, miał wszystkie słabości zwykłego dorobkowicza. Ztąd też cześć jego dla starych zaborczych dynastji, oraz żądza zbratania się z niemi. Pobiwszy dwa razy Cara, posiłkującego dynastje Habsburgów i Hohenzollernów, a rozbiwszy zupełnie potęgę tych dwóch dynastji, nie zredukował je do pierwotnej a właściwej ich roli arcyksiążąt austrjackich i elektorów brandeburskich, ale ich pozostawił na dawnem stanowisku. Skarbiąc sobie tym sposobem ich względy, mniemał w swem zaślepieniu, iż dumni władzcy Austrji i Prus, potrafią mu przebaczyć

i klęski doznane i upokorzenia dotkliwe, które znosić musieli od przywłaszczyciela, przez zawieruchę rewolucyjną wyniesionego z motłochu, a znieważającego prawowitość ich rodów, wdzieraniem się ciągłem do ich wiekami uświęconego koła. Cierpieli też do czasu, to świętokradzkie z nim zetknięcie, wyzyskując jak najzręczniej na korzyść swoją zaślepienie człowieka z gminu, który odurzony swem powodzeniem, zapomniał o swojem pochodzeniu i o zasadach, którym był winien swoje wyniesienie. Ta żądza Napoleona kumania się z dynastjami zaborczemi, wypływająca z próżnej pychy dorobkiewicza, kierowała i rozpołożeniem sił sprzymierzonych przy rozpoczęciu kampanji moskiewskiej. Zamiast wątpliwych sprzymierzeńców, jakimi byli Prusacy i Austrjacy wziąść w środek, a wojsku polskiemu powierzyć skrzydła, od których obsadzenia przez wiernych sprzymierzeńców zależało bezpieczeństwo armji głównej francuzkiej, działającej na stumilowym prawie przestworze, Napoleon dla przypodobania się starym dynastjom zaborczym, postąpił wprost przeciwnie, wbrew własnemu interesowi i zdrowemu rozsądkowi.

Dla dogodzenia monarchom Austrji i Prus, starał się unicestwić znaczenie polityczne Polaków, najwierniejszych swych sprzymierzeńców w tej wojnie. W tym celu rozrzucił na stumilowej przestrzeni wojsko polskie w drobnych

oddziałach, wcielając je do korpusów francuzkich, odbierając mu wszelką możność samoistnego działania i zacierając pod względem politycznym ślad nawet jego w tej wojnie współudziału. Przeciwnie wrogów swych ukrytych, Austrjaków i Prusaków umieścił na skrzydłach w skupionej massie, ułatwiając im wszelką swobodę działania przy zdarzonej okazji, na zgubę posuwających się nieoględnie naprzód głównych sił francuzkich. To też Austrjacy działający na prawem skrzydle, zmawiali się z Moskalami i gdy główne siły francuzkie dążyły ku Moskwie, oni pozwalali podjazdom moskiewskim zapuszczać zagony swoje aż ku Warszawie. Prusacy stojący na lewem skrzydle, gdy nastąpił fatalny odwrót Napoleona z pod Moskwy, połączyli się otwarcie z Moskalami i odwrócili się zdradziecko przeciwko szczupłym oddziałom francuzkim i polskim, których przed chwilą byli sprzymierzeńcami.

Nieulega wątpliwości, iż do straszliwej klęski poniesionej w odwrocie z Moskwy w r. 1812, która zniszczyła potęgę Napoleona a z nią i byt X. Warszawskiego, przyczyniło się głównie i bezpośrednio zaślepienie samego Napoleona.

Ale i to jest pewnem, że gdyby zamiast lekkomyślnego i bez żadnej tęgości charakteru X. Józefa, był od początku utworzenia się Xięztwa Warszawskiego, stanął na czele siły zbrojnej narodu polskiego generał Henryk Dąbrowski,

mąż przeniknięty gorącą miłością ojczyzny, wielkich zdolności wojennych i niezłomnego charakteru, toby był potrafił wyrobić sobie taką powagę, iż głos jego poparty potęgą stutysięcznego wojska narodowego, byłby znalazł posłuch i u Napoleona, i byłby mógł ochronić i jego i naród nasz od zguby.

Dąbrowski jeszcze przed rozpoczęciem wojny z Moskwą, przewidując mogący nastąpić w skutku zarozumiałości i zaślepienia Napoleona, jej niefortunny obrót, doradzał X. Józefowi, aby ze wszystkich pułków polskich pozostawił w kraju silne zakłady, które w czasie pochodu wojsk francuzkich i polskich ku Moskwie, byłyby się zasilały rekrutacją w kraju i utworzyłyby silną rezerwę, nader przydać się mogącą w razie nie powodzenia głównej armji francuzkiej, dla odwrócenia od niej ostatecznej klęski. Trzeba było jednak mieć więcej energji aniżeli ją posiadał X. Józef, aby się odważyć na wykonanie pomysłu samodzielnego, w obec górującej nad wszystkiem samowładzcy Napoleona. Rada więc Dąbrowskiego pozostała bez skutku. Trafność jej okazała się dopiero, gdy szczątki wyniszczonej głodem i niesłychanem zimnem wielkiej armji francuzkiej, zdezorganizowanej zupełnie i podupadłej na duchu, w odwrocie, a raczej w bezładnej ucieczce z Moskwy przekroczyły Niemen. Cała wówczas potęga moskiewska, ścigająca tę massę bezładną, zdziesiątkowana także przez

głód i mrozy, składała się z 35,000 ludzi (1), którzy przynajmniej mieli pozór wojska i trzymali się kupy. Gdyby wówczas znalazła się była w X. Warszawskiem wypoczęta rezerwa 40,000 byłaby niewątpliwie zmusiła Moskali do odwrotu, a masa niedobitków francuzkich pod zasłoną tej polskiej rezerwy, byłaby zyskała czas do zorganizowania się i utworzenia nad Wisłą łącznie z rezerwą polską poważnej armji. Odparcie pościgu moskiewskiego od Wisły zmieniało całkiem położenie stron wojujących, bo niweczyło wszelkie korzyści, jakie Moskwa z klęski Francuzów, jedynie przez ściganie ich i niedozwolenie im zreorganizowania się nad Wisłą, osiągnąć mogła. Polacy i Francuzi utrzymawszy się w pozycji obronnej nad Wisłą, odcinali Moskwę od jej skrytych sprzymierzeńców i niweczyli jej wpływ na nich. Ani Austrjacy. ani inni Niemcy, nie byliby się odważyli zdradzać Napoleona i łączyć się z Moskwą, gdyby ta powstrzymana, nie miała dosyć siły do przełamania w zimie stawionego jej odporu nad Wisłą, a z wiosną wystawiona przez Francję nowa trzechkroćstotysięczna armija, na której czele Napoleon mógł zdążyć ku Wiśle, klęską jej niewątpliwą groziła. Tymczasem z braku tej rezerwy polskiej, szczupłe siły moskiewskie mogły pędzić szczątki zdezorganizowanej armji fran-

(1) Turgeniew. La Russie et les Russes.

cuzkiej, przerzucić ją nie tylko za Wisłę, ale i za Elbę, wejść w stosunki bezpośrednie z Prusakami i Niemcami i utworzyć przeciw Napoleonowi koalicją, do której zachęcona przewagą sprzymierzonych i Austrja wkrótce przystąpiła. Jest wszelkie prawdopodobieństwo, że gdyby nie X. Jozef, ale Henryk Dąbrowski był wodzem naczelnym wojska polskiego, byłaby rezerwa w Xięztwie Warszawskiem zorganizowana, nie tylko wstrzymała pochód Moskali, ale i przerzuciwszy ich za Bug, ocaliła od upadku Polskę i Napoleona.

Pomimo straszliwej klęski, poniesionej przez Napoleona w odwrocie jego z Moskwy, spotęgowanej błędem, iż ani on, ani X. Józef nie pomyślał o utworzeniu rezerwy w Xięztwie Warszawskiem, któraby mogła wstrzymać pochód szczupłych zrazu sił moskiewskich, urok wojennego geniusza Napoleona i zasobów Francji tak był ugruntowanym, iż Austrja nie śmiała otwarcie wystąpić przeciw niemu. Udając więc jeszcze rolę sprzymierzeńca Napoleona zasłaniała Krakowskie od najścia Moskali, a targując się z nimi, ułatwiła X. Józefowi z szczupłą garstką 12,000 ludzi utrzymać się w Krakowie aż do 3 Maja 1813 r., w którym to dniu zmuszonym był przekroczyć Wisłę, zmierzając ku Szlązkowi austrjackiemu.

Tymczasem Napoleon z nowemi siłami z Francji nadciągnąwszy do Saxonji, pobił sprzymie-

rzonych Prusaków i Moskali 2 Maja pod Lützen, a następnie w dniu 21 Maja, zadał im tak stanowczą pod Bautzen czyli Budyszynem klęskę, iż droga do Warszawy stała mu otworem.

Gdyby był korzystał z popłochu, jaki ogarnął wówczas sprzymierzonych i pędząc niedobitki moskiewskie, wkroczył napowrót do Polski, byłby powetował klęski zrządzone odwrotem z Moskwy i zyskał znów sprzymierzeńca w Austrji, która przerażona jego powodzeniem, byłaby stanowczo według zasad swej polityki, połączyła się z nim, jako silniejszym, przeciw słabszej Moskwie.

Zgubne skutki zdrad doznanych od monarchów zaborczych, nie wyleczyły jednak Napoleona z zaślepienia, spowodowanego manią zbratania się z nimi. Przebiegły Cesarz austrjacki, korzystając z tej jego znanej mu dobrze słabości dorobkiewicza, ratując pobitych Cara i Króla pruskiego, z którymi tajemnie się układał, wyjednał dla nich u zięcia swego zawieszenie broni dwumiesięczne.

Napoleon przyzwalając na nie, rzekł do swego otoczenia, « wiem że popełniam niedorzeczność, lecz nie mogę odmówić prośbie mego teścia Cesarza Austrji ». I rzeczywiście popełnił największą niedorzeczność, bo dobrowolnie pozbawił się wszelkich korzyści, jakie mu po zwycięztwie Budyszyńskiem zapewniało dalsze, bezzwłoczne prowadzenie wojny. Sprzymierzeni

zyskali przez tę chęć niewczesną Napoleona przypodobania się teściowi swojemu, a zarazem i złudną jego nadzieję przejednania Cara i Króla pruskiego, czas im potrzebny do zreorganizowania rozbitych wojsk swych i wzmocnienia ich nadciągającymi posiłkami z głębi kraju. Austrja zyskała czas do stanowczego porozumienia się z nimi i zgromadzenia w Czechach 200,000 wojska na tyłach armji francuzkiej i uderzenia na nią przed końcem rozejmu, bez wypowiedzenia wojny.

W tej na nowo rozpoczętej walce, w której zaślepienie Napoleona zapewniło sprzymierzonym nie wątpliwą nad nim przewagę, wojsko polskie pod dowództwem X. Józefa, w liczbie 13,000, w połączeniu z Francuzami stanowiło 8 korpus armji francuzkiej, któremu X. Józef przewodził. Dąbrowski z pięciotysiącami naszych przeszedł pod dowództwo Wice-króla włoskiego, większą część jazdy polskiej wcielono do korpusu czwartego armji francuzkiej któremu przewodził Kelermann. I tu rozrzucenie wojska polskiego i utopienie go bez śladu odrębności w armji francuzkiej, odejmujące mu przez to wszelkie polityczne znaczenie, wypływało z zaślepienia Napoleona i miało na celu ułatwienie mu pojednania się z trzema despotami zaborczymi, o którem ciągle marzył i które w każdej chwili gotów był okupić poświęceniem Xięztwa Warszawskiego, wraz z wojskiem pol-

skiem, którego męztwo obłudnie wyzyskiwał.

W bitwie olbrzymiej i morderczej, trwającej trzy dni pod Lipskiem, złamaną została stanowczo potęga Napoleona. X. Józef jako dowódzca ósmego korpusu armji francuzkiej, którego przeważną część składali Polacy, okrył się w tej bitwie chwałą, Napoleon w drugim dniu bitwy mianował go marszałkiem państwa francuzkiego.

Nagroda ubliżająca godności wodza naczelnego wojska polskiego, w której dotkliwe poniżenie uczuł X. Józef i pomimo swej bezwzględnej uległości dla Napoleona, oświadczył Muratowi, królowi neapolitańskiemu, zwiastującemu Xięciu Józefowi osobiście tę łaskę Napoleona: « Niespodziewam się, żeby mię to pozbawić miało najzaszczytniejszej dla mnie godności naczelnego wodza wojska polskiego ».

Zdanie słuszne, którego jednak X. Józef z ujmą dla siebie a z krzywdą dla kraju, nie umiał poprzednio czynami stwierdzić. Ztąd też nominalnie tylko był naczelnym wodzem wojska polskiego, faktycznie zaś uważanym był jako dywizjoner francuzki, a dowodem tego najoczywistszym posunięcie go wśród bitwy Lipskiej, za odznaczenie się, na stopień marszałka państwa francuzkiego. Łaska Napoleona jak w ogóle dla Polaków tak i dla X. Józefa była zgubną.

Napoleon nie poprzestawszy na zamianowaniu Xięcia Marszałkiem, chcąc mu dąć dowód

szczególnej swej przychylności, powierzył Xięciu jako Bajardowi Cesarstwa, trudne nader zadanie zasłonienia odwrotu cofającej się z pod Lipska armji francuzkiej. X. Józef wywiązał się z danego mu poruczenia z odwagą nieustraszoną, wstrzymując uporczywie pochód sprzymierzonych, ścigających Francuzów.

Dzięki poświęceniu się X. Józefa, armja francuzka ocaloną została od zupełnego rozbicia, lecz oficer francuzki, któremu polecono wysadzenie mostu, ale dopiero po przejściu przez niego tylnej straży, której X. Józef przewodził, wykonał dane mu polecenie przedwcześnie i przez zniszczenie mostu zniweczył jedyną drogę dla niej odwrotu. Naciśnięty od nawały sprzymierzonych X. Józef, już trzy razy ciężko ranny, przeniósł śmierć nad niewolę i rzucił się z koniem w nurty Elstry wraz z kilkudziesięciu towarzyszami broni, w nadziei przepłynienia tej rzeki, lecz krew obficie upływająca z ran odjęła mu resztę sił i pomimo usiłowań kilku towarzyszy, poświęcających się dla uratowania go, wraz z nimi w nurtach wezbranej rzeki pochłoniętym został.

Po zgonie X. Józefa, dowództwo nad pozostałymi szczątkami wojska polskiego, powierzył Napoleon Xięciu Sułkowskiemu, z pominięciem znów Dąbrowskiego. Niesprawiedliwość ta względem najstarszego generała i stopniem i zasługami, obudziła nieukontentowanie i przy-

wiodła na pamięć bezowocne dotąd dla sprawy narodu wyzyskiwanie przez Napoleona męztwa i poświęcenia Polaków. Dla uchronienia się od nowych zawodów, uznano potrzebę zawarciem umowy zabezpieczyć przyszły los narodu, nim się do nowych zobowiąże ofiar. Xiąże Sułkowski przedłożył Napoleonowi żądanie Polaków, oznajmiając mu przytem, że w nich zachwianem mocno zostało zaufanie w jego dobre chęci dla narodu polskiego. Dla uspokojenia zaś swych towarzyszy broni, X. Sułkowski dał im słowo, iż tylko do Renu, jako granicy Cesarstwa przewodniczyć im będzie.

Obłudny Korsykanin, który przy każdych rokowaniach z sprzymierzonymi, a zwłaszcza od chwili fatalnego odwrotu z pod Moskwy, był gotów wyparciem się Polaków i rzuceniem ich na pastwę sprzymierzonym, torować sobie drogę do pojednania się z trzema despotami zaborczymi, przez kilka dni zwłóczył danie odpowiedzi, na przedstawione mu przez X. Sułkowskiego żądania wojska polskiego.

Wreszcie licząc na urok swój i łatwowierność tyle razy oszukanych przez niego Polaków, przygotowany do odegrania nowej z nimi komedji, zwoławszy oficerów polskich, zaczął ich upewniać kłamliwie, o swojem do narodowości polskiej przywiązaniu, zaręczać, że tylko wrogi jego rozszerzają fałszywe wieści, jakoby nie dbał o byt X. Warszawskiego. « Wszak ono jest

mojem dziełem i ja tylko na zasadzie traktatów, mogę skutecznie za utrzymaniem jego bytu przemawiać, opuszczając mnie odjęlibyście mi sami tę możność. Zresztą odstępując mnie wrócilibyście do ojczyzny jako jeńcy, trzymając ze mną, jest wszelka nadzieja, iż powrócicie, jako jej wyswobodziciele. Chcę was odtąd uważać, jako wojsko X. Warszawskiego, posiłkujące mnie, jako reprezentacją narodu polskiego.» Posuwając kłamstwo do bezczelności, dodał: « Zapewnić was mogę, iż X. Józef, wódz wasz ukochany nie zginął, jest w niewoli szwedzkiej i wkrótce stanie na waszem czele. A teraz zapytuję was, czy opuścicie mnie?» — Okrzyk: « Niech żyje cesarz!» był odpowiedzią, która związała na nowo losy Polski z losami tego obłudnika, wyzyskującego podstępnie szlachetne uczucia poczciwego narodu. X. Sułkowski nie chcąc cofać danego słowa, iż tylko do Renu wojsku przywodzić będzie, złożył dowództwo, które nareszcie powierzył Napoleon Dąbrowskiemu.

Po cofnięciu się za Ren niedobitków francuzkich w dniu 2 Listopada 1813, przekroczyli go w siedem tygodni później sprzymierzeni. Przez całą zimę 1814 toczyła się na ziemi francuzkiej zacięta walka, w której biorąc udział nie szczędzili ofiar i krwi swojej Polacy. Lecz geniusz wojenny Napoleona i nadzwyczajna sprężystość działania, którą rozwinął w tej rozpaczliwej walce, uledz musiały nie tyle przewadze sił,

których nie umieli używać odpowiednio dowódzcy sprzymierzonych, jak raczej zdradzie dostojników francuzkich, tak cywilnych jak i wojskowych.

Obsypani bogactwy a nie mogac ich swobodnie używać z powodu ciągłych wojen, postanowili stanowczy im kres położyć, poświęcając Napoleona. Szło im tylko o zabezpieczenie sobie stanowisk zajmowanych i o zapewnienie się przeciw prześladowaniu, mogącemu ich dotknąć z upadkiem Napoleona, bądź to od sprzymierzonych, bądź to od starej dynastji Burbonów, mającej na tronie francuzkim zastąpić Bonapartego. Rokowali więc ciągle z nimi, a otrzymawszy od nich żądane od siebie rękojmie, nie wahali się z wykonaniem zdrady. Właśnie gdy sprzymierzeni skoncentrowani pod Chatillon znajdowali się w najkłopotliwszem położeniu, bo zamknięci między Paryżem a szarpiącą ich z tyłu armią Napoleona, myśleli nad tem, jakby najmniej uciążliwymi dla siebie warunkami otrzymać pozwolenie cofnięcia się za Ren, i w tym celu rozpoczęli rokowania z Napoleonem, nadeszło od zdrajców wezwanie do sprzymierzonych, aby nie tracąc czasu, bez wahania się szli do Paryża, który ich przyjmie jako wybawców. Dostojnicy francuzcy otwierając bramy Paryża sprzymierzonym, uczynili wszelki dalszy opór Napoleona niemożliwym i zmusili go tem

sāmem do złożenia korony w Fontainebleau dnia 5 Kwietnia 1814.

Dąbrowski w skutku ran i zawodów złożony niemocą, wysłał wówczas generała Sokolnickiego i pułkownika Szymanowskiego do Napoleona z przypomnieniem, iż gdy Polacy swoje zobowiązania względem niego gorliwie do ostatka spełnili, aby i on nie zapomniał przy układach toczących się o danych im przyrzeczeniach, co do zapewnienia bytu ich narodowi. Ale Napoleon w rokowaniach swych z sprzymierzonymi nie tylko o Polsce, ale nawet o utrzymaniu bytu X. Warszawskiego wzmianki nie zrobił. Zaledwie na przypomnienie, przedstawione mu przez wysłanników Dąbrowskiego, polecił pełnomocnikowi .swemu, aby wojsku polskiemu wyjednał swobodny powrót do kraju z bronią w ręku. Na co też sprzymierzeni ze względu na nieustraszone męztwo i szlachetne zachowanie się Polaków z łatwością przystali i w traktacie Paryzkim, zawartym 11 Kwietnia 1814, pozwolenie powrotu do ojczyzny wojsku polskiemu z orężem w ręku zamieścili. Po zawarciu traktatu paryzkiego, wysłannicy Dąbrowskiego udali się do cara Alexandra, bohatera ówczesnej chwili. Carowi, który już zamierzył jeżeli nie wszystkie części dawnej Polski, to przynajmniej X. Warszawskie przywłaszczyć sobie, zjawienie się wysłanników Dąbrowskiego było nader pożądanem. Przyjął ich bardzo łaskawie, nie

szczędząc pochwał dla wojska polskiego i złudnych obietnic przywrócenia bytu niepodległego Polsce (1). Tymczasem polecił zgromadzenie w jeden zastęp wszystkich wojskowych, znajdujących się we Francji i zamianował komitet do zreorganizowania wojska polskiego, złożony z generałów polskich Dąbrowskiego, Zajączka, Wojczyńskiego, Wielhorskiego, Kniaziewicza, X. Sułkowskiego, X. Gedrojca i Sierakowskiego, oświadczając, iż przyszłym wodzem wojska polskiego będzie brat jego W. X. Konstanty.

Po powrocie do kraju, Dąbrowski nim powołał pod chorągwie rozproszonych wojowników, wysłał w Czerwcu 1814 podpułkownika Władysława Ostrowskiego do Cara, będącego wówczas w Petersburgu z prośbą o ponowienie zapewnienia przyrzeczonego w Paryżu odbudowania Polski. Car Alexander, o którym podobny mu kuglarz Napoleon I wyraził się, iż jest najprzebieglejszym ze wszystkich Greków, na posłuchaniu danem podpułkownikowi Ostrowskiemu, dobywszy do połowy z pochwy pałasz wysłannika polskiego: «Tem żelazem rzekł, przetnę węzeł, któryby mi tamował odbudowanie Polski.» Znalezienie się to i przemówienie było tylko komedją, odegraną przez cara dla zjednania sobie Polaków, których pomoc mogłaby mu być potrzebną, gdyby rokowania mające się roz-

(1) Pamiętniki Kajetana Koźmiana.

cząć w Wiedniu, celem załatwienia wszystkich spraw europejskich, nie szły po jego myśli. Jakoż niebawem car czynami swoimi zadał kłam tym złudnym swoim oświadczeniom.

Komitet powołany przez Cara do zorganizowania wojska polskiego, którego członkiem był Dąbrowski, narażonym był na wszelkie wybryki dzikiego usposobienia brata carskiego W. Xięcia Konstantego, który w porozumieniu z carem wbrew danym przez niego Polakom zaręczeniom, dążył do wprowadzenia urządzeń, przygotowujących wcielenie wojska polskiego w szeregi armji moskiewskiej. Wśród starć ztąd bardzo przykrych z W. X. Konstantym, narzuconym przez cara na naczelnego wodza wojsku polskiemu, oporu komitetu zajmującego się organizacją wojska polskiego, którego duszą był Dąbrowski, nie zdołała przełamać ani przewrotność podstępna, ani gwałtowność carskiego brata. Dzięki niezłomnej wytrwałości komitetu w obronie praw narodu, wojsku polskiemu przy nowej organizacji zapewnioną została jego odrębność i niezależność od władzy moskiewskiej, przez przyznanie mu sztandarów, barwy, komendy narodowej i charakteru czysto polskiego.

Zabezpieczenie wojsku polskiemu organizacji narodowej, było ostatnią ważną usługą, którą sędziwy generał Dąbrowski zakończył dwudziestokilkoletnią niezmordowaną i bezprzestanną pracę swoją, mającą jedynie na celu podźwi-

gnienie z upadku ojczyzny. Trudy wojenne, liczne rany, a przedewszystkiem zawody doznane w usiłowaniach całego żywota, skierowane do wywalczenia niepodległego bytu dla Polski, stargały zdrowie i siły wielkiego patrjoty.

Nie chcąc się w tym stanie bezowocnie narażać na wybryki dzikiej samowoli naczelnego wodza wojsk polskich, W. X. Konstantego, Dąbrowski, acz wyniesiony na stopień generała dowódzcy całej jazdy polskiej, usunął się z widowni publicznej i osiadł w W. X. Poznańskiem, w dobrach swoich Winnogóra. I tam w domowem zaciszu, nie przestawał szlachetny obrońca Polski troszczyć się o jej przyszłość, rozbudzając w odwiedzających go ziomkach ducha i poczucie obowiązków dla ujarzmionej ojczyzny.

Najlepszym dowodem tej patrjotycznej działalności generała Dąbrowskiego jest sprawozdanie komissji śledczej, której przewodniczył Stanisław ordynat hr. Zamojski, przedłożone W. X. Konstantemu w dniu 4 Stycznia 1827, w kilka lat po śmierci Dąbrowskiego. « Na parę « miesięcy przed śmiercią, są słowa sprawozdania rzeczonego, wynurzył Dąbrowski przy- « byłemu do niego w odwiedziny, jednemu « z swych dawnych podkomendnych, gorzką « boleść, patrząc na los szlachetnego narodu, « który męztwem swojem tyle razy przyczyniał do chwały tych, którzy stali na jego czele,

« nieosiągnąwszy dla siebie jak tylko smutne
« owoce licznych poswięceń i bohaterskich wy-
« sileń. Dziś nawet były jego słowa, forma kon-
« stytucyjna rządu naszego w stosunkach tak
« jeszcze nieustalonych Europy, nie może mieć
« dla nas rękojmi dostatecznej. Jakąż możemy
« mieć nadzieję, a ileż powodów do obawy?
« Czyż co dzień nie trwożymy się losem, który
« nam jutro przynieść może? Żadne węzły, któ-
« reby stanowiły potęgę Polski, nie łączą jej
« dzieci, a tak rozdwojonych, cóż może zabez-
« pieczyć od następstw nieodgadnionych wypad-
« ków przyszłych? Gdyby był Napoleon uszedłszy
« z Elby, doprowadził swe orły zwycięzkie
« nawet nad brzegi Wisły, cóżby ztąd było
« przyszło dla Polski? Hojny krwi rozlew, nowe
« walki, nowe ofiary, ale niepodległości nigdy.
« Dla kogokolwiek bądź Polacy będą szczerbić
« swój oręż, cóż im przynieść może klęska, lub
« wygrana? Słabi bo rozdwojeni, czegoż się
« mogą od zwycięzcy spodziewać? Nic innego,
« jak tylko tego, co mu się spodoba zgodnie ze
« swoją polityką narzucić im. Czemuż nie mo-
« żna, dodał, rozniecić kiedyś ognia, który go-
« reje w głębi serc prawdziwych przyjaciół oj-
« czyzny? Czemuż nie mogę wzbudzić dawnej
« dzielności tych Polaków, którzy aby być ró-
« wnie silnymi i potężnymi, jak byli ich nad-
« dziadowie, nie potrzebują, jak tylko mieć
« wiarę w własne siły, aby odzyskać upadłą

« potęgę. Cóż znaczy jarzmo, pod którem są « dziś zgięci? Jacykolwiek są ludzie, którzy « nimi kierują i rząd który nimi włada, niech « tylko zjednoczą swoje przekonania, swoje « chęci i swoje życzenia, niech naród rozdwo- « jony przyjdzie do własnego poczucia, niech « będzie jednolitym nawet dla służenia monar- « sze, który mu obecnie rozkazuje, a przyjdzie « dzień, dzień, w którym ten sam los, który go « nam narzucił na pana, odwróci się przeciw « niemu, a wtenczas Polska będzie zdolną odzy- « skać na koniec swoją niezawisłość i wolność « i nie uznawać innego króla jak tylko tego, « którego jej się będzie podobało samej sobie « wybrać ».

« Te myśli Dąbrowskiego wywarły silny « wpływ na tego, któremu się z niemi zwierzył. « Stary generał zobowiązał go do rozszerzania « onychże, a on chętnie poszedł za jego radą « w rozmaitych zetknięciach się w tym względzie « bądź to z X. Jabłonowskim Antonim, bądź « z podpułkownikami Krzyżanowskim i Prą- « dzyńskim, bądź to z innymi patrjotami, udzielił « im myśli, których był tłumaczem i zobowią- « zał ich do działania z swej strony, dla « dopięcia celu, wskazanego przez generała « Dąbrowskiego. »

Wprawdzie komissja śledcza wypowiedziawszy to w swem sprawozdaniu, nadmienia, iż ani generał Dąbrowski, który pierwszy powziął

myśl połączenia wszystkich Polaków węzłem narodowości, ani jego podkomendny, który miał być tej myśli najczynniejszym rozkrzewicielem, nie przyczynili się w niczem do zamienienia jej w czyn, gdyż generał Dąbrowski niebawem umarł, powiernik zaś jego zapadłszy w ciężką niemoc, zmuszony był dla ratowania zdrowia udać się zagranicę, zkąd po dłuższej nieobecności wróciwszy do kraju, zostawał w takim stanie osłabienia, iż posłannictwa swego wypełniać nie mógł. Wszelako ta sama komissja śledcza, w dalszym ciągu swego sprawozdania twierdzi, iż jakkolwiek myśli wyrażone przez generała Dąbrowskiego, nie wpłynęły bezzwłocznie na zawiązanie się towarzystw dla urzeczywistnienia onych, zaprzeczyć jednak nie można, iż myśli te, jeżeli nie stały się jedynym bodźcem tworzenia się tajnych politycznych stowarzyszeń, to posłużyły spiskowym za pozór do jednania sobie stronników.

Wszystkie czyny generała Henryka Dąbrowskiego stwierdzają niezaprzeczenie, iż dźwignienie z upadku ojczyzny było myślą przewodnią, której poświęcił ten szlachetny Twórca Legionów cały swój żywot. Myślą tą nie przestał się zajmować nawet na łożu boleści, pasując się ze śmiercią. Złożony już ciężką niemocą, na dwa miesiące przed zgonem swoim, który nastąpił w dniu 26 Czerwca 1818, polecał gorąco ziomkom swoim, wiarę w własne siły i przy-

czyniał się do rozbudzania w nich ducha, a hasło jego « Jeszcze Polska nie zginęła » i po zgonie tego niezmordowanego szermierza niepodległości narodowej, nie przestało przewodniczyć wszystkim usiłowaniom narodu do wydźwignienia się z pod obcej przemocy.

Różnica tak wybitna w działalności publicznej, jaka zachodziła między postępowaniem X. Józefa Poniatowskiego a postępowaniem Henryka Dąbrowskiego, pochodziła ztąd głównie, iż pierwszy był tylko wiernym sługą monarchów a drugi wiernym synem Ojczyzny.

Paryż. — Druk. A. Reiff, 9, place du Collège de France.

